



*Elizabeth Noble*

**KLUB TENKO**

Fragment utworu *Come on Home*  
zespołu *Everything But the Girl* pochodzi z albumu  
*Baby, The Stars Shine Bright*, 1986

Fragment utworu *With or Without You* zespołu U2  
pochodzi z albumu *Joshua Tree*, 1987

## Prolog

październik 1985

St Edmund Hall, Oksford

Pokoje w bloku Kelly znajdowały się dokładnie nad holem. Duże, przeszklone okno było otwarte na oścież. Freddie Valentine siedziała okrakiem na parapecie, z jedną nogą w pokoju, a drugą na betonowym balkonie. Paliła silk cuta, strzepując delikatnie popiół w nocne powietrze. Tamsin niechętnie pozwalała jej palić w swoim pokoju, ale stąd najlepiej widziało się górny dziedziniec, gdzie zbierali się rugbyści, zanim poszli na tańce.

*Born in the USA* rozsadzało nocną ciszę, każde pełne emfazy słowo Springsteena brzmiało kryształicznie czysto, nawet na trzecim piętrze. Niech Bóg ma w opiece każdego, kto próbował pracować. Chociaż jeśli zawaliło się już trzy piątkowe wieczory w semestrze, potrzebna była raczej pomoc diabła, a nie Boga.

- Widziałas go w zeszłym roku na koncercie?

- Tak. Był fantastyczny. Twoja ulubiona piosenka Springsteena?

- *The River*. - Freddie przytaknęła z aprobatą.

- A twoja? - spytała Tamsin.

- *Drive all night*. - Tamsin jej nie znała. - Jest na *The River*. Ma najlepsze słowa.

- Pewnie. - Tamsin postanowiła zdobyć tę płytę, chociaż nie miała pojęcia, o czym mówi Freddie, nigdy tej piosenki nie słyszała. Tak. Nowa przyjaciółka zdominowała ją całkowicie.

Spotkały się pierwszego dnia. Mama i tata pojechali, a Tamsin siedziała przerażona na wąskim, pojedynczym łóżku na trzecim piętrze między wysmukłymi iglicami i czuła się porzucona. Wysiłkiem woli zmusiła się, żeby zejść na lunch. Wszyscy w kolejce swobodnie rozmawiali. Oczywiście niektórzy znali się już wcześniej. Tamsin jako jedyna ze swojej klasy dostała się do college'u w Oksfordzie i nie znała w tym mieście ani jednej duszyczki, nie licząc głupkowatej córki przyjaciółki jej mamy, Muriel, ale ona nie była w college'u, tylko w jakiejś szkole dla sekretarek w śródmieściu. Chociaż

Tamsin obiecała mamie i Muriel, że będą się spotykały, wcale nie była tego pewna. Dziewczyny stojące przed nią rozmawiały o eliminacjach do drużyny hokejowej. Cóż, nie stwarzało to ogromnej możliwości znalezienia przyjaciół, chyba że byłaby to drużyna zawodniczek sumo. Tamsin zawsze wiedziała, że ma nadwagę, i w towarzystwie tych zalotnych dziewczyn w dopasowanych džinsach czuła się jak słonica. Wcześniej się tym nie przejmowała, nie na tyle, żeby cokolwiek zrobić ze swoją tuszą, teraz pluła sobie w brodę.

Już miała zrezygnować z lunchu - zacznę dietę od zaraz, co? - kiedy nowo przybyła zablokowała ją w kolejce. Była sama, to dobrze. Ale taka piękna, może niezupełnie chuda, za to bardzo zgrabna, i serce Tamsin znów się skurczyło. Wtedy dziewczyna wyciągnęła rękę. Mówiła z amerykańskim akcentem.

- Cześć, jestem Freddie.

- A ja Tamsin. - Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Słuchaj - ciągnęła Freddie - byłam tu już i widziałam, co serwują. Słowo daję, chodźmy lepiej do McDonalda. Mam nadzieję, że jest tu jakiś.

- Chyba tak, przy High Street, w centrum miasta.

- Idziesz?

I to było to. Nazywała się Freddie Valentine, miała metr siedemdziesiąt osiem i kobiecą sylwetkę, którą mama Tamsin określiłaby jako posagową. Linia włosów tworzyła na środku czoła mały trójkącik, długie blond loki i niezwykle oczy w kolorze akwamaryny dopełniały całości. Tamsin uważała, że Freddie jest piękna. Piękna, zabawna, nonszalancka i cudowna. Mieszkała w bloku Emden naprzeciwko i mogły do siebie machać, gotując herbatę i podjadając ciastka. Wszystkie ściany w swoim pokoju pokryła niesamowitymi orientalnymi szalami, które kupiła gdzieś w Covered Markets, więc nie czuła się, jakbyś była w Emden, tylko w namiocie Szeherezady na środku pustyni. Paliła kadzidełka, piła dziwne herbaty i gdyby Tamsin miała powrócić na ziemię w następnym życiu, chciałyby być właśnie nią.

Przez jakiś czas nie zdawała sobie sprawy, że to uczucie było całkowicie odwzajemnione. Kołdra z Misiem Puchatkiem, którą znieawidziła już drugiego dnia, zdjęcia rodziców oprawione w ramkę z zawiasami, które trzymała przy łóżku, pudełko herbatników i fontanny oranżady w proszku - Freddie uwielbiała to wszystko. Serdeczność i gotowość do zabawy szybko zastąpiły nieśmiałość Tamsin, dzięki czemu Freddie i inni nie mogli się jej oprzeć. Pokój Freddie miał egzotyczny wygląd, ale to u Tamsin wszyscy przesiadywali: pili herbatę, pustoszyli jej spiżarnię i chłonęli domowe ciepło.

Siedziały tam dziś wieczorem gotowe do wyjścia na tańce, ale bały się zjawić za wcześnie. I tak czekały na Sarę, która całe popołudnie spędziła nad rzeką na testach wioślarskich, ale obiecała, że weźmie prysznic i dołączy do nich później. Mieszkała dwa pokoje obok Freddie. Dzielił je zwariowany, ale sympatyczny student trzeciego roku chemii, który raz zaprosił je na niezręczną herbatę w swo-

im pokoju. Postanowiły bronić się przed kolejnymi wizytami u Graeme'a, ale było im przykro, kiedy pojechał do domu w pierwszy weekend na zjazd integracyjny Stowarzyszenia Turystów, a inni chemicy włamali się do jego pokoju i zasadzili mu rzeżuchę na dywanie. Zamieszkały w pokoju Freddie na kilka nocy, kiedy on spał u Sary i czekał na sprzątnięcie rzeżuchy.

Tamsin nie była przekonana, czy mądrze postępuje, wchodząc do jakiegokolwiek pomieszczenia z Sarą, która była tak ładna, że chłopcy przerywali rozmowę w pół zdania, kiedy przechodziła obok. Tamsin myślała, że takie kobiety nie istnieją, ale najwyraźniej istniały i pochodziły z Mumbles. Sara jednak nie polowała na chłopaków, co powiedziała przyjaciółkom przy pierwszej nadarzającej się okazji. Była głęboko i prawdziwie zakochana. Właściwie byli zaręczeni. Nie dał jej pierścionka, tylko spytał prosto z mostu, bo jej rodzice martwiliby się, że są tacy młodzi. Czy nie postąpił rozważnie? Z pewnością był przystojny, o tak, trzeba przyznać, trochę podobny do Stinga. Widziały kilka jego zdjęć, no dobrze, setki. U Sary. Jeśli pokój Freddie był hołdem dla Marrakeszu, to Sara urządziła u siebie ołtarz dla Owena. Niedługo przyjedzie, obiecywała Sara, i wszystkie go poznają.

- Czy wytrzymamy to oczekiwanie? - żartowała Tamsin, naśladując walijski akcent Sary.

Oczywiście nie interesowało to Tamsin tak bardzo, odkąd spotkała Neila. Hm, wpadła na niego. Podobał się jej pomysł jazdy na rowerze po Oksfordzie, ale nie była w tym zbyt dobra i wjechała na niego pewnego popołudnia przed Radcliffe Camera. Na szczęście studiował fizjologię i sam opatrzył ranę w swoim pokoju. Na pewno nie miałby nic przeciwko temu, by powtórzyć solidny seans pieszczot i pocałunków z zeszlotygodniowej potańcówki w Queen's College. Nie wydawał się też zniechęcony jej wałeczkami. Wspomniała mu bardzo zwyczajnie o dzisiejszym wieczorze, kiedy go zobaczyła w kawiarni. Coś jej mówiło, że przyjdzie. Nie mogła się doczekać.

Freddie skończyła papierosa i zamknęła okno. Miała na sobie workowate dzinsowe ogrodniczki; Tamsin wyglądałaby w nich jak prezenterka telewizyjna z programu dla upośledzonych dzieci, ale Freddie było w nich po prostu fajnie.

Przynajmniej Reagan tu była. Tamsin przyciągnęła ją z korytarza, którym szła do biblioteki prawniczej, ciasnego pomieszczenia pełnego zakurzonych książek na tyłach głównej biblioteki, która mieściła się w starym kościele. Tamsin nigdy nie była tam w nocy, częściowo dla zasady, ale też dlatego, że otaczał ją cmentarz. Na samą myśl o tym dostawała dreszczy. Ustaliła, że Reagan nie wybiera się do biblioteki prawniczej na sekretną schadzke z kolegą z wydziału, na co jeszcze by zezwoliła, biorąc pod uwagę romantyczne okoliczności, ale żeby zagłębiać się w kodeksach wykroczeń, i nie pozwoliła odejść swojej oschłej i drętwej przyjaciółce. Nalała jej szklanekę cydru.

- Dziś wieczorem idziesz z nami. Bez gadania.

Reagan była dość dziwna. Twardy orzech do zgryzienia. Na drzwiach miała ścieralną tablicę, na której często było napisane: „PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ. KRYZYS TWÓRCZY!” (oczywista, ale żałośnie nieudana próba pokazania, że jest fajna). Pewnego ranka po szczególnie pijackim wie-

czorze jakiś żartowniś stał „KRYZYS TWÓRCZY”, zostawił tylko wykrzyknik i dopisał „MASTURBUJĘ SIĘ”. Tamsin stała to, jak tylko zauważyła napis, ale nigdy nie dowiedziała się, czy Reagan zdążyła go już przeczytać.

Wracając do sprawy, Reagan była chuda, ale w kiepskim stylu. Prawie bez biustu i z niewielkim tyłkiem. Wszystkie jej ubrania były brązowe - nawet jeśli poszczególne kolory były inne, sprawiały takie wrażenie - i workowate. Tamsin myślała o sobie w kategoriach tematu przewodniego z filmu *The Six Million Dollar Man*: „Panowie, możemy zmienić tego człowieka. Możemy sprawić, że stanie się lepszy niż był. Tamsin lubiła wyzwania. Przynajmniej Reagan to świetne imię. Reagan wyjaśniła im, że *Król Lear* to ulubiona sztuka jej mamy i że mogło być gorzej: jedna z córek Leara miała na imię Goneril. Egzotyczne imię to dobry początek. Pomyśleć tylko, o ile bardziej Reagan byłaby nudna z innym imieniem. Reagan zwróciła smutno uwagę, że jej mama zaważyła jedyną interesującą rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła, pisząc niepoprawnie to cholerne imię.

Patrzyła na nią, mówiąc do Freddie. Reagan uśmiechała się, a należała do tych osób, które uśmiech zmieniał nie do poznania. Unosił kąciki jej oczu, sprawiał, że marszczyła nos i wyglądała niemal ładnie.

Tamsin napełniła im szklanki i niespokojnie spojrzała na zegarek. A jeśli Neil już jest na dole, szuka jej, a ona siedzi tutaj? Nie wiedział, w którym pokoju mieszka. Mimo to serce zabiło jej gwałtownie, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Może ją znalazł? Może był na portierni, szukał jej i starał się wydusić z portiera informację... i może jej przyjaciele go usłyszeli... i...

To była Sara. Nadal w czarnych szortach z lycry i nieprzemakalnej kurtce, ciemne długie włosy zebrała w kitkę. Wyraźnie płakała od jakiegoś czasu, jej twarz była cała w plamach.

Tamsin objęła ją i wciągnęła za próg.

- Co się stało, Saro?

Współczucie wyzwoliło nową serię łkań i musiały poczekać, aż się skończy.

Reagan chciałaby znaleźć się gdzieś indziej. Była pewna, że przeszkadza, ale nikt nie zwracał na nią uwagi, wszystkie skoncentrowały się na Sarze.

Zapłakana dziewczyna trzymała list, pojedynczą kartkę zapisaną czarnym drobnym pismem. Demonstrowała go jak wykrzyknik, ale nikt po niego nie sięgnął, to był prywatny list. Sara pozwoliła mu spaść na podłogę.

- Owen mnie rzucił.

- Och, biedactwo. - To Tamsin.

- Drań - oburzyła się Freddie.

- Przykro mi - cicho dodała Reagan; sądziła, że powinna coś powiedzieć.

Sara spojrzała na nią i uśmiechnęła się blado w podziękowaniu.

- To nie jest najgorsze. Odszedł z moją najlepszą przyjaciółką. Z Cerys.

Cerys została w Mumbles. Chciała być fryzjerką. Miała w planach salon przy głównej ulicy i najwyraźniej Owena.

- Mieliśmy się pobrać. - Znów łkanie. - A teraz on pisze, że chcą razem zamieszkać.

- Więc tyle zostało z jego chęci czekania ze względu na szacunek do twoich rodziców - uśmiechnęła się Freddie, ale Tamsin posłała jej surowe spojrzenie i pogłaskała Sarę po włosach.

- Minęły tylko trzy tygodnie, trzy tygodnie, na litość boską.

Nie wiedziały, jak ją pocieszyć. Żadna z nich nawet nie otarła się o taki związek, w którym myśleli się o małżeństwie. Życie uczuciowe Tamsin do czasu Neila składało się z kilku wolnych tańców u Młodych Rolników i jednego bardzo rozczarowującego zbliżenia z przyjacielem brata w czasie ostatniego sylwestra. Myślała, że mogłaby pozwolić mu pójść na całość, ale szczerze mówiąc, początek tej podróży tak ją zawiódł, że zmieniła zdanie, wygładziła spódnice i wróciła na dyskotekę. Teraz, kiedy spotkała Neila, cieszyła się, że zaczekała. Pójście na całość z nim może być o wiele bardziej zabawne. Jeśli dotrą na tę cholerną potańcówkę dziś wieczorem.

Freddie była przekonana, że to najlepsze, co mogło się zdarzyć. Naprawdę lubiła Sarę, to rozrywkowa dziewczyna i prawdopodobnie o wiele przyjemniej spędzi kolejne trzy lata bez jakiegoś tępego chłopaka, który cały czas ciągnął ją do Walii. Freddie nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek wyjdzie za mąż, a już myślenie o tym, kiedy ma się dopiero dziewiętnaście lat, to szaleństwo. Było tylu chłopców. Właśnie kilku na górnym dziedzińcu wpadło jej w oko. Polowanie na nich z Sarą będzie znacznie zabawniejsze.

Reagan czuła lekką zazdrość, co wprawiło ją w zakłopotanie. Wyobraź sobie tylko, że kochasz kogoś tak mocno. Oczywiście złamane serce i porzucenie to okropne, ale takie uczucie...

- Faceci to świnię - zadeklarowała Tamsin.

Nie myślała tak, ale wydawało jej się to właściwym komentarzem.

- A co z Cerys? - wyrzuciła z siebie Reagan. - Przecież nie robi tego sam, prawda? Czy ta Cerys nie była twoją najlepszą przyjaciółką?

Twarz Sary znów się zmarszczyła.

- Reagan ma rację. - Freddie podchwyciła wątek. - Faceci, nawet ci dobrzy, to bardzo prymitywne stworzenia, prawda? Rządzą nimi żołądki i kutasy, niekoniecznie w tej kolejności.

Tamsin zastanawiała się, czy ma wystarczające kwalifikacje, żeby to skomentować; nie spotkała wielu mężczyzn i z pewnością żadnego nie „poznała”. Freddie była zdenerwowana. Może w tych „romansach” kryło się coś więcej, niż opowiadała.

- To na kobiety powinnaś uważać - perorowała Freddie. - Mamy tyle warstw, jesteśmy o wiele bardziej skomplikowane. Spójrzcie na tę Cerys. Zobaczcie, co zrobiła Sarze.

- Co takiego? Masz na myśli, że zachowała się jak facet? Myślała swoją... no wiesz.

- Założę się, że to coś o wiele gorszego. Sara myśli, że ta sprawa trwa dopiero od trzech tygodni, ale trochę lepiej znamy kobiety, co? Nie uważacie, że ona to planowała przez cały czas, pewnie od miesięcy, może od kiedy się dowiedziała, że Sara wyjeżdża do college'u?

Tamsin nie była przekonana, że stwierdzenie Freddie poprawi sytuację, ale Sara wpatrywała się w nią intensywnie. Freddie miała taki głos, może powodował to jej akcent, że kiedy mówiła, chciało się jej słuchać.

- To znaczy, zastanów się, Saro - ciągnęła Freddie. - Pomyśl o tym, w jaki sposób tych dwoje doprowadziło do twojego wyjazdu. Pomyśl o tym, jaka była z tobą Cerys... jaka była z nim.

Spojrzenie Sary na minutę utknęło w pół drogi. Później zmrużyła oczy i przytaknęła.

- Wiem, o czym mówisz... tak.

- Widzisz, kobiety.

Freddie usiadła usatysfakcjonowana. Reagan była pod wrażeniem.

- Powinnaś studiować prawo - rzuciła.

Oczy Freddie rozbliły.

- Nie ma mowy! Nienawidzę prawników. Mój tata jest prawnikiem.

Reagan żałowała, że się odezwała.

- To nie w porządku, Freddie - zaproponowała Tamsin. - Przecież my jesteśmy kobietami, prawda? Chcesz powiedzieć, że żadna z nas nigdy nie będzie mogła zaufać drugiej? Bo ja nie jestem taka i nie sądzę, żeby któraś z was też taka była.

Zalana łzami Sara zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Czy widzieliście *Tenko*? - spytała Reagan.

Sara i Tamsin przytaknęły.

Freddie potrząsnęła głową.

- Nie.

- To ten serial pokazywany w telewizji mniej więcej sześć lat temu. O grupie kobiet wziętych do niewoli przez japońskich żołnierzy gdzieś chyba w Singapurze, w większości Angielek. Świetny film. Myślę, że można spojrzeć na kobietę, porozmawiać z nią albo posłuchać jej przez pięć minut i przewidzieć, jak się zachowa w takim obozie, a kiedy już ją rozgryziesz, wiesz, jak się zachowa w każdej sytuacji.

- Jak to? - Teraz wszystkie patrzyły na Reagan zafascynowane, nigdy nie słyszały, żeby powiedziała tyle słów naraz.

- Weźmy na przykład Cerys, tak zwaną najlepszą przyjaciółkę Sary. Nie spotkałam jej, ale biorąc pod uwagę, że jest taka, jak myślę, w japońskim obozie dla jeńców wojennych byłaby osobą, która śpi ze strażnikami, żeby dostać jedzenie, nie dzieląc się nim z innymi. Egoistyczna, skoncentrowana na sobie. Amoralna.

Wszystkie się na nią gapiły.

- Dalej, co powiesz o nas?

- Prawie was nie znam - broniła się.

- Powiedziałaś, że wystarczy pięć minut. Widziałas nas wszystkie o wiele dłużej! - prowokowała ją Freddie.

- Daj spokój, Freddie - uspokajała Tamsin. - Nie musi tego robić, jeżeli nie chce.

- Widzicie - Reagan nie mogła się powstrzymać. - Tamsin byłaby obozową matką. Łagodziłaby sprzeczki, opiekowała się słabymi i martwiła o wszystkich. Byłaby podporą.

- Podoba mi się - uśmiechnęła się Tamsin.

- Sara byłaby słaba. Potrzebowałaby ochrony.

- Przed strażnikami. Absolutnie! Wszystkim by się podobała!

- Przed wszystkim. Złymi wiadomościami, zakażeniem, słońcem i pewnie też przed strażnikami - ciągnęła Reagan. Sara wyglądała na niezbyt szczęśliwą. - Ale wszyscy chcieliby się nią opiekować, nie byłaby ciężarem.

- A co ze mną? - Jasne oczy Freddie patrzyły wyzywająco. Reagan wiedziała, że teraz musi być dzielna. Freddie przygotowała sprawdzian ich przyjaźni, a ona tak bardzo chciała go zdać.

- Spałabyś ze strażnikami, ale dzieliłabyś się tym, co od nich dostałaś - odpowiedziała.

Freddie roześmiała się.

- Nie mylisz się. A co z tobą? Przypuszczam, że byłabyś tą z zasadami, co? Postawiłabyś się strażnikom i zastrzeliliby cię następnego dnia?

Reagan uśmiechnęła się szeroko.

- Powiedziałam tylko, że umiem rozgryźć inne kobiety. Nigdy nie mówiłam, że rozpracowałam siebie.

Nie poszły na tańce. Tamsin połknęła resztkę cydru, żeby mieć wymówkę i zejść na dół po piwo. Neila nie było w holu i już wchodziła z powrotem na górę, kiedy zobaczyła, jak idzie z opuszczonymi ramionami w kierunku ulicy.

- Cześć - krzyknęła. - Odwrócił się, rozpromienił i ruszył w jej stronę.

- Słuchaj, dziś nie mogę iść z tobą - oznajmiła.

Wyglądał na zmieszanego.

- Nie mogę zostać obozowym dezerterskim. - To mu niewiele wyjaśniło. - Ale czy możemy się spotkać jutro wieczorem? Pójść na drinka albo coś w tym stylu. Mieszkam na górze. Kelly. Trzecie piętro, pokój numer pięć.

- Pewnie - zgodził się, a ona wyprostowała się, żeby go pocałować prosto w usta. Och, coś w sobie miał...



Dalej grały w Tenko i Sara jeszcze trochę płakała, i zjadły wszystkie herbatniki Tamsin, i dwa kubki makaronu Reagan, i rozmawiały, i rozmawiały, i paliły, i upiły się. Kilka razy każda z dziewczyn rozglądała się po pokoju, myśląc, że właśnie dlatego tu przyszła, było tak, jak sobie wymarzyła. Po jakimś czasie trzy dziewczyny wróciły do swoich pokoi. Długo po tym, jak ucichła muzyka, założyły klub Tenko. Zasady klubu były proste: faceci, dzieci, praca, zakupy i czekolada - ważne, ale nie aż tak ważne. Kiedy cię potrzebują, jesteś na miejscu. Nie poddajesz się. Tak, należały do klubu Tenko i przysięgły, zataczając się po korytarzu, że zawsze w nim będą. wrzesień 2004 Anglia

Powinno istnieć prawo zabraniające prowadzenia samochodu, kiedy się płacze. Prawdopodobnie jest to nieskończenie bardziej niebezpieczne niż pokonywanie drogi po trzeciej lampce wina. Freddie prawie zawsze jechała drogą A3 zapłakana. Cały krajobraz, od ohydnej, sterczącej ponad miastem nowoczesnej katedry w Guildford do znaków wskazujących kierunek do Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego Wisley, ze śliską drogą zapchaną przez starych ogrodników jadących z zupełnie niepotrzebną ostrożnością, był dla niej zamazany. Zostawiała Harry'ego.

Wydymuchała nos, mocno zagryzła dolną wargę i włączyła radio: *Godzina kobiety*. Słuchanie głosu Jenni Murray było jak jedzenie czekolady na zamszowej sofie w kaszmirowych skarpetkach. Gdyby Freddie wygrała na loterii, zaproponowałyby Jenni Murray królewską pensję w zamian za mieszkanie z nią i czytanie na głos wszystkich listów i rachunków, spisów zakupów i spraw do załatwienia - pomyśleć tylko, o ile życie byłoby przyjemniejsze.

Jenni Murray z pewnością była w Tenko matczyną postacią.

Starła się skoncentrować na kobiecie mówiącej z pasją o transparentach ruchu sufrażystek, ale ciągle widziała Harry'ego. Był o wiele dzielniejszy niż ona - musiał być - więc nie płakała przy nim. Mówiła tylko kruchym, nienaturalnym głosem, kiedy wygładzała mu kłapy marynarki i prostowała łobuzerski lok, sterczący na środku czoła z trójkątem włosów, który po niej odziedziczył i dzięki któremu zyskał przydomek Mopsik. Kiedy pierwszy raz usłyszała je wykrzywane na parkingu, zapewniła ją, że nie było gorsze niż Pierdziel albo Józek Jedno Jajco, albo Timmy Tampon - chyba nawet lepsze. Odsunął głowę, chociaż w domu ten sam gest spowodowałby, że wtuliłby się w jej ramiona. Był wysoki jak na swój wiek, ale ona była wyższa. Nie powiedziała mu, żeby wyjął ręce z kieszeni, chociaż nauczyciel z pewnością by to zrobił. Na pewno zacisnął pięści.

Dla niej było to łatwiejsze: minuty dzieliły ją od samochodu, gdzie mogła płakać niezauważona. Harry musiał stawić czoło sypialni, korytarzowi, czterystu chłopcom. Przez następne siedem tygodni nie znajdzie miejsca, gdzie nikt nie będzie go widział. A później go stąd zabierze, na najwspanialsze ferie jesienne.

Adrian nie miał pojęcia, jak bardzo tego nienawidziła. Zanim przyjedzie wieczorem do domu, zdąży już wypłakać wszystkie łzy. Za pierwszym razem zupełnie się rozkleiła. Rodzice Adriana też

przy tym byli. Oburzała ją ich obecność, obowiązek nakarmienia ich i zabawienia, kiedy Harry był tak daleko. Płakała nad obiadem, który ugotowała.

Clarissa, matka Adriana (zraziłaby do siebie dwie trzecie kobiet w obozie i przy odrobinie szczęścia zastrzelono by ją naprawdę szybko za poniżanie i niesubordynację), patrzyła na nią z pogardą i zażenowaniem jednocześnie.

- Oczywiście, że to trudne - stwierdziła, chociaż brzmiało to zupełnie inaczej. - Ale to bezwzględnie dla jego dobra. - Sprzeciw był niedopuszczalny.

- Bezwzględnie. - Charles, nadęty ojciec Adriana, powtórzył jak echo. Oboje bardzo często mówili „bezwzględnie”. Utwierdzali się w przekonaniu, że we wszystkim mają rację. Braki intelektualne ta para nadrabiała z nawiązką w dogmatycznym zacierzewieniu. Bezwzględnie doprowadzali ją tym do obłędu.

- W ten sposób zostałem ukształtowany, Freddie, i on też zostanie tak ukształtowany - przytakiwał również Adrian. Wyglądali jak welurowe pieski, które ludzie ustawiają z tyłu samochodu.

Freddie miała ochotę ich spoliczkować, jedno po drugim. Chciała krzyknąć: „On nie potrzebuje «ukształtowania», wy głupie dranie. Ja już go ukształtowałam. I jest idealny. I ma dopiero osiem lat”. Ale nawet ona zdawała sobie sprawę, że było to daremne. Już zdecydowano. W chwili kiedy akuszerka podniosła dziecko do góry i Adrian zauważył opuchnięte, czerwone jąderka, których i tak się spodziewał. Adrian był w tej samej szkole co jego ojciec i dziadek, i Harold Thomas Adrian Noah, pięć kilo czterysta dwadzieścia gramów, nie mógł być wyjątkiem.

Nie zdoła pokonać ich wszystkich. Może nawet by spróbowała, ale Harry tego nie chciał. Chciał, żeby ojciec był z niego dumny i dziadek też.

- Będzie dobrze - zapewnił ją. - Poradzę sobie. - I miał rację. Po trzech latach przyzwyczaili się do rozdzierających pożegnań. Sześć ohydnych razy w roku mówili sobie do widzenia na tym znienawidzonym parkingu. Niewiedza Adriana, ile to kosztowało syna, raniła jej serce.

- Frederica jest Amerykanką - mówiła zwykle Clarissa, kiedy przedstawiała ją na jakimś upiornym koktajlu albo w klubie golfowym. Tak samo jak Sybil Fawlty podkreślała, że Manuel jest z Barcelony\*. Coś w stylu: „Frederica ma zakaźne liszaje”. Tyle że zdaniem jej teściowej tę dolegliwość dawało się leczyć, a jedyne lekarstwo na bycie Amerykanką to bezustanna indoktrynacja i regularne używanie słowa „bezwzględnie”.

\* Aluzja do popularnego serialu brytyjskiego *Fawlty Towers* emitowanego w polskiej telewizji pod tytułem *Hotel Zacisze*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Z pewnością rozumiałaby konieczność edukacji dzieci płci męskiej w prywatnej szkole, gdyby była „jedną z nas”. Clarissa nie mogła zrozumieć, dlaczego Adrian poślubił cudzoziemkę, skoro z

pewnością prowadziło to do wielu problemów kulturowych, chociażby tego pożałowania godnego wybuchu. To biedne dziecko miało na imię Noah, na litość boską. Dzięki Bogu za trzy porządne, chrześcijańskie imiona, które je poprzedzały - większość kwestionariuszy (Oxbridge, Coutts, In and Out Club) nie miało wystarczająco dużo miejsca, żeby je tam wpisać. Nalegała, że sama umieści w „The Telegraph” anons o narodzinach, dzięki czemu mogła opuścić ostatnie imię, i była na tyle uprzejma, żeby wytłumaczyć niestosowny wybuch Frederiki w trakcie czytania ogłoszenia jako bezpośredni rezultat długiego, męczącego porodu.

Freddie myślała, a raczej miała nadzieję, że Adrian się w niej zakochał, bo różniła się od dziewczyn, które znał. Poznali się w Alpach, gdzie Freddie pracowała w firmie narciarskiej w Méribel. Była to jej piąta praca, odkąd skończyła studia, i z pewnością najbardziej rozrywkowa. Mieszkała z czterema dziewczynami, średnio spała w nocy nie więcej niż trzy godziny i przetrwała dzięki diecie złożonej z chrupek ryżowych i sznapsów (które każdego wieczoru pochłaniała w legendarnych ilościach razem z sublokatorkami w nocnych klubach kurortu). Były to mityczne „najlepsze lata jej życia”. Adrian wszedł do baru z kilkoma kumplami z wojska i zobaczył ją, zanim ona go zauważyła. Później zwierzył się jej, że jego przyjaciel Stuart wskazał na nią i oznajmił:

- To jest kobieta, z którą chciałbym się ożenić.

Stała na masywnym drewnianym stole i śpiewała *Unbelievable*\*. Niewiarygodnie fałszując, z czego zawsze się śmiał. Lubił się śmiać. Dotychczas w ogóle nie myślał o żeniactwie.

\* Gra słów. *Unbelievable* - ang. niewiarygodnie.

Czasami zastanawiała się, czy nie ożenił się z nią tylko dzięki temu, co powiedział Stuart.

Był bardzo przystojny. Wyższy od niej parę centymetrów i szeroki w barach. Freddie sama była duża - „posągowa”, jak kiedyś określiła ją mama Tamsin - a czuła się po prostu ogromna i nie miała okazji zaznać uczucia, jakie przypada w udziale drobnym kobietkom: bezpieczeństwa i kruchości w ramionach mężczyzny. Istniało spore prawdopodobieństwo, że pokonałaby na rękę większość facetów, z którymi chodziła, ale nie Adriana. Zeszła ze stołu i kupił jej drinka, a później kołysali się, patrzyli na siebie i wyczuwali się nawzajem. Objął ją z tyłu rękoma w talii i jego dłonie swobodnie na siebie zachodziły. Oparł podbródek o jej głowę i nagle poczuła się maleńka i bezpieczna. To było nowe, przyjemne doznanie. Kumple, z którymi był tamtej nocy, mówili na niego Rudy, ale miał miedziane włosy i miedziane plamki połyskiwały w jego orzechowych oczach. Opalony od jazdy na nartach wyglądał jak polakierowany: lśniący, zdrowy i duży. Freddie uważała, że jest słodki.

Tej nocy wróciła z nim do domku, w którym zatrzymał się z kolegami. Oczywiście oboje byli za bardzo pijani, żeby do czegokolwiek doszło. Ale następnego ranka, rozbudzeni filiżanką kawy, go-

rażym prysznicem i wyszorowaniem zębów, mój Boże, wtedy to zrobili. Stracili cały dzień jazdy na nartach, nie robiąc nic innego.

Kilka miesięcy później zabrał ją do domu, żeby poznała jego rodzinę. Nic dziwnego, że zwrócił na nią uwagę tamtej nocy. Byli tacy staroświeccy. Tacy fałszywi. Tacy zimni. Spędziła u nich cały dzień i nikt nie powiedział nic, co byłoby głębokie lub nosiło ślady uczucia. Pogoda, golf, jedzenie, golf, ludzie z klubu golfowego, golf. Matka krótko roztrząsała kilka dość przyjemnych rzeczy, które Adrian powiedział jej o Freddie: ojciec był szanowanym prawnikiem w Stanach i teraz, na emeryturze mieszka w Cape Cod; Freddie studiowała w Oksfordzie (co robiło wrażenie, nie niosąc ze sobą zagrożenia, skoro nie wykazywała inklinacji, żeby wykorzystać swój dyplom). I była piękna. Długa, szczupła, z blond lokami, z niezwykle trójkątem włosów na czole i niespotykane białymi zębami, jakie zwykle mają Amerykanie. Clarissa była szczególnie wylewna na temat zębów - Freddie czuła się jak koń. Charles, ustalwszy, że ojciec Freddie również chętnie grał w golfa kilka razy w tygodniu w swoim klubie w Cape, poklepał ją roztargnionym ruchem, a później przez większość czasu ignorował. Koniecznie chciał pokazać Adrianowi nowy kij golfowy, który wygrał na loterii fantowej podczas kolacji z dansingiem.

Gdyby nie była tak bardzo zakochana w Adrianie, jak jej się wydawało, uciekłaby, gdzie pieprz rośnie po pierwszej wizycie. Ale była, i wierzyła, że są razem przeciw całemu światu, łącznie z jego rodzicami. Później histerycznie chichotali. Zaparkował staromodnego austina healeya tuż przy jeziorze niedaleko domu rodziców i ujął jej twarz w swoje ogromne dłonie.

- Przyjrzyjmy się bliżej tym zębom, dobrze? - Wsunął język w jej usta i przejechał nim po zębach, później przesunął ręką po udzie i lekko klepnął. - Hm, niezły bok. Zobaczmy, jak się rusza, dobrze?

Oczywiście musieli wysiąść. Wnętrze healeya było zbyt małe. Kochał się z nią na stojąco oparty o samochód, jedną stopę postawiła na masce, a on przemawiał do niej jak do wyścigowego konia, używając zwrotów, których nigdy nie słyszała, i rozśmieszał ją, mimo że starała się skoncentrować. W tamtych dniach robili to wszędzie. Freddie żyła w przekonaniu, że łóżko nie jest jej ulubionym miejscem.

Kiedy przeszedł na ich stronę? Kiedy wystąpił przeciwko niej?

*Godzina kobiety* skończyła się, zanim dojechała do drogi M25. Ruch był niewytłumaczalnie duży, jak zawsze. Wjechała na autostradę na środkowy pas, poruszając się z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Nacisnęła guzik i przełączyła się z programu czwartego na pierwszy. Rozpoznała piosenkę: Harry miał tę płytę i słuchał jej przez całe lato. Dobrze się czuła, słuchając czegoś, co uwielbiał. Było gorąco jak na wrzesień i otworzyła okno, żeby wpuścić wiatr. Uspokoila się.

Nie usłyszała dzwonka komórki, muzyka była zbyt głośna, ale zobaczyła nieustępliwe, zielone światelko w uchwycie obok przełączników do odtwarzacza. Numer biura Adriana. Niechętnie ściszyła piosenkę Harry'ego. Nienawidziła komórek. Już nie można być nieuchwytnym.

- Halo?

- Halo, to ja.

- Wiem. Identyfikacja numeru.

- Oczywiście. Jak poszło? - Nigdy nie dzwonił, żeby ją o to zapytać.

- Dobrze. - Nie miała zamiaru mu powiedzieć.

- Możesz rozmawiać? Myślała, że już to robią.

- Tak, kiepsko się jedzie. Jakies dwa kilometry na godzinę. Co się stało?

Westchnął głęboko, ledwo usłyszała, jak mówi:

- Może lepiej z tym poczekać, aż wrócimy do domu.

- Co?

- Nie... w porządku.

Freddie natychmiast się zdenerwowała.

- Na litość boską, Adrian, co się stało? Przecież po coś dzwoniłeś...

Teraz mówił donośnym głosem.

- Powinnaś wiedzieć, że się z kimś spotykam. Właściwie to się stało dość poważne. Kocham ją i chcemy być razem. Wolałbym poczekać, aż Harry wróci. Wiem, że to będzie dość skomplikowane... - urwał.

Tak dobrze zaciął. Można by pomyśleć, że kiedy już powie się żonie o romansie, to nie będzie tak trudno zażądać rozwodu i oznajmić, że jedno albo drugie musi się wynieść ze wspólnego domu. Ale najwyraźniej było.

Cisza. Prawie go żałowała. Puszka Pandory: otwarte wieko. Słoik z robakami: odkręcony. Kot: już nie w worku.

- Freddie, jesteś tam? Freddie?

Cisza.

- Freddie, daj spokój, musimy porozmawiać...

- Nie, Adrian. To ty musisz o tym porozmawiać. Ja bezwzględnie wprost przeciwnie. - I wciśnęła czerwony guzik, żeby przerwać połączenie. Drżała jej ręka.

Znów włączyła radio. Niewytłumaczalny korek rozluźnił się i już wkrótce mogła jechać dziewięćdziesiąt, sto, sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Skręciła na pas szybkiego ruchu.

Nie zaskoczył jej, co byłoby jeszcze bardziej niewybaczalne. Oczywiście, że wiedziała. Czy żona tak naprawdę kiedykolwiek nie wie? Wątpiła w to. Była to raczej kwestia tego, czy się chciało

wiedzieć, czy nie. Jeśli się wiedziało, trzeba było sobie z tym poradzić. A obawiała się, że radzenie sobie z tym okaże się więcej niż „dość skomplikowane”.

Trochę dręczyło ją, że się rozłączyła. Fatalny moment sobie wybrał. Przypominało to nacinanie czyraka. Albo rzyganie po paskudnych krewetkach. Pewnie czekał tak długo, aż nie mógł już znieść duszenia tego w sobie. Zostawiła Harry'ego niecałą godzinę temu.

Antonia Melhuish. Freddie zauważyła, że coś między nimi zaiskrzyło, kiedy się pierwszy raz spotkali. Antonia była żoną Jonathana, kolegi Adriana z wojska. Raczej ładna niż piękna. Schłudna - tak Freddie zawsze o niej myślała. Brak możliwości umycia się w ciepłej wodzie w obozie zupełnie by ją wykończył. Należała do tych kobiet, które nigdy nie wychodzą bez makijażu albo paska w spodniach i których paznokcie u stóp latem zmieniają kolor, żeby pasować do ubrania. Wiele lat temu przy takich kobietach Freddie czuła się nie na miejscu, niekobieco. Teraz było jej raczej dobrze we własnej skórze i takie przywiązywanie wagi do szczegółów wydawało się jej absurdalne. Antonia i Jonathan nie mieli dzieci. Freddie podejrzewała, że dzieci zakłóciłyby tę schludność: jej figury, domu, życia. Ale nigdy nie były ze sobą na tyle blisko, żeby spytać. Jonathan wyprowadził się do kogoś mniej uporządkowanego jakieś trzy lata temu i teraz mieli dziecko. Na jakiejś imprezie, pijany i rozżalony, zwierzył się Freddie, że Antonia zawsze wstawiała z łóżka po tym, jak się kochali, i szła się myć. Czuł się brudny na samą myśl, że nie mogła zasnąć, mając coś z niego na swoim ciele.

Nie wiedziała, jak to długo trwało. Pewnie dłużej, niż sobie wyobrażała. Jak wygląda statystyka, o której mówiła Jenni Murray kilka tygodni temu? Przeciętny romans pozamałżeński trwa siedem lat. Może ich też. Freddie nie dowiedziała się o tym jak w sitkomie albo w programie *Trisha*: nie wyciągnęła majtek Antonii z pralki razem z prześcieradłami ani nie znalazła rachunków za romantyczne kolacje, których nie jadła, sprawdzając garnitury Adriana, zanim oddała je do pralni chemicznej. Prawdę mówiąc, była za mało udomowiona, żeby zrobić coś takiego, a Adrian był ostrożny, nie dalby się złapać na tak podstawowych sprawach. Nie zastała ich rżnących się w swoim łóżku ani nie widziała, żeby trzymali się za ręce albo dotykali stopami pod stołem w czasie kolacji. To było o wiele bardziej subtelne. Przestał się jej zwierzać i prosić o radę w sprawach związanych z pracą. Nie pytał, jak wygląda, ani czy go kocha. Przestał na niej polegać. Sposób, w jaki się kochali, też się trochę zmienił, choć nadal nie miał nic przeciwko temu, żeby to robić przy zapalonym świetle albo coś w tym stylu.

Freddie zastanawiała się, czy Antonia Melhuish wie, że ona i Adrian nadal kochają się regularnie. Pewnie nie. I że on więcej daje z siebie w łóżku, mniej interesując się własnymi doznaniem. Zawsze był wspaniałym kochankiem, ale teraz - fantastycznym. Zachowywał się idealnie. Pewnego dnia wszystko zrozumiała. Już nic od niej nie potrzebował: dostawał to od kogoś innego. Od Antonii Melhuish.

A teraz chce z nią być przez cały czas. Chce zostawić Freddie i Harry'ego, i ostatni domek szeregowy w Shepherd's Bush, gdzie mieszkali przez dziesięć lat. Chce to zrobić natychmiast.

Zabawne, ale im dłużej trwał romans, tym mniej prawdopodobne wydawało się jej, że Adrian odejdzie. Mężczyźni nie zostawiają swoich żon i dzieci. Ile razy czytała o tym w rubryce z poradami w kobiecych gazetach? Mówili to wszystko: że kochają inną kobietę, która ich rozumie, i czekają na właściwy moment, ale nigdy nie odchodzili.

Chociaż Jonathan odszedł, i przez kilka miesięcy Freddie miała obawy. Antonia Melhuish była zupełnie sama w swoim magazynie w Battersea.

Ale Adrian został. Freddie uspokoiła się. Mężczyźni nie zostawiają swoich żon.

Jechała drogą M4. Miała takie zawroty głowy, że nie powinna prowadzić. Na najbliższej stacji zatrzymała się na pustym parkingu. Adrian założył jej w głowie blokadę: ogromną, mroczną i nieprzeniknioną. Chciał ją zmusić, żeby się z nią zmierzyła.

Freddie nie umiała płakać. Ojciec zawsze powtarzał, że kobiecie łzy służą manipulacji, i wcześniej nauczyła się, że tym sposobem nic u niego nie wskóra. Płakała na sucho: zaciskała powieki i czuła napięcie w płucach, ale nic się nie działo: żadne błagalne łzy nie toczyły się po policzkach, nie było zasmarkanego nosa ani zaczerwienionych oczu. Nie sprawiało jej to satysfakcji, ale tylko na tyle było ją stać. Oparła głowę na kierownicy i zamknęła oczy. Była wykończona.

Tym razem telefon brzmiał w cichym samochodzie głośno i natrętnie. Niechętnie podniosła głowę. Nie zamierzała z nim rozmawiać, dopóki nie będzie gotowa. Nie miała pojęcia, co mu powiedzieć.

Ale na wyświetlaczu nie było numeru Adriana: to nie jego komórka ani numer biurowy, ani domowy. Nie był to nawet numer Antonii Melhuish. To amerykański numer telefonu.

- Halo?

- Halo, Freddie?

- Tak, halo? - Połączenie było fatalne, z zakłóceniami, głos dochodził z daleka.

- Mówi Grace.

- Prawie cię nie słyszę.

- Chodzi o twojego ojca, Freddie. Niestety, mam... - Nastąpiła cisza.

Freddie nie znała numeru ojca na pamięć, rzadko go wykręcała, i musiała grzebać w torbie w poszukiwaniu kalendarzyka. Ostrożnie wybrała numer. Tym razem połączenie było krystalicznie czyste.

- Grace?

- Och, Freddie. Dzięki Bogu. Chodzi o twojego ojca...

- Co? Co się stało?

- Nie żyje, Freddie.

Tamsin Bernard potrzebowała dwudziestu pięciu minut, żeby jadąc na zachód swoim minivanem w kolorze burgunda, dostać się z domu do Heston Services, i kolejne pięć, żeby przejść przez

most na drugą stronę. Była za bardzo w ciąży, żeby iść szybciej. W dwudziestym siódmym tygodniu brzuch Tamsin był tak ogromny i nisko osadzony, że pokonanie schodów stanowiło nie lada problem. Zatrzymała się na chwilę przed Kentucky Fried Chicken i przypomniała sobie, że zostawiła torebkę w samochodzie, ale przecież spieszy na ratunek swojej najlepszej przyjaciółce, otworzyła więc bramę parkingu. Zmrużyła oczy we wrześnieowym słońcu, szukając srebrnego volvo Freddie.

Freddie opierała się o samochód, stojąc plecami do niej i paląc papierosa. Sięgnęła po niego pierwszy raz od kilku lat.

- Thelma! - krzyknęła - Louise jest tutaj. Dokąd jedziemy?

Freddie nie powiedziała, dlaczego jej potrzebuje, po prostu jest potrzebna i ma przyjechać. Tamsin nie spytała. Wiedziała, że Freddie nienawidzi telefonu i że nie prosiłaby jej, gdyby nie była zdesperowana; nigdy tego nie robiła.

Freddie odwróciła się i uśmiechnęła do swojej najlepszej przyjaciółki. Jej widok był taką ulgą. Tamsin też się uśmiechnęła.

- Bo jeśli daleko, to pożycz mi piątaaka na coś z KFC. Freddie rozłożyła ręce w geście bezradności.

- Mój tata zmarł, Tamsin.

- Co takiego? Kiedy?

- Wczoraj w nocy. Umarł w czasie snu.

- Jak się dowiedziałas?

- Grace do mnie zadzwoniła.

- Grace? Gospodyni twojego taty, tak?

- Tak. Znalazła go.

- Chryste. Biedna kobieta. Dobrze się czujesz?

- Nie wiem. Co mam robić, Tams? - Freddie zaciągnęła się papierosem.

Tamsin zabrała go i wdeptała czubkiem buta w ziemię.

- Na pewno nie to. Nie pomoże ci i jeszcze spowoduje raka płuc i brzydki oddech.

Freddie przewróciła oczami i pozwoliła, żeby Tamsin ją uścisnęła, chociaż miała tylko metr sześćdziesiąt pięć i musiały komicznie wyglądać, stojąc tak razem.

Mówiła ponad ramieniem Tamsin.

- Nawet nie lubiłam tego faceta.

- Ja też nie.

Freddie roześmiała się. Niemal krzyknęła:

- On cię nie znosił.

- Wielkie dzięki.

- Nie ma za co. I...



- I co?

- Nie widziałam go prawie dwa lata. W ogóle nie był częścią mojego życia. Przy każdym spotkaniu się kłóciliśmy. Czułam, że jestem porażką i rozczarowaniem, bladym cieniem syna, którego nie miał. Nie sądzę, żeby mnie kochał, i nie jestem pewna, czy ja go kochałam. Więc dlaczego stoję tutaj i palę, na litość boską, czując, jakby usunął mi się grunt spod nóg?

Tamsin poklepała ją pocieszająco po ramieniu.

- To, że się nie lubi rodzica, nie oznacza, że nie ma bagażu, z którym trzeba się uporać, kiedy umrze, Fred. Pewnie było coś jeszcze.

- Bagażu? O co ci chodzi?

- Bagaż. Rzeczy. Gówna. Uczucia. Wiesz, o czym mówię. - Freddie wzruszyła ramionami. - Powiedziałaś Adrianowi? Zadzwoiłaś do mnie, bo nie mogłaś go złapać?

Zapomniała. Spojrzała w szczerą, śliczną twarz Tamsin.

- Och, Tams. Jest jeszcze coś...

Minivan koloru burgunda był brudny i śmierdzał psem. Psem i kurczakiem z Kentucky Fried Chicken. Ostatnia rewelacja Freddie zepchnęła jej przyjaciółkę na granicę szaleństwa. Tamsin niepewnie balansowała tekturowym pudełkiem na coraz mniejszej powierzchni kolan, jedząc kawałki kurczaka w sosie. Srebrne volvo nadal stało zaparkowane na stacji.

- Adrian na pewno się domyśli - nalegała. - Wracasz ze mną.

Freddie właśnie tego oczekiwała i za tym tęskniła. Z różnych stron przybiegała do domu Tamsin przez prawie dwadzieścia lat. Za pierwszym razem tak naprawdę ledwo się znały. Minęło kilka tygodni pierwszego semestru. Tamsin oznajmiła, że pojedzie do domu: została druhną najstarszej siostry. Zapowiadało się dość przygnębiająco: cała ta brzoskwiniowa tafta i paskudne tańce. Freddie po prostu musi z nią pojechać. Proszę, proszę, proszę. Freddie porzuciła esej o ruchu prerafaelitów i razem wsiały do pociągu w piątek wieczorem. Aż do przesiadki w Reading, kiedy Freddie nie mogła już wrócić, Tamsin nie napomknęła, że jest jedną z dziewięciorga rodzeństwa, w tym siedmiu dziewczyn, i że Freddie zatopi się w kakofonicznym chaosie.

Freddie była jedynaczką. Nie była przygotowana na to spotkanie, lub raczej na wir, który ją porwał i sprawił, że jej serce zaczęło śpiewać. Dom Johnsonów w Wiltshire znajdował się na uboczu; brudny land-rover przez wieki pokonywał wyboistą, długą drogę, oczywiście niewiarygodnie błotnistą, dopóki nie chwycił mróz. Samochód, nieuważnie i klnąc jak szewc, prowadziła Anna, najstarsza siostra Tamsin. W niczym nie przypominała skłonnej do rumieńców przyszłej panny młodej, śmiała się hałaśliwie, opowiadając ze szczegółami o wieczorze panieńskim w zeszły weekend. Zatrzymała się przed rozległym, walącym się gospodarstwem z czasów królowej Anny. Dwa owczarki collie rzuciły się na nie z jazgotem, jak tylko wysiadły.

Ojciec Tamsin pojawił się w drzwiach i zawołał psy, później zobaczył Tamsin i podbiegł do niej, podniósł ją do góry i obrócił dookoła.

- Moja kochana dziewczynka! Witaj w domu! - Przepęłniała go radość na jej widok. Freddie czuła się skrępowana, obca i trochę samotna w tym miejscu, tak niepodobnym do któregośkolwiek z jej domów. Później postawił Tamsin i podszedł do niej. - Tamsin nam wszystko o tobie opowiedziała, Freddie. Tak się cieszymy, że przyjechałaś. - Też ją uściskał i zupełnie nie czuła się dziwnie. - Chodźcie, chodźcie. Mama bardzo potrzebuje pomocy, Tams. Przyjechałaś w samą porę.

Caroline, mama Tamsin, krzątała się w kuchni. Było to duże pomieszczenie z jednej strony przytłoczone przez wielki czarny piec, a z drugiej zamknięte ścianą ze zdjęciami wiszącymi na chybił trafił; były tam fotografie szkolne, śluby, chrzciny, rozdania dyplomów, dzieci tarzające się w trawie, dumnie stojące na szczytach gór i śmiejące się na szerokich zimowych plażach.

Na środku stał długi sosnowy stół. W jednym końcu ustawiono ze dwadzieścia dzbanków na śmietankę, każdy inaczej ozdobiony herbacianymi różami, gipsówką i liśćmi. W drugim końcu mama Tamsin pochylała się nad tortem weselnym z bardzo skoncentrowaną miną, kładąc pączek herbacianej róży na najwyższej warstwie. Niska i okrągła jak córka (wszystkie córki, jak się później okazało), ze lśniącymi ciemnymi włosami jak u Tamsin (choć zawsze przyznawała się, że były farbowane). Rozpromieniła się i wytarła ręce o fartuch, widząc je w drzwiach. - Przyjechałyście obie!

Wśród nich czuła się jak zawinięta w kołdrę. Tego pierwszego razu i za każdym następnym.

Gospodarstwo stało się angielskim schronieniem Freddie, a rodzina przybranym klanem, od Anny, teraz matki trójki dzieci, do George'a, brata Tamsin z zespołem Downa, który nadal mieszkał z Caroline. Freddie zawsze uwielbiała ich towarzystwo. W czasie pogrzebu taty Tamsin po raz pierwszy i ostatni w domu nie rozbrzmiewał śmiech, krzyki i Frank Sinatra. Ale nawet wówczas znalazło się miejsce dla niej i czuła prawie taki sam żal.

Tamsin wyszła za Neila i stworzyła własną filię gospodarstwa w Wiltshire, wciśniętą do bliźniaka w Ealing, ze ścianami pomalowanymi wściekłymi, podstawowymi barwami i niedopasowaną, zniszczoną zastawą. Teraz był to dom trójki jej dzieci (nosi w brzuchu numer cztery), labradora i Meghan, australijskiej opiekunki. Rozbrzmiewał odgłosami jej dzieciństwa, chociaż Robbie Williams zastąpił Franka, ku rozpaczy Neila i Caroline.

Nadal było to pierwsze miejsce, w którym Freddie miała ochotę się schronić, kiedy coś szło nie tak. Dziś był dobry dzień, żeby się tu znaleźć.

Nie rozmawiały dużo w drodze do domu. Tamsin była zdenerwowana. Zaciśnęła różane usteczka, kostki palców zbieleły jej od ściskania kierownicy. To słodkie, że była taka cięta na Adriana. Freddie zastanawiała się, dlaczego ona nie czuje złości. Dopóki Tamsin nie zapytała o niego na parkingu, prawie zapomniała o jego telefonie. To było jak uderzenie w twarz, po którym natychmiast na-

stąpił cios w brzuch, policzek piekł, ale silniejszy ból wymazał go z pamięci. Powtarzała w myślach: mój ojciec nie żyje. Brzmiało to jakoś niewłaściwie.

Dom Tamsin miał parking przy ulicy, ponieważ Neil pokrył asfaltem ogród przed budynkiem. Tamsin zaparkowała obok fiata uno Meghan, prawie ocierając się o lusterko. Jazda samochodem nie była jej mocną stroną i szła jej wyraźnie gorzej, kiedy była w ciąży. Tylko najmłodsze dziecko siedziało w domu z Meghan. Flannery - jak Flannery O'Connor, jedna z ulubionych amerykańskich pisarek Tamsin - znana wszystkim jako Flancase (tylko matka zawsze próbowała używać pełnego imienia, a Caroline na wszystkie swoje dzieci i wnuki mówiła Dziecinko, ponieważ tak było łatwiej) królowała na zewnątrz na wysokim krzeselku i machała połową banana, którego pozostałą część rozsmarowała na ubraniu i włosach. Meghan w dzinsach biodrówkach i superskąpej gorzej od bikini (strażnicy głośno domagaliby się, żeby się z nimi przespała, ale Meghan miała zasady i australijską determinację) siedziała obok niej na rozkładanym krześle, mruczając pochwały i upomnienia, i usiłowała skończyć książkę. Pożerała tanie wydania klasyki Tamsin.

Tamsin miała więcej książek niż ktokolwiek inny. Literatura była jej pasją. Stąd imiona jej dzieci i wyraźna chęć, żeby skazać własnego syna na mówienie przez całe życie: Homer, ten od *Iliady*, nie Simpson. Tamsin uważała, że Homer Bernard brzmi świetnie. Osiągnęła spektakularny sukces jako nauczycielka w szkole średniej, ponieważ jej entuzjazm był zaraźliwy. Półki z książkami zajmowały niemalże wszystkie ściany i zastawiały każde wolne miejsce. Ku zaskoczeniu wszystkich, którzy to zauważyli, książki były starannie ustawione w kolejności alfabetycznej. Nawet dzieci szybko się nauczyły, że wyjmowanie wszystkiego z kredensu kuchennego i zakopywanie żarówek na grządkach jest dozwolone, ale zamiana miejscami Marvella i Milтона to świętokradztwo.

- Cześć. - Meghan nie wstała, kiedy weszły.

- Witaj. Witaj, moje kochanie! Jak się miewa dziewczynka mamusi? - Tamsin pocałowała Flannery w nieusmarowane bananem miejsce na czole.

Freddie potargała włosy dziecka.

- Cześć, Flancase. - I została nagrodzona stuwatowym uśmiechem.

Meghan pomachała jej.

- Jak się masz, Freddie?

Freddie uśmiechnęła się przez zaciśnięte usta.

- Dobrze, dzięki. Piękne babie lato, co? - Do cholery, jestem Angielką. Kiedy to się stało?

- Zrobiłam sałatkę, którą lubisz, Tams, tę z orzechami pekanowymi i sosem, a w spiżarni jest gotowa ciabatta, którą wystarczy wetknąć na dziesięć minut do piecyka. I agrestowy deser. Za kilka minut będziesz miała mnie i Flancase z głowy, prawda aniołku?

Tamsin wetknęła głowę do lodówki.

- Dokąd idziecie? Wiem, że mi mówiłaś... ciężowa pamięć...

- Na koncert. Kawalki z *Dyndającego stracha na wróble*, który jest niesamowity, prawda, Flan? A później pewnie pójdziemy na kawę. W drodze do domu odbiorę Homera i Willę.

- Świetnie.

Freddie dostrzegła stół na patio nakryty dla dwóch osób: materiałowe serwetki i wazon z gerberami.

- Och, Tamsin, przepraszam. Umówiłaś się z kimś na lunch, a ja to zepsułam. Słuchaj, zadzwoń po taksówkę i już stąd spieprzam.

- Nie bądź głupia. Nigdzie nie idziesz. Poza tym zjadłam już kurczaka Kentucky i ktoś musi zjeść sałatkę.

- Ale ja naprawdę nie mam ochoty na towarzystwo.

- To żadne towarzystwo, tylko Matthew. W tym tygodniu pracuje w domu, musi przeczytać coś, co ma milion stron, i powiedziałam, że go nakarmię. To wszystko. - Spojrzała na Freddie z ukosa. - Mogę go odwołać, jak chcesz.

- Nie. Matthew może być.

- Właśnie w weekend powiedział, że od wieków nie widział ciebie ani Adriana. Będzie zachwycony. Jesteś o wiele lepszą kompanią ode mnie. Ostatnio zasypiam po trzech łykach w porze lunchu.

- Zamknij się. - Freddie się roześmiała.

- Dobrze, to już załatwione. Otwórz to - podała Freddie butelkę zimnego sauvignon blanc - a ja postaram się, żeby ta dama wyglądała bardziej szacownie, zanim Meghan dowie się, kto-to-zrobił.

- Ej! - Meghan krzyknęła ze schodów. - To jest cholerny Thomas Hardy, a nie Agata Christie.

- Miło mi to słyszeć! - Tamsin wyjęła Flannery z fotelika i oparła na biodrze.

- Chodź tu i usiądź, Freddie.

Freddie otworzyła butelkę, nalała sobie spory kieliszek, wyszła na patio i usiadła na składanym krześle Meghan. Słońce mocno świeciło i opuściła okulary, żeby zasłonić oczy. Ale i tak je zamknęła, oparła się o płótno i siedziała bez ruchu. Starła się równo oddychać i nie myśleć o niczym.

Nie usłyszała, kiedy Matthew się do niej przyłączył. Przeszedł obok ogromnego wózka spacerowego na trzech kołach i Tamsin zaprosiła go na patio, aż ona skończy zajmować się Flannery.

Przez pełną minutę po prostu się Freddie przyglądał. Patrzył na słońce połyskujące w blond lokach, długie, brązowe nogi z różowymi paznokciami i znajomą twarz.

- Tamsin przyjdzie za minutkę - odezwał się w końcu, podchodząc do składanego krzesła, i lekko dotknął jej ramienia. - Freddie, nie spodziewałem się, że cię tu spotkam.

Odwróciła się, z powrotem zsunęła okulary na czubek głowy i zmrużyła oczy, po obu stronach nosa pojawiły się trzy zmarszczki.

- Witaj, skarbie. - Wyciągnęła do niego rękę.

Uklęknął i położył jedną rękę na oparciu krzesła, żeby ją przytulić. Pachniała aromatics elixir, jak zawsze.

- Chyba mnie przygniatasz. - I dodała: - Właśnie zawiozłam Harry'ego do szkoły.

Zmartwił się.

- Biedactwo. Było okropnie?

Wzruszyła ramionami, nadal w jego objęciach.

- Przecież wiesz. - I czuła, że wiedział. Bezdietny Matthew. Jeszcze raz ją przytulił, później wstał, ciągnąc ją za sobą.

- Siedem tygodni odliczania.

- Dokładnie.

- Świetnie wyglądasz - zauważył.

- A ty wyglądasz na zestresowanego. - To prawda. Ostatnio jego ciemne włosy na skroniach przyprószyła siwizna i nie miał nic z letniej opalenizny. - Mówiłam ci, żebyś wybrał się z nami do Portugalii. Albo mogłeś wybrać się z Tams i Neilem do Francji.

- Chryste! Chyba nie polecasz mi tego jako lekarstwa na stres? - Skrzywił się. Bernardowie razem z Meghan pojechali do Euro Disneylandu gnijącym, purpurowym minivanem.

- Raczej nie. Ale Portugalia?

- Było cudownie?

- Z tobą byłoby o wiele zabawniej. Właściwie nadal nie pogodziłam się z odmową.

- Tak, tak.

- Trzydzieści stopni w cieniu. Nie mogłam wyciągnąć Harry'ego z basenu ani Adriana z pola golfowego. Poradziłabym sobie, gdybym miała towarzystwo.

- Co się stało z Toskanią? Co roku obiecujesz sobie, że tam pojedziesz.

- I jak co roku zostałam przegłosowana.

- W przyszłym roku?

Przez twarz Freddie przemknął cień.

- Wiesz, co, Matt? W przyszłym roku mogę pojechać właśnie do Toskanii.

- W takim razie jadę z tobą.

- Jesteś na liście. Gdzie się podziała Tamsin? - Nie była jeszcze gotowa, żeby komukolwiek powiedzieć o Adrianie. Duma? Czy zdanie „Adrian ma romans” było zbyt trudne? I nie wiedziała, jak mu powiedzieć o ojcu. Nie po tym, co się stało z Sarą.

Tamsin mu powiedziała. Ona nie była taka ostrożna z Matthew. I dlatego tak ją kochał. Oznajmiła to, nakładając sałatkę do misek.

- Tata Freddie wczoraj zmarł. W czasie snu.

- Boże. - Matthew położył ciepłą rękę na dłoni Freddie. - Przykro mi, Fred. Nie wiedziałem...  
Czy to... Czy on był...?

- Nie był chory, Matt. Nic podobnego. Ale miał osiemdziesiąt dwa lata. To głupie, ale jestem zaszokowana.

- Myślę, że to zawsze jest szok. Oczekiwany lub nie. - Teraz Freddie położyła dłoń na jego rękę. Tamsin poczłapała wokół stołu, stanęła między nimi i przytuliła ich głowy do swojego brzucha.

Sara nie żyła od ponad trzech lat. Freddie zawsze zaskakiwało, ile to już czasu minęło. Wyraźnie sobie przypominała, kiedy minął tydzień, miesiąc, pół roku, rok. Zawsze szokowało ją odkrycie, że życie toczy się dalej. A teraz minęły ponad trzy lata. I Sara była żoną, nie ojcem.

Dużo później, kiedy wypili już wino i trzy kafetierki mocnej kawy, Matthew odwiózł ją do domu.

Matthew i Freddie spędzili w ciepłym, przytulnym ogrodzie niosące otuchę popołudnie. Dla Tamsin ich obecność była dobrą wymówką, żeby nic nie pracować. W końcu Homer i Willa wrócili z Meghan i Flannery. Matthew i Freddie słuchali ich czytania, a Tamsin grillowała kiełbaski i robiła purée ziemniaczane. Willa, sześciolatka, radośnie wskoczyła na Freddie, szczebiocząc o porażce, którą poniosła na placu zabaw z dziewczynką o imieniu Phoebe, i zażądała, żeby Freddie została do czasu kąpieli. Homer i Matthew pochylili ciemnowłose głowy nad powieścią Philipa Pullmana. Muzyka z *Sąsiedów* ucichła i Flannery drzemała w salonie.

- Gdzie jest Harry? - dopytywała się Willa.

- Jest w szkole, skarbie. - Willa i Freddie często o nim rozmawiały.

Willa nie mogła zrozumieć, dlaczego trzeba było spać w szkole, skoro się tam spędziło cały dzień.

- O wiele milej jest spać w domu z mamusią i tatusiem. Powinnaś tam pojechać i go zabrać, Freddie. Pewnie jest naprawdę smutny. - Mądre dziecko, pomyślała Freddie.

Homer uważał, że szkoła z internatem jest świetna. Głównie, jak podejrzewała Freddie, dlatego, że nie było tam sióstr. Słyszała, jak Homer modlił się w nocy.

- Boże, proszę, spraw, żeby nowe dziecko było chłopcem. I przy okazji, kiedy powiedziałem, że nienawidzę Flannery, nie myślałem tak. Nienawidzę tylko, jak niszczy moje rzeczy, Boże, a robi to przez cały czas. Amen. - Freddie też miała nadzieję, że nowe dziecko będzie chłopcem ze względu na Homera, chociaż trochę obawiała się o jego imię.

- Zadzwoń do mnie - powiedziała Tamsin. - Kiedy tylko będziesz chciała.

- Dobrze.

- Adrian jest w domu? - Matthew zaparkował przy Addison Gardens. Nie świeciło się w salonie na dole ani na górze w sypialni.

- Raczej tak. Chyba że jest na polu golfowym. - Albo u Antonii Melhuish. Nie powiedziała tego. Jeszcze nie powiedziała o tym Matthew.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł?

- Nie trzeba. Nic mi nie jest. Muszę się trochę zastanowić.

- Pojedziesz tam?

- Chyba tak. Trzeba się zająć różnymi sprawami, prawda? Matthew przytaknął.

- Wiesz, do kogo powinnaś zadzwonić?

- Reagan. Jest w tym dobra. Może tak zrobię.

- A Adrian? Będzie przy tobie? - Matthew nie patrzył na nią. - Ja też będę. Wiesz o tym, prawda? - Teraz na nią patrzył. Jego kochana, znajoma twarz była pełna dobroci.

- Jest coś, co mógłbyś zrobić, Matt.

- Powiedz, co.

- Mógłbyś mnie zawieźć jutro do Harry'ego. Muszę mu o tym powiedzieć osobiście. I muszę go zobaczyć.

- Oczywiście, ale czy Adrian... - Nie dokończył. - Wpadnę po ciebie około dziesiątej.

- Tak będzie dobrze. Zadzwonię do dyrektora z samego rana i uprzedzę go, że przyjeżdżam. Dzięki, Matt. - Pocałowała go lekko w policzek. A on dotknął jej włosów i delikatnie potargał.

Stała na progu, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu klucza. Matthew otworzył okno po stronie pasażera i wychylił się, żeby do niej krzyknąć:

- Zadzwon do Reagan.

- W nocy - przytaknęła. I już go nie było.

To się zdarzyło w listopadzie 1988 roku, pięć miesięcy po skończeniu college'u. Reagan studiowała w szkole prawniczej w Chester. Rok przed aplikacją porwała ją ogromna korporacja w stylu macho z londyńskiego City. Miały zamiar objechać pociągiem Europę, kiedy skończy studia, a później wynająć razem mieszkanie. Freddie pracowała w perfumerii u Harrodsa, wypełniając w ten sposób czas przed wyjazdem do Bostonu na Boże Narodzenie. Sara pracowała w lokalnej gazecie w Walii, gdzie nadal mieszkali jej rodzice, i w nocy w gabinecie taty pisała krótkie opowiadania i artykuły. Tamsin zaczęła kurs nauczycielski w Nottingham, a lato spędziła w domu, pomagając мамie w gospodarstwie, kiedy jej ojciec dochodził do siebie po niegroźnym zawale.

Tęskniły za sobą. Reagan zadzwoniła do Freddie, zaproponowała wypad do dyskoteki, i wszystkie trzy spotkały się na peronie w Euston.

Reagan przywitała je radośnie na stacji i ramię w ramię pomaszerowały do jej mieszkania w maleńkim szeregowcu, które zajmowała z dwiema prawie nieznanymi jej studentkami prawa.

- Myślę, że jedna jest w porządku - stwierdziła - ale spałaby ze strażnikami w zamian za jedzenie i wszystko zjadała sama. Druga nie wytrzymałaby pierwszego tygodnia. - Pozostałe przytaknęły ze zrozumieniem.

Reagan otworzyła kilka butelek bułgarskiego cabernet sauvignon z Safeway i po kolei brały prysznic w maleńkiej łazience koloru awokado. Później zebrały się w dwuosobowej sypialni Reagan, chichocząc w majtkach i biustonoszach i dzieląc się kosmetykami. Madonna śpiewała metalicznym głosem z przenośnego magnetofonu Reagan, stojącego obok starego porysowanego i poplamionego lustra. Tamsin tańczyła, naśladując MC Hammera, żeby je rozśmieszyć. Miała zszarzałe majtki, z których wystawała gumka, i o dwa rozmiary za mały biustonosz. Reagan w ogóle nie miała biustu, tylko sutki przypominające korki. Wciągnęła maleńkie czarne majtki i podejrzliwie przyjrzała się bieliźnie Tamsin.

- Czy możemy spokojnie założyć, biorąc pod uwagę stan tych majtek, że nie idziesz dziś na podryw, Tams?

- Oczywiście, że możemy. - Tamsin roześmiała się.

- Naprawdę? - Czasami, tylko czasami w głosie Reagan wyczuwało się coś dziwnego. - Ciągłe jesteś z Neilem?

Odpowiedziała Freddie, nie podobał się jej ton Reagan.

- Bardziej niż kiedykolwiek, co, Tams? Ale to nam nie przeszkodzi we wspólnym mieszkaniu, prawda? Nie jesteś jeszcze zupełnie gotowa na małżeńskie szczęście.

- Była na to gotowa, odkąd dzielili półkę w lodówce na drugim roku. - Reagan mówiła już normalnie. Cokolwiek oznaczała tamta chwila, minęła.

- Neil potrzebuje jeszcze trzech lub czterech lat, zanim będziemy mogli zamieszkać razem - tłumaczyła Tamsin. - A ja muszę skończyć kurs nauczycielski, a później znaleźć szkołę.

- Więc już wszystko zaplanowaliście, co?

- Cóż - zachichotała Tamsin. - Ja tak. I mam tylko nadzieję, że Neil myśli tak samo...

- Myśli, myśli. - Freddie nie miała co do tego wątpliwości.

- A co z Sarą? - Reagan skinęła głową w kierunku łazienki. - Spotyka się z kimś? - Słyszała, jak podśpiewuje wesoło pod prysznicem.

- Nie sądzę - odparła Freddie.

Reagan, nadal goła, nie licząc koronkowych majtek, rysowała czarną kreskę na górnej powiece.

- A co z tobą? - dopytywała się Freddie. - To ty masz na sobie majtki do pokazywania i pachniesz... co to jest? Chanel?

Reagan podała jej butelkę.

- Prezent dyplomowy od mojej babci. Są cudowne, prawda?



- Nie zmieniaj tematu. - Freddie pociągnęła łyk kwaśnego czerwonego wina. - Kto jest dzisiaj-  
szym szczęściarzem?

Reagan się prawie zaczerwieniła.

- Nikt.

Tamsin, już ubrana, podniosła swój ręcznik i trzepnęła Reagan.

- Daj spokój! Przecież wiemy, kiedy wybierasz się na polowanie, prawda, Fred? Kto to jest?

Reagan rozcierała czerwone miejsce na udzie.

- To boli... - Ciągle na nią patrzyły. Sara wyłączyła wodę.

- Już dobrze, dobrze. Jeżeli dziś wieczorem wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce same  
się dowiecie. Jest ze mną na roku. Zrobił licencjat w Bristolu. Nazywa się Matthew Bartholomew i jest  
śliczny. Trochę podobny do Toma Cruise'a, tylko wyższy. Ma brązowe oczy. I wygląda na o wiele  
mądrzejszego. Właściwie to wygląda poważnie, ale chyba taki nie jest. Przyjechał z Newcastle.

- Spójrz na jej twarz! - zawołała Tamsin. - Zmieniła się.

- Rysy Reagan złagodniały. Naprawdę ładnie wyglądała.

- Tajemnicza osóbką z ciebie. Reagan potrząsnęła głową.

- Do niczego nie doszło, to znaczy, prawie nie rozmawialiśmy. Po prostu coś w nim jest. Na-  
prawdę mi się podoba. To chyba głupio brzmi, ale czuję, że coś nas łączy. Coś...

- Nie dokończyła. Spojrzała na Freddie i Tamsin, które zepsuły tę chwilę, nucąc *Our Tune* Si-  
mona Batesa i kołysząc się do rytmu.

- Odpieprzcie się.

- Nie, to w ogóle nie jest głupie. - Freddie objęła przyjaciółkę ramieniem. - Brzmi jakoś tak...  
pięknie. - Obie z Tamsin zaczęły chichotać. - Ale czy jak on tam dziś będzie i z nim pójdziesz, to mogę  
spać w twoim łóżku?

Ciągle się śmiały, kiedy weszła Sara z żółtym ręcznikiem na ramionach, na który opadały jej  
długie, ciemne włosy.

- Co jest takie zabawne?

- Nic. - Reagan nie chciała, żeby się z niej więcej naśmiewały. - Rusz się, Sara. Zaczęło się o  
ósmej, a już jest za piętnaście dziewiąta. Te barany będą za bardzo pijane, żeby tańczyć, jak się nie  
pospieszymy.

Te dyskoteki wszystkie były takie same: tanie piwo, okropne wino, ciemne pomieszczenia pełne  
spoconych ludzi próbujących przekrzyczeć muzykę. Pieszczoty na maksa w jednym kącie, narastająca  
awantura w drugim i co najmniej jedna osoba rzygająca pod najbliższym krzakiem. Fantastycznie.

Początkowo nie zauważyły, że Sara zniknęła. Tamsin próbowała odeprzeć zaloty typu przypo-  
minającego napastnika w rugby, który „niechcący” sugestywnie dotykał biodrami jej pośladków, a  
Freddie była nieźle pijana. Zauważyła ją Reagan. Regularnie przemierzała drogę z parkietu do baru,

starając się wyglądać nonszalancko, i próbowała go wypatrzeć. I w końcu, około pół do jedenastej, zobaczyła go. Był z Sarą. Stali blisko siebie w kącie, prawą ręką opartą o ścianę odgradzał ich od reszty świata. Sara musiała stawać na palcach, żeby mu szeptać do ucha, a on lekko odsuwał głowę i z uśmiechem spoglądał jej w oczy. Później nachylił się, żeby odpowiedzieć, i musnął ustami jej włosy. Reagan obserwowała ich do momentu, kiedy jedną ręką dotknął policzka Sary, zbliżając usta do jej warg, a drugą opuścił na plecy i przyciągnął do siebie. Wtedy wróciła na parkiet.

Później, tej samej nocy, Sara była już w piżamie i opowiadała rozmarzona, jak się całowała z zupełnie niesamowitym chłopcem. Reagan posłała Freddie i Tamsin takie spojrzenie, kiedy Sara wypowiedziała jego imię, że nie odważyły się zareagować. Następnego ranka, gdy Sara poszła spotkać się z nim na śniadaniu, Reagan oznajmiła, że Sara brała wtedy prysznic i nie słyszała ani słowa, a one muszą dotrzymać obietnicy, że się nigdy nie dowie. I tak zrobiły, a Reagan nie wracała do tego przez następne czternaście lat.

Sekretarka w telefonie mrugała bez przerwy. Dwie nowe wiadomości. Freddie wcisnęła guzik i poszła wstawić wodę.

- Freddie? - Miał na tyle przyzwoitości, żeby mówić zmartwionym głosem. - To ja, Adrian. - Jakby poranny telefon oznaczał, że nie wolno mu już używać intymnego „to ja”. - Myślałem, że już będziesz w domu. - Przerwa, jakby uważał, że jest w domu, ale nie odpowiada. Mogłaby tak zrobić, słysząc jego głos. - Ale cię nie ma. - Płaczesz się, Adrian. Klamka zapadła. - Przypuszczam, że jesteś u Tamsin. - Kolejna przerwa. - Mam nadzieję, że tak. I że jest pomocna. - Spieprzaj. - Będę w domu wieczorem. - Czym domu? - Mam nadzieję, że wrócisz i jeszcze porozmawiamy. - W ogóle porozmawiamy. - I Freddie, przepraszam za dzisiejszy ranek. - Co to miało znaczyć?

Woda zagotowała się i Freddie zalała herbatę w kubku.

- Freddie? - Tym razem był to głos Reagan. - Myślałam, że już będziesz w domu. Tamsin mi powiedziała dziesięć minut temu. Zadzwoń do mnie. Jestem w biurze do pół do jedenastej. Później będę pracowała w domu. Więc zadzwoń do mnie, kiedy zechcesz.

Jej asystentka też ciągle pracowała. Freddie wydawało się, że głos kobiety zmięknął, kiedy powiedziała swoje nazwisko, i zastanawiała się, co Reagan jej naopowiadała.

- Freddie Valentine. Och, tak, już panią łączę.

- Fred, tak mi przykro z powodu twojego ojca i Adriana. - Tym razem Freddie była wdzięczna, że nie zapadła długa cisza, żeby mogła wylać swoje żale. - Co za gówno. Dwie rzeczy tego samego dnia. - Reagan zawsze mówiła staccato. Kiedyś było to spowodowane nieśmiałością, a ostatnio potrzebą wydajności. Freddie wyobrażała sobie, jakiego stracha potrafi napędzić każdemu oponentowi.

- Po kolei, Fred - kontynuowała Reagan. - Lordem Fauntleroyem\* zajmiemy się później - Tak nazywała Adriana od momentu, kiedy pierwszy raz zobaczyła jego mieszkanie za sklepem Harvey Nichols, do którego przywiózł ją razem z Freddie swoim austinem healeyem. Tymczasowy prezent od rodziców, kiedy opuścił Sandhurst. Freddie uśmiechnęła się. Okazało się, że to niezły pomysł.

\* Aluzja do książki *Mały lord* autorstwa Francis Hodgson Burnett.

- Domyślałam się, że tam pojedziesz. - Jak wszyscy. Wcale nie była pewna, że właśnie tego chce, ale Reagan nie czekała na odpowiedź. - Jadę z tobą. Jak wiesz, należy mi się trochę wolnego.

Freddie znów się uśmiechnęła. Reagan nie miała porządnych wakacji przez jakieś dziesięć lat. Należał się jej pewnie półroczny urlop.

- Reagan...

- Nie dziękuj mi - przerwała. Świetnie wiedziała, że Freddie nie miała zamiaru jej dziękować, ale skoro już wpadła na ten pomysł i miała w głowie plan, zamierzała wprowadzić go w życie. Pomyślała o tym, jak tylko Tamsin jej powiedziała. - Słyszałam, że w Cape jest świetnie o tej porze roku. Liście i tak dalej. Poza tym jesteś beznadziejna w tych sprawach i mnie potrzebujesz. Nie możesz zaprzeczyć. - Freddie nie ośmieliłaby się nawet spróbować. - Mam zarezerwować bilety dla nas obu?

- Mogę to przemyśleć przez noc?

Uśmiech Reagan był niemal słyszalny.

- Tylko przez noc. Zadzwoń do mnie z samego rana. Polecimy business class, mam miliard kilometrów do wykorzystania i nadeszła pora, żeby to zrobić.

Freddie wydawało się, że była niemal podekscytowana.

- Porozmawiamy jutro, tak? - upewniła się Reagan.

- Z samego rana?

- Z samego rana. Prześpij się trochę. - To była rutynowa odpowiedź Reagan na traumatyczne wieści, gdyby dowiedziała się, że Freddie rodzi, skwitowałyby to krótko: Zagotuj wodę i podrzyj prześcieradła.

Freddie wzięła herbatę i poszła do salonu. Ciągle czuła się trochę obco z ciężkimi zasłonami i podłogą w kolorze morskiej zieleni. Pokój zagracały antyki teściów. Spodziewali się, że będzie wylewnie wdzięczna, chociaż o nie nie prosiła. Na ścianach wisiały nijakie wiktoriańskie akwarele. Czowała się tu jak w poczekalni u chirurga przy Harley Street.

Kuchnia w piwnicy była jej miejscem. Znalazła architekta, który usunął całą tylną ścianę i zastąpił ją oszklonym atrium, dzięki czemu pomieszczenie było zalane światłem nawet w najbardziej pochmurne dni. Ogromne rozsuwane szklane drzwi otwierano, kiedy robiło się ciepło, i kuchnia wychodziła wprost na ogród. Całości dopełniały białe ściany, zasłonki w kropki i bukowe blaty oraz tuzin

czarno-białych zdjęć Harry'ego, roześmianego, z błyskiem w oku, i mnóstwo kolorowych rysunków namalowanych odciskiem palca, wierszy i opowiadań, które napisał. Adriana martwiły odciski palców na szkle albo szaleństwa kotów sąsiadów, a jego matka zaniemówiła na widok zrujnowanego domu (jeśli ktoś już musi mieszkać w wiktoriańskim domu, niech przynajmniej uszanuje ten budynek i jego dziedzictwo), ale Freddie i Harry uwielbiali kuchnię.

Na górze zawsze była gościem, nieznaną w obcym kraju. Zaciągnęła zasłony, w szparze między nimi mignął jej Adrian. Szybko wyszła z pokoju, chciała być na dole, zanim się pojawi.

Siedziała przy sosnowym stole, kiedy zszedł kręconymi schodami. Stał niezręcznie w progu i czekał nerwowo, jakby potrzebował zgody, żeby tu być. Nie bardzo przypominał faceta z baru w Méribel. Był inny, nie tylko starszy. Mniejszy. Czy to także moja wina?

- Przyszedłeś - odezwała się.

To nie wymagało odpowiedzi i nagle rozplakał się.

- Przepraszam, Freddie. Tak bardzo przepraszam. Omal do niego nie podeszła, przypomniał jej Harry'ego.

Spytała tylko:

- Mówiłeś poważnie?

Adrian wydmuchał nos i wytarł chustką oczy, prawie ze złością.

- Tak mi się wydaje, tak.

Mogła powiedzieć setkę rzeczy: Czy była aż taką złą żoną, tak nieodpowiednią partnerką życiową? Czy powinna coś zrobić inaczej? A może to on powinien? Ale nie znalazła nic właściwego.

- To znaczy, nie wiem - wycofał się Adrian. Zaskakująco, jego niezdecydowanie ani jej nie pochlebiało, ani nie drażniło. Mówił tylko to, co myślał. Czy koniec małżeństwa naprawdę był taki nijaki? Czy nie był, do cholery, zupełnie pewny co do Antonii Melhuish, skoro do niej zadzwonił i powiedział to, co powiedział, a później wrócił do domu z zamiarem zakończenia związku, który trwał przez lata i w efekcie dał dziecko? Pomyślała o Antonii i wyobraziła sobie, że tego słucha. Pewnie nie byłaby zachwycona.

- Chcę się położyć. - Wstała.

Adrian wyglądał na zaszokowanego. Odszedł na bok.

- Oczywiście. Jesteś zmęczona. Przynieść ci coś? - Tak ostrożnie.

- Możesz pójść ze mną. - Wzięła go za rękę i poszła na górę. W sypialni spojrzała mu w twarz i pozwoliła, żeby sukienka zsunęła się jej z ramion, stała w samej bieliźnie. Chciała, żeby ktoś ją przytulił, i wiedziała, że potrafi go zachęcić. Nie chodziło tu o władzę, tylko o potrzebę przytulenia.

Poddała się biernie jego pocałunkom, niemal z wdzięcznością. Nic nie mówiła, kiedy popchnął ją na łóżko i bardzo delikatnie się z nią kochał, jakby była lalką. Nie czekała na orgazm, który zawsze

z nim miała. Ale na chwilę tuż po, kiedy leżał na niej i ścisnął tak mocno, że niemal sprawiał jej ból, wymazując myśli.

Leżał obok. Jego twarz wyrażała pytanie.

- Wiem, że to niczego nie zmieni - odpowiedziała.

Zdała sobie sprawę, że już nie chce leżeć obok niego w ich łóżku, wstała i naga przeszła do drzwi.

- Będę spała w pokoju gościnnym. Adrian nic nie odpowiedział.

Następnego ranka, kiedy obudził ją telefon, już go nie było. Spała głęboko, a ponieważ telefon stał w sypialni, zadzwonił kilka razy, zanim wydobyła się na powierzchnię. Przez chwilę była zdezorientowana, światło padało zza jej pleców, a nie z przodu. Później sobie przypomniała. Zastanawiała się, czy zabrał ze sobą ubrania. Ale to nie miało znaczenia.

Na budziku była ósma trzydzieści. Nigdy nie spała tak długo.

Tamsin mówiła zaniepokojona:

- Dobrze się czujesz? Masz głos trochę nie z tej ziemi.

- Właśnie się obudziłam.

- To zły moment? Jest tam Adrian?

- Nie sądzę. Chyba już wyszedł.

- Czy rozmawialiście ze sobą?

- Kochaliśmy się.

- Po rozmowie?

- Zamiast rozmowy.

- Do-obraze. - Tamsin przeciągnęła to słowo.

- Chyba byłam za bardzo zmęczona, żeby rozmawiać. Chciałam odrobinę pocieszenia. Wiem, że to brzmi niedorzecznie.

- Nie niedorzecznie, chyba trochę smutno.

- Bardziej niż trochę.

- Jak zareagował na wiadomość o twoim ojcu?

- Nie powiedziałam mu.

- Teraz mnie przestraszyłaś, Freddie. - Mówiła poważnie.

- Dlaczego nie?

- Bo to nie była jego wina ani odpowiedni moment. Czułby się okropnie i jaki by to miało cel?

- Chryste, Freddie! Twój mąż ma romans, na litość boską! Powinien czuć się cholernie źle. W ogóle cię nie rozumiem. - Wypluła z siebie „w ogóle”. Słuszne oburzenie było jedną ze specjalności Tamsin.

Freddie nie oczekiwała, że ją zrozumie. Tamsin zakochała się w Neilu mniej więcej trzy miesiące przed dziewiętnastymi urodzinami, z wzajemnością. I od tej pory byli razem, niezbyt ekscytująco, ale czarodziejско: kochankowie, przyjaciele, partnerzy i współnicy w walce z całym światem. Neil był jednym z tych mężczyzn, z którymi nie dało się nawet flirtować, a Bóg wie, że Reagan próbowała. Mało prawdopodobne, że Tamsin zrozumie małżeństwo, które się dobrze zaczęło i później się zepsuło. Nigdy nie przyjęłaby do wiadomości faktu, że ta nowa sytuacja niesła jej ulgę wśród niezaprzecznego bólu i złości, w których według Tamsin powinna się pogрузić.

- Słuchaj, Tams. Wiem, co masz na myśli. Naprawdę.

- Zyska dzięki temu na czasie. - Może przesłoniła to ta historia z moim tatą. Może nie umiem poradzić sobie z tym wszystkim naraz. Przynajmniej Reagan tak mówi.

- Więc już z nią rozmawiałaś?

- Zadzwońiła wczoraj w nocy. Powiedziła, że najpierw muszę rozwiązać sprawy z tatą, a później zająć się Adrianem.

Tamsin chrząknęła z rozmysłem. Freddie ciągnęła:

- Przecież nie wiem, czy nasze małżeństwo jest skończone, prawda? Może kocha tę kobietę, a może nie. Nie muszę z miejsca się tym zajmować. Wiem, ty byś pewnie chciała, żeby wyrzuciła jego wszystkie ubrania przez okno i połała samochód rozpuszczalnikiem.

- To na początek. - Tamsin zachichotała.

- Ale nie mam zamiaru tego robić, znasz mnie na tyle.

- Znam. To jest wkurzające! Do tej pory zabiłabym Neila, zamiast się z nim pieprzyć.

- Odmawiam słuchania czegokolwiek na temat, co byś zrobiła Neilowi. Sam pomysł, że Neil cię zdradza, jest bardziej nedorzeczny niż odcinek *Dallas*, w którym Pam porywają kosmici i później pojawia się znów pod prysznicem.

- Teraz mnie zraniłaś. Nie jesteśmy chyba aż takimi nudziarzami?

- Nie, nie jesteście nudziarzami. Jesteście absurdalnie, niewypowiedzianie, do znudzenia monogamiczni.

- W porządku. - W głosie Tamsin słychać było urazę, ale Freddie wiedziła, że nic jej nie jest. - Więc jakie perły mądrości przekazała ci Reagan? - Tamsin była tylko odrobinę sarkastyczna.

- Leci ze mną do Ameryki. - Aż do tej chwili Freddie nie była zdecydowana.

- Ja też.

- Nie szalej. Jesteś w ciąży, na litość boską. A co z dziećmi i Neilem?

- To pomysł Neila. Jestem dopiero w dwudziestym siódmym tygodniu. Można latać w znacznie bardziej poważnym stanie. Chyba do trzydziestego czwartego tygodnia, jeżeli się dobrze czujesz. - Tamsin zawsze wyglądała, jakby miała rodzić, już od piątego miesiąca. W sklepach ludzie zaczepiali

ją, mówiąc: To już lada chwila, a Tamsin odchodziła, mrucząc zdenerwowana: Lada chwila za jakieś trzy miesiące, ty wścibska krowo!

- Meghan zajmie się dziećmi, a Neil nie potrzebuje opieki - ciągnęła Tamsin. - Poza tym, jak zauważyłaś, nie muszę się przejmować wiernością Neila w czasie mojej nieobecności. On lubi to robić tylko z grubymi płodnymi laskami.

- Za dużo gadasz, Tams.

- Więc jadę. Przecież nie mogę cię zbyt długo zostawiać samej z Dowódcą Obozu, prawda?

- Nie jedziesz tylko dlatego, że jesteś zazdrosna?

- Nie bądź głupia. Jadę dlatego, że w Cape Cod jest sklep Osh Kosh, a właśnie skończyły mi się niemowlęce ogrodniczki.

- Tams?

- Tak?

- Dziękuję. - Freddie nie wiedziała, co powiedzieć. Wzruszyła ją lojalność obu przyjaciółek.

Na szczęście Tamsin nie zostawiła jej czasu na sentymenty.

- Nie dziękuj mi. Po prostu zadzwoń do Reagan i powiedz, że musi jej starczyć wolnych kilometrów w Virgin na trzy miejsca w business class, nie będę siedziała byle gdzie z tym cholernie wielkim nosidłem przyczepionym z przodu.

- Więc moje wszystkie trzy dziewczyny mnie opuszczają?

Jechała z Matthew drogą M25. Przynajmniej raz był mały ruch. Matthew słuchał *Baby, the Stars Shine Bright* i *Idlewild*, swoich ulubionych płyt duetu Everything But the Girl. Prawdziwy przebój, wyraziste, melancholijne i tak poruszające.

Słuchał ich zbyt głośno, kiedy przysłała do niego pierwszy raz po śmierci Sary. Drzwi były otwarte i siedział na kuchennym stole.

... bo nie lubię sam spać ani oglądać telewizji, więc proszę, wróć do domu.

Miał mokre policzki i czerwone oczy. Podeszła do niego, a on przylgnął do niej, na pół tańcząc, na pół się kołysząc i przez nieskończenie długi czas drżały mu ramiona. Nigdy więcej nie widziała, żeby płakał, nawet na pogrzebie, chociaż wszyscy płakali. Starali się robić to cicho i z szacunkiem, ale skoro jej mąż mógł wziąć się w garść, pewnie czuli, że też powinni tak postąpić.

Freddie uderzyła go w ramię.

- Nie mów tak, jakbyś był alfonsiem.

- Bzdura. Gdybym powiedział „moje wszystkie dziwki”, mówiłbym jak alfons. Teraz mówię jak samotny, stary mężczyzna.

- Nie zgadzam się na stary, jesteś pięć miesięcy młodszy ode mnie. Samotny? Jeśli tak jest, to tylko z twojej winy. Nadal masz ten wygląd Toma Cruise'a, na który wszystkie dałyśmy się nabrać. Jesteś wyplącalny, nie masz zbyt wielu złych nawyków, po prostu się boisz!

- Masz rację, boję się! Wszystkie kobiety wokół to drapieżniki, czyż nie? Samotne w wieku trzydziestu pięciu lat i zdesperowane.

- Za dużo się naczytałeś „FHM-u”\*. Bycie samotną kobietą w wieku trzydziestu pięciu lat jest teraz w zupełności akceptowane. - Miała taką nadzieję. - Prawdę mówiąc, pewnie nie chciałyby za ciebie wyjść, tylko wykorzystać cię do seksu.

- Z tym bym sobie poradził!

\* „FHM” - magazyn dla mężczyzn, podobny do polskiego „CKM-u”.

Zamilkli na chwilę. To było miłe. Pewnie знаła Matthew lepiej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę. Przynajmniej jego niektóre cechy. Lubiła tę łatwość przebywania z nim.

- Mogę zapalić? - Już wyciągnął papierosa z paczki i wcisnął zapalniczkę na desce rozdzielczej.

- Na dłuższą metę nie ma mowy. Na chwilę, pal śmiało.

Nachyliła się, żeby zaciągnąć się dymem. Boże, brakowało jej papierosów. Ten, którego zabrała wczoraj Tamsin, był pierwszym od czasu miesiąca miodowego, ale smakował rewelacyjnie. Pierwsze uderzenie nikotyny spowodowało, że poczuła cudowny zawrót głowy. Czowała się jak niegrzeczna uczennica, kiedy kupowała paczkę na stacji. I, mój Boże, były takie drogie.

- Co masz zamiar tam robić? - spytał Matthew.

- Przypuszczam, że będzie testament, chociaż nigdy ze sobą o tym nie rozmawialiśmy. I chyba jakiś pogrzeb. I jest jeszcze dom. Trzeba z nim coś zrobić. Wszyscy myślą, że powinnam pojechać, więc jadę. - Uśmiechnęła się.

- Nie musisz, jeśli nie chcesz. - Nie odpowiedział uśmiechem. - Na litość boską, mamy rok dwa tysiące czwarty. Można to załatwić przez ocean. Nie chcę, żebyś tam jechała, jeśli to ma ci sprawić przykrość. To nie ma sensu. - Jego głos brzmiał władczo.

Freddie myślała o ojcu.

- Zdałam sobie dzięki temu sprawę, jak mało go znałam. W Chatham są trzy kościoły i nie mam zielonego pojęcia, w którym chciałby mieć pogrzeb, jeśli w ogóle miałyby być w kościele. Nie wiem, czy kiedykolwiek wszedł do któregoś z nich. Kiedy zmarł tata Tamsin, ona wiedziała, że chciał, by zagrano *Bliżej Ciebie, mój Boże*, wnuki trzymano z dala, i żeby Caroline miała na sobie żółtą sukienkę. A ja nawet nie wiem, czy ten stary cap w ogóle chciał mieć pogrzeb.

Pogrzeby są przereklamowane. Kogo obchodzi, jaki wybierzesz kościół, wyciskającą łzy pieśń albo trumnę?

Trumna Sary była z jasnego drewna, jak bambusowa podłoga w jej kuchni. Do tego róże, jaśnokremowe, jak w jej ślubnym bukietcie, same paczki tak ściśle ułożone, że nie było widać liści. Nie-



nawidziła lili, ich zapachu, długich łądyg i pręcików z pyłkiem. Wszystko wybrały same, Freddie, Reagan i Tamsin. Matthew nie poszedłby z nimi do przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Nie musisz tam jechać - powtórzył jeszcze raz.

- Pewnie muszę. Był moim ojcem.

Ojca nigdy nie interesowało, kiedy przyjeżdżała do domu ani jak się tam dostała. Miała kartę kredytową, i on co miesiąc spłacał debet. Nigdy nie powiedział jej, że za dużo wydaje, i najwyraźniej nigdy nie zauważył, na co wydawała pieniądze. W tanto Boże Narodzenie, po tym jak Sara poznała Matthew na dyskoteci w Chester, poleciała Pan-Amem prosto do Bostonu dwudziestego trzeciego grudnia. To był drogi bilet: gorący okres, popołudniowy lot. Jedyne raz wyszedł po nią na lotnisko. Pewnie zastanawiał się, czy przyleci wcześniejszym samolotem przez Nowy Jork, chociaż nigdy wcześniej tego nie robiła, i wylądować w Lockerbie. Zauważyła go przy barierce na lotnisku Logan, w długim czarnym płaszczu, opierał ręce o poręcz. Nie przytulił jej nawet wtedy, kiedy zdała sobie sprawę, co go tu sprowadziło. Wyciągnął rękę, przez okropną, nierealną chwilę myślała, że uściśnie jej dłoń, ale sięgnął po torbę. Podała mu ją i pocałowała w policzek, jej usta dotknęły suchej, zimnej skóry. Kierowca zostawił ojca w biurze i zawiózł ją samą do domu.

- Dlaczego nie jedziesz z Adrianem?

- Jest zajęty.

- Czyżby zbliżał się turniej golfowy?

- Nie bądź paskudny. On zarabia na życie, Matt. Poza tym dwie przyzwoitki wystarczą.

Przypatrywała mu się badawczo. Matthew nie lubił Adriana. Bardzo chciała powiedzieć mu, co się stało, ale byli już w Guildford i właśnie zobaczyła znak drogowy, który oznaczał, że tylko sześć kilometrów dzieliło ją od Harry'ego. Nie chciała mówić mu o tym teraz, kiedy byli już tak blisko.

- Idziesz ze mną?

- Chcesz, żebym poszedł?

- Harry byłby zachwycony. Ale chłopak z klasy robotniczej, jak ty, może dostać wysypki w takim miejscu.

- To nie moja wina. Będę się tutaj kręcił i udawał, że jestem właścicielem samochodu, a nie złodziejem, dobrze?

Buty Freddie chrzęściły na żwirze.

Freddie nadal czuła się tu niepewnie. Mimo że wypisywała czeki, dzięki którym jej syn chodził do tej szkoły, zawsze miała niejasne uczucie, jakby ją osądzano. Przypominało to większą, mniej osobistą wersję cholernych, nadętych koktajli Clarissy. Historia i tradycja sączyły się z tego miejsca. Rozglądała się po wyłożonym boazerią pomieszczeniu, do którego ją wprowadzono. Na ścianach widniała galeria portretów światowej sławy alumnów. Jej ojciec oszalałby ze szczęścia. Uwielbiał całą tę kwintesencję angielskiej tandety. Nie było tu portretu Adriana. Zabawne, im większy sukces odniósł pra-

dziad, tym większe prawdopodobieństwo, że jego prawnuk okaże się leniwym gnojkiem, trwoniącym rodzinną fortunę na życie w rozpuście. Oczywiście Adrian nic nie trwonił. Rodzice nie pozwolili mu nawet się zbliżyć do swoich pieniędzy. Jak mawiali Anglicy, miał „widoki”, które sprowadzały się do zaciągnięcia ogromnego kredytu i żywienia nadziei, że rodziców, których tak naprawdę nigdy nie kochał, ponieważ wysłali go do szkoły z internatem w wieku siedmiu lat, spotka bezbolesna, ale przedwczesna śmierć, zanim zdążą wydać to, co mu się prawnie należy. Chryste! Pewnie wysłuchała zbyt wielu socjalistycznych kazań Neila i Matthew.

Nauczyciel Harry'ego wprowadził go do pokoju. Jak tylko zamknęły się za nim drzwi i mały upewnił się, że są sami, pofrunął do niej.

- Mamó! - Stali mocno objęci; jej kochany chłopiec. Jakby minęło znacznie więcej niż dwadzieścia cztery godziny, odkąd go ostatnio widziała.

- Co tu robisz? - Harry odsunął się i wygładził mundurek. - Coś się stało, prawda? Chodzi o tatę?

Tata Charleya Fairbrothera miał zawał i zmarł na miejscu, cios w samym środku semestru zimowego. Najwyraźniej w pracy. W kolejce po lunch Charley uderzył jakiegoś idiotę, który powiedział, że jego ojciec pewnie był w robocie, a nie w pracy. Jak można powiedzieć coś tak głupiego? Pewnie nie chciał, żeby Charley to usłyszał, ale tak się stało. Charley prawie płakał, kiedy uderzył chłopca; w czasie bójki leciała mu krew z nosa. Ale nie dostał kary. Harry miał nadzieję, że to się nie przytrafiło jego tacie.

- Nie, kochanie, nie chodzi o tatę. Nic mu nie jest. Podejdz tu i usiądź ze mną.

Harry pozwolił zaprowadzić się na sofę. To była jedna z tych śmiesznych sof, której boki wyglądały, jakby były ściągnięte do tyłu sznurami. Nigdy wcześniej nie był w tym pokoju. Mama wyglądała w porządku. Cokolwiek się stało, nie mogło być bardzo złe.

- Chodzi o twojego dziadka, Harry.

- Dziadka Sinclaira? - przestraszył się Harry. Zaplątałam się. Freddie była zła na siebie. Po prostu to powiedz.

- Nie, kochanie, dziadka Valentine.

Harry poczuł delikatną ulgę, później zdał sobie sprawę, że nie powinien, i znów zrobił zatroskaną minę.

- Umarł, kochanie.

Odpowiedział rutynowo. To jedna z korzyści fantastycznie drogiej edukacji.

- Przykro mi, mamó. - Harry'emu ulżyło, że to nie był ktoś, kogo kochał.

- Dziękuję, kochanie, ale nie musisz się aż tak martwić. Był bardzo starym człowiekiem i zmarł spokojnie w swoim łóżku w czasie snu. Mogło być gorzej.

- Ale jednak - ciągnął, opierając się o jej ramię - był twoim tatą.

Przytulili się głowami, ukradkiem szukała znajomego zapachu. Za późno. Przez jeden dzień przeszedł aromatem szkolnych butów i kapusty, tak samo lekko pachniał potem, jak milion innych chłopców.

- Oczywiście muszę pojechać do Ameryki. To go dotknęło.

- Kiedy?

- Prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

- Dlaczego?

- Będzie pogrzeb, trzeba zająć się domem, w którym mieszkał. I dokumentami. Wiesz, nudne sprawy dorosłych.

- Dlaczego ty musisz to zrobić?

- Nie ma nikogo innego, kto by się tym zajął, kochanie.

- Nie mogę jechać z tobą? - Mówił jak zawsze, kiedy chciał coś od niej wyłudzić. Nie mogę przyjść do waszego łóżka? Nie mogę zostać jeszcze pół godziny dłużej? Nie możemy posłuchać jeszcze jednej bajki? Wtedy o wiele łatwiej było go uszczęśliwić.

- Nie możesz, mój śliczny chłopczyku. Musisz zostać tutaj, wiesz o tym. - Żałowała, że się bardziej nie starał.

Znał prawdę.

- Jak długo cię nie będzie?

- Niedługo, mój kochany, obiecuję. Wrócę na przerwę jesienną.

- Przerwę jesienną! - Do tego czasu miną całe wieki.

- Ale przez cały czas będziemy mogli rozmawiać i wysyłać e-maile. Napiszę do ciebie jak zawsze. Będę tylko trochę dalej.

- Mam pięć meczy w tej połowie semestru. Dostałem się do pierwszego składu.

- Cudownie, kochanie! Świetna robota.

- Ale nie zobaczysz, jak będę grał.

- Obiecuję, że postaram się wrócić choćby na jeden. I jestem pewna, że tata przyjdzie.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. - O ile nie nałożą się na żaden z jego cholernych turniejów golfowych.

Pełna nadziei twarz Harry'ego sprawiła jej ból. Jak to się stało, że Harry okazywał Adrianowi miłość i wierność, kiedy on zrobił tak niewiele, żeby na nie zasłużyć? Był najwyżej na dwóch albo trzech meczach. Kiedyś pojawił się nieoczekiwanie. Harry mówił o tym przez parę tygodni. Ona nie opuściła ani jednego, więc jej obecność na linii bocznej była tak naturalna jak obecność nauczyciela gimnastyki. Powinna czuć zazdrość, ale skoro najbardziej liczyło się dla niej szczęście Harry'ego, powstrzymała się, próbując cieszyć się obecnością męża.

Uśmiechał się do niej tym szerokim uśmiechem pełnym zębów. Nadal był jej chłopcem.

- W porządku. Martwisz się swoim tatą?

Tylko dziecko mogło o to spytać. Dorośli w takich sprawach poprzestawali na domysłach.

- Naprawdę nie wiem. Czasami niezbyt go lubiłam, ale wydaje mi się, że aż do wczoraj, kiedy dowiedziałam się, że zmarł, nie zdawałam sobie sprawy, że miałam też dla niego wiele innych uczuć. I jeśli jestem smutna, to dlatego, że jest za późno, żeby naprawić nasze relacje. Wiesz, o czym mówię?

Oczywiście, nie wiedział. Był zdezorientowany. Jak mógł to zrozumieć? Ich związek był silny i zdrowy, najważniejsze, żeby Adrian pojawiał się na linii bocznej boiska. Czasami chciała zrobić z Harry'ego dorosłą osobę, z którą mogłaby porozmawiać, żeby wypełnić lukę pozostawioną przez Adriana, kiedy stracił serce do ich małżeństwa. To nie w porządku wobec jej chłopca.

Nie było mowy, żeby powiedziała mu o drugiej sprawie, nie wiedziała, jak zacząć. I tak nie musiał jeszcze o tym wiedzieć. Może to się samo ułoży. Może nigdy nie będzie musiała mu oznajmić, że ona i Adrian nie są razem.

Następnego wieczoru Freddie czekała, aż Adrian wróci z pracy. Przypuszczała, że tam był. Często nie wiedziała, gdzie jest. Aż do teraz.

- Musimy porozmawiać - zaczęła.

Spojrzał na nią. Nie mogła się przyzwycząić do tej miny, pojednawczej, przepraszającej. Mina: źle zrobiłem. Nie pasowała do niego.

- Tak, masz rację. - Usiadł z rękoma złożonymi przed sobą na stole, jak krnąbrny uczeń.

- Nie o nas. - Niecierpliwym ruchem odrzuciła kosmyk z czoła. - Muszę wyjechać.

- Och, Freddie, czy to naprawdę przez...

- Mój tata zmarł.

- Co?

- Mój ojciec zmarł. Grace dzwoniła.

- Kiedy?

- Tuż po twoim telefonie, tego samego dnia. Kiedy wracałam ze szkoły Harry'ego.

- Chryste, Freddie. Przepraszam.

- Nie wiem, za co. Powiedziałeś to, co powiedziałeś. Zrobiłeś to, co zrobiłeś.

- Tak, ale twój tata!

- Wiem.

- Co się stało?

- Zawał. Zmarł w czasie snu. To żadna tragedia.

- Och, Freddie, tak twardo o tym mówisz.

W gardle zbierał się jej szloch, ale go stłumiła. Gdyby się rozplakała, dotknąłby ją, a na to nie miała najmniejszej ochoty.

- Nie chciałam.

- Co zrobisz?

- Cóż, pojadę tam.

- Wkrótce?

- Tak. Tamsin i Reagan jadą ze mną. Wyglądał na urażonego.

- Więc wszystko już zaplanowałaś.

- Daj spokój, Adrian, to nie jest najlepszy moment, żebyśmy pojechali razem. Nie potrzebuję cię w charakterze wsparcia w tej chwili.

Powróciła mina winowajcy.

- Nie. A co z Harrym?

- Powiedziałam mu wczoraj.

- Och, więc dowiaduję się ostatni, tak? Teraz była wściekła. Jak mógł?

- Zupełnie szczerze, Adrian, to zasłużyłeś, żeby dowiedzieć się ostatni. - Wyszła z pokoju.

Poszedł za nią po schodach.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. Tyle ile trzeba.

- Co masz zrobić?

- Zobaczę. Będzie testament i jest dom. Grace potrzebuje pomocy. Nie ma nikogo innego.

- A pogrzeb?

- Większość ludzi je ma. - Nie mogła pozbyć się sarkazmu w głosie. Mówił jak nadąsany dzieciak.

- Chciałabyś, żebym przyleciał na pogrzeb? Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Naprawdę, nie. Nie widzę takiej potrzeby.

- Nie chcesz, żebym tam z tobą był?

- Nie chcę, żebyś teraz gdziekolwiek ze mną był.

- A co ludzie pomyślą?

- Nie obchodzi mnie to. Nie ma tam ani jednej osoby, która by cokolwiek dla mnie znaczyła, oprócz Grace. Ale jakie to dla ciebie typowe. Jeśli tak cię to martwi, to może przyślesz wielki, ostentacyjny bukiet w kształcie słowa „TEŚĆ”? Położyłybyśmy go na karawanie.

Była okropna i wiedziała o tym.

Adriana i jej ojca łączyła dziwna zażyłość. Mieli wiele wspólnego, przede wszystkim skrywali emocje. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie: ojciec był w Londynie w podróży służbowej. Nie miała zamiaru przedstawiać ich sobie, ale kiedy Adrian dowiedział się, że przyjechał, nalegał, żeby pójść razem z nią. Spotkali się jak zawsze w Savoy Grill, w Londynie ojciec nie jadał nigdzie indziej.

Opierała się Adrianowi aż do ostatniej chwili. Ubierała się. Nie wiedziała, dlaczego nadal ubierała się tak, żeby przypodobać się ojcu. Klasyczna mała czarna, niezbyt krótka, i perły, które jej dał na

dwudzieste pierwsze urodziny. Siedziała przy toalecie w sypialni, patrzyła w lustro i nie poznawała kobiety, która na nią spoglądała. Taka oficjalna, taka szkolna, gładko zaczesane włosy.

- Zapniesz mnie? - poprosiła.

Ale zamiast pociągnąć za ekspres, Adrian wsunął ręce pod sukienkę, objął jej piersi i pocałował w kark.

- Pozwól mi pójść. Mógłbym mu zadać ważne pytanie... - droczył się z nią.

- Dotyczyłoby golfa czy prawa? Uwierz mi, że to jedyne pytania, które go zainteresują.

- Poprosiłbym o rękę jego córki.

- Ani się waż!

- Nie chcesz wyjść za mąż? - Udawał urazę, ale przez cały czas głaskał jej piersi, zbliżając się do sutków.

- Nie o to chodzi. Ale brałeś pod uwagę zgodę mojego ojca! Mamy lata dziewięćdziesiąte!

Głaskanie zupełnie ją rozproszyło. Dziesięć minut później przystała na jego propozycję.

- Możesz iść ze mną, pod warunkiem że nie wspomnisz o małżeństwie.

- Pomyślałem, że właśnie...

Przynajmniej w tym punkcie trzymał się instrukcji.

O dziwo, okazało się, że był to jeden z lepszych wieczorów, jakie spędziła z ojcem w Savoy Grill. Mówiono absurdalnie dużo o golfie: wpadki, pola, kluby, ale w tym czasie mogła obserwować swoich towarzyszy. Ojciec był taki swobodny. Nie widziała go takiego od czasu... Nie była pewna, czy w ogóle go takiego widziała. Prawie nie poznawała też Adriana, sztywny, oficjalny, absolutnie poprawny. Gdyby nie znała lepiej obu mężczyzn, pomyślałaby, że odgrywają przed nią przedstawienie.

Po wszystkim Adrian poszedł po ich płaszcze. Ojciec kiwnął głową i uśmiechnął się.

- To właściwy człowiek dla ciebie.

Tego wieczoru była łagodna. Nie przyszło jej do głowy, by mu przypomnieć, że nie ma zielonego pojęcia, kto jest dla niej właściwy. Była zadowolona i dumna z siebie.

Rozstali się w holu i ojciec poszedł do pokoju, w którym zawsze się zatrzymywał.

Adrian uśmiechnął się do niej z wyższością.

- Dobrze wypadłem?

- Tak mi się wydaje. Ale lepiej zapamiętaj sobie, że to mnie, a nie mojemu ojcu musisz zaimponować.

Objął ją ramieniem.

- O wiele trudniej mi to osiągnąć, kiedy nie jestem nagi.

Patrząc w przeszłość, czuła, że posługiwała się mapą, lekceważąc wszystkie znaki. Naprawdę zrezygnowała ze swojego życia dla faceta, który był dobry w łóżku i grał w golfa, tylko dlatego, że jej ojciec uważał go za dobrą partię, a ona rozpaczliwie potrzebowała jego akceptacji?

Adrian patrzył na nią, jakby jej nie poznawał. Jeśli była uszczypliwa i złośliwa, to z jego winy.

- Napiszę do Grace. - Tylko tyle. Odwrócił się niemal z godnością i wyszedł. W drzwiach powiedział cicho:

- Przykro mi z powodu twojego ojca. - I już go nie było.

wrzesień 2004

Boston, Stany Zjednoczone

Freddie miała osiemnaście lat, kiedy pierwszy raz popołudniowym lotem dotarła na lotnisko Logan. Cztery miesiące po wyjeździe. Samolot wyhamował na pasie, woda w zatoce połyskiwała w słońcu. Drewniane budynki, jakieś dwa kilometry stąd po drugiej stronie, mówiły jej, że jest w domu. Wtedy było zimno i leżały zasy śniegu. Teraz liście jeszcze zieleniły się na drzewach. Ale niebo w kolorze głębokiego błękitu pozostawało niezmiennie.

Dziś lotnisko miało zmęczony wygląd, tak samo jak tragarze w szarych koszulach i czapkach z daszkiem, nagabujący nowo przybyłych z zaczerwienionymi oczami. Przez całą drogę z Heathrow było im wesoło. Tamsin ostatnio niewiele latała, i z pewnością nigdy nie podróżowała business class. Nawet Reagan, która nie przyzwyczała się do samolotów przez prawie dziesięć lat, rozluźniła się i cieszyła przeżyciem Tamsin. Nowicjuszka słuchała uważnie, kiedy nonszalancka stewardesa pokazywała, gdzie są wyjścia ewakuacyjne, a nawet „skorzystała z okazji, żeby przestudiować instrukcję bezpieczeństwa w kieszeni fotela z przodu” - dopóki nie zauważyła, że Freddie i Reagan naśmiewają się z niej. Spojrzała z ukosa na Reagan, która, jak tylko kapitan wyłączył znak z pasami, oddaliła się do łazienki i po chwili wróciła z grubą warstwą kremu nawilżającego w miejscu makijażu.

- Domyślam się, że odmówisz szampana, poprosisz o niegazowaną wodę mineralną i udasz się na spoczynek razem z tym. - Pomachała bezpłatną maską na oczy.

Reagan właśnie miała ochotę tak zrobić i roześmiała się. Był to miły dźwięk, Freddie i Tamsin rzadko słyszały go w ostatnich latach.

- Oczywiście, że nie. - Poprosiła przechodzącego stewarda o trzy kieliszki, podał je pasażerom i puścił do niej oko.

- Nasze zdrowie! Od dawna nie robiłyśmy tego razem.

Pomyślały o Sarze, zawsze kiedy były razem, wznosiły za nią toast.

- Za Sarę - zawołała Freddie.

- Za Sarę - odpowiedziały pozostałe.

Tamsin głośno stuknęła się kieliszkiem z Reagan i Freddie.

- Za Filene's Basement. - Przewodnik po Bostonie leżał na rozkładanym stoliku, z grzbietem załamany na rozdziale z zakupami.

- Oj! - Freddie była tylko odrobinę zła. - To nie jest wycieczka po zakupy.

- Przepraszam, Fred - tłumaczyła się Tamsin. - Uderzyła mi do głowy ulga po zamknięciu drzwi za Neilem, Homerem, Willą, Flannery i Meghan.

- I Spotem, tym cholernym psem! - dokończyła Reagan.

- Pies wabi się Steinbeck, Reagan, o czym dobrze wiesz.

- Ach, są tacy kochani. Wszyscy razem i każde z osobna. - Freddie zdecydowała, że Tamsin nie powinna pić więcej szampana.

Zjadły nieśmiertelne danie z kurczakiem i roladę czekoladową. Tamsin wsunęła jeszcze pudełko wiśni w likierze, które kupiła w strefie bezcłowej. Oglądały film i usnęły, zanim się skończył. Obudziły się i przemierzały samolot w opadających skarpetkach Virgin, czekając na lądowanie.

Wylądowały i Freddie wyciszyła się. Nie była tu od lat, chociaż kochała to miasto, ponieważ oznaczało to odwiedziny u ojca, a poświęciła zbyt wiele energii, żeby od niego uciec, od jej ogromnego, przerażającego, pozbawionego emocji ojca. Jednak teraz ją odzyskał. Była tu.

Wylądowali daleko od terminalu i Freddie siedziała z zamkniętymi oczami, kiedy samolot kołował na swoje miejsce. Zastanawiała się, co robi Adrian. Wiadomość, że małżeństwo przyjaciółki się rozpadło, zawsze była trochę szokująca. Nie siedziało się w środku tego związku, nie uczestniczyło się w długim procesie, który doprowadził do końca szczęśliwego małżeństwa. Każda z zainteresowanych czekała, żeby ci to oznajmić, aż zdoła swobodnie mówić, że dobrze się z tym czuje, albo że tak było najlepiej, albo może do chwili, kiedy udało jej się wydobyć z siebie słowa, nie płacząc. Ale domyślała się, że to musiało trwać od dawna. W którym miejscu wszystko zaczęło się psuć? Tego nigdy nie wiedziałaś. Nawet jeśli chodziło o twoje własne małżeństwo, nadal nie było to oczywiste. Nie w chwili, kiedy zorientowałaś się, że twój mąż sypia z Antonią Melhuish. Nie zrozumiałaś tego tuż po przebudzeniu. I kiedy już powstały ogromne szczeliny, nie do wypełnienia, nie miałaś pojęcia, w którym momencie to się zaczęło.

Pamiętała miedzianowłosego wojaka tej pierwszej nocy na szczycie. Pamiętała mężczyznę, siedzącego z nią w łazience, kiedy siusiała na test, który powiedział im, że Harry jest w drodze. Mężczyznę cwałującego dookoła na pikniku z chichoczącym brzdącem na ramionach i mężczyznę, który pomagał małemu chłopcu przynieść śniadanie do łóżka, z żonkilami w wazonie i rozmokłymi przesłodzonymi płatkami kukurydzianymi. A później przypomniała sobie mężczyznę, który nie pozwolił jej zatrzymać Harry'ego w domu. Który znikał na całe dni w weekendy. Który nigdy nie przestał myśleć, że jego głupia matka wie najlepiej. Który nigdy nie rozumiał, że pocieszenie nie było protekcyjne, tylko konieczne. Przez lata tych dwóch facetów tkwiło w tym samym człowieku. A później wszystko się zmieniło.

Nie można cały czas tak samo kochać mężczyzny. A kiedy już się przestało go kochać tak jak na początku, miłość odpływała. Tak właśnie się czuła.



Samolot zatrzymał się i Reagan przejęła dowodzenie. Odsunęła tragarzy na bok i trzy kobiety zawiozły swoje bagaże na ulicę. Dobrze było wyjść na zewnątrz po tych wszystkich godzinach powietrza z odzysku. Kierowca taksówki nie wysiadł z białego samochodu, tylko otworzył bagażnik, żeby mogły włożyć walizki.

- I już po napiwku - wyszeptała Tamsin.

- Marriott, Copley Plaza - zakomenderowała Reagan. - Zarezerwowałam dwa pokoje. Pomyślałam, że będziecie spały razem. - Reagan zawsze mieszkała z Sarą, jeżeli wyjeżdżały gdzieś we czwórkę. Tamsin z Freddie i Reagan z Sarą. Musi jeszcze bardziej za nią tęsknić niż ja, pomyślała Freddie.

Zabawne, że czwórki składały się zawsze z tych samych dwóch par. Zdaniem Freddie Sara i Reagan ciągnęły ku sobie, ponieważ Sara była najmilsza z nich wszystkich, a Reagan miała najtrudniejszy charakter. Na początku Reagan była nieśmiała i niezręczna, ale zyskawszy dzięki ich przyjaźni poczucie bezpieczeństwa, stała się złośliwa, a nawet zgorzkniała. Sara zawsze brała na nią poprawkę, widziała dobre strony. Freddie miała wątpliwości, czy nadal byłaby blisko z Reagan, gdyby nie podwaliny zbudowane przez Sarę, kiedy były młodsze. To ona nalegała, żeby wszędzie zabierać Reagan.

Sara zawsze broniła Reagan. Freddie przypomniawszy sobie letni wieczór milion lat temu. Grały w softball na Clapham Common. Firma Sary brała udział w rozgrywkach i przyjaciółka zapisała Freddie i Reagan jako zastępstwo w ostatniej chwili. Była to jedna z tych letnich gorących nocy, kiedy pracownicy biurowi wylewają się z zapoconych biur i zapełniają każdy centymetr zieleni w stolicy. Muzyka i alkohol pojawiły się najwyraźniej znikąd, a powietrze było ciężkie i namacalne. Jedna z nocy, w które warto żyć.

Neil i Matthew pracowali, chociaż obaj obiecali przyjść później, a Adrian grał w golfa z jakimiś typami z biura, więc spotkał się tylko klub Tenko. Żadna z nich nie pamiętała, kiedy ostatni raz były same. Prowadziły zakrapianą piwem i nostalgiczną rozmowę, jak bardzo się kochają i tęsknią za sobą w nowym zapracowanym życiu. Tamsin zwierzyła się im, że planują z Neilem dziecko, Sara zawołała entuzjastycznie:

- Oooh. Wspaniale. Będziemy miały dziecko.

- Ja będę miała dziecko!

- Wiesz, o co mi chodzi. - Tamsin wiedziała.

- Myślę, że wszystkie powinnyśmy mieć. - Uśmiechnęła się Freddie. - Matka Adriana i tak nas nagabuje, chce dziedzica i całą resztę. A Matthew rozpaczliwie chce mieć dzieci.

- A co ja mam zrobić? - wtrąciła się Reagan, tylko półzartem. - Pobiec do najbliższego banku spermy?

Freddie skrzywiła się. Reagan leżała na plecach w milczeniu i, szczerze mówiąc, Freddie prawie zapomniała, że w ogóle tu jest. Tamsin zmarszczyła nos i zwróciła się do Reagan:

- Chyba nie jesteś jeszcze gotowa na sztuczne zapłodnienie, Reags. Kolesie pożerają cię wzrokiem. Spójrz na tych.

Nie było to całkowicie zgodne z prawdą. To Sarę faceci pożerali wzrokiem, pomimo pierścionka zaręczynowego. Co nie przeszkodziło Reagan wyjść z jednym z zawodników, który obejmował ją władczo ramieniem. Nie pożegnała się.

- Czy ona musi to robić? - spytała Sara. - Poza wszystkim, to szef mojego szefa. Co mi nie wróży najlepiej, jeśli nic z tego nie wyjdzie.

- Nie bądź głupia. Robi to na własne ryzyko. Wygląda na dużego chłopca.

- Myślisz, że dlatego Reagan go wybrała? - Freddie pokazała na swoje krocze. Wszystkie zaczęły chichotać.

- To znaczy - dodała Tamsin - wygląda na takiego, który sobie poradzi.

Więcej salw śmiechu.

- Jeśli radzi sobie sam - parsknęła Freddie - to po co mu Reagan?

Sara uciszyła je.

- Nie bądźcie podłe. - Obserwowała, jak Reagan i szef jej szefa doszli do końca trawnika i próbowali złapać taksówkę. Już ją całował. - Po prostu taka jest Reagan.

- Co to znaczy? - spytała Tamsin. - Zawsze ją usprawiedliwiasz. Wszystkie się cudownie bawimy, a ona odeszła w połowie rozmowy, łapiąc kogoś, z kim pracujesz, na litość boską, i nawet nie powiedziała dobranoc.

- W połowie rozmowy o dzieciach.

- Masz rację. - Tamsin ze złością kopnęła trawę. - Ale to nie nasza wina, że Reagan nie potrafi zatrzymać żadnego faceta. Nic dziwnego, z jej uszczypliwością. Nie wiem, dlaczego tak ją usprawiedliwiasz, Saro.

- Ponieważ tak się postępuje z przyjaciółmi.

- Z nami nie musisz tak postępować!

- Nie? - Sara mówiła zmienionym głosem. - Ostatnio spotkanie z tobą bez Neila jest prawie niemożliwe. Adrian sprawia wrażenie, że w ogóle nie chce nas znać. A ty i Freddie zawsze źle mówicie o Reagan.

Ta przemowa, in vino Veritas, była tak nietypowa dla Sary, że Freddie i Tamsin siedziały na trawie z otwartymi ustami.

- Nie widzicie, że Reagan nam zazdrości? I ma powody. Wszystkie mamy to, czego chciałyśmy. Ona wciąż czeka. Jeśli jest uszczypliwa, to dlatego, że się broni. Założę się, że łatwiej jest być agresywną niż cały czas żalowaną. I na pewno nie jest jej lżej, kiedy wszystkie siedzimy i rozmawiamy o naszych cudownych mężczyznach i tych wszystkich pięknych dzieciach, które będziemy miały. - Patrzyła to na jedną, to na drugą. Freddie i Tamsin wbijały wzrok w trawę z zawstydzonymi minami.

- Przepraszam, dziewczyny, że na was naskoczyłam, ale jestem trochę pijana i to dodaje mi odwagi. Nie lubię zawsze stać pośrodku. Kocham was wszystkie. I chcę, żebyście się leż kochały. Reagan jest naszą przyjaciółką. To ona wymyśliła klub Tenko, na litość boską.

Tamsin uśmiechnęła się.

- Niezupełnie wymyśliła...

Sara wyrwała garść trawy i rzuciła w nią.

- Zamknij się! - Ale też się uśmiechała.

Chwila minęła. Freddie i Tamsin podpełzły do niej na kolanach i zaczęły się łączyć z obu stron.

- Przepraszam, Saro.

- Przepraszam, Saro.

Sara przybrała ton Joyce Grenfell\* w najlepszym wydaniu.

- Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! - Popchnęły ją do tyłu i zaczęły wciskać jej trawę garściami za koszulkę. Osłabły od śmiechu i wszędzie miały plamy z trawy, zanim znaleźli je chłopcy.

\* Joyce Grenfell - popularna brytyjska aktorka komediowa, występująca w latach 30. i 40 XX wieku.

Wszystkie były druhami na ślubie Sary. Stroiły się, chichotały i pomagały sobie nawzajem włożyć satynowe suknie. Były podekscytowane emocjami dnia i szampanem, który ojciec Sary przysłał do ich pokoju hotelowego. W ostatniej chwili, zanim zeszły, Sara dała każdej z nich maleńkie pudełeczko od Tiffany'ego ze srebrnym serduszkiem na łańcuszku. Freddie zapamiętała jej słowa, że zawsze tak sobie wyobrażała swój najważniejszy dzień, w otoczeniu najwspanialszych i najlepszych przyjaciółek na świecie.

Od śmierci Sary Freddie i Tamsin coraz rzadziej spotykały się z Reagan, ale to był jej wybór, nie ich. Nieraz mówiły sobie, że czują, jak się od nich odsunęła. A kiedy już się z nią spotkały, co z reguły miało miejsce po uporczywych telefonach - Tamsin nabrała zwyczaju zostawiania wiadomości z nazwą restauracji i godziną spotkania na automatycznej sekretarce Reagan, po czym następowały słowa: „nawet nie myśl o tym, żeby się nie pojawić” - przez pierwsze pięć minut było dość sztywno, dopóki wszystkie trzy nie zdały sobie sprawy, że chociaż dziwnie się czują w swoim towarzystwie, nie powinny zwracać sobie tym głowy, i rozluźniały się. Później mijały miesiące, zanim któraś z nich znów miała wieści od Reagan. Tamsin czasem to złościło.

- Nie mogę cały czas ciągnąć tej przyjaźni - narzekała. - Nie mam mnóstwa wolnego czasu. Wszystkie jesteśmy zajęte. Jeśli ona nie chce się trochę postarać, dlaczego mamy się tym przejmować? - Ale Freddie myślała jak Sara, brała poprawkę, martwiła się powodem milczenia Reagan i chciała pomóc. Czy przypuszczenie, że nieszczęście Reagan, jeśli właśnie to trzymało ją z dala od nich, miało coś wspólnego z potrzebą życia poza biurem na piętnastym piętrze w City, było zbyt proste? Patrząc

teraz na Reagan, kiedy meldowała ich trójkę w recepcji hotelu, Freddie cieszyła się, że jej nie odpuściła. Poczula nagły przyływ szczęścia: dobrze, że tu jest.

Na zewnątrz było już ciemno. Znalazły swoje pokoje na dwudziestym dziewiątym piętrze i Boston migotał w dole. Tamsin rzuciła się na najbliższe ogromne łóżko.

- Wyobraź sobie, że to wszystko jest tylko moje. Żadnych dzieci, psów i okruchów ciastek.

- Jesteś naprawdę tłusta, Tams, wiesz o tym?

- I to dopiero w drugim trymestrze! - jęknęła Tamsin. Podźwignęła się na łokciu. - Ale jest miło, prawda? - Freddie przytaknęła. - Jak długo tu zostajemy?

- Nie wiem. Kilka dni? Nie jestem pewna, czy już mogę spotkać się z Grace.

- Chyba powinnaś ją zawiadomić, że tu jesteś?

- Wie o tym. - Freddie zadzwoniła do Grace, informując ją, że przylatuje.

Grace była wdzięczna. Płaczliwa i wdzięczna.

- Nawet nie wiesz, jak dobrze będzie cię znów zobaczyć, Freddie - powiedziała wzruszona i Freddie poczuła ukłucie winy. Grace była dla niej cudowna, niemal jak matka, a ona od lat prawie z nią nie rozmawiała.

Freddie miała niecałe cztery lata, kiedy odeszła jej matka. Odeszła w tym samym tygodniu, w którym Apollo 13 spadł do Pacyfiku. Te kilka wspomnień, które miała, pochodziło ze zdjęcia i z tego, co jej się udało wyciągnąć od Grace, kiedy była nastolatką.

Zostało tylko to jedno zdjęcie: młoda kobieta, niemal dziewczynka, z trójkątem włosów na środku czoła jak u Freddie i długimi, kręconymi lokami z przedziałką pośrodku, które spadały jej na ramiona. Miała na sobie ciężową suknię z okrągłym kołnierzykiem w ogromne esy-floresy, która kończyła się przed kolanami. Zdjęcie było czarno-białe, ale sukienka musiała mieć psychodeliczne kolory. Nosila buty na korku i wyglądała tak młodo. Nie ośmieliła się spytać ojca o inne zdjęcia. Kiedy czytała *Jane Eyre*, przeszył ją dreszcz rozpoznania, jej ojciec był jak pan Rochester, zamyślony, skory do gniewu i tajemniczy. Ale jej matka nie była zamknięta na strychu. Tylko dawno, dawno temu odeszła.

Ludzie próbowali przypisać jej traumę z powodu odejścia matki. Chłopcy usprawiedliwiali w ten sposób zerwanie, nauczyciele szukali w tym klucza do jej dystansu. Z pewnością była to sytuacja podręcznikowa. Mała dziewczynka, której matka uciekła, musi być niespokojna. Ale wyjazd matki w przedziwny sposób nie niepokoił małej Freddie. Zaakceptowała to jako jeszcze jedną z podobnych spraw: przychodzi zębowa wróżka i zabiera ząb spod poduszki, dziewczynka, obok której siedzisz na angielskim, ma brązową skórę, twojej matki tu nie ma. Mimo wszystko miała Grace, kochaną Grace, która trafiła do domu ojca tego lata, kiedy odeszła matka, i robiła z nią wszystkie te rzeczy, które jej własna matka mogłaby robić. Piekły ciasteczka, czytały bajki i bawiły się w chowanego w dużym domu na Beacon Hill, szepcząc konspiracyjnie i przykładając palec do ust, kiedy przechodziły obok gabinetu ojca.

Nie docierało do niej, co matka zrobiła jej i sobie, aż do chwili, kiedy trzymała w ramionach nowo narodzonego Harry'ego, wtedy uderzyło ją to jak młot, jak pociąg towarowy.

Narodziny Harry'ego były dość typowe jak na pierwszy poród. Czekala w domu tak długo, jak tylko się dało, co denerwowało Adriana: spanikował pomimo szkolenia wojskowego i bał się, że zrobi bałagan na nowych dywanach. Kręciła się całkiem zadowolona po domu, a on chodził za nią z narzędziem ręczników i tajemniczym czarnym workiem na śmieci. Prawie mogła przeczyć, zanim dotarła do szpitala. Położna powiedziała, że chciałyby, żeby wszystkie matki były takie spokojne jak Freddie, nieopisanie dumna z tego komplementu. Wszystko poszło tak, jak powinno, i Freddie zastanawiała się, dlaczego Tamsin uważała, że to takie okropne. Pewnie, było to bolesne doświadczenie, ale również konstruktywne: o wiele mniej bolało, jeśli poddawałaś się każdej fali. Kiedy Harry się wydostał, położyli go od razu na jej piersi i utkwiał wzrok w jej oczach. Wtedy to przyszło. Jak przerwanie tamy, grzmot, lawina. Absolutna miłość. Najszczęśliwsze i najbardziej przerażające uczucie, jakiego może doświadczyć kobieta. Trzydzieści sekund później widmo nieobecnej matki pojawiło się w sali.

Adrian nie mógł poradzić sobie z jej łzami, wyszedł na korytarz i zawołał Tamsin. Wysłała go na parking, żeby chodził w tę i z powrotem z Homerem przypiętym do piersi, i pobiegła na ratunek przyjaciółce. Freddie płakała całe wieki, ściskając kurczowo Harry'ego, i zapamiętała stwierdzenie Tamsin:

- Prędzej czy później to musiało nastąpić.

Ale oczywiście minęło. Była zbyt zmęczona, a Harry za bardzo ją absorbował, żeby to rozpaamiętywała. Nigdy nie spróbowała wytłumaczyć Adrianowi swojego wybuchu. Clarissa przyjechała następnego dnia z pielęgniarką z oddziału położniczego, którą zatrudniła bez uzgodnienia z nimi.

- Przyprowdziłaby ci mamkę, gdyby tylko jakąś znalazła - żartowała Tamsin. I to uczucie w końcu definitywnie minęło.

Nigdy nie myślała, że braknie jej matki, miała Grace. To ojca nie miała.

Gdyby matka nie żyła, w domu Freddie byłyby jej zdjęcia: w sukni ślubnej, w oficjalnej pozie, w szpitalnym łóżku dumnie pokazującą noworodka do aparatu fotograficznego. Mówiono by o niej, opłakiwano, i byłoby to trudniejsze dla czteroletniej Freddie. Ale jej po prostu nie było. Tak jak zniknął zęb spod poduszki. I Freddie z dziecięcą intuicją zrozumiała, że nie może o to pytać ojca, więc spytała Grace. Ale Grace nie mieszkała w ich domu, kiedy była tam Rebecca. Nie wiedziała, co zaszło między matką i ojcem Freddie. Wiedziała tylko tyle, że kiedy Freddie miała cztery lata, Rebecca odeszła.

Twoja matka była bardzo młoda, mówiła Grace. Może nie była jeszcze przygotowana do macierzyństwa ani nawet do małżeństwa. Nie, Grace nie wiedziała, gdzie jest. Po prostu odeszła, a razem z nią wszystkie zdjęcia oprócz jednego, dziadkowie, wspomnienia i historie, które mogłaby opowiedzieć.

Tamsin nie mogła tego znieść, zawsze powtarzała, że musi dojść do samego sedna tej sprawy. Znowś słuszne oburzenie. Razem z wyobraźnią wykarmioną przez Daphne du Maurier i siostry Brontë. Freddie widziała to inaczej.

Zanim zadzwoniła do Grace, wykręciła numer do domu. Adrian od razu odebrał, miał zmęczony głos. Zastanawiała się, czy była z nim Antonia.

- To ja, Freddie. Wiem, że jest późno, ale proszę, żebyś zadzwonił.

Podrzucił ją na lotnisko. Rozmawiali po drodze, ale o niczym ważnym. Zapelniła lodówkę gotowymi daniami z Marksa & Spencera i zapisała numery telefonów ojca na kartce, którą przylepiła na tablicy w kuchni, obok planu rozgrywek Harry'ego. Obiecał jej, że nie opuści żadnego meczu. Nie zmieniła pościeli, więc nadal miała jej zapach. Powiedziała mu, gdzie jest czysta, gdyby potrzebował. Miała na myśli Antonię Melhuish, ale nie powiedziała tego. Skrzywił się.

- Nigdy... nie byliśmy razem w naszym łóżku, Freddie. Nie zrobiłbym tego.

Kodeks honorowy cudzołożnego męża. Westchnęła.

- Nie sądzę, żeby liczyło się, gdzie to robisz, Adrian. Próbuję się uporać z faktem, że w ogóle to robisz.

Nadal, dziesięć tysięcy kilometrów stamtąd, miała nadzieję, że Antonia Melhuish nie leży schludnie naga w jej pościeli, czystej lub nie.

- Cieszę się, że dzwonisz. Nie robiłem nic szczególnego - mówił. - Czy lot dobrze wam minął?

- Tak. Jesteśmy tylko trochę zmęczone.

- Oczywiście. Zadzwonisz, jak tylko będziesz czegoś potrzebowała?

- Zadzwonię. - Potrzebuję czegoś: wsparcia, oddania, bezpieczeństwa, zaufania. Potrzebuję tego wszystkiego. Potrzebuję, żebyś nadal kochał mnie tak, jak wtedy w barze, jak mnie kochałeś w polu, jak mnie kochałeś przez wszystkie te lata.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Oczywiście nie była już w stanie zadzwonić do Grace. Przeszły na drugą stronę ulicy do supermarketu, gdzie kupiły wino w małych butelkach z odkręcanymi korkami, humus, chleb i pomidory, i urządziły północną ucztę dywanową w hotelu, jak to określiła Tamsin.

- Bardzo w stylu Mallory Towers - zauważyła Reagan.

- Pewnie wolałabyś homara i mrożoną margaritę - odparła Tamsin - ale ja i Sokrates - pogłaskała się po brzuchu - potrzebujemy czegoś na ząb i wyrka.

- Sokrates? Nie zrobisz mu tego.

- Może zrobię.

Freddie obudziła się oszołomiona, kiedy Tamsin weszła do pokoju uzbrojona w kawę i czekoladowe babeczki. Reagan stała za nią z kilkoma torbami z Victoria's Secret i butelką wody.

- Pomyślałyśmy, że pewnie potrzebujesz snu. Spotkałyśmy się w holu i poszłyśmy na podstępna terapię zakupową, zostawiając cię tutaj.

- Która godzina?

- Około pół do jedenastej.

Freddie jęknęła, po czym usiadła na łóżku, oparła się o dwie poduszki i wzięła kawę od Tamsin.

- Muszę zadzwonić do Grace.

- Już to zrobiłam - poinformowała ją Reagan dziarskim tonem. - Powiedziałam jej, że przyjdziemy jutro. Dzięki temu będziesz miała szansę się pozbierać, a nasza Ivana Trump pójdzie do File-ne's Basement. - Skinęła głową w kierunku Tamsin, która wyciągnęła turkusowo-czerwoną płataninę siatki z torby w cukierkowe paski i przyłożyła ją do brzucha i baloniastych piersi.

- Cztery albo pięć miesięcy i w to wejdę... - mówiła prawie tylko do siebie.

- Niech Bóg ma w opiece Neila - rzuciła Reagan. Freddie ukryła chichot w papierowym kubku, a Tamsin pokazała z odrazą język.

Później, w promieniach wrzeźniowego słońca, Reagan położyła rękę na ramieniu Freddie. Jej głos brzmiał łagodniej niż zwykle.

- Znam odpowiedź na jedno pytanie. Pogrzeb jest w przyszły wtorek. Grace powiedziała, że zostawił dokładne wskazówki. Pieśni i cała reszta. I chciał, żebyś tu była. Grace również jest tego pewna.

## Anglia

Adrian wyjął kij numer jeden, ułożył piłkę na podstawce i wycelował prosto w kierunku ósmego dołka; piłka poszybowała w niebo i wylądowała około pięciu metrów od pola puttingowego, w dobrej pozycji. Tego ranka był w formie, stracił tylko jedno uderzenie, a nowy kij pasował jak ulał do jego rąk. Chciałby mieć dziś czas na wszystkie osiemnaście dołków, ale obiecał, że nie opuści meczu piłki nożnej Harry'ego. Mógł sobie pozwolić tylko na dwa ostatnie dołki i szybkie piwo w klubie. To był od zawsze jego ulubiony dołek. Wiedział, jak uderzyć piłkę, żeby minęła drzewa, i prawie zawsze trafiał.

Przy tym dołku również po raz pierwszy kochał się z Antonią Melhuish. Chociaż określenie „zaciągnął do bunkra” było bardziej trafne. Podkreślała go przez cały dzień, jak tylko zaczęli grę. Miał na nią ochotę już przy drugim dołku, a przy trzecim oboje zauważyli, że nie ma nikogo z tyłu ani przed nimi. Pochyliła się nad polem puttingowym, żeby zaznaczyć miejsce, gdzie wylądowała jego piłka przy piątym dołku, i zobaczył, że nie ma majtek pod bawełnianą spódniczką. Nie mógł już dłużej czekać, kiedy dotarli do ósmego dołka, poza tym wzwód przeszkadzał mu w grze.

Usiadła mu na kolanach i podrygiwała, odchylając się w tył, a on unosił rękoma jej drobny tyłeczek. Po wszystkim powiedziała mu, że nigdy w życiu nie skończyła tak cicho ani tak szybko. Wie-

dział, że powinien czuć się źle, ale, Chryste, był tylko człowiekiem. Tak właśnie sobie powiedział. To się zdarzyło ponad rok temu i wciąż czuł podniecenie i wstyd, kiedy o tym myślał. Zakończył cztery dołki jednym uderzeniem i jeden dwoma w tej rozgrywce.

Zanosilo się na to od miesięcy. Antonia nie ukrywała, że się jej podobał, nawet kiedy była żoną Jonathana. Nigdy nie pozwoliła mu mówić o Freddie ani o tym, co robili z Freddie. Zareagowała dość ostro, kiedy raz spróbował.

- Freddie to nie moja żona - rzuciła rozdrażniona. - To nie ja oszukuję. Jestem wolna i można mnie mieć. - Więc ją miał, trzy albo cztery razy w tygodniu.

Po drugim uderzeniu piłka wylądowała metr przed chorągiewką. Miał ochotę zakończyć dołek jednym ruchem. Zrzucił worek na ramię i pomaszerował na pole.

Wytrzymał kilka miesięcy. Miał nadzieję, że Freddie o tym wiedziała, ale przypuszczał, że nie chciała znać szczegółów. Antonia prowadziła grę - Bóg wie, co ten sabat czarownic, ten tak zwany klub Tenko wymyśliłby na temat jej zachowania. Siadywała obok niego na kolacjach i dotykała bosą stopą jego łydki. Dlaczego było to tak cholernie seksowne i stawało się jeszcze odrobinę bardziej seksowne, kiedy obok ciebie siedziała kompletnie nieświadoma żona? Ocierała się o niego przy barze w klubie golfowym, w domach innych ludzi. Oblizywała usta, kiedy do niego mówiła. Został porządnie i prawdziwie uwiedziony. Gra wstępna trwała latami.

I Boże, było mu z nią dobrze. Miała fantastyczne, drobne, zawsze opalone ciało z maleńkimi brązowymi krągłymi cyczuszkami i chłopciami biodrami. Cała była wydepilowana, co okazało się niewiarygodnie zmysłowe, i lubiła kochać się, będąc na górze: wyginała się w tył i jęczała, tak żeby to widział. Czuł się przy niej jak dwudziestopięcioletek.

Nie wiedział, jak to się stało, że sprawy zaszły tak daleko. Na początku była to tylko zabawa. Mnóstwo mężczyzn miało romanse, połowa jego przyjaciół robiła dokładnie to samo. Rozmawiali o tym. Mówili, że żony zepchnęły ich w dół listy, po dzieciach. Znow chcieli się poczuć jak „prawdziwi” mężczyźni, nie tylko jak ojcowie, zaopatrzeniowcy i złote rączki. Briggsy i Thompson twierdzili, że już prawie w ogóle nie sypiają ze swoimi żonami. Urodziny, rocznice, może nietypowa sobotnia noc, jeśli udało się je lekko upić, przy zgaszonym świetle, w pozycji misjonarskiej. Niektórzy byli aż tak mało rycerscy, że przyznawali się, że wolą to robić przy zgaszonym świetle, skoro ich ważące niewiele ponad pięćdziesiąt kilogramów dziewczyny w tajemniczy sposób zmieniły się w siedemdziesięcioparokilogramowe żony z piersiami sięgającymi pępka i niewygolonymi pachami.

Ale w przypadku Freddie było inaczej. Wszyscy mu jej zazdrościli. Dbała o siebie, naga czy ubrana, niewiele różniła się od dziewczyny, z którą się ożenił. I uwielbiała seks. W ciągu jedenastu lat małżeństwa był pewien, że nie odmówiła mu ani razu, a często sama to inicjowała. I nie był to rutynowy, nudny seks, nic z tych rzeczy.

Więc w co, do diabła, grał?



Adrianowi zawsze najlepiej myślało się na polu golfowym, ale nawet tutaj nie był pewien, czy cokolwiek w tym wszystkim rozumie. Antonia zapewniała go, że sam tego chciał, ale nie mógł sobie przypomnieć, kiedy wpadł na pomysł, żeby zostawić Freddie dla niej. Do pewnego stopnia czuł, że został wciągnięty w zasadzkę.

I nie rozumiał reakcji Freddie. W wojsku nauczono go, że zasada numer jeden to znać swojego wroga, ale Freddie posłała mu bardzo podkreśloną piłkę, idąc z nim tak po prostu do łóżka. Żadnego napadu złości ani wstrętnych wzajemnych oskarżeń. Żadnego płaczu; i tak się tego nie spodziewał, tylko kilka razy widział, jak płakała: w dniu, kiedy urodził się Harry i kiedy pierwszy raz zawiozła go do szkoły. On nigdy nie był przyczyną jej łez, o ile nie liczyć wyjazdu Harry'ego do szkoły, a dla Freddie chyba tak było. Wiedziała o Antonii, zanim jej powiedział, dostrzegł to w jej twarzy, i to go przeraziło. Czy on by wiedział, gdyby spotykała się z kimś innym?

Chryste, czy mógł istnieć ktoś inny?

W swoim egoizmie Adrian poczuł przypływ strachu, który opuścił go tak szybko, jak się pojawił. Zawsze była szczęśliwa w domu, tak? On i Harry jej wystarczali. Więc dlaczego ona mu nie wystarczała?

Rodzice dostaną szału. Matka będzie przerażona - przyjdzie jej powiedzieć w klubie brydżowym, że w rodzinie zanoszą się na rozwód. Pewnie nigdy nie zaakceptują Antonii. Chociaż jego ojciec miał swoje grzeszki, zawsze był na tyle rozsądny, żeby trzymać je na dystans. Adrian prawie słyszał, jak mówi:

- Na litość boską, chłopcze, wsadź swój interes, gdzie chcesz, jeśli musisz, ale nie zapominaj, po której stronie masz chleb posmarowany masłem. - Ojciec był mistrzem poplątanych metafor.

Wyjął chorągiewkę i wybrał kij, przymierzył się do strzału i uderzył piłkę, prosto i mocno. Spadła na brzeg dołka, zatoczyła kilka kółek i poturlała się dalej. Cholera. Adrian nie zadał sobie trudu, żeby zakończyć grę, ani nie zagrabił bunkra. Schował kij z powrotem do worka i pomaszerował w kierunku dziewiątego dołka.

Wolałby nic nie mówić. Czy nie mógł dalej tego ciągnąć, kochać je obie, cokolwiek to znaczyło, mieszkając z Freddie i zabawiając się z Antonią? Nie przeczuwał, że będzie się tak okropnie czuł po tym, jak powiedział to Freddie. Słowa same z niego wypadły. Chciałby je cofnąć.

A co z Harrym? Adriana przeraziło to tak, że był bliski łez. Wyobrazził sobie twarz Harry'ego, kiedy usłyszy tę nowinę, i skulił się. Nie miał wątpliwości, po czyjej stronie stał Harry, zawsze stanowili ekskluzywny, dwuosobowy klub. Czuł, że wypadł z gry.

I teraz ta sprawa z jej tatą. Powinna być tutaj, rozwiązywać problemy, powinna o niego walczyć, tak? Walczyć o ich małżeństwo, nie oddawać całego pola Antonii. Antonia chciała przyjść do niego wczoraj w nocy, ale wiedział, że Freddie zadzwoni. Poza tym naprawdę było tak, jak powiedział.

Nigdy nie spał z Antonią w ich domu. Mogło się to wydawać dziwnym miejscem na wytyczanie wymyślonej granicy, ale zrobił to i nigdy jej nie przekroczył.

Pierwszy raz, odkąd skończył dziewięć lat, Adrianowi nie udało się zakończyć rundy w golfa. Przeszedł przez pole, minął klub i wrócił do samochodu.

Kłopot z Freddie polegał na tym, że zawsze uważała go za faceta o bogatym życiu wewnętrznym, tymczasem on był taki płytki, jaki wydawał się przy pierwszym spotkaniu.

Matthew nie mógł się skoncentrować. Siedział przy swoim biurku w kancelarii od przerwy na lunch, wpatrując się w przestrzeń. Poprosił recepcjonistkę, żeby nie łączyła żadnych rozmów, twierdząc, że potrzebuje kilku godzin intensywnych przygotowań do nieistniejącego spotkania z wymyślonym klientem. Próbował przeczytać dokumenty ułożone w stertę po lewej stronie biurka, ale nic do niego nie docierało, więc zrezygnował.

Patrzył na uśmiechniętą twarz Sary w srebrnej ramce na biurku. Byli w Southwold, zabrał ją tam na weekend. Zrobił jej niespodziankę w pewien piątkowy wieczór, po swojej pierwszej sprawie w nowej kancelarii. Tak długo byli biedni, nie pozbawieni środków do życia jak w *Cyganerii*, raczej biedni jak w *Boso w parku*\*. Matthew nie uznawał pożyczek. Zawsze wydawał tylko tyle, ile mógł. Mieli plany: własne mieszkanie, później dom z pokojem dla dzieci, ale chciał wydać swoje pierwsze pieniądze na nich. Na teraźniejszość, nic na przyszłość.

\* *Boso w parku* - komedia z 1967 roku w reżyserii Gene'a Saksy z Robertem Redfordem i Jane Fonda w rolach głównych.

Zatrzymali się w Swanie, w słonecznym przestronnym pokoju z ogromnym podwójnym łóżkiem. Sara chichotała w jadalni, mówiąc, że czuje się jak oszustka wśród obwieszonych biżuterią dam i wykwintnego jedzenia. Zapewnił ją, że to również jej miejsce, ale nawet wtedy wiedział, że to nieprawda. Sara nie pasowała do dużych kolczyków z brylantami i kolia z pereł. Nie pasowała do wymyślnej sali jadalnej. Była dokładnie taka jak na tym zdjęciu: siedziała przed jednym z domków ciągnących się wzdłuż plaży; zobaczyli pawilon, który nazywał się Sanktuarium Sary, i poprosił ją, żeby się ustawiła do zdjęcia na jego tle, chociaż się wstydziła. Miała na sobie jego sweter, granatowy w białe plamki, który wydawał się na niej ogromny. Wiatr rozwiewał jej włosy i twarz mówiła, że czuje się głupio, ale jej oczy lśniły miłością do niego. Podbiegła do niego w tej samej chwili, jak tylko zrobił zdjęcie, rzuciła się na niego i musiał szybko wepchnąć aparat do kieszeni w kurtce, żeby ją złapać. Kręcił się z nią w kółko, potykając się na kamieniach, a później posadził ją na swoich udach i pocałował w zimny nos i ciepłe usta.

Nie pamiętał, kiedy doszedł do punktu, w którym wspomnienia Sary już go tak nie raniły, kiedy ostra chmura bólu w kształcie grzyba ustąpiła miejsca pobołowaniu, a pobołowanie zaczęło poprzedzać uczucie szczęścia na myśl o tym, co zrobiła lub powiedziała. Jego żal był jak oddalający się przyływ:

na początku fale rozbijały się wokół niego, sprawiając, że tracił oddech, później przyszyły zmarszczki, mniejsze i nie tak groźne, bardziej oddalone, i obserwował, jak się do niego zbliżały, za każdym razem zatrzymywały się trochę dalej, bulgotały i pieniały się, ale nie były już takie dzikie. Widział coraz więcej piasku i był spokojniejszy. Tak się właśnie czuł.

Przez tygodnie po wypadku chciał, żeby zmarła w inny sposób, jeśli w ogóle musiała umrzeć. Gdyby była chora, gdyby mógł się nią opiekować... Wiedział, że było to głupie, romantyczne wyobrażenie. Wizja, jak ją pociesza w ostatniej chwili. Mieli czas, żeby przeciwzyć to, co chciał jej powiedzieć i co ona chciała powiedzieć jemu.

Tamtego ranka, kiedy wyszła z domu, wiedziała, co do niej czuł, tak jak wiedziała, że oddycha, jak wiedziała, że się spóźniła na autobus. Wiedziała, bo przytulali się do siebie w łóżku i przytulili się, jak zawsze, zanim wstali. Bo zrobił jej herbatę, którą zawsze dla niej robił. Bo obserwował, jak czesała włosy, trzymając głowę w dół, jak zawsze; uwielbiał wygięcie jej nagiego kręgosłupa i złotą poświatę włosów. Nie mogła tego lepiej zrozumieć, ponieważ już to doskonale rozumiała.

To było takie nierealne. Był spóźniony do pracy i utknął w korku spowodowanym przez wypadek. Uderzył ją samochód. Kierowca próbował odczytać mapę, jednocześnie rozmawiając przez komórkę. Przechodziła przez ulicę z pewnością mieszkanki Londynu i uderzył w nią. Nie jechał aż tak szybko. Nic nie jechało tak szybko w porannym ruchu. Przewróciła się i uderzyła w głowę. Gdyby upadła inaczej, nic by się jej nie stało. Ale nie upadła inaczej. Upadła i umarła, zanim ktokolwiek na przystanku autobusowym, kto widział całe zdarzenie, zdążył do niej dojść, dotknąć pocieszycielskimi rękoma, powiedzieć słowa otuchy. Zmarła sama w środku godziny szczytu. Wszystko potem było przytłumione. Leżała, kiedy przyjechał do szpitala, już nieżywa. Doprowadzona do porządku przez jakąś pielęgniarkę, której nigdy nie spotkała, doprowadzona do porządku dla niego, jakby dzięki temu stało się to dla niego łatwiejsze, żadnej krwi, żadnych ran. Chciał zobaczyć coś niezwykłego: rozcięcie albo okropnego siniaka, ale było tak jak zawsze mówili w telewizji: wyglądała, jakby spała. To było takie trudne. Wyglądała tak samo, jak przez tysiąc poranków w ich łóżku, jakby nie zwracała uwagi na budzik i zbliżające się słońce, tylko dalej spała. Jakby miała zacisnąć oczy, wypierając się dnia, i przytulić się do niego, kładąc na nim rękę ciężką od snu. Zawsze, zawsze będzie pamiętał to uczucie. Gwałtowne uczucie, kiedy stał obok niej i zdał sobie sprawę, że już nigdy jej nie dotknie, jeśli stąd wyjdzie. Myślał, że nie odejdzie od łóżka, nie pozwoli wejść pielęgniarkom i ją zabrać. Ponieważ to był ostatni raz. Ludzie mówili, że tak jest dobrze: zobaczyć ciało, pożegnać się. Dla niego była to najbardziej bolesna chwila. Żebra uciskały mu klatkę piersiową i ledwo mógł oddychać, przyduszony bólem. Gdyby chciał, mógłby przywołać to uczucie, pogрузić się w nim. Ale nauczył się tego nie robić.

Teraz jej śliczna twarz przypominała mu, że był kochany i że kochał. Była jego bliźną. Los go oszpecił, ale to go nie zabiło, zmienił się tylko, co dla niego zawsze było oczywiste, tak jak dla tych, którzy go znali. Ale wracał do zdrowia.

I wiedział, że jeszcze pokocha.

Jego samotność stanowiła częsty temat rozmów wśród otaczających go ludzi. Najgorzej było w pracy, gdzie nie miał przyjaciół, tylko znajomych. Na początku koledzy czuli się prawie dobrze z jego żalem. Wszyscy wiedzieli, co powinni powiedzieć, i przestrzegali zasad zostawiania go w spokoju, oddalania obowiązków i chronienia go przed ich zbytnią wesołością. Ta wrażliwość zużyła się dawno temu. Teraz jego status wdowca i to, jak nim został, budziły zażenowanie. Chcieli, żeby z kimś był, żeby już się nie musieli o niego martwić, nie musieli już chodzić przy nim na palcach. Mniej więcej rok temu jedna z asystentek zaręczyła się. Był w sądzie i kiedy wrócił, pili szampana. Ktoś wyszedł i przyniósł pudełko kremówek, a dziewczyny zebrały się przy jednym biurku i chichotały. Niezupełnie zamarli, kiedy wszedł, ale wszyscy się wyciszyli. Zmusił się do uśmiechu, pogratulował jej i nawet wypił trochę szampana, ale wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy wrócił do swojego biura.

Inna dziewczyna przystawiała się do niego na imprezie bożonarodzeniowej. Wypił kilka kieliszków wina i tańczył z grupą dziewczyn, taki głupawy imprezowy taniec. I było mu z tym dobrze. Dziewczyna pracowała w kancelarii od kilku tygodni i nie miał pojęcia, że się nim interesowała. Była młoda i ładna i nagle zaczęła z nim flirtować. Cały czas widział gładką karmelową wypukłość jej piersi pod szyfonową bluzką, kiedy pochylała się do przodu, i wydawało mu się, że może znów poczuł coś odrobinę normalnego. Kiedy wyszedł do łazienki, poszła za nim i pocałowała go za rogiem. Początkowo mu się to podobało i też ją pocałował. Ale kiedy jęknęła i poczuł jej język wewnątrz ust i biodra napierające na niego, wiedział, że nie może nic więcej zrobić. Bał się, czuł odrazę i wstyd, a podniecenie ustąpiło. Odepchnął ją na bok i przeprosił.

Tej nocy siedział w taksówce z głową w rękach i doświadczył przyływu irracjonalnego gniewu na Sarę. Jak mogła opuścić go tak młodo? Tak napalonego i młodego?

Przyjaciele starali się to naprawić. Nauczył się, czego może oczekiwać, kiedy dostawał zaproszenie na kolację albo niespodziewany, dodatkowy bilet na koncert lub przedstawienie. Zawsze była tam kobieta, mniej więcej w jego wieku, samotna. Dziewczyna, która starała się ładnie wyglądać i witała go szerokim uśmiechem. I Matthew, któremu nigdy nie wychodziło bycie niegrzecznym, zawsze się do nich uśmiechał i rozmawiał z nimi, zadawał pytania, nie zwracając uwagi na odpowiedzi, nigdy nie wziął numeru telefonu ani nie spotkał się ponownie z żadną z nich.

Tamsin mu tego nigdy nie zrobiła. W zasadzie mieszkał tam od śmierci Sary i ją uwielbiał. Łączyła go z Neilem swobodna, męska przyjaźń w rodzaju tych, które dobrze się rozwijają w pubach. Razem stawiali na pechową lokalną drużynę w niedzielę i od czasu do czasu, kiedy któryś z nich zaczynał czuć się staro, rozgrywali spoconą partię squasha w ośrodku sportowym. Dzieciaki też były świetne. Sara była matką chrzestną Willi, a Matthew ojcem chrzestnym Flannery. Pamiętał, jak trzymał je, kiedy były małe, w ubrankach do chrztu, z białej koronki, w które matka Tamsin ubierała wszystkie swoje dzieci, a sam w odświętnym ubraniu śpiewał *Ma cały świat w swoich*

rękach. Teraz były głośnymi, wylewnymi bałaganiarskimi dziećmi i kochał je. Tamsin czasem mu je „pożyczała”. Przyjeżdżały w piątek wieczorem z walizkami na kółkach i misiami zjedzonymi przez mole. Robiły popcorn w mikrofalówce i Matthew patrzył, jak go zjadały i tańczyły dookoła salonu do listy przebojów *Top of the Pops*. Później zabierał je razem do łóżka dla gości i czytał im (przez całe wieki, dużo dłużej niż mamusia, z zachwytem obwieściła Willa).

Później na dole otwierał butelkę dobrego czerwonego wina i pił je w rozgardiaszu popcornu, książeczek do kolorowania i kredek. Najbardziej nienawidził tego, że dom pozostawał niezmienny w czasie jego nieobecności. Nikt nie postawił w nim nogi po jego wyjściu rano i tylko jego klucz tkwił w nocy w zamku. Sara była bałaganiarą, ale on nie i po jej śmierci dom stał się niepokalany i bez skazy. Brakowało mu chaosu. Homer i Willa sprowadzili go. Tamsin śmiała się, kiedy jej to tłumaczył.

- Chryste, Matt, jeśli właśnie tego chcesz, to po prostu zamieńmy się domami na jakiś czas. Neil i ja pójdziemy do ciebie i będziemy rozkoszować się porządkiem, a ty możesz wprowadzić się do naszego i żyć w plugastwie! - Ale zrozumiała.

Najlepiej spał w te noce, kiedy Homer i Willa byli w pokoju obok, a najbardziej lubił chwilę, kiedy go budzili, o wiele za wcześnie, podskakując na nim wśród pisków i chichotów, i czuł ciepło ich rąk na szyi. To było o tyle lepsze od czwartego programu radia.

Tamsin i Freddie oraz Reagan, chociaż mniej, były jak matki, siostry, najlepsze przyjaciółki. Kochały też Sarę, co pomagało. Tęskniły za nią i też zawsze zauważały lukę, którą zostawiła przy każdym stoliku.

Usłyszał pukanie do drzwi. Abby, jego osobista sekretarka, otworzyła je tylko na tyle, żeby wsunąć głowę. Wziął kartkę A4, która leżała nietknięta na biurku, spojrzął na nią z namysłem, a później na dziewczynę.

- Tak, Abby?

- Przepraszam, Matt, wiem, że nie chciałeś, żeby ci przeszkadzać...

Uśmiechnął się.

- Co się stało?

- Telefon do ciebie. To Neil Bernard. Mam się go pozbyć?

- Nie, nie. Połącz go. Dzięki, Abby.

Uśmiechnęła się do niego z ulgą. Była w kancelarii dopiero od kilku miesięcy i Matthew wiedział, że trochę się go boi. Chyba czasami sprawiał wrażenie surowego.

- Cześć, Neil.

- Jak się masz?

- Dobrze. Właściwie to się nudzę. A ty?

- Nudzisz się? Chciałbym mieć taki luksus. Dziś rano mam cały gabinet kobiet.

- Szczęściarz z ciebie.

- Możesz tak to widzieć, ale one wszystkie mają cholerne problemy z hormonami.

- Ginekolog mizogin?

- Zachowaj to dla siebie. Dzwonię z powodu nieobecności konkretnej samicy w ciąży.

- Ach, tak. Jak sobie dajesz radę?

- Nie daję. Meghan, tak. Jest godna podziwu. Ja tylko umieram z tęsknoty.

- Jesteś cikliwym gnojkiem, wiesz o tym? Co powiesz na męski wieczór w mieście?

- Brzmi nieźle.

- Myślałem o kilku drinkach, może kasyno, pewnie przygruchamy sobie kilka ptaszyn, kończąc w Spearmint Rhino. Co ty na to? - żartował Matthew.

- Tak, tak...

- Dobra. Curry i kilka piwek za rogiem?

- Na to idę. Dziś wieczorem?

- Do zobaczenia. O ósmej?

- Lepiej o dziewiątej. Mam wizytę w prywatnej klinice wczesnym wieczorem.

- Zdrajca. - Matthew znał Neila od czasów, kiedy uważał, że prywatna medycyna jest złem. To było dawno temu.

- Powiedz to tym od kredytu hipotecznego. Matthew zachichotał.

- Przy okazji, jak sobie radzą dziewczyny? Rozmawiałeś z Tamsin?

- W porządku. Tamsin obiecała, że do ciebie też zadzwoni. Trochę nadwyreżyły dziś karty w Bostonie, ale jutro jadą do Cape. Założę się, że będzie potrzebowała jeszcze jednej walizki na te wszystkie dziecinne pierdółki. Jakbyśmy już nie mieli ich dość.

- A Freddie?

- Też dobrze. - Tamsin powiedziała, że jej zdaniem Freddie boi się jechać do domu.

- Nie chce jechać do domu. - Bała się tam jeździć, kiedy staruszek żył. Teraz było to jeszcze trudniejsze.

Neil westchnął.

- Dziewczyny się nią zajmują. To na pewno jest trudne, ale nie była blisko z ojcem, prawda? Jestem pewien, że sobie poradzi.

- Zaskakujące, że Adrian z nią nie pojechał. - Nie dziwił się, ale chciał się dowiedzieć, co Neil o tym myśli.

- To chyba mało prawdopodobne w tych okolicznościach, prawda?

- Jakich okolicznościach? Długa przerwa.

- O, kurwa - przeklął Neil.

- Co?

- Nie powiedziała ci?

- Czego?

- Odchodzi od niej. Najwyraźniej ma romans. Powiedział jej o tym tego samego dnia, kiedy dowiedziała się o ojcu.

- Co?

- Wiem... zawsze uważałem, że z niego kawał drania, ale nie wiedziałem, że jest aż takim tchórzem. Powiedział jej to przez telefon. Gnojek.

Teraz wszystko nabrało sensu. Obecność Freddie u Tamsin tamtego dnia. To, że nie chciała, żeby do niej wszedł, kiedy ją odwiózł do domu. Samochód zostawiony na stacji. Wydawało mu się to dziwne, ale nie chciał na nią naciskać. Dlaczego mu nie powiedziała? Spędzili całe popołudnie u Tamsin, która wiedziała. Poczł ukłucie zdrady. A następnego dnia całe wieki byli razem w samochodzie, w drodze do Harry'ego i z powrotem. Dlaczego mu o tym nie powiedziała?

- Matt?

- Jestem.

- Mam za długi jęzor. Może się wstydziła. To bzdury. O wiele więcej razem przeszli.

- A może ma nadzieję, że uda im się to rozwiązać - płątał się Neil, ponieważ Matt nic nie mówił, a on wiedział, że go zaszokował. Wiedział też, że będzie miał kłopoty z Tamsin za nadużycie zaufania. A to nie było dobre.

- Może. Biedna Freddie.

- Beznadziejne wycucie czasu, chociaż Freddie twierdzi, że powiedział jej o tym, zanim dowiedziała się o tacie, więc to nie jego wina, że trafił na taki fatalny moment. Dziwne, że tak go broni, co? Ale i tak nigdy za nim nie przepadałem.

- Ja też nie.

Prawda była taka, że Adrian nigdy całkowicie nie przyłgnął do grupy. Neil był pierwszym faceitem, który pojawił się na scenie, a on doszedł trzy lata później. W zasadzie razem dorastali. Lubili te same rzeczy. Pochodzili z tego samego środowiska. Neil wychował się w szeregowym domku w Reading, Matthew na osiedlu w Newcastle. Obaj byli żądni sukcesu i mieli ambicje w wybranych przez siebie zawodach, chcieli zapewnić godziwą przyszłość swoim rodzinom. Matthew zawsze czuł, że Neil wiedział, co stracił po śmierci Sary - nie tylko życie, które razem wiedli, ale też to, które sobie z nią wyobrażał: dom, dzieci, przyszłość, bardzo przypominającą tę, którą Neil budował dla Tamsin i siebie. To ich zbliżyło, chociaż Neil zostawiał „ckliwe kawałki”, jak to określał, dla Tamsin.

Adrian pochodził z wyższych sfer, co aż z niego parowało. Jego rodzice byli właścicielami ziemskimi i minęło wiele pokoleń od czasu, kiedy jego rodzina musiała zarabiać na życie, a prywatna edukacja najwyraźniej nie przyczyniła się ani do wzrostu ambicji, ani zdolności. Jego beztroska zawsze była odrobinę obraźliwa. Obaj mężczyźni pamiętali, kiedy pierwszy raz spotkali Adriana, mniej więcej czternaście lat temu. Cała czwórka: Neil i Tamsin, Matthew i Sara, pojechała do Méribel od-

wiedzieć Freddie pod koniec sezonu. Wyskrobali razem pieniądze na autobus, wierząc, że Freddie wyłudzi dla nich tani nocleg i przejazd wyciągiem. Tamsin nie miała zamiaru jeździć na nartach, jak się zarzekała, ale cieszyła się, obserwując Neila na dole stoku, uzbrojonego w kubki gorącej czekolady z pianką. Sara umiała jeździć na nartach i paliła się, żeby nauczyć chłopaków, którzy żartowali, że drugiego dnia uciekną jej, jak tylko się obudzą.

Freddie wyszła po nich na przystanek, chociaż przyjechali późno w nocy. Podskakiwała z podniecenia, kiedy drżący wylewali się z autobusu, wykończeni długą jazdą i z mdłościami po ostatnim krętym podejździe pod górę. Dowiedzieli się o nim, zanim dotarli do jej mieszkania. Były oficer, okropnie przystojny. Przez cały sezon przyjeżdżał do niej, kiedy tylko mógł, i Freddie była pewna, że go kocha, żadne z nich jeszcze tego od niej nie usłyszało, chociaż miała mnóstwo chłopaków.

Więc może pierwszy mężczyzna, którego pokochała Freddie, musiał być rozczarowaniem. Neil i Matthew nie kupowali też wojskowej męskości: wymuszonego głośnego śmiechu, klatki piersiowej, która wyglądała albo na zapadniętą, albo na wypchaną, i ciągłego nawiązywania do tego, że „widział akcję” na Falklandach. Po prostu to nie było w ich stylu i nie spodziewali się, że będzie to w stylu Freddie. Ona też wydawała się bardziej zgaszona i uległa niż kiedykolwiek wcześniej.

Wypili po drinku i zaczęli się rozlokowywać, Adrian poprowadził Freddie do sypialni, a ona pokornie poszła za nim, oglądając się na nich przez ramię. Wszyscy słyszeli przez cienkie sosnowe drzwi, jak się całowali i opadli na łóżko; skrzywili się i zajęli rozdzielaniem miejsc do spania.

Pierwszej nocy Tamsin wyszeptwała do Neila w łazience, kiedy myli zęby.

- Wiesz, co jest w tym zabawne? On mi przypomina jej tatę.

Neil spojrzał na nią ciekawie. Nigdy nie spotkał ojca Freddie.

- Nie z wyglądu - ciągnęła Tamsin - ale jest w nim coś takiego, wiesz, co sprawia, że nie wiesz, czy widzisz to, co on chce ci pokazać, czy to, co naprawdę w nim siedzi. Rozumiesz?

Neil nie rozumiał. Kręciło mu się w głowie ze zmęczenia i jedyne, na co miał ochotę, to położyć się z nią do łóżka i spać przez dwanaście godzin. Zamknął jej usta pocałunkiem o smaku pasty do zębów.

- Za dużo myślisz.

- To nie potrwa długo. Założę się.

Tuż obok, już w śpiworach, Sara szeptała to samo, tylko łagodniej do Matthew.

- On niezupełnie do nas pasuje, prawda? Jak Steve. Wiem, że to nie nasza sprawa, ale tak bym nie chciała, żeby któraś z nich związała się z człowiekiem, z którym wolelibyśmy się nie spotykać.

Steve był maklerem, z którym Reagan chodziła tej zimy. Nie pojechała na narty, bo Steve zabrał ją na Karaiby za swoją olbrzymią premię. Nie pobił półrocznego rekordu Reagan i latem spotykała się już z dziennikarzem muzycznym o imieniu Bailey, którego poznała na jakimś koncercie. Był w po-



rządku, o ile się za bardzo nie nawalił, ale nauczyli się już nie przyzwyczajać do facetów Reagan. Zawsze widziało się ich w ciuchach z jednego sezonu.

Ale Freddie i Adrian przetrwali przez te wszystkie lata. Aż do teraz.

Rozłączył się z Neilem, który kazał mu obiecać, że go nie wyda Tamsin, wstał i podszedł do okna. Nie zdawał sobie sprawy, że była już przerwa na kawę. Ludzie falowali na trawniku, trzymając tekturowe kubki. Ogarnęła go panika z nadmiaru emocji: był wściekły na Adriana, dotknięty trzymaniem tego przed nim w tajemnicy, a przede wszystkim zdesperowany. Desperacko chciał się spotkać z Freddie.

Wrócił do biurka i podniósł słuchawkę.

- Abby? Możesz sprawdzić loty? - Spojrzał szybko na otwarty kalendarz na biurku. - Czwartek w nocy albo piątek rano, do Bostonu.

wrzesień

Chatham, Cape Cod

Dom ojca Freddie usytuowany był na przedmieściach Chatham, miasta leżącego w zgięciu ramienia Cape Cod. Nigdy w nim nie mieszkała - dorastała w miejskiej rezydencji w Beacon Hill, z której wyjechała, zanim się tutaj wyprowadził na stałe w 1990 roku. Nie miała zdjęcia tego domu, więc Reagan i Tamsin nie wiedziały, czego się spodziewać, kiedy Freddie poinstruowała je, żeby skrócić w lewo, i Reagan zatrzymała samochód na końcu cichej nieoznaczonej drogi. Tamsin zagwizdała.

- Jej - wykrzyknęła Reagan. - Jaki wspaniały dom!

Trzypiętrowy, zbudowany z tradycyjnych desek pomalowanych na nieskalany jasnożółty kolor pierwiosnków, stał daleko od drogi przecinającej trawnik. Pięć szerokich schodów prowadziło na werandę z tarasem przypominającym estradę, krzesłami z Adirondack i huśtawką. Z drugiej strony wznosiła się trzypiętrowa wieża zwieńczona stożkowatym dachem z szarych płytek. Wieża kryła trzy idealnie okrągłe pokoje z oknami wychodzącymi na wszystkie strony. Budynek otaczały krzaki rododendronów i soczyście zielona trawa. Po lewej stronie, niecałe sto metrów od domu, rozciągał się ocean, do którego prowadził prywatny pomost dla łodzi i skrawek piaszczystej plaży. Dom był piękny. Nie powinien należeć do ojca Freddie. Wyglądał na dom pełen miłości.

- Jak ci to przypadnie w testamencie, mogę zostać twoją najlepszą przyjaciółką? - spytała najlepsza przyjaciółka Freddie.

Reagan uderzyła Tamsin w ramię.

- Ciii!

Drzwi wejściowe były otwarte. Szły ścieżką w kierunku domu i w drzwiach pokazała się kobieta. Zobaczyła Freddie i rozpostarła szeroko ramiona.

- Freddie! - Grace Kramer podbiegła do niej. Była drobniutka i Reagan domyśliła się, że dobiega sześćdziesiątki. Wyglądała tak, jakby obóz mógł z miejsca ją zniszczyć, ale pewnie okazałyby się jedną z tych, które potrafią wyczarować jedzenie z niczego i robić gorące okłady z ziół. Włosy miała zaczesane w gładki, srebrzysty kok i nosiła ubranie z szarego lnu. Jej twarz była życzliwa, ale pomarszczona, z ciemnymi cieniami pod oczami. Teraz płakała i wznosiła okrzyki zachwytu, współczucia i smutku naraz.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - Mówiła, oddalając się od Freddie, ale nadal mocno trzymała ją za rękę. Słysząc było delikatny irlandzki akcent. - Niech na ciebie spojrzę! - Brzmiało to, jakby mówiła do dziecka. - Za szczupła - obwieściła i znów uścisnęła Freddie. Później zamilkła na chwilę. Zaciśnęła powieki i tuliła Freddie, która odwzajemniła uścisk.

W końcu rozdzieliły się i Grace odwróciła się do pozostałych.

- To są moje przyjaciółki, Tamsin i Reagan. - Freddie przedstawiła je.

- Ach, tak. - Najwyraźniej bardzo dobrze wiedziała, kim są.

- Przyjechały ze mną... żeby pomóc.

- Jak to miło z ich strony. Cieszę się, że widzę was wszystkie. Chodźcie, chodźcie... - I poprowadziła je schodami na werandę.

- Zrobię herbatę. A wy, moje panie, może tu usiądziecie?

- Pomogę ci, Grace - zaproponowała Freddie.

Tamsin i Reagan obserwowały, jak Grace uścisnęła rękę Freddie i obie kobiety weszły do domu przez rozsuwane drzwi.

Tamsin klapnęła na jednym z drewnianych krzesel.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - westchnęła.

Reagan poszła w kierunku oceanu i wzięła głęboki wdech. Zawsze kochała morze. Dorastała w Norfolk i jej najszczęśliwsze wspomnienia związane były ze wspinaniem się na wysoki kamienisty brzeg, niedaleko domu. Przysiadła, obserwując nastrój fal i czując sól na policzkach. Niektórzy ludzie patrzyli przez kilka minut i wracali do swojego życia, ale Reagan mogła siedzieć tam godzinami.

Nie powiedziała im jeszcze o rezygnacji, bo w tej podróży nie chodziło o nią. Przyjechała tutaj ze szczerymi zamiarami. Chciała pomóc Freddie, być razem z Freddie i Tamsin. Rezygnacja to inna sprawa.

W biurze nie uwierzyli jej ani kiedy przedstawiła ją na piśmie, ani kiedy im to powiedziała rano, zanim wyjechała do Bostonu, spokojnie i wyraźnie w biurze szefa. Stwierdzili, że po prostu potrzebuje urlopu i dostanie go tyle, ile chce. Zastanawiała się, co mieli na myśli - czy naprawdę wolno jej zniknąć na sześć miesięcy i wejść tanecznym krokiem do tej samej pracy, czy są granice tego, czego może oczekiwać. Podejrzewała to drugie.

Całe to zajście było raczej żenujące. Wspólnik z kierownictwa zbladł, nacisnął na interkom i wezwał wesołego kierownika kadr. Przypomniało jej to rozmowę, którą odbyła ze swoim promotorem na uniwersytecie. Nie napisała ważnego eseju i kiedy próbowała wytłumaczyć, dlaczego tego nie zrobiła, zbladł i nagle wysłano ją do szpitala psychiatrycznego w Summertown. Korciło ją, żeby wymyślić sobie przerażającą przeszłość - to usprawiedliwiłoby opłatę za bilet autobusowy i trud, jaki sobie wszyscy zadali w college'u, żeby nie musieć jej wysłuchać. Oczywiście, nie zrobiła tego.

Bóg wie, jakie wymyślali problemy, zarówno wtedy, jak i teraz. Pewnie była w ciąży i wyjechała, żeby ją usunąć. Albo miała jakąś straszliwą chorobę. Albo może po prostu była nieprzystosowana. Oczywiście, że była. Musiała być. Inkasowała sześciocyfrową pensję, robiąc coś, co kiedyś uwielbiała i w czym zawsze była świetna. Miała apartament na ostatnim piętrze i prawdziwe dzieła sztuki, ani grama zbędnego tłuszczu i szafę pełną ubrań od Armaniego.

I nienawidziła swojego życia. Jak mogła wytłumaczyć to komuś takiemu jak kierownik kadr, którego prawie nie знаła? Jak mogła to wytłumaczyć swoim najlepszym przyjaciółkom? Nie była pewna, czy potrafi sama sobie to wytłumaczyć. Bała się, że to wszystko wiązało się z nim. I może jeszcze bardziej się bała, że to w ogóle nie było z nim związane.

W końcu stała się trochę agresywna. Nie pamięta dokładnie, co powiedziała, po wejściu kierownika kadr zapadła czerwona mgła. Ale prawie na pewno zakomunikowała im, że mogą rozważyć urlop w zaproponowanym przez nią terminie i że nic ją nie obchodzi premia, którą miała dostać na koniec roku, i że jest pewna, że mogą przekazać jej sprawy kolegom, którzy najwyżej zrezygnują z kilku męskich całonocnych imprez, co było oznaką honoru i wyrazem zaangażowania w firmie. Później wyszła.

Teraz stała na werandzie ojca Freddie, patrzyła na plażę i zastanawiała się, czy się nie rozebrać, brnąć przez błękitne morze i nie zatrzymywać się, dopóki woda nie zakryje jej głowy.

Kuchnia pachniała cynamonem: pałeczkami związanymi wstążką w kratkę, które wisiały wszędzie. Jeden pęczek wisiał nad zdjęciem Freddie, mniej więcej jedenastoletniej, zrobionym na Boston Common. Freddie spojrzała na swoje zdjęcie, zobaczyła Harry'ego i ukuła ją tęsknota. Wahadłowe drzwi zamknęły się za nimi. Grace zajęła się czajnikami i kubkami.

- Jak sobie radzisz? - spytała Freddie. Była trochę zszokowana widokiem Grace. Wyglądała o wiele starszej niż w czasie ostatniego spotkania.

Grace załkała w odpowiedzi, i kiedy się do niej odwróciła, w jej oczach kręciły się wielkie łzy.

- Och, Freddie, ciężko mi było zupełnie samej. - Później dodała: - Wiem, że przyjechałaś tak szybko, jak tylko mogłaś, kochanie...

Freddie tak nie zrobiła i czuła się winna.

Grace otwarcie płakała i przez kilka minut nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Kiedy odzyskała głos, powiedziała:

- Tak bardzo za nim tęsknię. - To wszystko.

Jej ton i bezdenna rozpacz na twarzy uderzyły Freddie. W jednej chwili dokonała odkrycia, którego dokonuje dziecko, kiedy pierwszy raz widzi swoich rodziców oczami dorosłego. Kochała go. Oczywiście, że tak. Inaczej nie zostałaby tu przez te wszystkie lata.

Było to tak oczywiste, że Freddie poczuła się głupio. Grace poświęciła dla niego wszystko, własną rodzinę, własną miłość. Przyjechała tu z nim z Bostonu. Nie miała możliwości zbudowania czegoś tylko dla siebie, co by mogło ją tu zatrzymać.

Freddie spojrzała na Grace i zobaczyła kobietę, która poświęciła najlepsze lata życia, służąc jej ojcu, mężczyźnie, który nie umiał niczego dać w zamian. Z pewnością niewiele dał jej.

Ale kiedy do niej podeszła, Grace otrząsnęła się i odzyskała panowanie nad sobą.

- Tyle spraw trzeba załatwić.

Freddie nie dała się odciągnąć od tematu.

- Kochałaś go. - Nie było to pytanie ani oskarżenie. Grace patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

- Oczywiście.

- Przez cały ten czas... Nie zdawałam sobie sprawy... Nigdy nie pomyślałam... Biedna Grace.

Grace rozpoznała, czego dotyczył ten żal, i zdecydowała się. Powinien pozwolić jej powiedzieć to Freddie dawno temu. Śmierć komplikowała pewne sprawy, ale inne nagle stawały się bardzo proste.

Tamsin wskoczyła z telefonem komórkowym; Freddie zostawiła go w torbie na werandzie i nie słyszała, jak dzwonił.

- To Harry!

Freddie złapała komórkę.

- Witaj, kochanie.

- Cześć, mamó.

- Jak się masz, skarbie?

- Dobrze. Jestem na dworze. Oczywiście. Był niedzielny ranek.

- Tata mnie zabrał pół godziny temu. Będziemy grać w golfa. - Oczywiście.

- Tylko wy dwaj? - Nienawidziła siebie za to pytanie. Harry wyglądał na zaskoczonego.

- Kto jeszcze?

- Nikt. Pomyślałam tylko, że może zabrałaś kolegę... - dodała szybko Freddie. To głupota myśleć, że mógł wziąć ze sobą Antonię Melhuish. Nie ośmieliłby się!

- Nie. Chcesz pogadać z tatą? Jest tutaj. - Ucisk mięśni żołądka i karku ustąpił. Nic nie powiedział Harry'emu. Oczywiście, że nie. To nie w stylu Adriana. Zrobił bałagan i zostawił go jej do posprzątania. Ale i tak była wdzięczna, że nic nie powiedział, mimo że wynikało to bardziej z tchórzstwa niż z rozwagi.

- Nie przejmuj się, kochanie. Zawsze mogę porozmawiać z tatusiem, powiedz mu, że zadzwonię później. - Jak łatwo przychodziło jej kłamać, kiedy musiała chronić Harry'ego. - Chcę wiedzieć wszystko, co u ciebie. Jak półrocze? Co ze sportem?

Wyciągnęła krzesło i usiadła przy stole kuchennym, rzucając Grace i Tamsin przepraszające spojrzenie. Grace machnęła ręką, uśmiechając się.

Grace i Tamsin spojrzały na siebie.

- Chodźmy - odezwała się Grace. - Pokażę ci dom.

- Och, świetnie. Nie mogę się doczekać wycieczki z przewodnikiem.

Weszły przez wahadłowe drzwi do salonu i Tamsin zawołała Reagan, która nadal była na zewnątrz.

- Jaki wspaniały dom - krzyknęła Tamsin, kiedy pojawiła się Reagan. - Wygląda jak dekoracja do filmu.

Dom był piękny. Umeblowany z prostotą: głębokie, szerokie sofy w paski i ciapki, lakierowane, kasztanowe podłogi i nowoczesne pejzaże morskie na ścianach. Elegancki i wygodny, i - pomyślała Tamsin - niemal kobiecy. Zupełnie inny od jej wyobrażeń o domu ojca Freddie.

- O co chodzi z tymi zegarami? - spytała Reagan.

- Ojciec Freddie... miał do nich słabość. Zegarki na rękę, z dewizką, zegary. Zbierał je. Nakręcanie ich zajmuje prawie cały ranek, jak się ma do tego głowę.

Było ich mnóstwo: duży staromodny drewniany zegar przy drzwiach wejściowych, z ornamentami na tarczy, olbrzymi stary zegar ze stacji kolejowej wiszący na ścianie, para delikatnych zegarków z powozu, dziwnie nie na miejscu na półce nad piecem na drewno. Tamsin rozejrzała się po pokoju i z powrotem odwróciła się do Grace. Zauważyła worki pod oczami. Miała jedną z tych twarzy bez wieku, mogła być między czterdziestką a sześćdziesiątką. Jej ciało wydawało się szczupłe i naprężone, niemal szorstkie. Poszły za nią na górę.

Tamsin pomyślała o piosence. „Zatrzymali się. W miejscu. Nigdzie już nie pójdą. Odkąd starszek zmarł”.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę te pokoje w wieżycy od wewnątrz, muszą być niemal zupełnie okrągłe.

- Są. - Grace otworzyła drzwi i cofnęła się, żeby wpuścić Reagan i Tamsin do jednego z nich. Był zalany światłem. Z okna rozciągał się wspaniały widok na plażę. Reagan podeszła do okna, zamilkła pod wpływem panującego tu spokoju.

Tamsin zauważyła, że był to gabinet ojca Freddie. Na środku stało ogromne dwuosobowe biurko z krzesłami po obu stronach. Na biurku panował nienaganny porządek, było prawie puste, za to przy ścianie z tyłu stały trzy duże szare regały na dokumenty. Było tu niewiele ozdób, nie licząc jeszcze kilku zegarów i dużego nowoczesnego olejnego portretu Freddie w wieku siedmiu lub ośmiu lat.

Od razu było widać, że został namalowany ze zdjęcia, a nie z natury. Freddie miała na sobie dzinsy dzwony, czerwoną koszulkę i wisiołek z miniaturką 7-Up w formie breloczka. Jedną rękę trzymała na biodrze, a drugą odgarniała niesforny jasny lok za ucho. Malarz świetnie uchwycił światło - połowa jej postaci lśniła. Freddie lekko mrużyła oczy, uśmiechając się. Dookoła portretu, w mniejszych ramkach, wisiały inne zdjęcia Freddie: niemowlaka, absolwentki Oksfordu w czapce i todze, ślubne, roześmianej z Tamsin, Sarą i Reagan. Wszystkie wyglądały tak młodo, pomyślała Tamsin. Było też jedno zdjęcie Freddie trzymającej nowo narodzonego Harry'ego. Ale na żadnym z nich nie było jej ojca.

- Wygląda jak kaplica, tylko jakaś dziwna - zauważyła Tamsin.

- Przypuszczam, że tak właśnie jest - odpowiedziała Grace. - Freddie nigdy tu nie była.

- Powinna być. - Reagan weszła do pokoju przyciągnięta okrzykiem Tamsin.

Tak bardzo różniły się z Freddie. W domu rodziców był pokój, do którego nigdy nie weszłaś! To niepojęte.

- Tak, powinna. Był taki dumny z niej i z jej wszystkich osiągnięć. Taki dumny. - Grace zamysliła się.

- Tyle że nigdy jej tego nie powiedział. - Tamsin wiedziała, że Freddie zawsze czuła tylko dezaprobatę, pogardę i brak zainteresowania ze strony ojca. Zastanowiła się. Skąd brała się aż taka różnica między tym, co czuł, a tym, co okazywał? A teraz nie żył, i to była cholerna szkoda, ponieważ Freddie dowie się i zrozumie, ale nie będzie miała dokąd z tym pójść, żadnego rozwiązania, którego mogłaby szukać.

Wyszły gęsiego i Grace zamknęła za nimi drzwi. Może lepiej, żeby Freddie tu na razie nie wchodziła, pomyślała Tamsin. Grace kontynuowała oprowadzanie.

- Tutaj są dwie sypialnie dla gości - pokazała ręką - a tu jest wspólna łazienka. Na górze oprócz apartamentu gospodarza jest jeszcze jeden, też z osobną łazienką. Same, dziewczynki, ustalcie, która gdzie będzie spała.

Tamsin wyglądała na zdezorientowaną.

- To nie mieszkasz tutaj, Grace?

- Tak, mieszkam - powiedziała lekko roztrzęsionym głosem. - Na górze jest piąta sypialnia. Właśnie tam śpię. - I już schodziła po schodach. - Czy macie dużo bagażu? Może go tutaj wniesiemy. Pomogę wam, a później zajmę się herbatą.

Tamsin i Reagan wymieniły zdziwione spojrzenia na półpiętrze i poszły za nią.

W kuchni Freddie skończyła rozmawiać z Harrym. Cudownie było usłyszeć jego głos i historie o kolegach z klasy, wychowawcy i wczorajszym meczu. Wydawał się szczęśliwy. Freddie miała nadzieję, że to nie były pozory - Harry potrafił udawać wesołego, żeby ją zmylić.

Chodziła po kuchni, patrząc na znajome i jednocześnie obce przedmioty. Na haku wisiał kalendarz ze zdjęciami Ansel Adamsa, tak spokojnymi i budzącymi respekt. Podniosła wrzesień, żeby

spojrzeć na ilustrację października. Jej wzrok przykuł jedyny wpis w całym miesiącu, dziesiątego „szpital”.

Jedno słowo. Napisane czerwonym tuszem. Ciekawa, chociaż czuła się winna, wróciła do września. W tym miesiącu było więcej wpisów: dwa razy golf - w drugim wypadku nigdy nierozegrana runda - jakieś spotkania, kolacja z przyjaciółmi - i znów „szpital”. Był wpisany w sierpniu i w lipcu. Dotarła do czerwca, kiedy weszły do kuchni.

- Jesteś chora, Grace?

- Nie.

- Hm... - Wszystkie widziały, jak zmieniała się twarz Freddie. - Czy mój ojciec był chory?

- Twój ojciec zmarł na zawał, Freddie.

Zabrakło odpowiedzi. Freddie patrzyła Grace w oczy, dopóki ta nie opuściła wzroku.

- Grace... - W jej głosie brzmiała nuta ostrzeżenia.

- Tak. Był chory.

- Na co?

- Miał raka. - Słowa ciężko zabrzmiały w ciszy.

Grace wyciągnęła krzesło i usiadła, zaciśnięte dłonie położyła na stole. Tamsin podeszła do czajnika, żeby zrobić herbatę, ściskając po drodze ramię Freddie. Reagan poszła jej pomóc.

Freddie usiadła obok Grace.

- Jak długo?

Grace wzięła głęboki wdech. Zaczęła mówić i brzmiało to tak, jakby to już przećwiczyła. Nie patrzyła Freddie w oczy.

- Mniej więcej rok. To się zaczęło jak grypa, naprawdę. Przez cały czas czułem się taki zmęczony, i to było niezwykle. Zawsze miał tyle energii. I ciągle pojawiały się te niewiarygodne krwotoki z nosa, tyle krwi. Chudł, a twój ojciec był postawnym mężczyzną, więc nakłoniłam go, żeby poszedł do lekarza. Po prostu czułam, że coś jest nie w porządku, i znaleźli to. Miał białaczkę. Ostrą białaczkę mielo-blastową. - Powiedziała to wolno i z rozmysłem, ostrożnie wymawiając każdą sylabę. - Z początku to nie było takie straszne. Powiedzieli, że musi przejść chemioterapię, kilka cykli, a później zrobili mu jeszcze więcej badań i stwierdzili, że udało im się tego pozbyć. Freddie ukryła głowę w dłoniach.

- Błagałam go, żeby ci powiedział. Najpierw stwierdził, że tego nie robi, dopóki nie dowie się więcej, a kiedy się dowiedział, uznał, że już jest po wszystkim i nie ma takiej potrzeby. I on chyba szczerze wierzył, że już po wszystkim. Ja też. Przypuszczam, że chcieliśmy w to wierzyć. - Wyglądała na niepocieszoną.

- Więc nie było po wszystkim?

Tamsin rozumiała potrzebę Freddie, żeby się wszystkiego dowiedzieć, ale brzmiało to napastliwie. Mówienie o tym z pewnością było bolesne dla Grace, a Freddie na nią naciskała, mówiła ostrym tonem.

- Nie, nie było. Mniej więcej trzy miesiące temu dowiedział się, że choroba wróciła - wzięła głęboki wdech - i że jest śmiertelna. To go naprawdę załamało. Za pierwszym razem był taki pewny, że zdoła ją pokonać.

Freddie nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie mówili o raku jak o walce, jakby można była przeciwstawić mu wolną wolę. To było tak bardzo nie w porządku wobec tych, którzy umarli, jakby niewystarczająco „walczyli”, po prostu „poddali się”. Jakby nadal mogli żyć wśród tych, którzy ich kochali, gdyby tylko trochę bardziej się postarali. Pisali tak w nekrologach: „po długiej i odważnej walce”. Ale to była krzywdząca, agresywna, okropna choroba, a nie wróg, i jeśli miała cię zabić, to zabijała, bez względu na to, czy się twardo walczyło, czy nie.

- Powiedzieli, że to zależy od niego, czy jeszcze podda się kuracji. To nie była kwestia wyleczenia, tylko przedłużenia życia. W jego wieku przechodzenie przez to wszystko jeszcze raz było okrutne. I, mój Boże, chemioterapia to koszmar. Czuł się po niej taki chory, taki zmęczony. Myślę, że już nie był w stanie stawić temu czoła.

- Ale miał taki zamiar.

- O, tak. Błagałam go o to. Byłam chyba egoistką. Nie chciałam, żeby umarł. - Mówi zupełnie jak żona, pomyślała Freddie. Oczy Grace wypełniły się łzami. - Prawie się cieszę, że zmarł w takim momencie, bo nie musiał już przez to przechodzić. - Wyjęła chusteczkę z rękawa kardiganu i wytarła oczy. - To się zdarza. Chemioterapia to duży wysiłek dla ciała. Czasami chorzy po prostu przestają przychodzić. - Wstała i podeszła do szuflady w kredensie. Wyjęła z niej portfel ze zdjęciami, otworzyła go, wyjęła jedno i podała je Freddie.

- Zostało zrobione w zeszłym miesiącu. Może zrozumiesz, co mam na myśli.

Tamsin i Reagan podeszły i spojrzały jej przez ramię.

Freddie wpatrywała się w zdjęcie mężczyzny, którego ledwo poznawała. Był zmarnowany, wychudzony, wydawało się, że się fizycznie skurczył. Miał taką chudą szyję i sweter wisiał na nim, jakby należał do kogoś znacznie większego. Miał żółtawą skórę i zapadnięte oczy. Zdjęcie nie pozostawiało wątpliwości: wyglądał na umierającego człowieka.

- Byłam zaszokowana, kiedy zobaczyłam te zdjęcia. Widzisz, ja z nim tu mieszkałam. Nie zdałam sobie sprawy, jak z nim było źle.

Freddie nie mogła w to uwierzyć. Przez całe życie jawił się jej ogromny, niemal mitycznie potężny. Silny i potężny. Ale ten mężczyzna był kruchy i stary. Ogarnęła ją ogromna fala poczucia winy i smutku, ale podskórnym prądem płynął gniew.

Grace nadal mówiła, ale teraz jej głos był przytłumiony, jakby dochodził gdzieś z daleka.



- Nie umarł przykuty do maszyn w niewyobrażalnym bólu, bez godności, w szpitalu. Umarł w czasie snu, w swoim własnym łóżku. Spokojnie. Tak, jak chciał.

Jak mógł być spokojny? Nie wiedziałam! Nie wiedziałam! Krzyczał mózg Freddie. Łzy spływały jej po policzkach.

- Nie chciał, żebyś się martwiła - ciągnęła Grace. - Miałaś swoje życie, mieszkasz w Anglii, a to tak daleko. Nie chciał, żebyś się denerwowała.

- To bzdury! - Głos Freddie brzmiał przenikliwie.

- Freddie... - Reagan próbowała jej dotknąć, ale Freddie odepchnęła ją. Wstała i oddaliła się od nich.

- Wiem dlaczego, i wierz mi, nigdy nie chodziło o to, żeby mnie chronić. Nie liczyłam się dla niego na tyle, żeby mnie tu chciał. Albo uważał, że nie zasłużyłam, żeby mi powiedzieć. Znów mnie karał. Nie wiem za co. Ale to właśnie robił.

Grace podeszła do niej.

- To nieprawda, Freddie. Ale Freddie biegła do drzwi.

- To prawda. Właśnie tak. Nawet nie próbuj, nie waż się mówić mi, że jest inaczej - wyrzuciła z siebie. I już jej nie było.

Grace znalazła ją na plaży. Siedziała na piasku z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej, wpatrując się w morze. Usta już jej nie drżały, ale widać było, że płakała: jej twarz jeszcze była mokra, a powieki spuchnięte. Grace pomyślała, że wygląda jak nadąsana potargana nastolatka, którą kiedyś była, i poczuła nagle ukłucie tęsknoty za tamtym życiem, kiedy problemy Freddie sprowadzały się do złej oceny z klasówki albo miłości.

Grace była na niego zła. Kochała go, ale teraz była na niego zła za to, że nie załatwił tego, zanim od nich odszedł, i jej zostawił rozwiązanie. Jeśli da się to rozwiązać. A nawet jeśli się da, żadna z nich na tym nie skorzysta.

- Przepraszam, Grace. Nie powinnam tak na ciebie wrzeszczeć. - Freddie wyglądała na skruszoną.

Grace usiadła obok niej i objęła ją ramieniem. Nie przyszło jej to łatwo, Freddie była znacznie postawniejszą kobietą, ale natychmiast się rozluźniła i położyła głowę na ramieniu Grace.

- Ja też przepraszam, skarbie. Nie powinnaś się o tym dowiedzieć w ten sposób. Wierz mi, że tak by się nie stało, gdyby to zależało ode mnie. - Patrzyła za spojrzeniem Freddie w morze. - Może i tak powinnam była ci powiedzieć. Kazał mi obiecać, że tego nie zrobię. Ale co z tego?

- Zawsze był kontrolującym wszystko draniem. Nie wiem, jak mogłaś tak długo z nim wytrzymać.

- Kochałam go.

- Wiem, że tak. Ale mimo to...

- I on mnie kochał.

Freddie nie od razu ją zrozumiała.

- Skąd, do licha, mogłaś o tym wiedzieć?

- Ponieważ codziennie mi to okazywał. Często też mi to mówił.

Freddie wyprostowała się.

- Co masz na myśli?

- Daj spokój, Freddie. Musiałaś wiedzieć, naprawdę.

- Co wiedzieć?

- O twoim ojcu i o mnie.

- Co takiego z moim ojcem i tobą?

- To, że się kochaliśmy. Na litość boską, żyliśmy w tym domu przez lata jak mąż i żona. Myślałam, że się domyśliłaś.

- Skąd miałam wiedzieć? Bywałam tu tak rzadko, jak się dało, wiesz o tym. - Ale o dziwo Freddie nie czuła zdziwienia. Wydawało się to takie oczywiste, kiedy zostało wypowiedziane na głos. Po ostatniej rewelacji w domu ta wiadomość była dziwnie mało szokująca.

- Och, Grace.

Grace lekko wzruszyła ramionami.

- Opowiedz mi o tym. - Freddie chciała słuchać. Chciała wiedzieć.

- Nie ma tu dużo do opowiadania, skarbie. Nie jestem pierwszą nianią ani gospożą, która zakochała się w szefie. Poczułam coś, jak go pierwszy raz zobaczyłam. Wydawał się taki tragiczny, opuszczony przez młodą żonę. Każda by się zakochała. A on był przystojny, pełen życia, z całą tą stłumioną energią i jeszcze czymś pod powłoką. Myślę, że widziałam to samo, co twoja matka. Zrozumienie, że był trudnym człowiekiem, nie zabrało mi dużo czasu. Niekiedy prawdziwą świnią. - Szturchnęła Freddie. - Ale nie możesz wybrać, w kim się zakochasz, prawda? I, mój Boże, kochałam go. Na dystans przez długi czas. Nie sądzę, żeby w ogóle brał mnie pod uwagę. Miewał dziewczyny, kiedy byłaś dzieckiem. Nigdy się o nich nie dowiedziałaś, trzymał je w ukryciu i żadna z nich nigdy się do ciebie nie zbliżyła, ale ja wiedziałam. Miałaś jakieś dziesięć lat, tak mi się wydaje, kiedy pierwszy raz spojrział na mnie jak na kobietę. To było Boże Narodzenie i oboje czuliśmy się trochę samotni i podpici. Słuchał starych płyt i poprosił mnie do tańca. Zaprowadził mnie w tańcu prosto do swojego łóżka, co okazało się małym objawieniem dla nas obojga. - Grace spojrzała przepraszająco na Freddie, która się lekko uśmiechała. - Przepraszam, wiem, że był twoim ojcem, ale... cóż, pasowaliśmy do siebie w tej kwestii. I to było to, naprawdę. Nie istniał już nikt inny dla żadnego z nas. Trzymaliśmy to trochę w tajemnicy, kiedy mieszkałaś w domu i byliśmy w Bostonie. Ale po przeprowadzce tutaj... To był jego pomysł. Chciał, żebyśmy byli prawdziwą parą.

- Dlaczego się nie pobraliście?

- Powiedział, że nie zamierza się już nigdy ożenić.

- A co z tobą? Na pewno chciałaś wyjść za mąż? Grace uśmiechnęła się.

- Nie bardzo. Mam sześciu braci i pięć siostr i żadne z nich nie wytrzymało w pierwszym małżeństwie. - Spojrzała twardo na Freddie. - Dla ciebie to też nie był spacer w parku, co?

Czy to było aż tak oczywiste?

Grace przyjechała na jej ślub. Był to jedyny raz, kiedy odwiedziła Anglię. Freddie przypomniła ją sobie w liliowym kostiumie i małym, okrągłym kapelusiku z woalką, która niczego nie zakrywa. Pozostawała w tle, jak zawsze, ale tak się cieszyła. Wydało się jej zabawne, kiedy pomyślała, że byli wtedy razem, Grace i jej ojciec. Wrócili po weselu do Savoya i leżeli razem w jednym wielkim łóżku, rozmawiając o tym. Mogłoby być inaczej, gdyby wiedziała. Grace czekała na odpowiedź.

- Nie był to spacer w parku, nie. I myślę, że pewnie już się skończyło. Nie wiem, czy w ogóle powinnam za niego wyjść.

- Ale byłaś w nim szalenie zakochana.

- Naprawdę? Dziwne. - Freddie wiedziała, że to prawda, ale nie mogła sobie tego wyobrazić. - Przynajmniej tacie się podobał.

- Zawsze powtarzał, że chyba cię do niego popchnął. Bał się, że między innymi po to wysłał za Adriana, żeby mu się przypodobać.

Freddie była zaskoczona.

- Nigdy tego nie powiedział.

- Nie tobie, a to wielka szkoda, ale powiedział to mnie.

- Kiedy?

- W dniu twojego ślubu. Oczywiście, wtedy było już za późno. Twój ślub był taki niezwykły. Zupełnie jak Karola i Di.

Uroczystość odbyła się w kościele Świętej Małgorzaty w Westminsterze, nie u Świętego Pawła, i była tam obecna tylko garstka pomniejszych księząt, ale Freddie wiedziała, co ma na myśli.

- To było takie wspaniałe, z tymi wszystkimi kostiumami i druhami, i ogromnymi dekoracjami z kwiatów, i tortem. Matka Adriana przejęła kontrolę nad tym dniem i Freddie czuła się jak na planie filmowym. Nie знаła połowy druzhen i Grace miała rację, kwiaty były absurdalne. Wyraźnie sobie przypomniła, jak podchodzi do ołtarza i patrzy na tłum, szukając Sary i Matthew, Neila i Tamsin, i Reagan z kimkolwiek, kto jej asystował tego lata. Poczowała taką ulgę, kiedy ich dostrzegła, promieniujących poparciem dla niej. Miała wrażenie, że prawie wszyscy pozostali są wirtualnymi nieznajomymi.

- Pamiętam, jak mówił - ciągnęła Grace - że ten dzień był dokładnie taki, jak go sobie dla ciebie wymarzył; te sprawy zawsze były dla niego istotne do przesady, ale obawiał się, że Adrian nie był tym właściwym. Wyszepiał do mnie: „Widzisz, jak na nią patrzy”, kiedy składałaś przysięgę, i miał rację.

- Co masz na myśli?

- Wyglądał na zdenerwowanego i szczęśliwego, ale nie był... - Grace usiłowała znaleźć odpowiednie słowa - ... nie patrzył na ciebie, jakby miał umrzeć, gdybyś nie powiedziała „Tak”. Bez ognia.

- Świetnie.

- Przepraszam. Gadam głupstwa. Twój ojciec nigdy ci nic nie powiedział, ponieważ myślał, że go nie posłuchasz.

- Ale powiedział, że Adrian to odpowiedni dla mnie człowiek.

- I zawsze tego żałował. Zwierzył mi się, że Adrian był odpowiedni dla niego, ale nie dla ciebie. Jesteś bardziej podobna do matki niż do niego. Jego zdaniem ona by to lepiej oceniła. - Nagle wstała i otrzepała piasek ze spodni. - Pewnie jesteś głodna. Chodźmy coś zjeść.

Freddie wstała i przytuliły się szybko. Patrzyła na Grace i wiedziała, że ma klucze, które otworzyłyby przed nią ojca. Gdyby tego od niej zażądała.

Trzymały się za ręce.

- Raz poprosił mnie, żebym za niego wyszła - zwierzyła się Grace.

- Kiedy?

- Kiedy dowiedział się, że rak wrócił. Wiedział chyba, że umrze.

- I co powiedziałaś?

- Nie odpowiedziałam. Ciągle to „przemysliwałam”, aż umarł. - Uśmiechnęła się smutno, ale była bliska łez. - Za długo myślałam.

- Nienawidzę pogrzebów - narzekła Reagan. Opierała się o estradę w małym parku, paląc ostatniego papierosa, zanim udały się w stronę kościoła.

Wyszły z domu godzinę wcześniej, zanim samochód pogrzebowy przyjechał po Grace i Freddie. Grace wszystko ustaliła i była najważniejszym żałobnikiem, przynajmniej jeśli chodziło o Chatham. Gdyby Freddie nie przyjechała, sama pojechałaby długim czarnym sedanem, drobna, pełna godności i cicha. Freddie zastanawiała się, co ludzie myśleli o Grace i jej ojcu. Oczywiście nie wiedzieli, co było między nimi w Bostonie, jak się poznali. Mogli się zastanawiać, dlaczego nie wzięli ślubu; Grace nie nosiła obrączki i miała na nazwisko Kramer. Freddie nie wyobrażała sobie, żeby w tym porządnym miasteczku było wiele par bez ślubu. Czy wywołali lekki skandal, delikatną falę zainteresowania? Żadnej stypy, zarządziła Grace. Nie chciał tego. Nie lubił ludzi wokół siebie w najlepszych chwilach, i na bank nie chciał tłumów w domu tego dnia. Freddie nie wiedziała, skąd miałyby przyjść „tłumy” żałobników do ojca. Ona i Harry byli jedyną rodziną, jaką miał. No i Grace. Jasno postawiła sprawę prawnikom w firmie i sąsiadom z Beacon Hill, że pogrzeb ma się odbyć w kręgu rodziny. Przystali na to bez oporów, niektórzy przebąkali coś o mszy w jego intencji w późniejszym terminie, inni przyznali rację, że właśnie tak człowiek ceniący prywatność i mający własne życie chciałby to urządzić.

Reagan wyglądała niezwykle szczupło w czarnym kostiumie. Większość ludzi była według Tamsin chuda w tym stadium ciąży - i nie tylko wtedy - ale Reagan była wychudzona. Jej klatka piersiowa wydawała się niemal wklęsła. Jedyne czarne rzeczy, w które Tamsin się mieściła, to para bawełnianych legginsów i obszerna koszulka, które teraz miała na sobie, szczęśliwie uratowane apaszką od Armaniego w biało-czarne kropki, którą pożyczyła jej Reagan. Starła się nie zwracać uwagi na to, że Reagan nosiła ją poprzedniego dnia jako pasek do niemożliwie małych rybaczków, a teraz ona przewiązała ją wokół szyi grubości pnia. Jak powiedziałyby Freddie, nie zamieniłaby się z Reagan na życie. Chociaż patrząc na swoje stopy, grube i spuchnięte, i na stopy Reagan, szczupłe i stylowe w klapkach na sznurkowych obcasach, miała wątpliwości.

- Nienawidziłam pogrzebu taty. Głównie z powodu mamy - zagała Tamsin. - Tak bardzo się starała, żeby nie płakać. A Sary był najgorszy. Nienawidzę pogrzebów ludzi, których kocham. Tak samo jak naprawdę uwielbiam tylko śluby osób, które kocham. Jeśli nie kocham osób, które się pobierają albo umarły, wszystko mi jedno. O ile nie śpiewają tej pieśni, że ktoś jest w niebezpieczeństwie na morzu. Zawsze przywodzi mi na myśl Kate Winslet i Leonarda DiCaprio i wtedy płaczę.

- Jesteś taka płytka.

- Pewnie tak.

- Myślisz, że Fred da sobie radę?

- Znasz Fred. Będzie przykładem opanowania. To o Grace się martwię. To ona dopiero co kogoś straciła. Myślę, że Freddie straciła ojca dawno temu, jeżeli w ogóle go miała.

Reagan przytaknęła.

- Pospiesz się z tą fajką, co?

- Martwisz się, że nie zajmiesz dobrego miejsca?

- Martwię się, że będę człapała wzdłuż nawy za trumną, jeśli się nie pospieszysz.

Reagan zaciągnęła się ostatni raz i zgmiotła papierosa czubkiem buta. Zsunęła z głowy ogromne okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie Onassis i wzięła pod rękę Tamsin.

- Boże, chyba znów muszę zrobić siku. Reagan skrzywiła się.

- Naprawdę jesteś ludzkim środkiem antykoncepcyjnym, wiesz o tym?

- Umiesz prawić komplementy.

Roześmiały się. Ich przyjaźń rozwijała się i trwała dlatego, że tylko trochę zazdrościły sobie nawzajem swojego życia i wiedziały o tym.

- Miło słyszeć twój śmiech - zauważyła Tamsin.

- Miło jest się śmiać. - Reagan delikatnie wzruszyła szczupłutkimi ramionami.

To nie jest właściwy moment. Tamsin przemyślała szybko sprawę, zanim zaczęła mówić dalej.

- Ostatnio rzadko słyszymy, jak się śmiejesz, albo za rzadko cię widzujemy.

- Wiem, przykro mi.

- Nie musisz przeproszać.

- Ale jest mi przykro.

- Powiedziałybyś nam, gdyby działo się coś złego, prawda?

Za szybko. Za dużo. Tamsin niemal widziała, jak Reagan zeszywniała.

- Nie dziś, Tams. Dzisiaj jest dzień Freddie.

W zasadzie było to potwierdzeniem, że działo się coś złego. Samo nie minie.

Tamsin wsunęła rękę pod ramię Reagan.

- Cieszę się, że tu jesteś, i wiem, że Freddie też się cieszy.

Reagan ścisnęła jej rękę, wdzięczna, że sobie odpuściła, chociaż wiedziała, że tylko na chwilę, i ruszyły główną ulicą w kierunku kościoła.

Tamsin przypomniawszy sobie swój ślub. Reagan wyglądała na zupełnie niezainteresowaną. To Sara poszła z Tamsin kupować suknię ślubną i taktownie odciągnęła ją od sukien typu beza, kierując do tych szytych ze skosu; Freddie zorganizowała burzliwy weekend paniński. Jeśli Reagan w ogóle brała udział w rozmowie o zbliżającej się ceremonii, zawsze przemawiał przez nią sarkazm i cynizm.

- Reagan już taka jest - brzmiał ciągły refren Sary. - Po prostu jest zazdrosna. - To Freddie. Ale i tak trochę ją to bolało.

Ta sytuacja trwała aż do dnia ślubu. Reagan nie przypięła sobie kwiatów, ponieważ nie pasowały do jej sukienki i zrobiłyby dziurę w jedwabiu. Freddie stała obok Tamsin i z wściekłością szeptała jej do ucha.

- Jeśli się do mnie zbliży, przysięgam Bogu, że ją walnę! Wcześniej wyszła.

Zanim Tamsin zdążyła się przebrać w strój podróżny. Nie wybierali się w daleką „podróż”, właściwie tylko do porządnego zajazdu w sąsiedniej wsi na kilka nocy. Neil był lekarzem stażystą i tak z czasem, jak i z pieniędzmi było krucho. Reagan nie wznosiła toastów, nie pocałowała jej ani nie brała udziału w szamotaninie o bukiet, który Tamsin rzuciła przez ramię.

Ale kiedy przyjechali do zajazdu i chcieli się zameldować, dziewczyna w recepcji powiedziała, że przeniesiono ich do apartamentu dla nowożeńców, z łóżem z czterema kolumnami, na którym podobno spał Henryk VIII w czasie wyjazdu na polowanie w którymś tam roku, i widokiem na park oraz dwuosobową wanną. Kiedy do niego dotarli, w wiaderku na nocnym stoliku chłodził się szampan tuż obok ogromnego pudła czekoladek Godiva z likierem, które Tamsin lubiła najbardziej. Na kartce widniały pajęczne bazgroły Reagan: Bądźcie tak szczęśliwi, jak jesteście.

- To wariatka! - krzyknął Neil. - Ona naprawdę cię kocha, wiesz?

To była cała Reagan.

Znalazły wolne miejsca w pierwszym rzędzie, mimo że zostało jeszcze tylko pięć minut. Nieliczna grupa żałobników trzymała się z tyłu, zajmując kilka środkowych rzędów. Kościół był duży i miał smutny wygląd. Wewnątrz znajdowali się głównie mężczyźni i parę kobiet. Tamsin domyśliła się,

że to członkowie klubu golfowego, w którym grał ojciec Freddie, odkąd przyjechał do Cape, albo biznesmeni, z którymi prowadził interesy. Jego testamentem zajmowano się w Bostonie. Freddie miała zamiar wrócić do miasta za parę dni, żeby spotkać się z prawnikami.

Chyba już nikt się nie pojawi - karawan miał nadjechać lada chwila i nabożeństwo powinno się zacząć za kilka minut. Tamsin starała się wygodnie usiąść na twardej ławce, a Reagan przeglądała psalterz.

Ludzie dziwnie wyglądali w żałobnych barwach. Wszyscy ubrani na czarno albo w strojach o cukrowomigdałowym odcieniu, kapeluszach i piórach wyglądali obco. Tłum żałobników prezentował się zgodnie z zasadami: żadnych czerwonych szali ani żółtych chustek w butonierce oznaczających odejście kogoś spragnionego koloru, a może nawet uśmiechu na własnym pogrzebie. Matka Tamsin nosiła żółtą sukienkę na pogrzebie taty - tę, którą miała na sobie w trzydziestą rocznicę ich ślubu, rok wcześniej. Uwielbiał ją w niej. A jeszcze bardziej bez niej. Bardzo w stylu Ma Larkin\*. To wspomnienie sprawiało, że się uśmiechała jak wszyscy inni. Tu nie było nic, co mogłoby przywrócić człowieka do żywych. Nudna czerń i żadnych uśmiechów. Tamsin miała nadzieję, że uroczystość nie potrwa zbyt długo. Poglaskała swój brzuch.

\* Ma Larkin - jedna z bohaterek serialu *Darling Buds of May*, bardzo ciepła i matczyna.

Długi czarny samochód zaparkował przed kościołem. Freddie uwielbiała amerykańskie kościoły, z ich symetrią i świeżą, białą czystością. Można sobie wyobrazić, że zostały szybko i uczciwie zbudowane przez zdrowych pionierów w słoneczne, pogodne dni. Szare, wiekowe angielskie kościoły czasem były ładne, ale zawsze zimne i przywodziły na myśl prymitywnych, wyczerpanych kamieniarzy, trzymany przez dziesięciolecia w niewoli i kierowanych strachem i pobożnością. Tamten kraj jest stary, ten jest nowy i najsilniej odczuwało się to w kościołach. Na ścianie wmurowano tablicę pamiątkową poświęconą pionierom z Chatham.

Niejaki William Nickerson przybył z Norwich w Anglii w 1637 roku z synami i zięciami i w 1683 roku kupili tę ziemię od Indian, którzy nazywali ją Monomoyick, co nie było aż tak chwytliwą ani tak rdzennie angielską nazwą jak Chatham.

Później następowała lista jego następców, a na dole napisano surowymi, oksydowanymi literami: TEN, KTO NIE MA UCZUĆ ANI CZCI DLA SWOICH PRZODKÓW, NIE POWINIEN ICH OCZEKIWAĆ OD TYCH, KTÓRZY PRZYJDA PO NIM.

Nie darzyła czią nikogo, nie wspominając o bezpośrednich przodkach. Może to była jedna z tych spraw, które ojciec zawsze miał jej za złe.

Sześciu żałobników wyjęło wspaniałą trumnę ojca z karawanu. Sprawiała wrażenie niesamowicie ciężkiej i musieli się napiąć, żeby podźwignąć ten ciężar. Grace, tuż obok, usiłowała zachować spokój, głośno i rozważnie oddychając. Ścisnęła jej rękę.

Freddie nie czuła się aż tak obco i beznamiętnie, jak się spodziewała, ale było to raczej spowodowane bliskością ciała jej ojca. Czy wszyscy mieli wizję przechylającej się trumny, odchylonego wieka i nagle odkrytych zwłok? Czy tylko ona? Oczywiście tutaj otwarte trumny były w zgodzie z etykietą. Freddie była wdzięczna, że trumna jej ojca została zamknięta. Jak okropnie wpatrywać się w trupa: twarz uformowana w wyraz, którego nigdy nie miała za życia, dłonie zręcznie złożone na klatce piersiowej, która już nie unosiła się i nie opadała z każdym oddechem. Makabryczne. Mimo to patrzyła na trumnę i zastanawiała się, jak był ubrany jej ojciec, dzisiaj i na zawsze, i czy Grace włożyła coś do jego trumny. Okup, dzięki któremu miał się znaleźć po właściwej stronie w godzinie sądu. Pamiątki do towarzystwa w niebie. To wszystko było zbyt niedorzeczne. Otrząsnęła się, nagle bliska płaczu. Nie, nie rozplacze się...

Nagle po drugiej stronie ulicy zatrzymała się taksówka. Wpatrywała się w drzwi, oczekując odzianego w czerń nieznajomego. Ale to był Matthew.

- Matthew. - Nie spodziewała się, że jego widok sprawi jej taką ulgę. Poczula, jak ucisk w klatce lekko się rozluźnił. Matthew.

Podeszła do niego. Przytulił ją bez słowa, po czym lekko się odsunął.

- Przepraszam za spóźnienie. Prawie przegapiłem uroczystość, prawda?

- Spóźnienie? Co ty w ogóle tutaj robisz? - Była bliska śmiechu, przepełniała ją radość; radość i ta dziwna ulga. - Jak się tu dostałeś?

- Taksówka, samolot, taksówka.

- To znaczy, skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy?

- Jechałem ulicą i rozglądałem się za lalą z trumną. - Spoważniał. - Pomyślałem, że możesz mnie tutaj potrzebować. Miałem nadzieję, że chcesz, żebym tu był.

Potrzebuję go. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Nie musiała nic mówić, tylko:

- Dziękuję, że przyjechałeś. Dziękuję.

Miał jedną z tych dużych, skórzanych teczek z paskiem na ramię, która pewnie nie powinna przejść jako bagaż podręczny, ale często się to udawało, jeśli jej właściciel wyglądał na zestresowanego dyrektora. Wyciągnął ją z bagażnika taksówki.

- Zostajesz?

- Nie. To jednodniowa podróż! Lekko uderzyła go w ramię.

- Jak długo?

- Jak długo będę ci potrzebny?

- Na zawsze? - Roześmiali się.



- Mogę trochę zostać, jeśli chcesz.
- Pojedziesz ze mną do Bostonu? Spotkać się z prawnikami i takie tam?
- Oczywiście, że tak. Położyła mu rękę na ramieniu.
- Matt, tak się cieszę, że tu jesteś.
- Cieszę się, że się cieszysz. Zastanawiałem się, czy powinienem wcześniej zadzwonić.
- Nie bądź głupi. Tams i Reagan też się ucieszą, że cię zobaczą.

Jak się okazało, tylko Tamsin rozpromieniła się, kiedy zauważyła, jak szli wzdłuż nawy pod rękę.

Serce Reagan szybciej zabiło, kiedy go zobaczyła. Przez chwilę poczuła zawrót głowy i tę specyficzną mieszankę podekscytowania i strachu, podniecenia i przerażenia, których zawsze doświadczała na jego widok. Co on tu robi? Później zdała sobie sprawę, że przyleciał na skrzydłach, by pomóc Freddie. Sir Galahad. Dlaczego nigdy nie posłuchał jej wołania o pomoc?

W kościele nie było już nic do oglądania, a Tamsin i tak zwykle wpatrywała się na pogrzebie w trumnę, wyobrażając sobie ciało w środku. Neil twierdził, że jest makabryczna. Ona uważała, że pogrzeby są makabryczne. Dzięki Bogu, że nie zdecydowali się na te bzdury z otwartą trumną, jak w *Przyjaciółach* albo w *Willu i Grace*. To było obrzydliwe. Nie przepadała za tatą Freddie, kiedy żył, i nie sądziła, żeby śmierć przyniosła poprawę. Nie знаła go zbyt dobrze, spotkała go tylko kilka razy, ale Tamsin polegała na pierwszym wrażeniu i nigdy nie zastanawiała się, czy w tym wypadku się pomyliła.

W dniu uroczystości wręczenia świadectw mama i tata Tamsin siedzieli w Radcliffe Camera tak dumni, że mało nie pękli (dosłownie, w przypadku ojca ubranego w najelegantszy garnitur, który kupił w swoich najlepszych latach, jakieś osiem kilo wcześniej). Ze swojego miejsca Tamsin widziała ich wysoko, pod krokwiami, byli z Neilem, którego ceremonia miała się odbyć innego dnia. Matka promieniała przez cały czas, a później w jasnym blasku słońca robili jej nieskończenie dużo zdjęć w todze podbitej gronostajami. Rodzice musieli wyjechać po południu, po lunchu u Browna - czekało na nich gospodarstwo - i Freddie błagała ją, żeby poszła z nią wieczorem na kolację z jej ojcem. Tamsin nie miała ochoty, zaplanowała sobie inną uroczystość z Neilem, w grę wchodziła lódź i szampan - no dobrze, wino musujące, ale kogo to obchodzi, jeśli są bąbelki.

Freddie błagała ją:

- Daj spokój, Tams. Pamiętasz ślub swojej siostry?
- To było trzy lata temu.
- Wiem, ale nie ma ostatecznego terminu na oddanie przysługi, prawda? Jutro pójdziesz pływać i pieprzyć się z Neilem. Nie zostawiaj mnie z nim samej, proszę!

Więc poszła do Randolpha.

- A gdzie mój ojciec miałby się zatrzymać? - Freddie uniosła brwi. - Jest najlepszy, prawda?

Było bardzo wspaniale. I bardzo nudno. Chwilami było też strasznie. Działo się tak prawie za każdym razem, kiedy ojciec Freddie otwierał usta. Niemal całą kolację spędzili w milczeniu. Jak tylko Tamsin próbowała coś powiedzieć, patrzył na nią jak na głupola. Wyraźnie był urażony jej obecnością.

Po wszystkim ostro zbesztła Freddie.

- Wielkie dzięki. Z pewnością nie spodziewał się nas obu dziś wieczorem. Jasno dał mi do zrozumienia, że nie jestem mile widziana.

- Zawsze się tak zachowuje. Od dwudziestu kilku lat czuję, jakbym nie mieściła się w jego świecie.

- Zawsze jest taki rozmowny? Freddie roześmiała się.

- Chyba że mówisz o golfie albo o prawie.

- Lepiej wzięłabyś Neila, on umie grać w golfa. Uważa, że nie ma szans, żeby zostać lekarzem, jak się nie umie. Od lat się tego uczy. Albo Reagan, to Panna Prawniczka.

- Chciałam ciebie. To ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- Nie sądzę, żeby dobrze o mnie pomyślał.

- Nie obchodzi mnie, co on myśli.

Tamsin zastanawiała się, czy to prawda. Freddie miała na sobie sukienkę, której nigdy wcześniej nie widziała. Gładko zaczesła włosy do tyłu, co jej się prawie nie zdarzało, i włożyła kolczyki z pereł. Wyglądała jak schludna siostra bliźniaczka Freddie. Tamsin wydawało się, że to, co myślał, było dla Freddie najważniejsze.

Uważała, że postępował okrutnie.

- Nigdy nie rozumiałem, dlaczego są dwa stopnie oceny dobrej - stwierdził wyniośle. - Ocena dobra to ocena dobra.

- Przynajmniej nie dostałam dostatecznej, tato - broniła się Freddie.

- Miałem taką nadzieję, biorąc pod uwagę, ile kosztowały te trzy lata.

- Czwórka z plusem nie jest zła, panie Valentine - wyskoczyła Tamsin w obronie Freddie.

- Być może. Ale nieco rozczarowuje, jeśli samemu zostało się stypendystą pod koniec pierwszego roku. To oznacza, że twój wysiłek przepadł.

Tamsin czekała, aż Freddie wybuchnie. Ona by tak zrobiła, gdyby rodzice ośmielili się mówić do niej w ten sposób, zwłaszcza dzisiaj. Oczywiście, nie postąpiliby tak. Była ich pierwszym dzieckiem, które skończyło jakiekolwiek studia.

Ale Freddie nic nie powiedziała. Wpatrywała się w swój talerz i Tamsin widziała, że siłą powstrzymuje łzy. Kiedy znów na nich spojrzała, jej twarz była czerwona, a na piersiach pojawiła się plamista wysypka.

- Mimo wszystko liczy się to, co teraz zrobimy, prawda, panie Valentine? To dopiero początek.

Po raz pierwszy porządnie się jej przyjrzał.

- A co zamierzasz robić, Tamsin?

- Chcę uczyć.

- Doprawdy? - Wymawiał to słowo przez wieki, i to było wszystko. Żadnego zainteresowania. Wrócił do swoich szparagów w sosie holenderskim. Tamsin pochwyciła spojrzenie Freddie i zrobiła zeza. Freddie zachichotała z wdzięcznością.

Po nabożeństwie poszli do Chatham Squire. Oczywiście najpierw przebrały się w domu, a Matthew wziął prysznic. Piły kawę na balkonie, czekając na niego. Niewiele mówiły, nawet nie wypowiedziały zwykłych frazesów, że to była miła uroczystość, ładne pożegnanie. Nie miały wątpliwości, że Grace nie chce tego słuchać. Nie pójdzie z nimi. Chce sama pospacerować po plaży. Freddie nie do końca w to wierzyła. Doszli do głównej ulicy, trzymając się pod rękę. Dotarli do chodnika i rozdzielili się na dwie pary: Freddie razem z Tamsin.

- Pospiesz się, stara krówko. Skończą serwować lunch, zanim tam dotrzemy, jak się nie ruszysz.

- Jest tu bardzo ciężarna kobieta. Okaż trochę szacunku.

- Bzdury! Zawsze byłaś marudą. - Freddie przypomniała sobie, jak chodziły i wracały z Radcliffe Camera. Tamsin dawno już zrezygnowała z jazdy rowerem, który przywiozła do Oksfordu, i dzień po dniu Freddie szła razem z nią, bojąc się, czy zdąży wrócić na zajęcia wioślarskie albo do baru.

Tamsin guzdrała się, bez przerwy gadając. Przez nią spóźniły się na więcej wykładów, ćwiczeń, dyskotek i randek, niż można zliczyć. Czy to było naprawdę ponad piętnaście lat temu? Wszystko się zmieniło i nic. Ciągle gadała, chociaż z dzieckiem pod przeponą nie miała już takiej pary.

Matthew wziął Reagan pod rękę, ale trzymała ją sztywno i poczuł się głupio.

- Co u ciebie? - spytał.

- W porządku. - W jej głosie nie było ciepła. Tylko kruchość.

- Zaskoczyła mnie twoja obecność tutaj. Zawsze jesteś taka zajęta.

Z miejsca zaczęła się bronić.

- Nie jestem za bardzo zajęta dla moich najlepszych przyjaciółek.

- Nie o to mi chodzi, Reagan. Po prostu wiem, że zawsze masz mnóstwo do zrobienia w pracy. Świetnie, że udało ci się wziąć kilka dni wolnego.

- Zwolniłam się.

Teraz był zaszokowany. Reagan żyła swoją pracą.

- Co? Co takiego? - mówił podniesionym głosem.

- Ciii - syknęła. - Jeszcze im tego nie powiedziałam.

- Dlaczego nie? Czy coś się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać, nie dzisiaj. - Jej ton nie pozostawiał miejsca na sprzeciw.

Matthew był na to zbyt zmęczony. To modus operandi Reagan. Zdążył się do tego przyzwyczaić przez lata, ale zawsze było to tak samo wyczerpujące. Pozwalała ci się czegoś dowiedzieć, a później

zamykała się w sobie. Twoje zainteresowanie rosło albo budziły się obawy, a po chwili znów cię nie wpuszczano. Później dowadywałeś się, że ją zaniedbałeś, nie okazałeś zainteresowania. To go doprowadzało do szaleństwa, było dziecinne i martwiło go, a właśnie tak Reagan postępowała z nim przez lata.

Czasem miał wrażenie, że to rozumie. Dawniej było łatwiej. Wiedział, w męski, prostolinijny sposób, że się jej podoba. Flirtowała z nim tyle lat temu w Chester, i jego koledzy uważali, że jest seksowna. Jeden powiedział, po tym jak wyjątkowo mu nadskakiwała i zachowywała się bardzo sugestynnie w stosunku do niego w barze, że jest wariatem, nie biorąc tego, co mu podawano na talerzu. Ale dla niego było to żenujące. Nie była w jego typie, cała twarda i kanciasta... i jakoś... zbyt dostępna. Nawet jeśli to sprawiało wrażenie, że był specyficznym dwudziestojednolatkiem. Nigdy nie widział sensu w seksie jako takim. Skoro ona go nie obchodziła, to po co to było? Jeśli była seksowna, on tego nie dostrzegał albo widział w tym ostentację, sztuczność. Nie jest pruderyjny. I nie należy do facetów, dla których tylko jeden typ kobiet jest seksowny. Tamsin była seksowna. Śmieszka w łóżku, zwierzęco, bez hamulców seksowna. Każdy mógł to zauważyć, obserwując, jak się zachowywała przy Neilu. Ten zmysłowy śmiech. Sara miała seksapil damy. To stanowiło jedną z jego podstawowych przyjemności: wszyscy mogli podziwiać piękną kobietę, ale tylko on widział, kiedy była namiętna. Oczy lśniące pożądaniem i te głębokie, gardłowe jęki. Ukryta zmysłowość. Freddie? Cóż... dla kogo nie była seksowna? Ale Reagan? Reagan wydawała się zbyt zdesperowana.

I nigdy jej nie zachęcał. Ani razu. Był jej przyjacielem i przedstawiła go Sarze, a kiedy ją poznał, nie oglądał się za siebie od tego pierwszego weekendu. Miał czyste sumienie, nawet po tej nocy, kiedy zauważył, że zmienił się stosunek Reagan do niego. Nigdy nie powiedział o tym Sarze. Ani Tamsin, ani Freddie. Domyślał się, że ona też milczała.

Był to jedyny element nieuczciwości, jaki sobie przypominał w relacjach z Tamsin czy Freddie. Albo Sarą. I dlaczego? Chyba chciał ją chronić. Reagan zawsze pozostawała na obrzeżach. Gdyby ktoś spytał go dziesięć lat temu, czy nadal będzie blisko przez kolejne dziesięciolecie, czy będzie częścią ich grupy, prawdopodobnie odpowiedziałby: nie.

Zwłaszcza gdyby się dowiedziały, co zrobiła w nocy przed jego ślubem z Sarą.

W poprzednim tygodniu urządzili wieczór panieński i kawalerski. Kawalerzy wylądowali w tym samym pubie, do którego chodzili w większość piątkowych wieczorów i wypijali zwyczajowe pięć piw. Panny wystroiły się i poszły do Cinderelli, ogromnego, podziemnego piekła z błyszczącymi kulami, najczęściej odwiedzanego przez miejscowych policjantów i strażaków. Tamsin powiedziała Neilowi, dokąd się wybierają, i rzeczywiście, pojawili się tam, kiedy zamknięto pub, tylko na tyle trzeźwi, żeby ich wpuszczono, pod warunkiem że Adrian i Neil podtrzymywali Matthew za łokcie. Znaleźli swoje dziewczyny i narzeczone tańczące do *True* z członkami służb porządkowych. Partner Tamsin starał się dotknąć jej pupy, a ona ciągle przekładała jego ręce na swoją talię, ani razu nie gubiąc rytmu.

Freddie była pogrążona w rozmowie ze swoim, tańcząc tak, jak się tańczy z wujkiem na weselu. Wysoki facet podgryzał twarz Reagan, a jego ręce swobodnie błędziły pod bluzką i spódnicą. Sara opuściła swojego strażaka w chwili, kiedy zobaczyła Matthew podskakującego w jej stronę i krzyczącego:

- Wiem, że to wszystko jest prawdziwe!

Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby nie widziała go od tygodni. To była dobra noc - taka, w którą chciało się tańczyć w fontannie w parku po drodze do domu i powiedzieć wszystkim, że się ich naprawdę, naprawdę, NAPRAWDĘ kocha.

Wigilia ślubu była inna. Matt zatrzymał się w hotelu. Odwiedził Sarę. Pocałowała go, to samo zrobiły jej matka i babcia i najdelikatniej spławiły go za drzwi, które otworzyły, żeby wpuścić trzy pudełka z ciastem, i powiedziały mu, żeby nie wracał. Klub Tenko rozrabiał i chichotał, z wałkami we włosach i tymi dziwnymi gumowymi rzeczami między palcami stóp. Ojciec Sary otworzył różowego szampana.

Zjadł szybką pizzę z gospodarzami i wrócił do hotelu, prosząc o wczesną pobudkę i wyprasowanie koszuli. Właściwie chciał zostać sam. To była taka wielka sprawa, ślub, i chciał o tym pomyśleć bez rodziców robiących zamieszanie ani żartujących kolegów. Potrzebował po prostu trochę spokoju, chwili ciszy w oku cyklonu.

Niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi. Było późno, przypuszczał, że ktoś o czymś zapomniał albo robi mu psikusa. Otworzył je ostrożnie. To była Reagan. Piła i zastanawiał się, jak się tu dostała, czy mogła bezpiecznie prowadzić.

- Przyszłam się z tobą spotkać w ostatnią noc wolności... - wymamrotała niewyraźnie, lekko się chwiejąc.

Nie podobało mu się to, ale nie chciał być niegrzeczny. Przepchnęła się obok niego do pokoju i drzwi się za nią zamknęły. Odwrócił się. Stała zbyt blisko.

- To twoja ostatnia szansa, wiesz...

Zdobył się na mężny wysiłek, żeby zbyć to żartem.

- Ostatnia szansa na co, Reagan?

Usiadła ciężko na łóżku. Było bardzo miękkie i zapadło się pod nią, musiała wyciągnąć rękę, żeby się nie przewrócić. Wyglądała tak smutno.

Odzyskała równowagę, odchyliła się do tyłu i przyspiliła go lubieżnym uśmiechem.

- Żeby mnie mieć.

- Reagan. - Przybrał ostrzegawczy ton, ale Reagan dostała pokaźną dawkę pijackiej fantazji i teraz była skazana na to, żeby spróbować dokończyć to, co zaczęła. Znow się podniosła. Nie zrobił żadnego ruchu w jej stronę. Wstała, podeszła do niego i starała się przyciągnąć jego głowę do pocałunku.

W jej oddechu czuć było alkohol i wyciągnęła mokry, czerwony język, tylko odrobinę, zanim spotkały się ich usta. To go zraziło. Wyprostował się i odepchnął jej rękę.

- Reagan, proszę.

- Matthew, proszę. - Teraz mówiła ciszej, bardziej prosząco i jej pewność siebie już ustępowała. W ostatnim, niezwykłym geście podciągnęła koszulkę. W zasadzie nie miała piersi, zaledwie niewielkie wypukłości na klatce piersiowej z ogromnymi, sterczącymi sutkami. Nie widział jej twarzy pod koszulką i przez chwilę nie mógł oderwać wzroku od tego, co mu pokazywała.

Matthew był zbulwersowany. To się nie dzieje naprawdę. Nie miał zielonego pojęcia, co jej powiedzieć. Jak jej pomóc. Jak się jej pozbyć z pokoju. Delikatnie opuścił jej koszulkę. Już płakała. Teraz popadła w suchy szloch poniżenia.

- Przepraszam. Przepraszam, przepraszam - powtarzała ciągle, do chwili, kiedy Matthew nie mógł już tego znieść i objął ją ramionami. Był pewien, że już po wszystkim, całe to koślawe, potwornie żenujące zdarzenie dobiegło końca, i teraz może spokojnie jej dotknąć, w jedyny sposób, na jaki kiedykolwiek miał ochotę, z czułością przyjaciela.

- To zawsze byłeś ty, zawsze ty, Matthew. - Łkała na jego klatce piersiowej. Cokolwiek wiedział o jej uczuciach, to na pewno nie to. Nie miał o tym pojęcia. Nie zignorowałby tego. Nagle poczuł się okropnie winny.

Próbował się lekko odsunąć, żeby z nią porozmawiać, ale mocno do niego przyłgnęła, więc mówił ponad jej głową.

- Nie byłem, wiesz o tym. To nigdy nie byłem ja. My. Nigdy nie było żadnego my. Jesteś nie-mądra. I pijana. I może trochę zazdrosna. - Miał nadzieję, że na niego spojrzy, zrobi zawstydzoną minę, wyśmieje go. Zwymiotuje. Cokolwiek.

- Ja cię pierwsza zauważyłam.

Nie był to najbardziej dojrzały argument. Mówiła jak nadąsane dziecko.

- A później zobaczyłem ją, Reagan. Między nami nic nie było i wtedy ją zobaczyłem. I już zawsze była ona. - Czuł się okrutnie, mówiąc o tym w ten sposób, ale najlepiej było mówić do niej prosto, żeby mieć pewność, że ta ohydna sprawa już nigdy się nie powtórzy.

Nic nie powiedziała. Patrzyła na niego mokrymi oczami, jakby widziała go pierwszy raz w życiu, i nagle wybiegła z pokoju. W pierwszym impulsie chciał ją zatrzymać, wydawało mu się, że nie była bezpieczna, ale zdecydował się pozwolić jej odejść. Nie spał dobrze, martwiąc się, czy dotarła do domu i czy powiedziała coś Sarze.

Następnego ranka Sara pojawiła się u jego boku przy ołtarzu, zmarszczyła nos i wyszeptała z miłością:

- Cały jesteś szary. Czy to nerwy? Myślałeś, że mogę się nie zjawić?

Tymczasem Reagan stała w pobliżu i wpatrywała się w kamienną podłogę.

Na przyjęciu próbował z nią porozmawiać, ale przeszkodziły mu weselne obowiązki. Witanie gości, zdjęcia, jedzenie, mowy. Reagan wyszła dużo wcześniej niż on i Sara, ciągnąc za sobą jednego z jego szkolnych kolegów. Wydawało mu się, że ani razu nie spojrzała mu w oczy tego dnia.

Zanim zostali z Sarą sami, osłabło jego postanowienie, żeby jej powiedzieć. Mogli rozmawiać o swoim długim, wspaniałym dniu. Była suknia z niesamowicie skomplikowanymi, maleńkimi guziczkami, z której musiał ją wydobyć, i małżeńska miłość, pierwszy raz i drugi. Nadszedł miesiąc miodowy i lepsze miejsca w samolocie opłacone przez hojną, romantyczną ciotkę.

Trzy tygodnie później Reagan i Tamsin odebrały ich z lotniska i nie został po tym nawet ślad. Matthew zastanawiał się, czy nie miał jakiegoś dickensowskiego koszmaru z Reagan w roli ducha, czegoś, co się nie zdarzyło. Była w stosunku do niego dokładnie taka jak zawsze.

To był tylko ten jeden nieszczęsny raz, a teraz nawet to zostało daleko za nimi. Już nie pochlebiali mu, że dziwne, nieprzystępne nastroje Reagan miały cokolwiek wspólnego z nim. Była nieszczęśliwą osobą, ale już nie myślał o sobie jako o przyczynie tego nieszczęścia.

Lunch upłynął w niemal wesołej atmosferze. Zjedli żeberka i homary, śmiejąc się z siebie w czerwonych plastikowych śliniakach, i wypili kilka kieliszków wina.

- Jak długo zostaniesz, Matt? - spytała Tamsin.

- Mogę zostać kilka dni. Właśnie wygraliśmy dość dużą sprawę i dostałem wolne za dobre sprawowanie.

- Szczęściarz z ciebie!

- Zabieram mojego uczonego przyjaciela do Bostonu na spotkanie z prawnikami - zakomunikowała Freddie.

- Ja miałam zamiar jechać z tobą. - Reagan zmartwiła się. Freddie dała sobie kopa w myślach.

- Też możesz pojechać. Przepraszam, Reags. Nie pomyślałam.

Wtrąciła się Tamsin.

- Z drugiej strony możesz zostać i dotrzymać mi towarzystwa. Nie wybieram się do miasta w ten letni upał. Zostaję tu i będę się byczyć na plaży.

- Brzmi nieźle. - Ale Reagan uśmiechnęła się przez zaciśnięte usta.

Reagan płaciła przy barze i Freddie uśmiechnęła się z wdzięcznością do Tamsin.

- Dzięki, stara. Bałam się, że to schrzanię. Nie chciałam, żeby czuła się jak uzurpatorka. Tylko... Tamsin podniosła rękę.

- Wiem. Nie przejmuj się. Nic się jej przy mnie nie stanie. Jeżeli potrafię się opiekować niegrzecznym brzdącem, mogę się też opiekować Reagan. Jedźcie we dwojkę.

Reagan chciała kupić papierosy. Tamsin zaproponowała, że z nią pójdzie - potrzebowała więcej ciasteczek z masłem orzechowym - i później do nich dołączyć.

Freddie i Matthew włożyli ciemne okulary i wolno wracali.

- Nie wściekaj się - zaczął Matthew - ale Neil wygadał się z Adrianem.
- Nie jestem wściekła. To nie była tajemnica.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, kiedy jechaliśmy spotkać się z Harrym?
- Nie wiem.

Matthew przyjrzał się dokładnie jej twarzy i odpuścił sobie.

- Dobrze się z tym czujesz?
- Dobrze z tym, że pieprzy Antonię Melhuish, czy dobrze z tym, że chce z nią zbudować dom?
- To i to. Roześmiała się.
- Ani to, ani to. Przeszli kawalek.
- Właściwie to nie jestem aż taka zmartwiona, jak myślałam. Czy to brzmi dziwnie?
- Chcesz powiedzieć, że coś podejrzewałaś?
- Niezupełnie. Po prostu nie czułam zaskoczenia. I to jest najbardziej istotne. Nic się nie zmieniło w domu, nadal ze sobą sypialiśmy, nadal tak samo często się widywaliśmy. Z wierzchu wszystko w porządku. I o to chodzi, całe nasze życie było powierzchowne. Nie było nic innego i zlekceważyliśmy to. Rozumiesz?

Matthew nie rozumiał, ale słyszał, jak o tym mówiono. Oglądał wystarczająco dużo telewizji po śmierci Sary.

- I to, że nic nie zauważyłam, że nadal nie mogę sobie niczego przypomnieć, to mnie bardziej martwi.
- Nie rozumiem. Mówiła wolno.
- Wydaje mi się, że przez cały czas, przez wieki, odgrywaliśmy szczęśliwe małżeństwo, a nie byliśmy nim. I kiedy tego nie zauważyliśmy, znikła dusza tego związku, wyciekła.
- Chryste! Bardzo się zagłębiasz w swoją starość. Uderzyła go w ramię.
- Zamknij się! Mówię poważnie. Myślałam o tym.
- Przepraszam. Co masz zamiar zrobić? Westchnęła.
- Nie wiem. Trzeba wziąć pod uwagę mnóstwo spraw, przede wszystkim Harry'ego. Nie wiem. Schować się tu na chwilę, mając nadzieję, że odpowiedź sama do mnie przyjdzie, wiesz?

Spojrzała na niego, przekrzywiając głowę i marszcząc nos. Przyjechałem, pomyślał. Przyjechałem do ciebie.

Boston

Freddie tak bardzo się cieszyła, że był z nią Matthew. Uderzyło ją, że nigdy nie stała się częścią takiego świata. Przy wszystkich swoich wczesnych zadatkach: osiągnięciach na uczelni, wzniosłych



ideałach i ambicjach - skończyła jako obca w tym środowisku. Mimo że była silna, zaradna i prężna, ten świat ją przerażał. Jak to się, do diabła, stało?

Kiedy Harry był w żłobku, spotkała kobietę, której córeczka chodziła do tej samej grupy. Wydawała się interesująca, wyróżniała się wśród mam z torebkami Louisa Vuittona, jasnymi pasemkami, samochodami z napędem na cztery koła i jęklivymi głosikami. Allegra miała niesforne czarne włosy i nosiła geometryczne, wielowarstwowe stroje, zdecydowaną biżuterię: wielki kawał bursztynu, nieoszlifowany turkus, i zawsze czarne, grube kreski na powiekach unoszące się w kącikach oczu, co nadawało jej łobuzerski wygląd. Była astrologiem. Namówiła Freddie, żeby pozwoliła jej narysować swój wykres. Freddie zadzwoniła do ojca, żeby dowiedzieć się, o której godzinie się urodziła, i zaskoczyła ją precyzja jego odpowiedzi: O dziewiątej piętnaście rano. Ciągle gdzieś ma ten wykres. Wynikało z niego, że była osobą drugiej połowy życia. Allegra wytłumaczyła jej: to znaczy, że nie zrealizuje swojego potencjału do trzydziestego piątego roku życia. To działo się wieki temu, i wtedy była szczęśliwa albo na tyle zapracowana, żeby o tym nie myśleć. Wyśmiała wróżbę. Już była spełniona, wtedy tak myślała. Teraz miała wątpliwości.

Chciała zostać architektem. Jak była mała, rysowała skomplikowane plany domów swoich marzeń, dziecinne twory z basenami, przy których były zjeżdżalnie i ogromne pokoje do zabawy. W czasie jazdy autobusem wpatrywała się w bostońskie drapacze chmur, rozpaczliwie pragnąc się dowiedzieć, dzięki czemu stały. Freddie była pewna, że mogła tego dokonać, gdyby tylko spróbowała. Nie mogła za wszystko winić Adriana i nie obciążałaby tym Harry'ego. Nie była to też wina jej ojca. Miała możliwości i nie skorzystała z nich.

Weszli do ogromnego pokoju zebrania z długim, bardzo lśniącym antycznym stołem. Freddie doliczyła się dwudziestu krzeseł od kompletu, obitych bordową skórą. W pomieszczeniu nie było ani jednej książki, tylko na dwóch przeciwległych ścianach dwa imponujące stare obrazy przedstawiające Boston. Z miejsca, gdzie siedziała, przez duże, panoramiczne okna widziała Common. Przypomniała sobie, jak się tam bawiła z Grace.

Miała szczęśliwe dzieciństwo. Miała. Nawet biorąc pod uwagę, że lato w dzieciństwie zawsze jest bardziej słoneczne, cieplejsze i dłuższe, a zimy zawsze bardziej przytulne. Common był jej ogrodem, gdzie odnotowywała zmiany pór roku. Uwielbiała go. Jak Central Park w Nowym Jorku, ze wszystkich stron otaczały go wysokie budynki, zabiegane, hałaśliwe miasto. Nie był jednak taki duży jak Central Park i nigdy nie dało się zupełnie uciec od hałasu. Zmieniał swój charakter, im dalej się w niego zagłębiało. Przy wejściu pomiędzy Beacon Hill a niesamowicie lśniącym i symetrycznym budynkiem stanowym zawsze był pełen pracowników biurowych, kobiet w kostiumach i tenisówkach, turystów idących Freedom Trail oraz sprzedawców lodów i balonów, a także ludzi z mapami szukających Filene's Basement, znanego na całym świecie sklepu z przecenami, gdzie można było kupić suknie ślubne po dziesięć dolarów. Wojskowe amfibie przejeżdżały z rykiem co dwadzieścia minut, zba-

czając ze szlaku Duck Tour, gotowe zanurzyć się w Charles River i z powrotem pojawić na powierzchni. Jej ukochane łódki w kształcie łabędzi kołysały się na jeziorze w środku parku. A niebieski most znajdował się w drugim końcu Common.

W tym parku nauczyła się chodzić, jeździć na rowerze, utrzymywać równowagę na deskorolce i całować. Z Sanfordem Goldmanem, w ósmej klasie, za pomnikiem z koniem, w mgliste, sierpniowe popołudnie, kiedy ich przyjaciele leżeli na trawie, sto metrów dalej, słuchając Culture Club i Duran Duran na byle jakim magnetofonie. Widziała się na trawie w każdym wieku: chwiejącego się brzdąca, pełne energii dziecko, skrępowaną nastolatkę. Teraz, w tym pokoju, nagle zrobiło jej się żal tamtej siebie.

Nie chciała tu być. Nie chciała tego słuchać. Nie obchodziło ją to. Pieniądze były pewnie jedyną rzeczą, o którą nie musiała się teraz martwić. Rodzice Adriana są bogaci. Jej ojciec też chyba żył dość wygodnie - nieruchomości w Bostonie i Cape Cod nie były tanie. Wszędzie wokół niej były pieniądze. Ale z tego, co widziała, nikomu nie dały szczęścia.

Parsknęła, co sprowadziło ją znów do teraźniejszości. Matthew patrzył na nią.

- Co? - spytał.

- Właśnie myślałam sobie, jaka ze mnie biedna bogata dziewczynka.

Już miał odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i weszli prawnicy jej ojca. Wyglądali jak trzy stadia prawnika. Pierwszy miał ze sto pięćdziesiąt lat, był tak pochylony, że w zasadzie zginał się w połowie - można było sobie z łatwością wyobrazić marynarkę i złoty zegarek z dewizką pod jego granatowym prążkowanym garniturem. Trzymał kunsztowną laskę i zajęło mu dobrą chwilę, zanim doszedł od drzwi do stołu. Za nim szedł mężczyzna w średnim wieku; wyglądał na zmartwionego, z przerzedzonymi włosami i dużą teczką przyciśniętą do piersi. Ostatnia pojawiła się kobieta, którą Freddie uznała za mniej więcej w swoim wieku. Też była wysoka i miała figurę, która usiłowała wydostać się z praktycznego, chociaż wyraźnie drogiego, brązowego kostiumu. Zdecydowanie w stylu obozowego wampa. Rozpromieniła się na ich widok, miała bardzo amerykańskie białe zęby i pewność siebie.

- Katherine Shaw. Miło mi państwa poznać. - Wyciągnęła rękę. - Pozwólcie, że przedstawię Nicholasa Leesa i George'a Barkera, naszych dwóch starszych wspólników. Pan Barker szczególnie dobrze znał pani ojca, pani Sinclair.

I pan Barker poruszył się, co prawie przypominało drgawki. Jego zachmurzone oczy wyłoniły się spod grubych brwi i Freddie zobaczyła, że nadal była w nich iskra.

- Znałem go tak samo dobrze, jak inni. - Zachichotał i podał Freddie chudą, suchą rękę. - Przykro mi na wieść o jego śmierci, pani Sinclair. Kondolencje i tak dalej. - Oddalił je machnięciem ręki i Freddie zastanawiała się, na ile zdawał sobie sprawę ze stosowności tego gestu w jej przypadku. - Pracowałem z nim przez prawie dwadzieścia lat. Przez większość czasu, kiedy pani dorastała.

- Ale nigdy się nie spotkaliśmy.

- Pani ojciec nigdy nie łączył pracy z rodziną. - Freddie wzdrygnęła się. Nigdy nie był specjalnie rodzinny.

- Ale śledziliśmy pani postępy na zdjęciach, które zawsze trzymał na biurku, zmieniał je z nabożną czcią. - Nie wiedziała.

Zmartwiony mężczyzna dotąd nic nie mówił, a teraz postąpił naprzód.

- Nicholas Lees. Zajmowałem się testamentem pani ojca. Freddie uściśnęła jego rękę.

- A pan to na pewno pan Sinclair? - stwierdziła Katherine Shaw.

Matthew potrząsnął głową, uśmiechając się nieznacznie.

- To przyjaciel rodziny - wyjaśniła Freddie. - Matthew jest prawnikiem. Uprzejmie zaoferował swoją pomoc, żebym zrozumiała, cokolwiek macie zamiar mi powiedzieć.

Panna Shaw - Freddie nie miała wątpliwości, że była panną - nie przeprosiła za swoje *faux pas* i ani trochę nie wyglądała na zakłopotaną. Raczej oceniała teraz Matthew. Freddie nie lubiła jej: zdecydowanie była typem sypiającej ze strażnikami. Pewnie bardziej z powodu pozycji w obozie niż dla jedzenia.

Nicholas Lees uśmiechnął się ciepło.

- Może usiądziemy? Zaproponowano już państwu kawę?

Nie słuchała większości z tego, co mówił. Gruby dokument leżący przed nią był napisany nieprzeniknionym językiem prawniczym, a ona nawet nie próbowała go zrozumieć, Matthew jej to przetłumaczy. Starła się skupić na monotonnym głosie prawnika, ale jej spojrzenie często wędrowało w kierunku okna.

Musiał wyczuć, że traci słuchaczkę. Po mniej więcej dziesięciu minutach zamknął leżące przed nim akta i położył na nich rękę.

- Może wolałaby pani, żebym streścił najważniejsze punkty?

Freddie uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Proszę.

- W rzeczywistości to dość prosty testament, pani Sinclair. Jest tylko trzech głównych beneficjentów. Pani, oczywiście, pani syn Harry i panna Grace Kramer.

Tydzień temu zdziwiłaby się, słysząc nazwisko Grace. I była zdziwiona, że jej ojciec pomyślał o Harrym. Nie znali się zbyt dobrze. Wizyty dałoby się policzyć na palcach obu rąk.

- Dom w Bostonie...

- Nie wiedziałam, że nadal miał dom w Bostonie.

- Tak. Poważną inwestycję. Kupił prawo własności w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Wyobrażam sobie, że od tego czasu jej wartość wzrosła kilkakrotnie.

- Dom, w którym dorastałam?

- Ten sam. Mamy klucze i nie mieszkają w nim żadni lokatorzy. Sam korzystał z tej nieruchomości w rzadkich wypadkach, kiedy przyjeżdżał do Bostonu w interesach, i sprzątacze regularnie ją porządkowali. W gruncie rzeczy spodziewam się, że zastanie pani dom taki, jak go pani zostawiła.

Freddie odwróciła się do Matthew z szerokim uśmiechem.

- Noo. - Ścisnął jej rękę. Pan Lees kontynuował.

- Jak mówiłem, dom w Bostonie należy do pani, razem z przychodem z nieruchomości pani ojca, z czego większość została zainwestowana. Liczby znajdują się w tym dokumencie. - Matthew odparł pokusę przejrzenia dokumentu, żeby dowiedzieć się, ile to może być warte.

- Ponadto pani ojciec utworzył fundusz na rzecz Harry'ego. Mówiąc dokładnie, fundusz został nazwany „Wnuki pana Valentine”. Skoro jest pani jego jedynym dzieckiem, oznacza to Harry'ego, chyba że będzie pani miała kolejne dzieci, w tym wypadku fundusz też je obejmie. Rozsądne zabezpieczenie, biorąc pod uwagę, że jest pani ciągle, hm, w wieku rozrodczym.

Freddie zaczerwieniła się, ale nie tak bardzo jak pan Lees.

- Bank, ja i panna Kramer jesteśmy powiernikami, i pan Valentine zostawił oświadczenie woli zdeponowane w banku, gdzie szczegółowo opisał swoje intencje dotyczące wydatków z funduszu.

- Żadnych lamborghini do skończenia college'u! - zażartowała panna Shaw.

Freddie była zaskoczona.

- Jest tego aż tyle?

- Cóż, przy rozsądnym zarządzaniu i przy dobrej pozycji na rynkach... - Pan Lees otworzył akta i przekartkował kilka stron. - Wydaje mi się, że obecna suma wynosi jakieś... ćwierć miliona dolarów.

To więcej niż Freddie przypuszczała i zawirowało jej w głowie. Dzięki temu uwolni się od Adriana, nie będzie już mógł dyktować, co się stanie z Harrym.

Było jeszcze więcej.

- Dom w Cape Cod, w Chatham, pozostanie do końca jej życia w posiadaniu gospodyni pani ojca, wspomnianej wcześniej panny Kramer. Dodatkowo pan Valentine ustanowił dla niej zabezpieczenie: rodzaj emerytury. Po jej śmierci dom zostanie przepisany na panią.

Freddie przytaknęła. Tak było dobrze.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że mój ojciec miał tyle pieniędzy.

- Cóż - wtrąciła Katherine Shaw - był raczej ostrożny niż okropnie bogaty. Przez całe życie żył skromnie, jak na człowieka z jego środkami. To zazwyczaj sprawa pokolenia. Dzisiaj wszyscy tylko wydajemy, ale starsi ludzie starali się zabezpieczyć na przyszłość, jeśli nie swoją, to swoich dzieci. Woleli mieć szerszy margines bezpieczeństwa niż ten, do którego my przywykliśmy.

Miała rację. Była protekcyjna, wyniosła i bardzo irytująca, ale miała rację. Większość ludzi, których znała Freddie, tkwiła po uszy w długach, z kartami kredytowymi do każdego sklepu i waka-

cjami dwa albo trzy razy w roku. Niech diabli wezmą przyszłość. Wyglądało na to, że jej ojciec przez cały czas miał na nią oko.

Teraz Nicholas Lees mówił głównie do Matthew i przeszli na żargon prawniczy. Wypiła kawę, którą przed nią postawiono, i pomyślała o domu w Beacon Hill. Może pójdą tam później.

- Panna Kramer dowie się o postanowieniach, które jej dotyczą, na piśmie. List zostanie wysłany dziś po południu. Jeszcze ostatnia sprawa, pani Sinclair. Rozumiem, że przyjęła dziś pani sporo spraw do wiadomości. - Wyjął z teczki kopertę. - Ten list został u nas zdeponowany kilka lat temu. Jest od pani ojca. Chciał, żeby go pani oddano po jego śmierci. - Sięgnęła przez stół i wzięła kopertę, rozpoznając zawiły charakter pisma swojego ojca, zawsze pisał piórem, nigdy długopisem: „Frederica”. - Oczywiście, może go pani zabrać ze sobą i przeczytać w dogodnej chwili.

Włożyła list do torebki.

Przekazali jej klucze do domu. To było takie proste. Znajdował się o dziesięć minut drogi od firmy prawniczej. Zastanawiała się, kiedy była młoda, dlaczego nie przychodził do domu i nie jadł z nią lunchu, skoro pracował niedaleko. Beacon Hill właśnie takie było - czasami dopiero po dokładnym przyjrzeniu się dawało się dostrzec, w których z tych wspaniałych budynków były biura, a w których mieszkania. Obecnie w większości z nich znajdowały się apartamenty, zdradzały to domofony, trzy lub cztery przy każdym budynku.

Numer pięćdziesiąt trzy. Trzy szerokie schody prowadziły do lśniących czarnych drzwi, otoczonych wielkim łukiem ze szkła i kutego żelaza. Wspaniały na wielką skalę. Dwie idealnie przyciężone sosny z czerwonym geranium rosnącym wokół ich podstawy trzymały straż, i był tylko jeden dzwonek: Valentine.

Matthew wszedł za Freddie do środka. Wewnątrz znajdowały się jeszcze jedne drzwi, a za nimi duży przedpokój z podłogą w nierówny czarno-biały wzór i dużym stołem, który domagał się wyszukanego wazonu z wysokimi kwiatami. Za nim wznosiły się schody z balustradą z kutego żelaza. Zza drzwi wejściowych i z okien na półpiętrze padało dziś jasne światło.

Freddie kręciła się tu i tam, chłonąc widoki z domu swojego dzieciństwa. Nie mogła uwierzyć, że go nie sprzedał, kiedy kupił dom w Cape, ani w to, że nic o tym nie wiedziała, ani że teraz należał do niej. Nie był zupełnie taki sam, brakowało większości mebli i obrazów, które pamiętała, i nie było zegarów - to wszystko przeniesiono do Chatham - ale została ta sama atmosfera.

Chodzili z pokoju do pokoju, prawie nic nie mówiąc. Freddie stała w drzwiach do swojej sypialni. Nie pamiętała wzoru na tapecie: gęste, żółte pąki róż z ciemnozielonymi liśćmi. Pamiętała, że miała taką samą falbankę na łóżko i narzutę. Białych mebli już dawno tu nie było, ale tapeta świetnie się trzymała. Jak ona kochała tę tapetę.

- Gdyby te ściany mogły mówić? Klepnęła go żartobliwie.

- Nic by nie powiedziały! Nie mogłam tu sprowadzać chłopców.

- I to cię powstrzymało?

- Całkowicie. - Zrobiła minę niewiniątka. - Od tego był Common!

Na drugim piętrze zatrzymali się przed drzwiami.

- Nigdy nie mogłam tu wchodzić. To był jego gabinet.

- I nigdy się nie wkradłaś pod jego nieobecność? Uśmiechnęła się.

- Próbowałam, tylko raz. Mój tata był dość groźnym facetem i wymagało sporo odwagi, żeby zlekceważyć jego bezpośredni rozkaz. Ale raz to zrobiłam. Był zamknięty.

- Teraz też jest?

Ostrożnie przekręciła klamkę i drzwi otworzyły się. Nie było biurka i mnóstwa książek. Na ścianach zostały ślady po zdjęciach. Nad kominkiem wisiał jeden obraz.

- To musi być twoja matka.

- Tak myślę. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

- Coś podobnego! Twój ojciec to niezła sztuka, co? Te wszystkie tajemnicze sprawy.

- Tamsin byłaby teraz taka podekscytowana.

Oglądały portret Freddie poprzedniego dnia i Tamsin nie mogła uwierzyć, że Freddie go nie widziała.

- Dlaczego, do diabła?

Nawet Grace nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

- Nie sądzę, żeby go specjalnie przed nią chował, ale wisiał tutaj, a on nie chciał, żeby ludzie wchodzili do jego gabinetu. Ktokolwiek, nie tylko Freddie. Ja nie miałam zakazu wchodzenia do tego pokoju, ale też nikt mnie do tego nie zachęcał. Był skrytym człowiekiem i cenił sobie własną przestrzeń. Co mam wam powiedzieć?

Tamsin chrząknęła z oburzeniem.

Freddie bardzo spodobał się jej portret, ale teraz zafascynował ją ten. Nie umiała się domyślić, kiedy powstał, ale był to oficjalny portret: wieczorowa suknia, postać patrzyła w bok, w przestrzeń. Nie było ani podpisu, ani daty. Był śliczny. Tym razem bez farby olejnej. Obraz namalowano o wiele delikatniej: zgaszone kolory i niemal eteryczne wrażenie.

- Myślisz, że nigdy nie przestał jej kochać? - łagodnie zapytał Matthew.

- Skąd mam wiedzieć? - Zabrzmiało to bardziej nerwowo, niż zamierzała. - Przepraszam, Matt, nie chciałam skoczyć ci do gardła. Po prostu nigdy mi o tym nie powiedział. Chciałabym wiedzieć. Naprawdę bym chciała.

- Masz zamiar przeczytać ten list?

- Chyba tak.

- Nie rozumiem cię. Chciałabyś wiedzieć. Napisał list. Może z niego się dowiesz.

- I może znów tylko się rozczaruję.

- Nigdy się nie dowiesz, jeśli go nie przeczytasz, prawda? Słuchaj, mineliśmy Starbucksa za ostatnim rogiem. Pójdę po kawę. I dwa kawałki pizzy Rocky Road.

Uśmiechnęła się. Ptasie mleczko i kandyzowane wiśnie. To właśnie zalecił lekarz po odczytaniu testamentu i wycieczce po domu z czasów dzieciństwa.

- Przeczytasz go, jak mnie nie będzie, tak?

- Dobrze, szefie.

- Jestem twoim prawnikiem. Powinienem cię poinstruować.

Skórzane krzesło z wysokim oparciem stało naprzeciwko obrazu. Freddie usiadła i wyciągnęła list z torebki. Koperta była pognieciona, więc ją wygładziła. To nie był długi list, ale nie oczekiwała, że taki będzie. To nie w jego stylu. Prawie słyszała jego głos, pisał, tak jak mówił, szybko i ekonomicznie.

Najdroższa Frederico,

musiałaś już spotkać się albo rozmawiać z moimi prawnikami i znasz moje zamiary. Ty i ja nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Żałuję tego, dystans wynikał z mojego postępowania i chociaż później zdałem sobie z tego sprawę, nadal nie byłem w stanie tego naprawić. I za to cię przepraszam. Zawsze miałaś niewielkie poważanie dla dóbr materialnych, i mam nadzieję, że nie pomyślisz, że zabezpieczenia, które poczyniłem dla ciebie i twojego syna, to substytut; nie są wystarczające.

Dadzą ci przestrzeń, wolność i możliwość wyboru, to wszystko.

Jest jeszcze jedna kwestia, w której powinnaś móc dokonać teraz wyboru. Źle postąpiłem, odmawiając ci tego przez tyle czasu. Twoja matka mieszka w Cape Cod. Grace wie gdzie. Proszę, pamiętaj, że zawsze Cię kochałem.

Twój ojciec

Podpisał się pełnym imieniem i nazwiskiem.

- Cholera - wykrzyknął Matthew.

- Wiem.

Początek listu spowodował, że wylała dla ojca pierwsze łzy. I dla siebie. Jakim był głupcem. Jaka strata. Ostatni zatrzymał ją w miejscu.

Nigdy nie myślała o swojej matce jako o zmarłej - logika sugerowała, że żyje - ale nie miała pojęcia, gdzie jest.

Mieszkała niecałe dwie godziny drogi od niej i była tam od lat - list nie miał daty - i on wiedział. Grace też wiedziała.

Kawa stygła. Matthew włożył tekturowy kubek do rąk Freddie.

- Jak się z tym czujesz?

- Nie wiem.
- Czy masz ochotę wskoczyć do samochodu i od razu tam pojechać?
- Nie. Nie mam.
- Czy jesteś zła?
- Niezupełnie. Nie wiem, Matt, to jest... dziwne.

To cholernie poważne niedopowiedzenie. Matt był jak Tamsin. Normalna, kochająca rodzina. Jego mama już nie żyła. Zmarła osiemnaście miesięcy po Sarze, na zawał. To się stało zupełnie nagle, chociaż paliła przez trzydzieści lat. Rzuciła w poczuciu urażonej dumy pewnego dnia, kiedy omawiano budżet. Często się z nią widywał, szczególnie przez ostatni rok, z powodu Sary. Namawiała go, żeby przyjeżdżał na północ na mnóstwo weekendów. Mówiła, że musi go mieć przy sobie, chce wiedzieć, że u niego wszystko w porządku. Karmiła go i tuliła, kiedy płakał, i słuchała, i odwracała jego uwagę historiami o ciotkach i zdeprawowanych kuzynach oraz kolekcji niewłaściwych dziewczyn jego brata. Przyjeżdżała też do Londynu, sprzątała mu mieszkanie, robiła wypieki, których nigdy nie jadł. To ona w końcu zajęła się rzeczami Sary. Ułożyła trzy stosy na łóżku. Pamiętał, jak któregoś dnia wrócił do domu i je tam znalazł. Jeden dla Humany\*, drugi dla komisji z ubraniami i trzeci z rzeczami, co do których musiał podjąć decyzję. Wielkie pudło w kwiaty z jej suknią ślubną owiniętą w bibułę było na tym stosie.

\* Humana People to People - międzynarodowa organizacja humanitarna, powstała w latach siedemdziesiątych.

- Możesz na mnie krzyknąć i wrzeszczeć, ile tylko chcesz, synu - oznajmiła - ale to się musi stać. Już czas. - Oczywiście nie krzyczał na nią ani nie wrzeszczał. Pozwolił odejść rzeczom, bo już nie sprawiało mu to żadnej różnicy. Zatrzymał tylko starą koszulkę i wypchane spodnie w kratkę, nosiła je w niedzielne poranki. Można było wyskoczyć z łóżka, pójść w nich prosto do kiosku i wrócić do łóżka. „Observer” dla niego, „Mail” dla niej, uwielbiała magazyn „Ty”, chociaż tłumaczył jej, że ta gazeta to komiks dla bezmózgowców, bez żadnej głębszej treści.

Początkowo obwiniał się za śmierć matki. To było wyczerpujące, jazda w tę i z powrotem pociągami z Newcastle, żeby się nim zająć. Powiedział ojcu, że przeprasza. Ojciec odrzucił przeprosiny ze zwykłą u siebie szorstkością.

- Bzdury, synu. Nie życzyłyby ci tego, co się stało z Sarą, za żadne skarby. Ale opieka nad tobą, kiedy to się stało? Ona tym żyła.

Teraz Matthew spytał Freddie.

- Więc co masz zamiar zrobić?
- Nie wiem.



- W porządku - wycofał się. - A co z domem? Czy odwołamy rezerwację w hotelu i zostaniemy tutaj?

Wyglądała na zaszokowaną.

- Boże, nie. Nie sędzę, żebym temu sprostała. Nie wiem, czy będę mogła jeszcze tu zamieszkać.

Na pewno nie dziś.

Nie wiedział, co jeszcze zaproponować. Freddie wiedziała.

- Teraz chcę wrócić do hotelu, wziąć długie, gorące prysznic, pójść coś zjeść i strasznie się upić.

Wchodzisz w to?

- Wchodzę.

- Chodźmy.

Chatham, Cape Cod

Jeszcze jeden leniwy dzień w raju! - Tamsin odkryła mrożoną herbatę Lipton i piła ją litrami. Właśnie wyszła na werandę z kolejnymi dwiema wysokimi szklankami. Grace była na zakupach (prawdopodobnie kupowała więcej mrożonej herbaty Lipton), a Reagan opalała się na trawie. Zdjęła patchworkową narzutę ze swojego łóżka i rozłożyła ją przed domem. Robiło się coraz cieplej, a ona ściągała z siebie kolejną część garderoby. Leżała teraz w krótkich spodenkach i czarnym biustonoszu, który wyglądał jak góra od bikini. Dla Tamsin było zbyt gorąco i rezydowała na huśtawce w cieniu. Znajdowały się za daleko od siebie, żeby rozmawiać, poza tym Tamsin była pochłonięta starym wydaniem *Czuła jest noc*. Ameryka sprawiła, że nabrała ochoty na F. Scotta Fitzgeralda.

- Mrożona herbata! Weź, póki jest zimna.

Reagan drzemała, leżąc na brzuchu, ale przekręciła się i usiadła. Tamsin odezwała się:

- Już lepiej, żeby oni byli w Bostonie w taki dzień jak dziś, a nie ja. Zastanawiam się, jak sobie radzą.

- Nic jej nie będzie. Jest z nią Matt, prawda?

Tamsin przyjrzała się Reagan uważnie, starając się coś wyczytać z wyrazu jej twarzy, chociaż było to trudne przy tych ogromnych okularach słonecznych.

- Co się z tobą dzieje, Reagan?

- O co ci chodzi?

- Daj spokój. Przecież rozmawiasz ze mną. O wszystko. O to, że tu jesteś, na początek. Nigdy nie widziałam, żebyś wzięła tyle dni urlopu, chyba że jechałaś w jakieś egzotyczne miejsce z facetem.

- Ty też? Matt powiedział to samo.

- I? Oboje trafiliśmy w sedno, co? I co z Mattem, skoro o nim mówimy. Masz gułę w gardle, odkąd tu przyjechał. O co w tym wszystkim chodzi? Pokłóciliście się ze sobą albo co?

- Nie, oczywiście, że nie. O co mielibyśmy się kłócić?
- Więc... co?
- Zwolniłam się.
- Co zrobiłaś?
- Zwolniłam się.
- Ale przecież kochasz swoją pracę!
- Zdaje się, że wszyscy tak myślą.
- Myślimy tak, ponieważ sprawiasz takie wrażenie. Pracujesz tyle, ile się da, na litość boską.
- Jedno niekoniecznie idzie w parze z drugim.
- Nie, ale jesteś w tym dobra. Zbiłaś niezłą fortunę. Jesteś strasznie ważna. Nigdy nie mówiłaś...
- Nie. Nigdy nie pytałaś.
- To nie fair, Reagan. Ale ona się nie wycofała.

Tamsin dąsała się cicho przez chwilę, dopóki nie zwyciężyła ciekawość.

- I? Pytam cię...?

Reagan pokazała jej język. Tamsin zrobiła to samo.

- W pewnym sensie masz rację. Nie miałam dość swojej pracy. Właściwie to się zwolniłam, bo trochę mnie przyparli do muru. Poprosiłam o kilka dni urlopu i nie zgodzili się na to, więc, po prostu, powiedziałam im, że mogą sobie wsadzić swoją pracę, i wyszłam.

- Więc może się okazać, że niezupełnie zrezygnowałaś?
- Och, myślę, że tak. Nie rzucam słów na wiatr. To było całkiem miłe.
- Ale dlaczego, skoro nie byłaś tam nieszczęśliwa? Reagan westchnęła.
- Bo jestem nieszczęśliwa wszędzie indziej. Tamsin zmarszczyła brwi.
- Chcę, żeby coś się zmieniło, to się wydawało dobrą okazją, żeby zacząć.

- Niewiele z tego rozumiem. Jeśli jakaś część dobrze funkcjonuje, to dlaczego jest to najlepsza okazja, żeby zacząć? I co jeszcze chcesz zmienić? - Tamsin tak naprawdę nie wierzyła, że pobożnym życzeniem Reagan jest wyjść za mąż i mieć dzieci. To nie było w jej stylu. Nigdy nie była taka jak ona.

Reagan nie odpowiedziała.

- Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Mnie możesz to powiedzieć, Reagan.
- Nie bardzo mogę, bo nie wiem. Z powodu mojego życia. Wszystkiego. Czegokolwiek. - Objęła się rękoma. - Myślałam, że to może dlatego, że jestem sama, że może jestem feministką zdrajczynią i wszystko, czego chcę, to mąż, dzieci i dom z ogródkiem.

- Nie ma w tym nic złego. Nie cierpię stwierdzenia, że nie można być feministką i chcieć tego wszystkiego.

- Zgadzam się. Ale nie o to chodzi. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żebym po prostu czekała na idealnego mężczyznę, który przyjdzie i uratuje mnie ze szklanej wieży.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Poza tym i tak jestem zupełnie nieprzygotowana na spotkanie z księciem z bajki. Czuję się... jakaś jałowa. Nie jako producentka dzieci. Czuję się... wyschnięta. I krucha. I... nie wiem...

Tamsin nie przypominała sobie, żeby Reagan kiedykolwiek mówiła w ten sposób.

- Och, zapomnij o tym. Pewnie się trochę wypaliłam. Pracowałam bez przerwy, odkąd skończyłam szkołę. Po prostu depresja po trzydziestce, melodia: dokąd zmierzam. I chyba dostrzegłam możliwość, żeby zeskoczyć z karuzeli. Czas się skończył. - Powiedziała to z okropnym, amerykańskim akcentem i zrobiła rękoma znak T. Później znów się uśmiechnęła. - I wiesz co? Mogę sobie pozwolić na trochę wolnego.

- Oczywiście. Przynajmniej możesz to zrobić bez zachodzenia w ciążę. Gdybym chciała pół roku urlopu, musiałyby się to skończyć dzieckiem.

- Aha, ale twoja praca to powołanie.

- O, tak. *Goodbye, Mr Chips, Zielona dolina, Stowarzyszenie umarłych poetów!* Mówisz, jakby to było kapłaństwo.

- Tak jest, to powołanie. Wiesz, że to prawda.

- Cóż, nikt tego nie robi dla pieniędzy, to pewne. - Reagan miała rację, Tamsin uwielbiała uczyć. Było to najbardziej satysfakcjonujące zajęcie, jakie mogła sobie wyobrazić. Kiedy widziało się, jak dziecko coś pojęło, dostrzegało się przyjemność czerpaną z wiedzy, zrozumienia, osiągnięcia na jego twarzączce, było to warte stu nędznych pensji i beznadziejnych warunków pracy. Nie każdy tak na to patrzył, ale Tamsin cieszyła się, że ona jeszcze to potrafi. - A bycie prawnikiem nie jest powołaniem? - spytała.

- Co za amoralne, bezduszne indywiduum mogłoby twierdzić, że bycie prawnikiem to powołanie.

- Zamknij się! Nie wszyscy jesteście źli.

- Nie?

- Daj mi minutę. Wymyślę dobrego prawnika!

- Czy to jest wstęp do jednego z twoich okropnych kawałów?

Tamsin знаła ich dziesiątki i była o wiele szczęśliwsza, rozmawiając na tej płaszczyźnie - to była Reagan, jaką najbardziej lubiła.

- Tak, tak. Jak się nazywa statek pełen prawników na dnie oceanu?

- Wiem. - Reagan udawała znudzoną, ale się uśmiechała. - Początek.

- Jesteś dobrym prawnikiem, Reagan.

- Skąd wiesz?

- Bo mam tylko takich przyjaciół, którzy odnieśli sukces, dlatego. - Obie się roześmiały.

Reagan pociągnęła duży łyk mrożonej herbaty, chociaż wolałaby dietetyczną colę. Jestem dobrym prawnikiem. Tylko nie sądzę, żebym była dobrym człowiekiem.

Później, kiedy dzień nie był już tak upalny i siedziały w kuchni, Reagan odezwała się:

- Słuchaj, Tams, nie wszyscy muszą wiedzieć o mojej śmiesznej, pięciominutowej kontemplacji własnego pępka i uzalaniu się nad sobą. „Niech to też minie”.

- Jak mówią.

- Kto tak mówi? To musi być Szekspir. Zwykle to on. Jeśli nie Oscar Wilde.

- To ty masz szekspirowskie inklinacje. Ale nie powiem ani słowa. Obozowa powiernica, pamiętasz?

Reagan przechodziła obok i Tamsin przyciągnęła ją do siebie, krótko i niezręcznie przytulając. Reagan przez sekundę była sztywna, ale później rozluźniła się i pozwoliła się przytulić, przynajmniej raz.

Boston

Matthew i Freddie zjedli kolację w centrum, we włoskiej restauracji, gdzieś na tyłach Capital Building. Było to miejsce, w którym nadal podawano wino Mateus Rosé, a na jednej ze ścian wisiała sieć rybacka z krzykliwymi, plastikowymi rybami, naprzeciwko zdjęć mało znanych gwiazd telewizyjnych z lat siedemdziesiątych, uwiecznionych razem z właścicielem, kiedy jeszcze miał włosy. Gdyby już nie nazywała się U Luigiego, to powinna się tak nazywać. Freddie przyszła na myśl scena z *Zakochanego kundla*, w której dwa psy jadły tę samą wstążkę spaghetti przy dźwiękach *Bella Notte*. Było tu ciepło, pachnąco i głośno.

- Umiesz zabawić dziewczynę, co? Miasto pełne wyśmienitej kuchni, a ty przyprowadziłeś mnie tutaj.

- Nie bądź taką snobką. Rozejrzyj się, jest tu mnóstwo Włochów. Jedzenie musi być fantastyczne.

Freddie roześmiała się.

- W porządku. Powiedz mu, żeby nam przyniósł dzbanek najlepszego chianti i duży talerz carbonary, i obiecaj, że nie będziemy rozmawiać o moim ojcu ani o mojej „matce”, ani o Adrianie. Dziś wieczorem mam ich wszystkich w tyłku. Ani słowa.

Matthew położył rękę na sercu i zamknął usta dwoma palcami. Pojawił się dzbanek z winem, sprawnie postawiony na ich stole przez kelnera, który szybko przemknął bokiem. Najwyraźniej było to tutaj obowiązkowe. Matthew napełnił dwa wielkie kieliszki i podniósł swój.

- Zgoda... jeśli mi obiecasz, że nie będziemy też rozmawiać o dawnych czasach. - Stuknął się z nią kieliszkiem. - Nasze zdrowie. Co dalej?

Spojrzała na niego pytająco.

- Nadszedł czas, żebym wyprowadził się z przeszłości i wszedł w przyszłość, nie uważasz?

Nie wzniesli toastu za Sarę. Zawsze to robili. Przez sekundę Freddie poczuła się niełojalna, ale z pewnością była to sprawa Matthew.

- Brzmi znajomo, mój drogi. Wypiję za to! - Freddie podniosła swój kieliszek i upiła spory łyk.

- Ale skąd się to wzięło? Zdecydowanie mówisz jak Tamsin, ale nie bardzo przypominasz Matta.

Matthew wzruszył ramionami.

- Nie wiem. - Uniósł brwi, jakby zaskoczony. Zawsze tak robi, kiedy coś tłumaczy, pomyślała Freddie. - Może jest to związane z tym, że przez jakiś czas was nie było. Zdałem sobie dzięki temu sprawę, że, niestety, nie mam zbyt wiele własnego życia poza tobą i Tamsin. A nawet Reagan. A wy mi nie wystarczacie, prawda? Przyjaźń z wami to nie wszystko.

Patrzył na nią w sposób, który wydawał się mieć wielkie znaczenie, a ona nie wiedziała, dlaczego. Chciała, żeby się uśmiechnął, chciała, żeby ta chwila była mniej doniosła, lżejsza.

- Chcesz powiedzieć, że nas rzucasz? Matthew uśmiechnął się i puścił oko.

- Porzucić klub Tenko? Nigdy. - Wyglądał na rozdrażnionego, jakby jeszcze coś chciał wyjaśnić. Freddie nie miała na to ochoty. Dotarcie do tego punktu musiało go sporo kosztować. Położyła rękę na jego dłoni i poklepała pocieszycielsko.

- Wiem, o czym mówisz.

Złapał ją za rękę, kiedy chciała ją cofnąć.

- Naprawdę?

- Tak mi się wydaje.

Wyszli dużo później. Było chłodniej i Freddie zarzuciła rozpinany sweter na ramiona, starając się wepchnąć ręce do rękawów.

- Zaczekaj! Spójrz na siebie! - Matthew pomógł jej włożyć sweter i zatknął luźny, jasny lok za ucho.

- Dzięki za dzisiejszy wieczór. - Pocałowała go w policzek i wzięła pod rękę, ciągnąc za sobą z powrotem do hotelu.

Szli w milczeniu, dopóki nie dotarli do wschodniego krańca Common przy Beacon Hill. Ta część miasta urzekała nocą, była przepelniona historią. Wiktoriańskie lampy gazowe, które paliły się przez cały dzień, świeciły tylko po zmroku i rzucały chybotliwe cienie na nierówny, brukowany czarno-czerwony chodnik. Domy też strzegły nocą swoich sekretów. Żaluzje oddzielały je od świata, ukazując tylko skrawki światła. Po drugiej stronie ulicy Common wyglądał mrocznie i niebezpiecznie, ale przez ogrodzenie Freddie widziała rząd drzew z kolorowymi lampkami zwisającymi z gałęzi.

Początkowo szli szybko, ale później zwolnili, w milczeniu wyobrażając sobie życie zamknięte w domach. Matthew zatrzymał się przed jednym z nich, na rogu ulicy. Czteropiętrowa kamienica z szarego kamienia, z szarzielonymi malowidłami na okiennicach i olbrzymią kołatką w kształcie delfina. Schody prowadziły do ogromnych drzwi wejściowych na podeście, a na drugim piętrze okno jednego z pokoi wychodziło na ozdobny, pięciokątny wykusz zwieńczony zielonym, spatynowanym dachem i małym balkonem z ozdobną balustradą. Nad drzwiami powiewała amerykańska flaga, a skrzynki z kwiatami na dole były bardzo starannie utrzymane. Okno na strychu filuternie pobłyskiwało z dachu. Dom wyglądał na ukochane mieszkanie mającej rodziny.

- Założę się, że to jest sporo warte - skomentowała Freddie, widząc, jak się przygląda z zainteresowaniem. Zauważyła, że wzrok Matthew przyciągnęły okna. We wszystkich pokojach, gdzie zaściągnięto żaluzje, ich kremowa tkanina lśniła w świetle lampy gazowej; szyby, nie wszystkie, ale tu i ówdzie, miały dziwną, liliową poświatę, jedne ciemniejszą, inne jaśniejszą.

- Co to jest? - spytał Matthew.

- Znam je. - Freddie uśmiechnęła się jak dziecko. - Uważałam na wycieczkach szkolnych. Też je uwielbiam. To są oryginalne szyby, zrobione w czasie, kiedy zbudowano te domy, w tysiąc osiemset którymś, czyli według amerykańskich standardów są cholernie stare. Wiesz, pomylili skład chemiczny, kiedy je robili, za dużo... - szukała w głowie odpowiedzi, która na pewno tam była - ... siarczanu magnezu albo czegoś takiego, nigdy nie byłam dobra z chemii. Ale wszystko zupełnie pomieszali. I z czasem szkło stało się fioletowe i niektórzy z właścicieli zatrzymali je. Jest ich całkiem sporo w Hill.

- Ładne, co?

- Są piękne. Naprawdę piękne.

Odwrócił się, żeby się jej przyjrzeć w poświacie lampy gazowej. Oczy lśniły jej z radości, że zapamiętała tę historię, historię o liliowym szkłe. Znów wyglądała na dziewiętnaście lat.

- Jesteś piękna - szepnął. Zachichotała.

- Oszalałeś. - Mówiła to lekko.

Ale jego głos był głęboki, nagle poważny.

- Tak, Freddie.

Coś się zmieniło przed domem z liliowymi szybami. Rozpostarła ramiona, a on do niej podszedł i mocno ją przytulił. Później odchylił się, podniósł ręce do jej twarzy i trzymał ją, przechyloną w swoją stronę, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy, które ciągle były otwarte, kiedy zbliżył usta do jej ust. Z początku niepewnie muskał ją ustami, zostawiając suche, delikatne pocałunki na jej wargach. Później jęknął i jej usta rozchyliły się, poddał się jej smakowi i dotykowi. Pocałunek był mocny i namiętny. Ona też go pocałowała. Stali tak długą chwilę na ulicy pod lampą gazową, całując się jak zakochani.

Freddie czuła, jak jej ciało na niego reaguje; nogi jej drżały i coś nieznanego promieniowało ze środka brzucha. Chciała być dotykana. Chciała, żeby to on ją dotykał. Czuła, jaki jest twardy przy jej

udzie. Jesteśmy równego wzrostu, pomyślała, naciskając na niego, nieświadomie inicjując rytm. Pożądała go. Gdyby byli w jakimś pomieszczeniu, gdyby stało tam łóżko albo sofa... mogła sobie wyobrazić, jak na nią opadają, odrzucając ubranie na bok, później dotykałoby się, ciało do ciała.

Powiedział jej imię, tylko raz, i to było właśnie to.

- Freddie. - Głos Matthew był nabrzmiały pożądaniem. I nie znajdowali się w pomieszczeniu. Stali na ulicy. I to był Matthew. Jej przyjaciel. Mąż jej przyjaciółki.

Wracała z bardzo daleka. To uczucie, kiedy cię usypiają u dentysty i na początku myślisz, że nie ma mowy, żebyś nie policzyła do dziesięciu, ale nawet nie możesz doliczyć do trzech i czujesz się tak ciężko i tak dobrze. Ale teraz było na odwrót. Za szybko wracała. Dekompresja serca.

Freddie cofnęła się i zobaczyła swoje własne zdumienie odbite na jego twarzy. Nieświadomie wytarła usta pięścią i odsunęła się.

- Co to było?

Podszedł do niej, więc znów się odsunęła w jakimś nieporadnym tańcu, i już nie podszedł bliżej.

- Przepraszam, ja...

- W porządku. Zapomnijmy o tym. Możemy o tym zapomnieć, prawda?

- Chcesz o tym zapomnieć?

Chciała, żeby to się nie zdarzyło. Czowała się słaba i głupia. Co on, do diabła, myślał?

- To się nie mogło zdarzyć, to wszystko. Nic nie powiedział.

Teraz przybrała błagalny ton.

- To jesteśmy my, Matt. Ty i ja. Jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Odpowiedział cicho.

- Zawsze.

- Zawsze. Masz rację. Ja też właśnie tego chcę. To wszystko, czego chcę.

- Jesteś pewna?

Nie była już niczego pewna. Była samotna, przestraszona i smutna, i tak dobrze się z nim czuła przed chwilą. Ale potrzebowała pocieszenia, a nie seksu. Potrzebowała starego Matta, nie tego nowego, całującego ją w ten sposób, sprawiającego, że go pożądała. Nie mogła tak ryzykować i nie robi tego.

Ruszyła energicznie w kierunku Newbury Street. Mówiła przez ramię; Matthew stał nieruchomo na chodniku, obserwując ją. Musi to wyjaśnić. Musi to wyprostować.

- Żebyśmy się dobrze zrozumieli, Matt. Oboje jesteśmy samotni. Samotni i trochę pijani. To wszystko. Możemy przejść nad tym do porządku.

Matthew wsunął ręce do kieszeni i poszedł za nią. Dogonił ją dopiero po pięciu krokach.

- Powiedz coś - prosiła.

- Przepraszam. Co jeszcze mam powiedzieć?

- Nic. Nie ma sprawy. Kryzys minął.

Ale leżała w łóżku, przyciskając kołdrę do szyi, zupełnie rozbudzona.

W sąsiednim pokoju Matthew z trudem oddychał. Była za ścianą, leżała jakieś trzydzieści centymetrów od niego, ale prawdopodobnie była dalej niż kiedykolwiek. Pomyślał o pocałunkach i ciało go zdradziło, znów stwardniał, sam w łóżku.

W tej chwili myślał, że nienawidzi sam siebie.

Przy śniadaniu też nie było dobrze. Wyglądał na zmęczonego i nie zadał sobie trudu, żeby się ogolić. Chciała wyciągnąć rękę i przygładzić mu włosy na czubku głowy, które nie miały nawet pięciu centymetrów i były potargane po nocy, ale wiedziała, że nie może tego zrobić. Oboje dziobali babeczki i obejmowali kubki z kawą, nie wiedząc, co sobie powiedzieć.

Przy sąsiednim stoliku niewielka grupka kobiet z Atlanty: długie, zakręcone i polakierowane włosy oraz nieskalanie spiłowane paznokcie, głośno planowała dzień zwiedzania. Za nimi chuda, poszarzała para, która wyglądała jak farmerzy na słynnym amerykańskim obrazie, metodycznie jadła w milczeniu, patrząc na siebie i nie widząc się.

Freddie znów poczuła przygnębienie. Swobodny, lekki nastrój poprzedniego wieczoru został zniszczony przez chwilową pomyłkę i kolejną bezsenność.

Poszli umyć zęby i Matthew zapukał do jej drzwi. Freddie otworzyła i niezręcznie wszedł do pokoju. Łóżko nie było pościelone i biała koszula nocna Freddie leżała rzucona w poprzek. Natychmiast Matthew niemal zasnął z pożądania. Otrząsnął się nerwowo. Co się z nim, do diabła, dzieło?

- Właśnie dzwoniłem do British Airways i mają miejsca na popołudniowy lot.

- Dzisiaj?

- Tak. Chyba najlepiej zrobię, jak wyjadę. Przepraszam, Freddie, naprawdę. Przyjechałaś tu, żeby się tym wszystkim zająć, a ja się zjawiam i jeszcze bardziej komplikuję ci sprawy, i przez to czuję się jak dupek. Byłem egoistą i zachowałem się jak idiota i właśnie mam zamiar wynieść się z twojej przestrzeni i pozwolić ci dalej robić to, po co tu przyjechałaś.

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. - Zabrzmiało to dziecinnie.

- Ale muszę. Tak jest najlepiej. Masz Tamsin i Reagan.

- Chciałam cię. - Freddie wiedziała, że nie powinna tego mówić. Okazała się słaba, a to nie było w porządku.

Matthew smutnie potrząsnął głową.

- Nie chciałaś. - Nie tak, jak ja cię chcę. - Wszystko będzie dobrze.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Przyjdź do mnie, kiedy wrócisz. To tylko kilka tygodni, prawda?

- Tak. Masz rację.



Nie pozwolił, żeby jego ciało jej dotknęło, kiedy się przytulili na pożegnanie, tylko ramiona. Trzymał się z daleka od niej i to ją zasmuciło. Kiedy już wyszedł, usiadła na łóżku i przytuliła poduszkę, próbując zrozumieć cokolwiek z ostatniej nocy i tego poranka.

linia telefoniczna między lotniskiem Logan w Bostonie i Chatham, Cape Cod

- Tamsin? Mówi Matt.

- Cześć, Matt! Co u ciebie? Co u Freddie?

- U niej w porządku.

- Jak wam wczoraj poszło? Zawahał się.

- W porządku. - Sprawiał wrażenie roztargnionego. - Słuchaj, ona właśnie wraca i jestem pewien, że ci wszystko opowie, jak tylko przyjedzie.

- Nie przyjedziesz z nią?

- Nie. Jestem w drodze na lotnisko. Wracam do domu popołudniowym lotem.

- Czy coś się stało w pracy?

- Nie. Nie to.

- Co się dzieje? Dziwnie mówisz.

- Och, Tamsin. Strasznie wszystko poplątałem. Tamsin domyślała się, do czego zmierza.

- Co to znaczy, że wszystko strasznie poplątałeś?

- Pocałowałem ją. Miała rację.

- Hm.

- Czy tylko tyle masz do powiedzenia?

- Co się stało?

- Wczoraj miała dość ciężki dzień, ale jakoś przez to przebrnęliśmy. Poszliśmy na kolację, spędziliśmy naprawdę miły wieczór. Po prostu czułem, no wiesz, że jestem jej bliski, i później po prostu szliśmy, i... wtedy ją pocałowałem.

- I jak ona to przyjęła?

- Też mnie całowała. Ale później się wycofała. Była zupełnie przerażona. Czuję się jak kompletny idiota.

- Nie jesteś idiotą, ale możesz nim zostać, jeśli masz zamiar uciec.

- Tak, właśnie to planowałem.

- Jesteś pewien, że to najlepsze wyjście? Bo ja nie. Dlaczego z nią o tym nie porozmawiasz? To na nią spadło jak grom z jasnego nieba i jest zdezorientowana. Nie wie, dlaczego to zrobiłeś ani co czujesz. Dlaczego chcesz to zostawić w takim zawieszeniu?

- Bo to nie jest w porządku. To nie jest właściwy moment. Ma tyle innych spraw na głowie. Nie powinienem tego zrobić. Nie chcę jeszcze pogarszać sytuacji, zmuszając ją, żeby się teraz z tym uporała.

- Po prostu się boisz.

- Tak, do cholery. Jestem kurewsko przerażony. Boję się, że zrujnowałem naszą przyjaźń, i boję się odrzucenia albo jakiegokolwiek innego scenariusza, który może ci przyjść do głowy, potwornie się boję tego wszystkiego.

- A co z wzajemnością? Boisz się tego? Odpowiedział cichszym głosem.

- Pewnie tak.

- Słuchaj, nie zadręczaj się, Matt. O ile się orientuję, właśnie tego chciałeś od miesiący, jeśli nie od lat.

- Więc dlaczego przyjechałem i schrzaniłem sprawę, robiąc to teraz?

- Ponieważ nie jesteśmy emocjonalnymi robotami. Zrobiłeś to, bo wtedy wydawało ci się to właściwe.

- Jej chyba nie.

- Jestem pewna, że jak się z tym oswoi, nie będzie zmartwiona.

- Ja nie jestem.

- Zadzwonisz do mnie, jak wrócisz?

- Tak. Słuchaj, nie mów jej, może nie chciałaby, żebyś o tym wiedziała.

- Umiem być taktowna. Do tej pory zachowywałam twoje tajemnice, prawda? Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nie martw się. Zadzwoń do mnie szybko.

Rozmowa w niewłaściwej chwili. Tamsin potrząsnęła głową. Zanosilo się na to od dłuższego czasu, ale powinien wybrać lepszy moment.

Przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz z nią o tym rozmawiał. To było pierwsze lato Flannery. Pewnego późnego popołudnia leżała na kocu w parku, patrząc, jak Willa i Homer kłócą się w piaskownicy tuż obok. Matthew przyszedł prosto z pracy, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie był Neil, ale w tamtych dniach spowitych mgiełką nowego dziecka tak naprawdę liczyło się tylko to, że był ktoś, kto pomógł zawlec do domu wszystkie akcesoria. Odpiął górny guzik, poluzował krawat, zdjął czarne skórzane buty i skarpetki i poruszył palcami u stóp. Flannery spała na brzuszku między nimi, a on bał się koronkowymi troczkami przy jej spodenkach.

Mówił ogólnie o Sarze, o tym jak bardzo chciałaby tu być. Jeden ze sposobów, dzięki któremu nadal żyła: zabierali ją w rozmowie na wspólne wycieczki do parku. Powinien tu stać jeszcze jeden wózek spacerowy ze śpiącymi w nim dziećmi Matthew i Sary. Chociaż teraz nie było już tyle smutku w tym, co mówili, tylko czułość.

Nagle Matthew zamilkł. Po chwili odezwał się.

- Chciałaby chyba, żebym miał kogoś innego?

Tamsin odpowiedziała natychmiast z pełnym przekonaniem. Nie pierwszy raz o to pytał i jej odpowiedź zawsze była taka sama.

- Oczywiście, że tak. - Żeby to podkreślić, pochyliła się ponad Flannery i pogłaskała go po ramieniu.

- Myślisz, że miałyby dla niej znaczenie, kto by to był? To było mocne uderzenie. Tamsin zamysliła się na chwilę.

- Myślę, że wołałaby kobietę.

Roześmiali się, ale kiedy na niego spojrzała, zauważyła, że nadal czeka na odpowiedź.

- Nie sądzę, żeby miała zastrzeżenia do twojego szczęścia. Dlaczego mnie pytasz?

- Bo chyba jest ktoś taki.

- Kto?

- Freddie.

Później zastanawiała się, dlaczego tak ją to zaskoczyło. Freddie i on zawsze byli sobie bliscy, najlepsi przyjaciele. Związek, którego żadne z nich nie kwestionowało.

Szukała w myślach odpowiedzi, ale wołałaby, żeby to nie była Freddie, bo to oznaczało kłopoty. Freddie miała męża i była jedną z najlepszych przyjaciółek Sary. Była najlepszą przyjaciółką Tamsin. Nie chodziło o to, że to złe - Tamsin nigdy nie przyszło to do głowy - po prostu, gdyby to było jakieś młode, ładne stworzenie z firmy prawniczej, ktoś nowy, wszystko odbyłoby się prosto i bez komplikacji i Matthew, którego kochała, mógłby od razu zacząć kochać i być szczęśliwy. Ale tak? Nic z tego.

Później zaczął mówić o Freddie, co w niej kochał, kiedy jego stosunek do niej się zmienił.

- To nie było rażenie piorunem z internetowej randki. Nie przyszło natychmiast. Nie obudziłem się pewnego ranka, myśląc: to jest to, to jest kobieta dla mnie, Kocham ją. Nic w tym stylu.

Tamsin nie odzywała się, po prostu pozwoliła mu mówić.

- Prawda jest taka, że przez pierwszy rok albo dwa po śmierci Sary w ogóle nie myślałem w tych kategoriach. Nie myślałem wtedy o miłości ani o romansie, ani o seksie.

Ciągle kochałem Sarę i byłem nieszczęśliwy, ale nie myślałem o nikim innym.

- I miałem wszystko, czego potrzebowałem, żeby kochać Freddie. Kochałem ją tak samo długo jak ciebie i prawie tak długo, jak kochałem Sarę. Byliśmy przyjaciółmi. Wiedziałem, co czuła, czego chciała, co myślała o różnych sprawach. Mieliśmy wspólne przeżycia i wspomnienia. To wszystko już tam było. Nie wiem, kiedy zacząłem myśleć o niej inaczej, kiedy zacząłem jej pożądać. Początkowo wydawało mi się, że stanowi to po prostu etap procesu zdrowienia, że powinienem patrzeć na inne kobiety i wyobrażać sobie seks z nimi, i jeśli w ogóle myślałem o Freddie, było nieuniknione, że zacznę

w miejscu, w którym czułem się najwygodniej. Ale byłem pewien, że nic nigdy z tego nie wyjdzie, że te uczucia miną. Później jednak zdałem sobie sprawę... że nigdy nie miałem takich uczuć wobec ciebie.

- Dzięki! - przerwała Tamsin.

- Ani do Reagan. I te wszystkie przypadki, kiedy zbliżyłem się do kogoś z pracy albo przyjaciółki przyjaciół, te koszmarnie randki, to w ogóle na mnie nie działało. Przez wieki miałem wyrzuty sumienia z tego powodu.

- A nie przez Adriana?

- Nie, chrzanić go. Z powodu Sary. Ale było jeszcze coś. Czułem, że zdradzam moją przyjaźń z Freddie. Ona nie traktowała mnie jak zwykłego faceta, jakbym był kolejnym kolesiem. Miałem szczególne przywileje. Czerpałem bardzo dużo z intymności należnej mężowi albo kochankowi, nie będąc ani jednym, ani drugim. Ona nie myślała o tym. Pamiętam, jak kiedyś zabraliśmy dzieci na basen, to był gorący dzień, i włożyła koszulkę tył na przód bez biustonosza, i była mokra, i... - Potrząsał głową - ... wiedziała, że patrzę, i nie zwracała na to uwagi, to jej po prostu nie przyszło do głowy, ale ja widziałem ją w inny sposób i źle się z tym czułem, prawie jak zboczeniec. Jakbym był podglądaczem, nagle zerknął ukradkiem. Więc starałem się to odepchnąć, ale się nie udało. I im więcej o tym myślałem, i im bardziej oddalałem się od Sary, tym bardziej nie mogłem zaprzeczyć, że to, co czułem jest prawdziwe. I nie ma nic wspólnego z Sarą, ani nic wspólnego z moim związkiem z Freddie sprzed dziesięciu lat. Chodziło tylko o nią i o mnie. Mężczyznę i kobietę. Kocham ją, Tamsin. Siedział wyprostowany. Wyciągnęła ręce i objęła go za szyję.

- I co masz zamiar z tym zrobić?

- Co mam zrobić? Jest żoną Adriana. Jest szczęśliwa. Tamsin uniosła brwi.

- Nie jest wystarczająco nieszczęśliwa, żeby coś z tym zrobić. I nie myśli o mnie w ten sposób. I najbardziej boję się tego, że nigdy nie pomyśli. Że jestem dla niej jak brat albo ktoś taki.

Na pewno chciał, żeby coś powiedziała, ale Tamsin nie mogła, nie wiedziała, co powiedzieć.

Chatham, Cape Cod

W drodze powrotnej Freddie zatrzymała się w Plymouth Rock. Trochę przypominał Małą Syrenkę w Kopenhadze - rozczarowywał. Pojechała tam z Adrianem na niezwykle drogą wycieczkę weekendową, kiedy Harry miał sześć miesięcy. Starła się nie traktować tego symbolicznie. Matka Adriana w zasadzie zmusiła ją do wyjazdu. To straszliwie istotne - twierdziła - żeby być daleko od Dziecka. Mówiła o Harrym „Dziecko”, nie maleństwo ani Harry. Dziecko musi zdać sobie sprawę - perorowała - że mamusia nie zawsze będzie przy nim. A Freddie słyszała w nawiasie: mamusia musi zdać sobie sprawę, że przede wszystkim jest żoną, i skończyć z tym koszmarnym karmieniem. Odsta-

wienie od piersi w dwunastym tygodniu, jedzenie w czwartym miesiącu, przyzwyczajanie do nocnika, kiedy dziecko ma rok - to było porządne wychowanie, wychowanie Sinclairów.

Wyjazd okazał się katastrofą. Rozpaczliwie tęskniła za Harrym i dotkliwie bolały ją piersi. Jedynie, co zapamiętała z podróży, to tęsknota za dzieckiem, pulsujące piersi i maleńka syrenka. I zły sen, który się jej przyśnił w sobotnią noc. Dowiedziała się, że jej maleńki synek został zapisany do szkoły z internatem. (Okazało się, że było to raczej przeczucie niż koszmar senny, skoro rozmowy przybrały ten obrót krótko po ich powrocie).

Plymouth Rock nie wyglądał na miejsce narodzin wolnego świata. Usiadła na ławce i przypatrywała się mu przez chwilę, poprzez kraty i graffiti. Zaczęło padać, wsiadła do samochodu i ruszyła do Chatham.

Grace była sama, kiedy wróciła. Reszta poszła zwiedzić posiadłość Kennedych. Freddie zastanawiała się, czy Matthew je ostrzegł.

- Dostałam list od prawników dziś rano - zakomunikowała Grace.

- Cieszę się, że zostawił ci tę willę. To jest twój dom. Słusznie postąpił.

Grace uśmiechnęła się.

- Nie wyobrażam sobie, że miałabym stąd odejść.

- Nie musisz.

- Z drugiej strony trudno mi wyobrazić sobie życie tu bez niego. To duży dom, jeśli mieszkasz całkiem sama.

Freddie przytaknęła.

- Nie miałam pojęcia, że zatrzymał dom w Beacon Hill.

- Wiedział, że jest wart dużo więcej, niż za niego zapłacił, ale nie potrzebował pieniędzy. Myślał, że może pewnego dnia zechcesz w nim zamieszkać. - W jej głosie pobrzmiwało pytanie, ale Freddie nie odpowiedziała. Grace mówiła dalej. - Ale nawet jeśli nie, będzie jeszcze więcej wart, za nim zdecydujesz się go sprzedać. - Freddie znów nic nie powiedziała. - Widziałas go?

- Byliśmy tam wczoraj.

Obie kobiety zamilkły. Freddie starała się opanować gniew. Najwyraźniej Grace to zauważyła i nagle zaczęła mówić, szybko i cicho, w ciszę między nimi.

- Dowiesz się też o swojej matce. Klóciliśmy się o to. Klóciliśmy się o to latami.

- Dlaczego?

- Czułam, że powinien ci powiedzieć. Zwłaszcza kiedy urodził się Harry. Wiedziałam, że wtedy, o ile nie wcześniej, będziesz musiała się tego dowiedzieć.

- A ty wiesz? Mówiła cichym głosem.

- Nie.

- Nigdy ci nie powiedział? - Freddie była pełna niedowierzania.

- Czy powiedział mi, dlaczego od niego odeszła? Nie. Mówił tylko, że to nie była jej wina. Oznajmił to, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej. Wydawało mi się to takie tragiczne, ojciec zostawiony sam z małą córeczką. Na początku przypuszczałam, że jego żona umarła. Kiedy się dowiedziałam, że uciekła, opuszczając was oboje, gotowa byłam myśleć o niej wszystko, co najgorsze. Jak większość ludzi. Ale wyznał, tego pierwszego dnia, że jej nie obwinia. Była zbyt młoda, nie powinien się z nią żenić, i o wiele bardziej winił siebie niż ją.

- Kiedy się dowiedziałas, gdzie jest?

- Miałaś niecałe osiemnaście lat. Podzielił się tym ze mną, jak tylko sam się dowiedział. To było tuż przed twoim wyjazdem do Oksfordu. Nie mógł ci wtedy tego powiedzieć, prawda? Właśnie miałaś wyruszyć na spotkanie ekscytującego, nowego życia po drugiej stronie Atlantyku.

- Jak się dowiedział?

- Napisała do niego.

- Nie do mnie?

- Nie wiedziała, co ci o niej powiedziano. Myślę, że była ostrożna. Nie chciała zrobić fałszywego kroku, jeśli chodziło o ciebie.

Freddie parsknęła.

- Oprócz tych fałszywych kroków, które zrobiła, uciekając ode mnie, kiedy miałam cztery lata.

- Rozumiem, że się złościś, Freddie. Wiem, że to wszystko było dla ciebie szokiem. Ale tak naprawdę, czy to ma znaczenie, że wiedział, gdzie jest? Nie była częścią twojego życia.

- To nie on powinien podjąć tę decyzję.

- Ale podjął ją, kiedy byłaś dziewczynką. Ona odeszła, Freddie, i przez lata nie miał pojęcia, gdzie była. Nie miał dla ciebie żadnych odpowiedzi. A kiedy znów się pojawiła, spanikował. Nie chciał cię martwić. Chciał, żebyś pojechała do Anglii, studiowała i była szczęśliwa. Uważał, że w tamtym momencie to by nie było dla ciebie dobre.

- Może w tamtym momencie. Chyba potrafię to zrozumieć. Ale później? Miałam prawo wiedzieć.

- Wiem, że miałaś. Właśnie o to z nim walczyłam.

- Walczyłaś i przegrałaś.

- Tak.

- Mogłaś to zrobić za jego plecami. Grace przytaknęła.

- Masz rację. - Spojrzała na Freddie ze łzami w oczach i do gniewu porzuconej córki nagle wmieszał się żal. - Pewnie było mnóstwo rzeczy, które powinnam zrobić inaczej. Patrząc wstecz, widzę, że pozwoliłam mu decydować w wielu sprawach. Twojej matki, mówienia ludziom o nas, raka. Nie wiem, co mam ci powiedzieć, oprócz tego, że jest mi przykro. Teraz jest już na to za późno, wiem, ale przepraszam.

Nagle dodała.

- Ale ty się wyprowadziłaś, Freddie. Nie tylko fizycznie i nie tylko od niego. Oddaliłaś się ode mnie. Odrzuciłaś nas oboje, wiesz o tym.

Freddie poczuła wstyd. To prawda.

- Więc wiesz, gdzie ona jest?

- Mam jej adres w Provincetown.

- Poznałaś ją?

- Nie. - W głosie Grace brzmiało wahanie.

- Grace?

- Nigdy jej nie poznałam, ale ją widziałam. Raz tam pojechałam. Wymyśliłam coś dla twojego ojca, bo wiedziałam, że będzie wściekły. To było zaraz po tym, jak dostaliśmy list.

Znalazłam ją i obserwowałam przez chwilę, jakbym była podglądaczką. Wyszła z domu, w którym wtedy mieszkała, przeprowadziła się, ale mam adres. Trochę ją śledziłam. Pamiętaj, kochałam twojego ojca, a to była kobieta, którą poślubił. Byłam ciekawa. Nawet odrobinę zazdrosna.

Freddie zdziwiła się. Nie mogła sobie wyobrazić Grace zachowującej się w ten sposób.

- Gdybym miała więcej odwagi, porozmawiałabym z nią. Ale myślę, że nigdy nie byłam zbyt odważna.

- Mogę go dostać?

Był zapisany na kartce papieru złożonej pod zegarem na kominku w salonie. To nie był charakter pisma jej ojca ani Grace, musiała to napisać Rebecca.

- Co było w tym liście?

- Minęło tyle czasu. Nie sądzę, żeby twój ojciec go zatrzymał, a ja go nie widziałam.

- Ale czy pamiętasz, co w nim było?

- Informacja, że wróciła. Nie wiedzieliśmy skąd, przynajmniej ja. I ten adres, gdybyś kiedykolwiek zapytała, gdzie jest.

- To wszystko?

- Tak mi się wydaje.

- I nigdy więcej nie próbowała się skontaktować?

- Nie - przerwała jej Grace. - Ale ja próbowałam. Kiedy skończyłaś studia, wyszłaś za mąż, kiedy urodził się Harry, wysyłałam jej zdjęcia z krótkimi podpisami, żeby wiedziała. Nigdy nie zdradziłam, gdzie jesteś, a ona nigdy nie spytała. Po prostu chciałam, żeby coś o tobie wiedziała.

Freddie nie była już zła. Tak bardzo różniła się od Grace. Obie zrobiły to, co musiały, żeby zachować spokój, nawet jeśli niekoniecznie było to zgodne z tym, co uważały za słuszne.

Wpatrywała się w kawałek papieru w ręce i zastanawiała się, co ma, do diabła, zrobić.

Tamsin i Reagan wróciły wczesnym popołudniem. Hyannisport był rozczarowująco pozbawiony śladów Kennedych, ale znalazły świetnego sprzedawcę ryb i przyniosły świeżego homara oraz rozkład promów do Martha's Vineyard i Nantucket. Zjadły homara z topionym masłem i kieliszkiem białego wina, słuchając z otwartymi ustami listy rewelacji Freddie.

- A niech to! Tutaj jest jak w *Peyton Place* - zatrąbiła Tamsin.

- Moje życie to opera mydlana.

- Więc mamusia żyje i ma się dobrze, i mieszka w Provincetown, tak? - dorzuciła Reagan.

- To chyba oczywiste, co? - zauważyła Tamsin. - To w Provincetown wszyscy są homoseksualistami, tak? Czytałam o tym. Musi być lesbijką. Dlatego uciekła. Dlatego tam wylądowała.

- Nie mówisz tego poważnie? - Reagan patrzyła na nią zdziwiona.

- Dlaczego nie? Spójrzmy prawdzie w oczy. To musiało być coś apokaliptycznego, żeby matka uciekła od własnego dziecka. Coś, co przewróciło jej życie do góry nogami. Dlaczego nie to?

- Marnujesz się, ucząc; powinnaś pisać.

- Co o tym myślisz, Freddie?

- Nie wiem, co myśleć. Może jest lesbijką. Skąd mam wiedzieć. Nawet nie wiedziałam, że żyje, aż do wczoraj. A w Provincetown mieszka dopiero od niedawna. Nie mam pojęcia, gdzie była do tego czasu.

Tamsin puściła wodze wyobraźni, ale spojrzała na Freddie i zdecydowała się zachować to dla siebie, na jakiś czas.

- Czy Grace nic o niej nie wie? - pytała Reagan. - Czy ma więcej dzieci albo czy wyszła jeszcze raz za mąż?

- Nie sędzę.

- Widzisz? Najwyraźniej jest lesbijką - oznajmiła Tamsin jak Poirot kończący dochodzenie. Oblizła umaślony kciuk. - Kim miałyby być?

Później Grace powiedziała im, że jej siostra w Vermont zaprosiła ją na trochę i chce tam pojechać. Szykowano chrzciny dziecka jej siostrzenicy i obiecała, że przyjedzie do Waitsfield. Potrzebowała też trochę odpoczynku po pogrzebie. Zaproponowała nieśmiało, że mogą zostać, kiedy jej nie będzie.

Grace wyjechała następnego popołudnia. Freddie niosła jedną z jej toreb do samochodu i objęły się.

- Grace? Przepraszam, że taka byłam. Grace przytuliła ją mocno.

- Przepraszam, że nie traktowałam cię tak, jak powinnam.

- Jej ramiona drżały i Freddie zdała sobie sprawę, że płakała.

- Powinnam bardziej o ciebie walczyć, o to, co uważałam za słuszne. - Przez uchylone okno w samochodzie spytała: - Co masz zamiar zrobić?



- Nie wiem, Grace.

Tamsin wyszła na zewnątrz i pomachała za odjeżdżającym autem. Położyła rękę na ramieniu Freddie.

- Co teraz? Jedziemy do Provincetown odszukać Najdroższą Mamusię?

Freddie roześmiała się.

- Tylko Bóg wie...

- Matthew mnie pocałował.

Leżały w piżamach na łóżku Freddie. Reagan poszła spać jakąś godzinę temu, ale Tamsin miała zgage i Freddie dotrzymywała jej towarzystwa. Oglądały amerykańskie sitkomy.

Tamsin wiedziała, ale nie miała zamiaru się do tego przyznać.

- Naprawdę?

- Nie wyglądasz na bardzo zaskoczoną.

- Nie jestem.

- Dlaczego nie? - Freddie przyglądała się jej podejrzliwie. - Co wiesz?

- Nic nie „wiem”.

Nie była przekonana, czy jej wierzyć.

- Czy to było miłe? Klepnęła Tamsin w udo.

- Nie w tym rzecz!

- To znaczy tak czy nie?

- To nie było ani miłe, ani niemiłe. To było... dziwne. Jest moim przyjacielem. Jest mężem Sary.

- Jest wdowcem po Sarze.

- Ale nadal jest moim przyjacielem. Naszym przyjacielem. Dość dziwnie byś się czuła, gdyby cię pocałował.

- To byłoby coś zupełnie innego.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie zrobiłby tego Neilowi.

- Ale zrobiłby Adrianowi.

- Do diabła, tak. I wszyscy byśmy stali po jego stronie, kibicowalibyśmy mu.

Freddie musiała się uśmiechnąć. Tak bardzo kochała Tamsin.

- Skoro mówimy o Adrianie, co zamierzasz? - Znow dzwonił i Tamsin odebrała telefon. Nawet dla niej jego głos brzmiał trochę rozpaczliwie. Oczywiście, nie było jej go żal. Freddie gorączkowo machała rękoma i Tamsin skłamała bez namysłu. - Nie ma jej tu... Oczywiście, przekażę wiadomość... Jestem pewna, że oddzwoni do ciebie, jak tylko wróci do domu.

- Ignorować go?

- To dobre na krótką metę. Ale to nie jest prawdziwy plan, prawda?

- Chyba nie.

- Wiesz, czy nadal spotyka się z tą Antonią Melhuish?

- Nie.

- I to cię nie martwi?

- Nie powiedziałabym, że mnie nie martwi...

- Ale cię to nie gryzie. Nie myślisz o tym przez cały czas. Nie chcesz jej zabić albo jego, albo oboje.

Freddie zdała sobie sprawę, że przyjaciółka ma rację.

- To chyba twoja odpowiedź. Gdyby chodziło o Neila, umierałabym w środku.

Tamsin przeżyła tylko jeden wieczór zazdrości w ciągu niemal dwudziestu lat. To było po urodzeniu Homera. Zrobiła się z niej pobudzona hormonalnie, karmiąca wiedźma i Neil nie wrócił do domu, tak jak obiecał. Zakładając, że zdarzył się nagły wypadek w szpitalu, zadzwoniła tam, ale odpowiedzieli jej, że go nie ma. Pamiętała, jak siedziała na schodach, wpatrując się w drzwi wejściowe, chora ze zmartwienia. Wyobrażała go sobie z kimś innym - szczupłym i miłym, z poczuciem humoru i piersiami, z których nic nie ciekło na imprezach.

Wrócił o jedenastej wieczorem. Był u Matthew i Sary. Wypił drinka albo dwa i nabrał odwagi, żeby powiedzieć to, co ćwiczył w ich domu przez cały wieczór: że ją kocha i zawsze będzie ją kochał, ale ma już dosyć traktowania go jak gówno, bo jest zmęczona i skoncentrowana na Homerze. Każdego innego dnia zabiłaby go na miejscu, ale trzy godziny wyobrażania go sobie w ramionach innej kobiety sprawiły, że rzuciła się na niego - co nie jest błahostką, kiedy każda pierś waży dwadzieścia kilogramów - i przeprosiła, i obiecała, że jutro będzie lepsza.

Gdyby Neil miał romans, chciałaby umrzeć. Może nie byłaby mściwą maniaczką, która obcina wszystkie rękawy w garniturach i wylewa kwas na maskę samochodu, i to nie musiałby być koniec, ale wiedziała, że chciałaby umrzeć.

Jeśli Freddie nie dostrzegła, że jej małżeństwo się skończyło, to tylko dlatego, że miała pełno innych spraw na głowie. Dla innych było to oczywiste.

- A co z Matthew?

- Nie mam pojęcia.

- Słuchaj, Freddie, nie wiem, co się zdarzy. Może naprawisz swoje sprawy z Adrianem. Mam wielką nadzieję, że nie, ale to twoje życie i nikt nie może ci mówić, co masz z nim zrobić, nawet gdyby wiedział, że ma rację. Ale nieważne, pomyślisz o Matcie? Sądzę, że cię pocałował, bo mu szczerze, bardzo na tobie zależy, i uważam, że nie powinnaś tego lekceważyć.

- O czym ty mówisz?

- Po prostu wiem, że mnóstwo się teraz dzieje i że to wszystko ciebie dotyczy, ale proszę, pomyśl o nim. - Nie mogła już nic więcej powiedzieć.

## Anglia

Adrian leżał oparty o poduszki w sypialni Antonii Melhuish. Czuł się dziwnie nie na miejscu. To była kobieca przestrzeń: wszystko w kwiatki, pastelowe i niewiarygodnie schludne. Miała zasłony, które wyglądały jak majtki z falbankami, a toaletka w kształcie nerki wykończona była starannie udrapowaną tkaniną w ten sam deseń. Czuł się tutaj duży i niezdarny.

Ubierała się, nawijając przez cały czas. Była spóźniona, mówiła więc coraz szybciej, aż jej głos przypominał sepleniący, piskliwy karabin maszynowy terkocący w jego głowie. Była spóźniona do salonu kosmetycznego. Nauczył się, że zachowanie takiej opalenizny, tak jasnego blondu i takiej wygolonej cipki wymagało sporo zachodu, bywała tam kilka razy w tygodniu. Przyjechał po nią ostatnio. Też czuł się nie na miejscu. Pachniało glonami i salon był pełen głośnych kobiet mówiących o mężczyznach.

Miała też te swoje paznokcie - akrylowe, do czego się przyznała, machając nimi na pokaz. Squoval\*. Cokolwiek to znaczyło. Trochę się ich obawiał i prawdę mówiąc, potrafiły sprawić ból, kiedy zatapiała mu je w plecach, co robiła dość często. Brał prysznic po grze w squasha w swoim klubie w zeszłym tygodniu i kolega zauważył ośmiocentymetrowe zadrapania, które zrobiła pazurami na jego ramieniu.

\* Squoval (ang. *squared-off oval*) - termin używany przez manikiurzystki: owalne paznokcie, lekko spłaszczone na czubkach.

- Cholera, Ade. Z twojej żony musi być niezła kocica.

Przyływ dumy z powodu uznania jego męskości zdusiło poczucie winy. I odrobina rozczarowania. Seks z Antonią nie był taki, jak sobie wyobrażał. Ilość nie szła w parze z jakością. Była dość wymagająca. Również egoistyczna, czego się później dowiedział: któregoś dnia poświęcił jej mnóstwo czasu i oczekując uczciwej wymiany, przyciągnął jej głowę w dół. Usiadła, zmarszczyła nos i wyjaśniła, że nigdy tego nie robiła. Z nikim. Był nieco zaszokowany. To nie pasowało do nimfетки z ósmego dołka.

Podejrzewał, że wiązało się to z jej obsesją na punkcie higieny i porządku, która jego zdaniem była niemal chorobliwa. Nie wolno mu było przyjść do łóżka, jeśli się nie wykapał, i chociaż na początku myła się razem z nim, co było niezłą zabawą, coraz częściej wysyłała go do łazienki samego. Czuł się przy niej jak przy pielęgniarce, może działało to na niektórych facetów, ale Adrian, o dziwo, nigdy nie widział nic erotycznego w pielęgniarkach.

Przerwała ubieranie, żeby podnieść wyżej poduszkę za jego głową.

- Pobrudzisz oparcie, Adrian. - Może przydałyby się pokrowce.

Freddie była zupełnie inna. Czasami podobało im się własne niechlujstwo. Lubiła, kiedy był spocony po przebieżce. I pozwoliłaby mu się kochać na zlewie kuchennym, ani przez moment nie myśląc o zarazkach, które zostałyby na granicie.

To nie wszystko, chociaż już czuł się przygnębiony. Teraz mówiła o prawnikach. Chciała, żeby Adrian spotkał się z jej „starym”, mężczyzną, który najwyraźniej załatwił jej taki „bajeczny” układ przy rozwodzie. Ciągle powtarzała:

- Adrian, po prostu nie poznasz kobiety, dopóki nie spotkasz się z nią w sądzie. Myślisz, że nie jest zainteresowana twoimi pieniędzmi, ale poczekaj. „Wszelka niegodziwość jest niczym w porównaniu z niegodziwością kobiety”. A poza tym, kto nie jest zainteresowany pieniędzmi? Puści cię z torbami, jeśli się nie obronisz.

Ale czy nie zasługiwał, żeby puścić go z torbami? Miał romans. Obserwował twarz Antonii, kiedy to mówiła, i zauważył, że zacisnęła usta. Maleńkie zmarszczki pojawiły się nad górną wargą, jakbyssała cytrynę. Wyglądała na złośliwą osobę.

Stosunek Adriana do pieniędzy był typowy dla tych, którzy mieli ich mnóstwo. Uważał rozmowy o nich za wulgarne, a nadmierne zainteresowanie nimi za męczące. Obawiał się, że Antonia tego nie czuła. Zauważył, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pojawiły się zmarszczki, że mówiąc mu o ludziach, których nie znał, podawała ich skrócone życiorysy: To jest Tony Lewis. Dentysta. Jeździ audi TT. Myślę, że Jonathan w większości za nie zapłacił, kiedy leczył zęby. Dom w Marbelli. Albo: Sally Smith. Okropny cellulitis. Jej mąż jest współnikiem w Grant Thornton, sprzedali w zeszłym roku dom za milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Zastanawiał się, co by wyszeptła o nim.

- Adrian Sinclair. Żona się nie depiluje. Wart miliony, kiedy jego rodzice kopną w kalendarz. Nieżyły w łóżku, oprócz niedorzecznego zapotrzebowania na fellatio.

- Więc pójdziesz? Przynajmniej zadzwoń do niego dzisiaj. Westchnął.

- Zadzwonię do niego.

- Dobra robota, kochanie. - Pocałowała go w czoło. Była już ubrana. - Dobrze. Wychodzę. Parkowanie to zupełny koszmar w sobotę rano, więc się okropnie spóźnię. - Patrzyła na niego. - Chyba że...

- Spotykam się dziś rano z chłopakami w klubie golfowym. To zupełnie nie po drodze.

- Nie powiedziałaś mi.

- Muszę ci o wszystkim mówić?

Miała nadąsaną minę, ale ciągnęła lekkim tonem.

- Oczywiście, że nie, kochanie, ale z pewnością dziesięć minut nie ma znaczenia, prawda? - Naciąganie. Freddie nigdy go nie naciągała. - I będziesz grał tylko do dziewiątego dołka, tak? - Freddie

nigdy nie przeszkadzało, kiedy grał osiemnaście dołków i spędzał resztę dnia przy dziewiętnastym. To, co kiedyś uważał za objaw odrzucenia i zaniedbania, teraz wydawało się dziwnie kuszące.

Zrzucił koldrę i wstał z łóżka. Antonia przyciągnęła go do siebie i otarła się o jego biodra swoim drobnym ciałem.

- Wynagrodzę ci to później.

Ale kłopot w tym, że nie był pewien, czy potrafiła.

Martha's Vineyard

- I co, jedziemy do Martha's Vineyard czy nie? - Tamsin studiowała rozkład promów przy śniadaniu.

- Nie możemy. Nie przyjechałyśmy tutaj na wakacje - ucięła Freddie.

Tamsin i Reagan uniosły brwi i spojrzały na siebie.

- Kto tak mówi?

- Może Neil, na początek?

- Nie powiem mu.

Freddie spojrzała na nią z powątpiewaniem.

- Dobrze, powiem mu, ale nie będzie miał nic przeciwko temu. Jeśli o niego chodzi, zawsze jestem w dwóch miejscach. Tam albo gdzie indziej. Dalej, jedźmy na wagary. Nie jesteś gotowa do roli sycylijskiej wdowy i sędzę, że już wyczerpałyśmy możliwości Chatham. Powiedz jej, Reagan.

Reagan ziewnęła.

- Racja jak cholera.

- To wszystko?

- Jest dorosła. Myślę, że my dwie powinnyśmy pojechać do Martha's Vineyard. Tylko na kilka dni. Zatrzymałybyśmy się w jednym z zajazdów z broszur. W którymś z tych, gdzie są łóżka z koronkowymi baldachimami. Jeździłybyśmy na rowerach, chodziły po piasku i jadły homary. Ale nie możemy zmusić Freddie, żeby z nami pojechała.

- I nie pojedziemy bez niej.

- Przestańcie mówić o mnie, jakby mnie tu nie było.

- Przestań mówić, że nie pojedziesz.

- Dobrze, dobrze. Wygrałyście.

Okazało się, że znalazły miejsca tylko na trzy noclegi. Wszystkie stare, romantyczne zajazdy były pełne. Prawie spóźniły się na prom, bo Tamsin nalegała, żeby zatrzymać się przy jednym z olbrzymich sklepów Christmas World, które stały przy głównej trasie w całym Cape. Freddie i Reagan

nie mogły powstrzymać się od śmiechu, to miejsce ociekało bezguściem, milion różnych pomysłów na tandetne Boże Narodzenie do przyprawiającej o ból głowy ścieżki dźwiękowej ze świąteczną muzyką.

- Naprawdę mają to przez cały rok? - zawyła Reagan.

- O, tak. Święta to duża rzecz w Cape.

- Święta w Cape to tandeta.

- Zamknijcie się! - syknęła na nie Tamsin. Pani Boże Narodzenie przy kasie, oszłamiająca w odświętnym fartuchu ozdobionym przypinką z Mikołajem, która zmieniała się w Hannibala Lectera, kiedy się ją nakręciło, wpatrywała się w nie. - Tak się składa, że uwielbiam święta.

- Oczywiście, jesteś pełnoprawnym członkiem rodziny Waltonów\*.

- Jakaś ty niegrzeczna.

- Tak, trochę jak ten koleś... - Reagan trzymała w górze plastikowego Mikołaja, który opuszczał spodnie do refrenu *All I Want for Christmas is You*.

\* Waltonowie - bohaterowie serialu rodzinnego *The Wallons*, bardzo popularnego w Wielkiej Brytanii.

Wtedy Reagan i Freddie naprawdę straciły panowanie nad sobą i Tamsin wyprowadziła je ze wstrętem ze sklepu.

- Wróć bez was.

Tak samo fatalnie zachowywały się w aptece, gdzie zatrzymały się, żeby kupić kilka butelek wody mineralnej i puszek coli. Był tam niezwykle wybór środków farmaceutycznych i Freddie, i Reagan chichotały na widok urządzeń do podmywania się, domowych zestawów do lewatywy i rzędów środków przeczyszczających.

- Wielki Boże! W Bootsie nigdy nie było tak fajnie! Zanim wsiadły na prom, Tamsin śmiała się wraz z nimi.

Zaciągnęły swoje małe walizki do schowka pod pokładem, po czym wyszły na zewnątrz popatrzeć, jak prom wypływa z zatoki. Lekki wiatr i morskie powietrze dobrze robiło ich twarzom i płucem.

- Myślałyście o wyspie Wight?

Reagan myślała. Pojechały tam tylko we czwórkę tego lata, kiedy skończyły Oksford, tuż po egzaminach końcowych. Były wykończone egzaminami i imprezami. Udało im się przekonać Tamsin, żeby zostawiła Neila, i tata Sary zawiózł je do Portsmouth.

Stały na pokładzie i patrzyły, jak oddala się angielski brzeg, razem ze stresem kilku ostatnich tygodni. Na wyniki trzeba było jeszcze trochę poczekać i wisiała nad nimi straszliwa groźba powrotu na egzamin ustny, jeśli któraś z nich balansowałaby między stopniami. Wymyśliły, że mogłoby to spotkać tylko Reagan, zawieszoną między piątką a czwórką z plusem, a ona stwierdziła, że wystarczy jej

czwórka z plusem i mogą sobie wsadzić egzamin ustny, chociaż nie wierzyły jej nawet przez minutę. (Miesiąc później dostała piątkę, czego się wszystkie spodziewały, bez żadnej dyskusji). Czuły silną nostalgię, właściwą osobom w ich wieku, ale były też przestraszone i podekscytowane tym, co na nie czeka.

Świetnie się tam bawiły. Sara zarezerwowała dla nich miejsca w pensjonacie, który, jak się okazało, prowadziła Ma Larkin. Każdego ranka dostawały porządne angielskie śniadanie i tradycyjne maślane bułeczki z bitą śmietaną na podwieczorek. Gospodyni dała im klucz, czego, jak je zapewniła, nie robiła dla wszystkich gości.

- Fantastycznie się bawicie. Wyglądacie na dobre dziewczyny. Wiem, że będziecie wracać po cichu.

I miała rację. Po kilku dniach wyszło słońce i leżały w bikini na piasku, grubo wysmarowane mleczkiem Ambre Solaire, czytając erotyczne romansidła, jedząc lody truskawkowe i ciastka Fabs, gadając i słuchając przenośnego magnetofonu Freddie. Zdecydowały, że to będzie tydzień bez facetów, w dużej mierze żeby uspokoić Tamsin i zapewnić nieprzerwaną obecność Reagan, ale flirtowanie było dozwolone. Wieczorami spędzały haniebnie dużo czasu, strojąc się, i wychodziły: do wesołego miasteczka, dyskoteki albo pubu.

Wszystkie tak samo to zapamiętały: całe mnóstwo śmiechu, tańce, jeden przypadek wymiotowania na poboczu i ani jednego przekleństwa. To były ich złote dni. Częsty punkt zapalny: Reagan i Tamsin (Reagan i ktokolwiek, bądźmy szczerzy) po prostu zniknęły. Swoista mieszanina ulgi, euforii i smutku: wiedziały, że już nigdy nie będą razem tak jak teraz.

I miały rację, niestety. Tamtej jesieni wszystkie się rozproszyły i życie nabrało tempa, jak zawsze mówili im rodzice.

Klub Tenko nie został rozwiązany i jego lingua franca nadal żył, był stenogramem do opisanie nowej szefowej albo dziewczyny kolegi. Ale się zmienił. Oczywiście, że złotymi dniami było tak, że ich jasność we wspomnieniach zależała od odcienia terażniejszości, i Freddie podejrzewała, że każda z trzech kobiet opierających się o relingi promu do Martha's Vineyard widziała nieco inny odcień.

Martha's Vineyard było świetnym miejscem. Nie sprzedawali lodów truskawkowych na wyspie i żadna z nich już nie nosiła bikini, chociaż Tamsin, obserwując któregoś ranka, jak Reagan się ubiera, zbeształa ją, że nadal ma kaloryfer na brzuchu i sutki, które wskazują właściwy kierunek. I nie było tu Sary. Żadnej z nich już dawno nie zdarzyło się tak za nią tęsknić. Z powodu wyspy Wight. Ponieważ powinna tu być. Dużo też o niej rozmawiały, czego ostatnio nie robiły. Nie w kontekście jej śmierci, ale o życiu, które z nią dzieliły. Freddie z powodu Matthew czuła się podła, nielojalna. Raz, kiedy nie było Reagan, Tamsin wyszeptała:

- Wiem, o czym myślisz, i to nie jest prawda.

- O czym myślę, mądralo?

- Myślisz o tym, że zdradziłaś Sarę. Albo że oboje to zrobiliście. I to są bzdury.

- Tak?

- Tak. Nasza przyjaciółka umarła i to jest okropne. I zmarła młodo, co jest ohydne, złe i stanowi niepowetowaną stratę. Ale nie uważasz, że to powinno nam wszystkim uświadomić, żebyśmy jak najwięcej skorzystały z życia?

Przyszła Reagan i słuchała ich.

- Słyszałyście ten tekst w radiu ostatnio? To była jedna z tych pobożnych myśli dnia. Facet opowiadał jakąś buddyjską historię, którą pewnie dość kiepsko wam streszczę. Nauczyciel obwieszcza uczniowi, że zostały mu jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny życia. Chłopak idzie do domu, żegna się ze wszystkimi i tak dalej, i kładzie się, całkiem nieszczęśliwy, czekając na śmierć. Kiedy została mu tylko godzina, przychodzi do niego nauczyciel i mówi: Czy myślałeś o czymś złym przez ostatnie dwadzieścia trzy godziny? Uczeń odpowiada: Nie, oczywiście, że nie, myślałem o śmierci. Nauczyciel pyta: Czy zrobiłeś coś złego przez ostatnie dwadzieścia trzy godziny? I chłopak odpowiada: Nie. I tak dalej. Chodziło chyba o to, że jeżeli żyjesz cały czas, mając świadomość swojej śmierci, to żyjesz lepiej. Czy śmierć Sary nie powinna nas tego nauczyć?

Freddie i Tamsin milczały oszołomione. Tamsin odezwała się po chwili.

- No tak, poszła do łazienki jako nasza przyjaciółka Reagan i wyszła jako dalajlama...

Freddie parsknęła.

- Nie zrozumiałam z tego ani słowa, Reags.

- Dostała piątkę, pamiętasz.

- Spadajcie, idiotki. Nie wiem, dlaczego nadal spędzam z wami czas.

- A masz kogoś innego?

Miały rację. Po co, do diabła, opowiedziała im tę całą historię o buddyjskim carpe diem? Postępowała niezupełnie w zgodzie ze swoją nauką, czyż nie?

Reagan była szczęśliwa ze swoimi przyjaciółkami w Martha's Vineyard i do pewnego stopnia nie martwiła się pozostałymi sprawami. Ale dręczyło ją coś, czego wcześniej nie zauważyła. Mnóstwo rozmawiały: o sobie, Adrianie i Sarze. Ale od czasu do czasu wspominały ogólnie o codziennych sprawach. Tamsin i Freddie miały też innych przyjaciół, którzy pojawiali się w rozmowie. Neil i Tamsin mieli znajomych ze szpitala. Tamsin i Freddie miały przyjaciółki ze szkoły rodzenia, znały innych rodziców ze szkoły, sąsiadów. Ich życie było pełne innych ludzi. Niekoniecznie byli to bliscy im ludzie i nie znaczyli dla nich więcej, niż każda z nich znaczyła dla pozostałych, ale byli w obsadzie, statyści w prawdziwym życiu. Ona tego nie miała. Tylko kolegów z pracy i kochanków. Nie poznałaby swoich sąsiadów, gdyby wpadli przez sufit do jej mieszkania, i nie miała przyjaciół. Jak to się stało? Dlaczego one poszły dalej i zbudowały sobie kompletne życie, podczas kiedy ona miała tylko je? Gdzie ona była, kiedy uczyli, jak to się robi?



- Cały czas jest taka zmęczona. To ja jestem w ciąży, na litość boską, i dłużej wytrzymuję.

Reagan znów poszła spać wcześniej, a one siedziały przed narożnym kominkiem. Freddie piła drambuie z samoobsługowego baru. Tamsin jadła solone migdały.

- Myślisz, że jesteśmy dla niej nieznośnie nudne?

- Nie! A ty?

- Nie wiem. W porównaniu z nią wiemy raczej zwykłe, podmiejskie życie.

- Mów za siebie. Ja mam męża flirciarza i właśnie odziedziczyłam małą fortunę. Nudna? *Moi?*

- Wiesz, o czym mówię.

- Nie wydaje mi się, żeby o to chodziło. Myślę, że jest zmęczona, ponieważ ma depresję.

- Naprawdę?

- Tak. Źle się z tym czuję. Przez ostatni tydzień wszystko kręciło się wokół mnie. Wiem, że zabrało jej trochę czasu, zanim otworzyła się przed tobą i powiedziała o pracy, a ja nadal nie miałam okazji, żeby z nią o tym porządnie porozmawiać, ale wydaje mi się, że nigdy nie była tak przygnębiona.

- Co powinniśmy zrobić?

- Nie wiem. Tutaj czuje się trochę lepiej, ale czy to wystarczy? Czy jest taki punkt, po którego przejściu ludzie potrzebują profesjonalnej pomocy?

- Masz na myśli prozac?

- Chyba tak. Albo poradę psychologa, chociaż nie sądzę, żeby Reagan się na to zgodziła.

- Gdzie, twoim zdaniem, są korzenie tego wszystkiego?

- To kuszące: siedzieć tu i stwierdzić, że to brak męża i dzieci. I zbyt protekcjonalne. Nigdy nie patrzyłam na nią jak na osobę, która tego potrzebuje.

- Może dzieci nie, ale każdy chce mieć kogoś, kto by go kochał. Czy wszyscy tego nie potrzebujemy?

- Myślę, że tak.

- Wiem, że tak.

- Więc dlaczego nikogo nie znalazła?

- To jest pytanie za milion dolarów, co?

- Ale to nie może być tylko pech, prawda? Nie poznałam żadnego z facetów, z którymi się ostatnio spotykała, więc nie mam zdania, dlaczego żaden z nich nie był na zawsze. Ty też nie, prawda?

- Prawie wcale. Wydaje mi, że za krótko są w pobliżu.

- To musi być ona.

- Masz rację, ona ich odpycha. Myślę, że jest zdolowana.

- Dlaczego? Nie uważasz chyba, że to coś poważnego?

- Na przykład co?

- Och, nie wiem. Może jest lesbijką albo coś w tym stylu.  
- O co ci chodzi z tym, że wszyscy są homoseksualni?  
- Dobrze, nie jest lesbijką. Ale coś... poważnego, o czym nie pomyślałyśmy. Na przykład jest chora albo została wykorzystana, albo...

- Chcesz ze wszystkiego zrobić dramat.

- Zdarzają się takie, które nie powstają w mojej wyobraźni.

Freddie potrząsnęła głową.

- Nie tym razem. Zorientowałybyśmy się przez tyle czasu.

- Gdybyśmy tego szukały. Musisz przyznać, że trochę ją zepchnęłyśmy na margines w ciągu ostatnich kilku lat.

- Nie zaczynaj z poczuciem winy. Pewnie w ogóle byś ją sobie odpuściła, gdybym nie stała w jej obronie.

Tamsin przytaknęła.

- To prawda. Po prostu martwię się. Naprawdę ją kocham.

- Obie ją kochamy. Nawet jeśli nie jesteśmy pewne, dlaczego.

- Ale nie wiem, jak jej pomóc.

- Ja też nie. Musimy poczekać, aż nas o to poprosi.

- Myślę, że będziemy długo czekały.

Ealing

Matthew i Neil usiedli przy tym samym stoliku co zawsze. Tak często przychodzili do tej hinduskiej knajpki, że kiedy urodziła się Flannery, właściciel, Nepalczyk, przysłał Tamsin kwiaty. Przychodzili tu, kiedy rodziły się dzieci, kiedy udało się wygrać sprawę albo uratować pacjenta. Było to pierwsze miejsce, gdzie Matthew poszedł coś zjeść po śmierci Sary. Wcześniej nie miał odwagi wyjść, Neil i Tamsin przychodzili do niego z jedzeniem na wynos. Właściciel powitał go jak syna marnotrawnego, kiedy pojawił się tu pierwszy raz po stracie Sary. Był taki łagodny i taki zmartwiony.

Akash postawił przed nimi tandoori z królewskich krewetek, jagnięce biryani, grzybowe bhaji, dwa czosnkowe naany i dwa piwa Tiger. W restauracji był spokój, jak to we wtorkowy wieczór.

- Kiedy, proszę pana, urodzi się nowe dziecko? - Ciągłe nalegał na „proszę pana” przez te wszystkie lata i Neil nie próbował już go od tego odwieść.

- Jeszcze tylko kilka tygodni.

- Ale pańska żona dobrze się czuje?

- Bardzo. Dziękuję, Akash.

- Nie ma za co, proszę pana. Proszę ją od nas pozdrowić. - Złożył swój delikatny, oficjalny ukłon i odszedł od stołu.

- Przypuszczam, że rozmawiałeś z Tamsin - zagaił Matthew.

- Tak.

- Więc opowiedziała ci, jaki ze mnie kutas.

- Tak. - Neil potrząsnął głową.

- Tak powiedziała?

- Nie. Ty tak powiedziałeś.

- Ale myśli, że jestem idiotą.

- Nie, nie myśli tak.

- Ale jestem. Fatalny moment. Czy Freddie jej o tym opowiedziała?

- Nic mi o tym nie wspominała.

- Myślisz, że to dobrze czy źle?

- Pytasz niewłaściwą osobę, Matt. Sprawy sercowe nie są moją specjalnością, wiesz o tym. Potrzebujesz Tamsin.

- Nie ma jej tu. Musisz sobie poradzić.

- Zdrowie.

Neil spojrzał na przyjaciela. Tamsin powiedziała mu, że Freddie była strasznie zdenerwowana, kiedy wróciła, ale nie wspomniała słowem o Matthew, poza tym, że musiał wrócić do pracy. Narzekała, że ją to doprowadza do szaleństwa, ale znała Freddie i wiedziała, że musi poczekać, aż ona zacznie mówić. To by tylko rozgniewało Freddie, gdyby odkryła, że Tamsin wcześniej się dowiedziała. Poza tym, sprawa z jej mamą wystarczała za wszystko.

Domyślał się, że Matthew też o tym wiedział.

- Wiem, że zabrałem się do tego jak słoń w składzie porcelany, ale tak się złożyło. - Matthew przerwał. - Nie, to nieprawda. To się stało przez wszystko wokół. Po prostu wydawała się taka delikatna i chciałem, żeby wiedziała, że nie jest aż tak źle. I że byłem tam z nią jako ktoś więcej niż przyjaciel...

- Chłopie! Ona dopiero co dowiedziała się, że jej matka żyje, ma się dobrze i mieszka kilka kilometrów dalej, a jej ojciec ukrywał to przed nią przez całe życie.

- I że Adrian ją zdradza.

- Właśnie! Teraz widzisz, dlaczego nie rzuciła się na ciebie jak na świeży boczek.

- Wiem, wiem. Jak myślisz, co się stanie z Adrianem?

- Dla jej własnego dobra mam nadzieję, że go rzuci, obojętnie, czy między wami coś będzie, czy nie. Tamsin uważa, że nie była z nim szczęśliwa od długiego czasu.

- Nigdy go nie lubiłem. Nawet wcześniej...

- Spójrzmy prawdzie w oczy, nikt z nas nie oszalał na jego punkcie. Pamiętasz wyjazd na narty?

Matthew przytaknął. Któregoś ranka on i Sara spotkali się z Freddie i Adrianem - Neil obiecał, że rano pójdzie z Tamsin na zakupy - i Sara przekonała go, że jest gotowy do ostrego zjazdu. Wbrew własnemu zdrowemu rozsądkowi przyłączył się do nich i długo jechali wyciągiem narciarskim na szczyt jakiejś bardzo, bardzo wysokiej góry. Bał się nawet zejść z wyciągu - to wyglądało jak pionowa ściana. Sara obserwowała go i wyszeptwała:

- Wiem, że dasz sobie radę, ale jeśli nie, to zdejmujemy narty i zejdziemy. Zgoda?

Zaczął dobrze, ale po przerażających pierwszych pięćdziesięciu metrach zjazd nadal wyglądał jak śmiertelna pułapka, wąski i bez wyjścia. Zatrzymał się i próbował wziąć się w garść. Sara, kilkaset metrów przed nim, wdzięcznie zahamowała ze świstem, wbijając kijek w ziemię, stanęła, żeby go poszukać. Podniósł rękę i poprosił o więcej czasu. Freddie, tuż obok, też była przestraszona, czerpał z tego odrobinę pocieszenia - była doświadczonym narciarzem, a i tak się bała. Ale Adrian się śmiał. Starał się ją prowokować i zawstydząć przez cały zjazd.

- Dalej, ty mięczaku - drwił z niej.

W końcu oboje dojechali do końca, z niewielką finezją i prędkością. Sara spotkała się z nim na dole.

- Świetna robota, kochanie! Mój bohater - zawołała. Adrian odwrócił się do Freddie i zaskrzeczał:

- Widzisz? Mówiłem, że ci się uda! Ty cieniasie. - Matthew zapamiętał tę nić okrucieństwa. Wtedy wydawało się, że to nie ma znaczenia; złożył to na karb szorstkości wyniesionej z prywatnej szkoły. Ale Freddie trzęsły się ręce na szczycie i Adrian musiał widzieć, jak bardzo się bała. Widział, ale nie rozumiał. Albo go to nie obchodziło.

Tamtego dnia ustalił się chyba charakter ich małżeństwa. Wyglądało na to, że Adrian w ogóle jej nie rozumie.

Ale Matthew ją rozumiał albo tylko mu się tak zdawało. Przynajmniej chciał spróbować.

- Nie powiedziała, co ma zamiar zrobić? - spytał Neil.

- Nie. Znasz tę kobietę, do której odszedł?

- Tamsin twierdzi, że znam. Zdaje się, że byliśmy na kolacji z nią i jej byłym mężem. Raczej jej sobie nie przypominam, ale Tamsin ją zapamiętała. Zawsze uważała, że coś knuje.

Matthew zachichotał.

- Twoja żona to królowa dramatu! Neil roześmiał się.

- Zabiłaby cię, gdyby usłyszała, co mówisz. Woli myśleć o sobie, że ma intuicję.

- Zgoda. - Matthew znów spoważniał. - Więc co jej intuicja mówi o mnie?

- Chcesz usłyszeć szczerą prawdę?

- O, tak.

- Uważa, że ty i Freddie jesteście dla siebie stworzeni. Wścieka się na samą siebie, że nie uważała tego, dopóki jej nie powiedziałeś.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Ale uważa też, że powinieneś dać Freddie trochę przestrzeni.

- Odkąd to wszyscy zaczęliśmy mówić jak w programie Jerry'ego Springera? Co to, do diabła, w ogóle jest „przeźren”?

Neil zaśmiał się.

- Nie pytaj mnie. Po prostu mówię to, co słyszę, stary. Chcesz jeszcze piwa?

- Pewnie.

Neil podniósł rękę i kelner poderwał się z miejsca.

- I tak nie mam dużego wyboru, co? Ona jest tam, a ja tutaj.

- Właśnie. Rób tak, jak ja. Zajmij się pracą. Niedługo wrócą.

Obaj mieli taką nadzieję.

Chatham, Cape Cod

- Mogę zostać tutaj, jak wy wróćcie do Anglii? - spytała Reagan.

Ostatniej nocy uzgodniły, że rano zarezerwują lot. Freddie denerwowała się konfrontacją z Adrianem, ale zbliżała się szkolna przerwa jesienna i bardzo chciała zobaczyć Harry'ego. A Neil nie mógł dłużej tolerować nieobecności Tamsin. Freddie odebrała jego telefon któregoś wieczoru i wyczuła nutę zdenerwowania w zwyczajowym żarcie, że chce żonę z powrotem. Miał rację - Tamsin powinna być tam, nie tutaj.

Pytanie Reagan nie zaskoczyło jej.

- Musimy spytać Grace. To nie jest mój dom.

- Dlaczego miałyby się nie zgodzić? Mogę przypilnować gospodarstwa.

Ale Freddie trochę się martwiła.

- Po prostu nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł.

- Co masz na myśli?

- Hm, zostaniesz tutaj sama, prawda? Nie będzie ci odrobinę doskwierała samotność?

Reagan potrząsnęła głową.

- To chyba najlepsze, co mogę zrobić. Potrzebuję trochę samotności.

- Raczej potrzebujesz rozmów.

- Nie mam do powiedzenia nic, co nie brzmiałoby śmiesznie albo żałośnie.

- Żartujesz chyba.

- I nie chcę tego mówić głośno. Chcę z tym skończyć. I zrobię to najlepiej, będąc sama.

Freddie przyszło na myśli, że zaciekle niezależność u Reagan była w dużej mierze przyczyną zła, ale знаła tę minę swojej przyjaciółki: nie zmieni zdania.

Chatham, Cape Cod

Tamsin rozpaczliwie chciała już być w domu. Tylko tam mogła przygotować się na przyjęcie nowego dziecka i bardzo tęskniła za „starymi” dziećmi. Razem z przyjaciółkami trochę się snuły, odkąd wróciły z Martha's Vineyard. Było super i naprawdę dobrze się bawiła - na tyle, na ile olbrzymia kobieta z opuchniętymi kostkami i pęcherzem wielkości kieliszka na jajko mogła się bawić na wyjeździe. Ale już wróciły i czekały, aż Freddie podejmie decyzję w sprawie matki. Przyglądanie się z boku nie było w stylu Tamsin i pochłonęło jej wszystkie zapasy taktu i dyplomacji.

Jak tylko usłyszała znajomy głos Neila w telefonie, ogarnęła ją tęsknota.

- Kiedy wracasz do domu?

- Niedługo, kochanie. Sprawy tutaj trochę się pogmatwały. I Freddie nadal mnie potrzebuje.

- My cię potrzebujemy.

- To nie fair, ty mnie nie potrzebujesz. Masz Meghan. Pracujesz.

- Ale to nie to samo. Masz rodzinę, Tamsin.

- Freddie też jest moją rodziną.

Neil nie odpowiedział i kosztowna transatlantycka cisza trwała kilkanaście sekund.

- Czy to znaczy, że każesz mi wracać? - spytała.

- Tak. Chcę, żebyś była w domu na przerwę jesienną. Wszyscy tego chcemy. Jeśli nie wrócisz, skończy się na tym, że urodzisz dziecko w Stanach i będę musiał wziąć drugi kredyt hipoteczny, żeby pokryć rachunki za lekarzy.

- Przerwa jesienna, załatwione. I tak bym tu dłużej nie została. Też za tobą tęsknię, wiesz o tym.

Drwina w jego głosie oznaczała, że odzyskał humor.

- Kogo chcesz oszukać? Wy trzy żyjecie tam jak bogaczki, spędzając całe dni na zakupach i jedzeniu, zapominając o tych, którzy nie potrafią bez was funkcjonować.

- Teraz jesteś śmieszny. Nie wydaje mi się, żeby ktoś nie potrafił funkcjonować bez Reagan albo Freddie.

- Jest ktoś, kto nie umie sobie poradzić bez ciebie. Wszystko jest nie tak, kiedy cię tu nie ma. Potrzebuję cię. Nie wiem, co mam myśleć. Nie umiem podjąć decyzji. I nie rozumiem, dlaczego miałbym to robić. Powiedz prawdę: czy Freddie jest tam dlatego, że rzeczywiście trzeba załatwić tyle spraw, czy tylko ucieka od tego, co powinno zostać rozwiązane tutaj?

- Po trosze z obu powodów, o ile dobrze rozumiem. Ale przecież ma do tego prawo.

- Po prostu wydaje mi się, że jest odrobinę egoistyczna, to wszystko. Wiesz, że ją kocham, ale Matt chodzi po ścianach, ponieważ myśli, że wszystko schrzanił. Ona ma cię przy sobie, a ja chodzę po ścianach tuż obok niego. Podejrzewam, że nawet stary Adrian chciałby mieć pojęcie, co się dzieje. Ona nie może tam siedzieć w nieskończoność.

- I nie ma takiego zamiaru. Wróci ze mną. Musi zobaczyć Harry'ego. I jestem pewna, że wyjaśni sprawy z Adrianem.

- A co z Mattem? Tamsin westchnęła ciężko.

- Sprawa Matta jest trochę bardziej skomplikowana. A jeszcze bardziej Reagan. Chyba z nami nie wróci. A może nawet w ogóle nie wróci.

Uświadomiła sobie, że Neil miał rację. Potrzebowali się nawzajem, żeby posuwać sprawy na przód. Musiała porozmawiać o tym, co się działo z Reagan i Freddie, i nie mogła zrobić tego z nikim innym.

- Widzisz? Tak samo za mną tęsknisz.

Nie mogła nic przed nim ukryć, nawet jeśli dzieliło ich dziesięć tysięcy kilometrów.

Półwysep Gower, Walia

Lois, matka Sary (cicha, ale silna, ta, która przetrwała), wyszła przed dom, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwiczek samochodu Matta.

- Witaj, kochany chłopcze. Jak się masz? - Objęła go ciasno.

Często przyjeżdżał do nich w odwiedziny. Matka Sary kochała go za to, że kochał Sarę, a Hugh, ojciec Sary, rozpoznał siebie w chłopcu, którego córka przyprowadziła do domu tyle lat temu, pełnym ambicji, zainteresowań politycznych i energii.

Sprzedali dom w Mumbles po śmierci Sary. Matka stwierdziła, że nie może w nim mieszkać. W domu, w którym Sara dorastała, było zbyt wiele związanych z nią wspomnień. Zabawne - dokładnie z tego samego powodu Matthew nie mógł sprzedać ich domu w Londynie. Zdaniem Lois widok z nowego domu kołował duszę. Dziś niebo było przejrzyste i półwysep rozciągał się przed nimi. Zawsze było tu tak cicho.

Zaprosiła go energicznie do środka i nastawiła czajnik.

- Gdzie jest Hugh?

- W pracy, kochany. - Hugh pracował w firmie aukcyjnej. - Nie wróci przed szóstą. Usuwają rzeczy z jakiegoś domu po drodze do Cardiff. Zostaniesz, prawda? Bardzo się ucieszy ze spotkania z tobą.

- Nie jestem pewien. - Zdecydował, że spędzi tu tylko rano. Nawet do niej nie zadzwonił, dopóki nie zatrzymał się, żeby zatankować przy trasie M4. Zaprosiła go bez ceregieli. Kupił jej bukiet

nijkich kwiatów w sklepie na stacji, ale rozwodziła się nad nimi, jakby je przywiózł z ekskluzywnej kwiaciarni.

Sara była jedynaczką i jej śmierć odebrała sens życiu Lois i Hugh, nawet po tylu latach nic nie zdołało wypełnić potężnej wyrwy. Nie płakali ani nie rozmawiali o niej codziennie. Ale codziennie o niej myśleli.

Z początku nie było żadnych zdjęć Sary w nowym domu na Gower. Lois nie chciała. Jednak stopniowo wkradły się i teraz było ich mnóstwo. Zawsze kiedy tu wchodził, zapierało mu dech ze smutku, ale jednocześnie dzięki temu był bliżej niej.

- Dobrze. - Zrobiła herbatę i postawiła na stole ciasto z owocami. Była jedyną znaną mu kobietą, która zawsze piekła ciasto, co tłumaczyło, dlaczego Hugh ważył sto dwadzieścia kilogramów.

- Usiądź tu, kochany.

Przeszli do salonu. Otoczyły go znajome przedmioty: trzyczęściowy komplet wypoczynkowy, ława, obrazy, chociaż ściany wokół nich się zmieniły. Było tu wygodnie, ciepło i bezpiecznie.

- Co cię sprowadza? Oczywiście, miło cię widzieć, kochany, ale mówiłeś, jakby coś ci chodziło po głowie, kiedy zadzwoniłeś.

Nie mógł jej oszukać.

- Chciałem ci coś powiedzieć.

- Słucham.

- Wydaje mi się... - To było trudniejsze, niż przypuszczałem. - ... że się zakochałem w kimś innym.

- Tak nielojalnie: powinien być zakochany w ich córce.

Lois natychmiast miała łzy w oczach. Ostatnio tak szybko się pojawiały. Nie pamiętał, żeby wcześniej płakała, oprócz ich ślubu. Postarzała się. Ze zmarszczkami i bruzdami na twarzy wyglądała na więcej niż pięćdziesiąt dziewięć lat. Zdała sobie sprawę, że zauważył jej łzy, i wytarła je palcami.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Stara, głupia kobieta. Cieszę się, kochanie, naprawdę. Tak powinno być. Już czas.

- Naprawdę?

- Ciii. Żadnych bzdur. Oczywiście. Nie musiałeś przyjeżdżać aż tutaj, marnując cenną sobotę, żeby mi to powiedzieć.

- Musiałem, Lois.

- Jeśli potrzebujesz mojego błogosławieństwa, dostałeś je, zawsze je miałeś. Sara nie chciałaby, żebyś był sam dłużej niż ona w podobnej sytuacji.

Ścisnął jej rękę przez stół.

- Dlaczego nie spotykasz się dziś ze szczęśliwą wybranką, zamiast jeść ciasto z owocami ze starą teściową?

- To skomplikowane.



- Miłość nie powinna być skomplikowana, skarbie. Roześmiał się.

- Nie powinna, ale jest.

- Powiesz mi dlaczego?

- Ponieważ kocham Freddie.

- Naszą Freddie?

- Tak. Czy cofniesz błogosławieństwo?

Przez chwilę milczała, później leciutko pokręciła głową.

- Nie, raczej nie. Ale ona nadal jest żoną Adriana, prawda?

- Jest. Ale to już skończone, nareszcie.

- Z twojego powodu?

- Nie. To on ma romans. Ale nie wydaje mi się, żeby to było prawdziwym powodem. Myślę, że to się skończyło dawno temu.

- Sara zawsze powtarzała, że to nie był właściwy wybór.

- Wszyscy tak mówiliśmy.

- Więc jak to już długo trwa?

- Nic nie trwa.

- Ale chciałbyś, żeby tak było?

- Tak. Bardzo długo myślałem, że nie pojawi się nikt inny, że po Sarze nie poczuję już tego do żadnej kobiety.

- Ale czujesz.

- To nie to samo. Nigdy nie będzie tak samo.

- Nie. Ale wolno ci. Powinieneś.

On mógł, ona nie mogła. I teraz miała go stracić. Na pewno mówiła to, co myślała, ale czuła chyba, że straci jeszcze jedną cząstkę Sary. Wstał i objął ją ramionami.

- Nie chciałem cię zmartwić. Pociągnęła nosem.

- Nie zmartwiłeś mnie, Matt. Nie zwracaj na mnie uwagi. Zrób to. Freddie to cudowna dziewczyna. Ale obiecaj, że nie przestaniesz mnie odwiedzać. Obiecaj. Dzięki tobie ona nadal dla mnie żyje.

Zgadzasz się?

Łza potoczyła mu się po policzku.

- Obiecuję.

Chatham, Cape Cod

Miał na imię Eric. Wyglądał na mniej więcej trzydziestkę: bardzo wysoki, amerykański chłopak. Nosił nieco przydługie białoblond loki i kolczyk w lewym uchu. Wyglądał jak surfingowiec.

Zauważyła go, kiedy pierwszy raz przyszedł do baru razem z Freddie i Tamsin. W czasie wspólnego lunchu po pogrzebie taty Freddie płaciła za rachunek i on ją obsługiwał. Miał miękki głos i akcent z Cape Cod - wymawiali „Cod” jak „card”. Jego oczy błyszczały. Były tu jeszcze kilka razy od tego czasu i zauważyła, że go wypatruje. Dziś wieczorem przyszedł sama.

Freddie i Tamsin stwierdziły, że są zmęczone i muszą się spakować na jutrzejszy lot. Ona nie była zmęczona i nigdzie się nie wybierała. Nudziła się. Tamsin była za gruba, żeby chodzić na dalekie spacer, a Freddie miała niekończące się „sprawy” do załatwienia. Reagan żywiła słabą nadzieję, że pojedzie do Provincetown, ale jak do tej pory Freddie chciała tylko o tym rozmawiać. Więc przyszedł sama. Nic nie powiedziała pozostałym, ale miała nadzieję, że może go spotka. Trochę się wystroiła - nic wyszukanego, co by do niego nie pasowało.

Wyglądało na to, że plan się powiedzie. W barze było spokojnie i siedziała, pijąc wódkę z sokiem żurawinowym. Kiedy nie obsługiwał klientów, opierał się o tylną ścianę, skąd miał dobry widok, i rozmawiali. Podobał się jej sposób, w jaki wkładał obydwie kciuki do kieszeni w dżinsach.

Pracował tu z przerwami, odkąd skończył dwadzieścia jeden lat, jego wujek jest właścicielem. Wraczał, jak tylko potrzebował pieniędzy. Zajmował się też trochę malarstwem i dekoracją wnętrz, i ogrodnictwem. Nieważne. A później podróżował. Spędził lato, surfując na Hawajach. Jeszcze był opalony. Chciał pojechać na Nowy Rok do Nowej Zelandii, zobaczyć tam lato. Kupić starą przyczepę kempingową i objechać całą Południową Wyspę.

I studiował na Harvardzie. Jego rodzice chcieli, żeby zrobił MBA w MIT. Jak dla niego za dużo skrótów. Nie był na to przygotowany. Okazało się, że jest młodszy, niż wygląda. Prawdopodobnie za dużo słońca. Zmarszczki wokół oczu sprawiały, że wyglądał na trzydziestkę, ale miał tylko dwadzieścia pięć lat. Kiedy się pochylił nad barem, zauważyła piegi na jego nosie.

Skłamała prawie we wszystkim. Za każdym razem, kiedy o coś pytał, dawała mu odpowiedź, którą, jak się domyślała, najbardziej chciał usłyszeć. Miała trzydzieści dwa lata. Podróżowała, przenosiła się z miejsca na miejsce. Miała wykształcenie prawnicze, ale nie pracowała w zawodzie. Też nie była jeszcze gotowa. Lubiła surfować. Doszła do wniosku, że to było dość bezpieczne. Skąd miałby się dowiedzieć? Powiedziała prawdę tylko o nurkowaniu, potrafiła i uwielbiała to robić.

Zawsze tak robiła. Była tym, kim chcieli. Przez piętnaście lat nie spotkała kogoś, kto wyglądałby na osobę, która chciałaby usłyszeć prawdę, więc nigdy jej nie mówiła. To zwykle działało. I dziś wieczorem też zadziało.

Kiedy wyszli klienci, siedziała przy długim stole w rogu i patrzyła, jak zbierał ostatnie kieliszki. Zamknął pomieszczenie i znaleźli się na zewnątrz w chłodnym, nocnym powietrzu.

- Nadal spragniona? - Bez dzielącego ich baru nagle był bardzo blisko. Pachniał czystością. - Mam w domu butelkę Jacka Daniel'sa.

- Brzmi nieźle.

Nie rozmawiali. Szedł wolno, lekko podskakując. Kiedy dotarli do estrady, zatrzymała się, zapaliła papierosa i poczęstowała go.

- Podzielimy się - powiedział i wyjął papierosa z jej ust. Zaciągnął się i pocałował ją.

Jego mieszkanie składało się z kilku pokoi na parterze domku. Tak jak myślała, było skąpo umeblowane i nie miał zbyt wielu rzeczy. Nad sofą wisiał gigantyczny plakat Red Hot Chili Peppers, a na podłodze stał porządny odtwarzacz kompaktowy ze stosem płyt obok. Włączyła jedyną, o której coś słyszała, kiedy on nalewał im drinki. Nie była romantyczna - tylko pulsująca i głośna. Reagan nie należała do dziewczyn słuchających George'a Bensona.

Zapomniała, jacy wytrzymali są młodzi, wysportowani mężczyźni. Zrozumiał to i nie zmuszał jej do mówienia. Pozwolił jej pić i wtedy zaczęli. Był bardzo dobry. Powtórka pod prysznicem okazała się super - jeśli miało się odpowiedni wzrost, nic nie mogło się z tym równać.

Tamsin zapytała ją przy drinku zeszłego lata, ilu miała mężczyzn. Opuściła dziesięciu albo coś koło tego i odpowiedziała: dwudziestu pięciu, i była z tego zadowolona.

- Dwudziestu pięciu? Dwudziestu pięciu? Chyba żartujesz...

- W porządku, Pani Kobieto Jednego Mężczyzny. Nie wszystkim się to udaje po pierwszym pieprzeniu.

- Wierz mi, tak naprawdę nie udawało nam się to aż do piątego. - Tamsin zachichotała. - Ale nie odwracaj kota ogonem, mówimy o tobie, ty wywłoko. Dwudziestu pięciu? Gdzie ty ich, do diabła, znajdujesz?

To było łatwe. W barach, restauracjach, klubach, na konferencjach, w gabinetach zarządu, raz na stacji benzynowej. Znajdowanie ich było łatwe.

- Nie martwisz się, wiesz, o...

- Nie. Jestem rozwiązła, ale nie głupia. Zmuszam ich, żeby używali prezerwatyw. - Prawie zawsze. - O co tyle hałasu? Seks to tylko ocierające się o siebie cząstki i nie wiem, dlaczego ludzie robią z tego taką wielką sprawę. To nie jest prawdziwa intymność.

Tamsin pytająco podniosła brwi.

- Prawdziwa intymność to zasypianie z kimś i budzenie się z tą samą osobą.

- Nie robisz tego?

- Nie, jeśli tylko mam taką możliwość. Prawdziwa intymność to jest to, co sobie mówicie, a nie to, co robicie swoim genitaliom. - Usiadła prosto. - Co byś wolała, żeby Neil wyciął szybki numer z

jakaś pielęgniarką w schowku, po imprezie, czy żeby spotykał się z tą pielęgniarką na kawie za twoimi plecami i mówił jej o swoich uczuciach? Hm?

Przynajmniej tutaj miała rację.

- Ale czy nie przeżyłaś tego z żadnym z nich? - spytała Tamsin.

- Z niewieloma.

Dokładnie z trzema, pierwszych dwóch spotkała, jak miała dwadzieścia lat. Sara, Freddie i Tamsin poznały ich. To było, zanim zdziwaczała pod tym względem. Ostatni był adwokatem. Nigdy nie powiedziała o nim żadnej z nich. Poznali się na konferencji w Gleneagles poświęconej formom kar. Był od niej dziesięć lat starszy, żonaty, z trójką dzieci. Pozwoliła na to, bo wiedziała, że nigdy nie zostawiłby swojej żony. Nie chciała, żeby to zrobił.

Miał małe mieszkanko w Lincoln's Inn. Sypiała tam z nim mniej więcej raz w tygodniu przez prawie rok. Przez cały ten czas nigdy nie poszli do restauracji ani do teatru, ani nie poznali żadnych swoich znajomych. Wszystko działo się w tym mieszkaniu. Czasem gotował: przyrządzał omlet albo jajecznicę i otwierał butelkę dobrego czerwonego wina. Łóżko zajmowało prawie całą sypialnię. Czarne, z kutego żelaza.

Jedli w nim, pili, kochali się i w końcu zasypiali. Miał na imię Simon.

Pewnego dnia wypił całą butelkę dobrego czerwonego wina, rozpląkał się i oświadczył, że ją kocha. Odpowiedziała, że go nie kocha, i więcej się z nim nie spotkała. Złamał zasady i musiał za to zapłacić.

Nigdy im o tym nie powiedziała ani nikomu innemu. Spytałyby ją dlaczego, i nie wiedziałyby, co odpowiedzieć.

Eric spał. Leżał na brzuchu, z jedną ręką zgiętą pod głowę, a drugą trzymał na prześcieradle. Miał lekki sen i poruszał głową. Wpatrywała się w niego, próbując odgadnąć, czego się po niej spodziewa. Czy chciałby się obudzić i zobaczyć ją tu, może jeszcze raz się z nią pieprzyć? Czy wolałby, żeby sobie poszła? Czy chciałby, żeby się skuliła i spała obok niego?

Wymyślała gierki. Jeśli się poruszy, chce, żebym została. Pogłaskała go palcem po ramieniu i drgnął. Otworzył oczy. To było oszustwo. Nadal nie wiedziała. Uśmiechnął się sennie. Później przekręcił się na bok i przyciągnął ją do siebie.

- W porządku? Przytaknęła.

- Nie jesteś senna?

Potrząsnęła głową przy jego klatce piersiowej.

- Chcesz iść do domu?

- Chcesz, żebym poszła do domu?

- Wszystko mi jedno.

- Rozumiem! - Traktuj to lekko. Traktuj to lekko. Dobrze się czułaś w jego ramionach.

Spytał, ciągle ją tuląc.

- Dlaczego mi to wszystko powiedziałaś? Zesztywniała.

- O co ci chodzi?

- Te wszystkie rzeczy o sobie. To nieprawda. To małe miasteczko. Grace jest przyjaciółką mojej ciotki. Wiedziałem, kim jesteś i co robisz.

Nie odezwała się.

- Dlaczego wymyślasz to wszystko? Boże, to było zbyt żalosne.

- W zasadzie muszę już iść. - Jak nedorzecznie angielsko zabrzmiało to zdanie.

Przytulił ją mocniej.

- Nie musisz.

- Tak, tak, muszę.

Wypuścił ją z objęć i ubrała się szybko.

- Przepraszam. - Próbował ją zatrzymać. - Nie chciałem ci zrobić przykrości. Ja tylko...

Podniosła rękę.

- W porządku. Muszę iść.

I już była na zewnątrz. Wiedziała, że wstał z łóżka i szedł za nią, więc zaczęła biec. I nie zatrzymała się, dopóki nie dobiegła do estrady. Usiadła ciężko na ławce w środku i czekała, aż złapie oddech.

Później zanosła się łkaniem.

przerwa jesienna, Anglia

Czekał przy barierce z Flannery na ramionach i Willą i Homerem po bokach, kiedy przechodziły przez odprawę celną. Jak tylko rozsuwane drzwi ujawniły nabrzmiały brzuch Tamsin, dzieci uwolniły się z uścisku ojca i rzuciły się na nią. Zatrzymała się w środku tłumu pasażerów, nieświadoma wózków niemogących jej ominąć, i przytuliła je. Freddie poczuła ukłucie tęsknoty za Harrym. Adrian stwierdził, że najpierw powinni porozmawiać, że może pojechać po niego później, i niechętnie przyznała mu rację, poza tym Harry skończy zajęcia dopiero w porze lunchu. Adriana nie było, nie chciała, żeby tu przyszedł. Czekał na nią w domu.

Obserwowała uściski Tamsin i Neila; nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek tak bardzo cieszyła się, widząc Adriana. Zresztą publiczne okazywanie uczuć nie było w jego stylu, skrecałby się ze wstydu, patrząc na nich, ciasno objętych w namiętym pocałunku. Dla niej to było cudowne. Neil otworzył oczy i zauważył ją, zdjął jedną rękę z Tamsin i też ją przyciągnął. Ale Tamsin była za duża, żeby to się udało, więc Freddie zadowolila się czymś w rodzaju poklepania po ramieniu.

- Tak się cieszymy, że widzimy was obie. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Łóżko jest bez ciebie za duże, dziecinko.

- To była jedna z ich piosenek. Police, lata osiemdziesiąte. Tylko jedna, a mieli ich mnóstwo.

- Możesz zmienić zdanie po jednej nocy ze mną i tym czymś. - Tamsin smutno potarła wypukły brzuch.

- Poradzę sobie.

Dzieci miały do przekazania mnóstwo wiadomości w drodze z Heathrow do Londynu: ostatnie osiągnięcia Homera na deskorolce, opowiedziane z najdrobniejszymi detalami; wszystkie szczegóły na temat nocy, którą Willa spędziła u Kitty w poprzedni piątek, kiedy ojciec Kitty zszedł na dół w piżamie o drugiej trzydzieści w nocy i groził, że wyśle wszystkich z powrotem do domów, jeśli natychmiast nie pójdą spać, upadek Flannery ostatniej nocy ze schodów na drewnianą podłogę, co skończyło się złamaniem jednego z jej niewielu zębów, przez co wyglądała zdaniem kochającego ojca jak wiejski głupek. Wszyscy przerywali sobie nawzajem, śmiali się i głośno rozprawiali. Freddie pozwalała, żeby to po niej służyło. Była zmęczona nieznośnie gorącym lotem i tym, co ją czeka. Kiedy dojechali do Ealing, przeczesła włosy, pomalowała usta i spryskała się perfumami, dzięki czemu poczuła się lepiej.

Neil wyjął walizkę z samochodu i zaniósł ją przed drzwi. Adrian się nie pojawił i Neil zdecydowanie nie miał ochoty się z nim spotkać. Pocałował ją szybko i pędem wrócił do samochodu. Tamsin otworzyła okno i pokazała jej podniesiony kciuk.

- Zadzwoń do mnie później. Przyjedziesz wieczorem na makaron?

Freddie grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczy, kiedy Adrian otworzył drzwi. W samą porę. Walizka stała między nimi, więc nic nie sugerowało kontaktu fizycznego. Poszła za nim do salonu. Tam wziął ją pod łokieć i nachylił się, żeby pocałować w policzek. Pozwoliła mu na to, bo wydawało się to łatwiejsze niż odtrącenie go.

- Jak się masz? - Mówił wyższym, dziwnie oficjalnym tonem. - Przynieść ci coś? Filiżankę herbaty?

W Ameryce piła kawę, kubek mocnego twininga był kuszącą propozycją.

- Dzięki.

Dom był bez skazy - wiedziała, że taki będzie, jakby fotograficy z „Domu i Ogrodu” mieli się wkrótce zjawić, żeby uwiecznić jego kojącą perfekcję. Kilka nowych, sztywnych zaproszeń stało na kominku. Poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak w momencie jej wyjazdu. To Freddie się zmieniła.

Zeszła za Adrianem na dół i usiadła, obserwując, jak robił herbatę. Nie wiedziała, od czego zacząć.

Był taki jak zawsze, może tylko starszy, nie przytył ani grama - Adrian łączył nadwagę z lenistwem, umysłowym i fizycznym. Ich rozmowy telefoniczne były sztywne, jakby mieli sobie tyle do

powiedzenia, że nie mogli wymówić ani słowa. Spytała o Harry'ego. On spytał o Grace, której prawie nie znał, i o pogodę. Tańczyli wokół ruin swojego małżeństwa. Spotkanie twarzą w twarz też nie działało. Freddie zastanawiała się nad Antonią Melhuish, ale tylko pobieżnie. Rozpalone do białości uderzenie bólu i oburzenia całkowicie minęło. Teraz nie była nawet ciekawa.

Adrian odchrząknął. Wyglądał obco z wyrazem skruchy na twarzy.

- Słuchaj, Fred, popełniłem straszliwy błąd. Cała ta sprawa z Antonią Melhuish. Przypuszczam, że to nieszczęsny przypadek kryzysu wieku średniego. Potwornie samolubny, wiem to, i sprawiający ból. Ale pod twoją nieobecność miałem czas, żeby zastanowić się, czego chcę, co jest dla mnie ważne, i teraz jestem pewien, że to ty i Harry. I, hm... my.

Nie odpowiedziała.

Zrobił herbatę i postawił przed nią kubek zamaszystym gestem. Później usiadł, pochylając się gorliwie w jej stronę, i czekał na odpowiedź.

Kiedy nie nadeszła, ulotny wyraz konsternacji przemknął mu przez twarz. Zaczął od nowa:

- Jest mi strasznie przykro, że to zrobiłem, zdradziłem cię i tak dalej, ale chcę, żeby znów było tak jak przedtem. Chcę, żebyśmy zostawili to za sobą i... nadal byli razem.

Freddie nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Czy on naprawdę wierzył, że mówi to, co pragnęła usłyszeć? Albo że ona ma zamiar znów rzucić mu się w ramiona i wskoczyć do łóżka, żeby spędzić kolejne dwadzieścia lat, wdzięczna, że wybrał ją, a nie Antonię Melhuish? Cieszyła się siłą swojego milczenia jeszcze przez chwilę. Później zapytała:

- A co z Antonią?

Wydał z siebie coś w rodzaju parsknięcia. Najwyraźniej dokuczala mu, wspominając o Antonii, kiedy już się wytłumaczył.

- Powiedziałem ci. Pomyłka.

- I ona o tym wie?

- Powiem jej, jak tylko zgodzisz się przyjąć mnie z powrotem, chociaż byłem głupcem, i dasz mi drugą szansę.

To go dużo kosztowało. Nie należał do mężczyzn, którzy łatwo przyznają się do błędu, i nie był przyzwyczajony do proszenia. Prawdopodobnie teraz okazał największą skruchę.

Minął zaledwie miesiąc, odkąd przekazał jej dogłębnie szokującą wiadomość, choć nie była niespodzianką, a teraz patrzyła na mężczyznę, którego nie poznawała. Czuła się jak idiotka na samą myśl, że kiedykolwiek była pod jego urokiem. Nawet nie umiała się na niego złościć. To się wydawało zupełnie nieistotne. Ale później...

- Pozwól, że sprecyzuję. - Mówiła cicho i patrzyła mu prosto w oczy. - Antonia Melhuish siedzi teraz w domu, czekając na ciebie, w ogóle nie podejrzewając, że jesteś tutaj i obiecujesz mi, że rzucisz ją jak gorący kartofel na jedno moje słowo. Chciał coś powiedzieć, ale podniosła rękę.

- A ty, rozważny i ostrożny mężczyzna, chciałeś się tylko upewnić, zanim ją rzucisz, że ten mały układ będzie działał.

Znów otworzył usta, ale mówiła dalej.

- Więc zakładając, że powiem tak, pójdziemy na górę uczcić to niezaprzeczalnie dobrym rżnięciem, zanim ją odstawisz na boczny tor. - Przysięgłaby, że zauważyła błysk w jego oczach. - Ale jeśli powiem nie, wrócisz tam, zanim ona zdąży za tobą zatęsknić. I tak będziesz miał swoje rżnięcie, mam rację?

Teraz był wyraźnie zmieszany. Próbował znaleźć odpowiedź o ułamek sekundy za długo, chociaż od początku nie miał szans.

- Więc idź tam - dodała drwiąco. - Przy odrobinie szczęścia łóżko będzie jeszcze ciepłe.

- Freddie.

- Nie waż się mówić do mnie Freddie. - Cieszyła się, że gniew w końcu wydostał się na powierzchnię. - Ty słaby, egoistyczny, tchórzliwy, opętany na punkcie kutasa gnojku. - To było dobre. Tamsin byłaby z niej dumna. Ona też nie udawała: taki się jej teraz wydawał.

Adrian przeżył autentyczny szok. Nie spodziewał się tego i nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Najłatwiejsze wytłumaczenie, to że była zła. I miała prawo być zła. Jego ojciec uznał, że będzie. Zażdrość seksualna to potężne uczucie, rozumiał to, a ona go karała, czego powinien się spodziewać.

Dojdzie do siebie.

Musi dojść do siebie.

Teraz, kiedy się prawie zdecydował, Adrian czuł, że pokrzyżowano mu szyki - sprawy nie potoczyły się zgodnie z jego planem.

Da jej trochę czasu.

Wstał niepewnie. Powrót do Antonii nie był najlepszym pomysłem, więc chyba pójdzie do klubu. Na pewno nie do domu rodziców. Tam była stęchła atmosfera. Tata na pewno powiedział matce, a ona się okropnie zdenerwuje. Może zadzwoni do przyjaciela. Pomyślał o Antonii Melhuish i jej małżeńskiej, twardej dupce. Freddie miała rację. Miał obsesję na punkcie swojego kutasa. I spójrzcie tylko, w jakie go to wpędziło tarapaty.

Freddie znudziło jego płatanie się. Też wstała.

- Dobrze. Wyrzucam cię stąd. Będę tu przez cały tydzień przerwy jesiennej z Harrym. Daj mi dzień lub dwa, żebym mu wszystko wytłumaczyła, później możesz przyjść się z nim spotkać. Wracam do Bostonu w niedzielę, jak go odwiozę do szkoły, wtedy możesz tu przyjść.

- Co chcesz powiedzieć Harry'emu? - Miał na tyle przyzwoitości, żeby zrobić zaniepokojoną minę.

- Powiem mu to, co jest dla niego najlepsze. - Zabrzmiało to pompatycznie. Nagle Freddie poczuła się winna z powodu Matthew. Kiedy znów zaczęła mówić, jej głos był bardziej łagodny.



- Słuchaj, Adrian, oboje potrzebujemy czasu do namysłu. Nie powiem Harry'emu nic ostatecznego, obiecuję. Może uda nam się znów porozmawiać pod koniec tygodnia.

Adrian przyjął gałązkę oliwną.

- W porządku. - Uczucie strachu było mu obce, ale wydawało mu się, że może właśnie teraz go doświadcza. Nie chciał usłyszeć, że to skończone na zawsze, i nie chciał, żeby powiedziała to Harry'emu. Pomyślał, że wyjście w tej chwili będzie najlepszym rozwiązaniem.

Na górze spakował worek. Kiedy zszedł, siedziała w salonie.

- Przepraszam, Freddie, naprawdę. Prawie się uśmiechnęła.

- Dostyc już, Adrian. Zadzwoń do ciebie. Przytaknął i wyszedł.

Dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi, zdała sobie sprawę z jednego: nie powiedział, że ją kocha, i nie spytał o Amerykę.

Matthew pochylił się gwałtownie nad oparciem sofy, żeby podnieść słuchawkę po trzecim dzwonku. Obudził się wcześniej po niespokojnej nocy i długo biegał. Nie cierpiał sobotnich poranków. Nie przyzwyczał się spać samotnie, więc zrywał się i biegał wokół błoni, kiedy wszyscy, którzy kogoś mieli, nadal leżeli skuleni w swoich ramionach albo robili herbatę dla dwóch osób, albo dyskutowali w łóżku o różnych artykułach z gazety. Przynajmniej tak to sobie wyobrażał, mijając domy z zaciągniętymi żaluzjami i szczęśliwymi ludźmi w środku. Robił kawę, kiedy usłyszał, że dzwoni telefon, i serce zabiło mu mocniej niż w czasie pięciokilometrowego biegu wokół błoni.

- To ja.

Nie to „ja”. Jego głos zdradzał rozczarowanie.

- Cześć, Tamsin. Jak się masz?

- Wykończona i ogromna, dzięki, że pytasz. Wnoszę z beznamiętnego powitania, że nie dzwoniła i myślałaś, że to może ona.

Zawsze wszystko wiedziała.

- Nie. Tak. Przepraszam, Tams. Naprawdę cudownie cię słyszeć po właściwej stronie kałuży.

- Ona ma sprawy do załatwienia, kochanie. Zabrać Harry'ego. Porozmawiać z Adrianem.

- Wiem.

- Zadzwoń.

- Tak. - Nie był przekonany.

- Teraz do rzeczy. Neil i niebiańska opiekunka zabrali dzieci na plac zabaw. Ja idę się przespacerować z Juniosem i później przyjdiesz na kolację. Chyba że masz lepszą propozycję w ten piękny, sobotni wieczór.

- Nic takiego, czego nie odwołałbym dla ciebie. - Oboje się roześmiali. Zawsze poprawiała mu humor. Jego matka nazwałaby ją sposobem na dobre samopoczucie. Ona i Neil byli jego stałymi to-

warzyzami w sobotnie wieczory od śmierci Sary. Oni, albo DVD i curry dla jednej osoby. Boże, był smutnym gnojkiem! - Siódma trzydzieści?

- Do zobaczenia. Dobranocka. - Stłumiła ziewnięcie i odłożyła słuchawkę.

Zaniósł kawę do salonu. Był piękny dzień. Słońce wpadało przez okno, drobinki kurzu unosiły się w powietrzu. W miejscu, gdzie promienie padały na jego wyciągnięte na ławie nogi, było gorąco, chociaż na zewnątrz czuło się jesienny chłód. Sobotni „Financial Times” leżał nieprzeczytany na jego kolanach. Myślał o Freddie. Nie widział jej od dwóch tygodni. I tak by za nią tęsknił - było tak, kiedy wyjeżdżała na rodzinne letnie wakacje z Adrianem i Harrym. To zawsze były dwa tygodnie i kiedy wracała, wyglądała tak dobrze: opalona, wyzłocona słońcem. I zawsze cieszyła się na jego widok. Starzał się nie myśleć o niej i Adrianie na wakacjach. Torturowała go sama myśl, że byli razem. Rzadko widział, żeby Adrian ją dotykał, a jeśli to robił, było to zawsze erotyczne i zaborcze. Ręka ściskająca pupę albo, jeśli był podпиты, łączywie kładł dłonie na jej piersiach. Nie miała chyba nic przeciwko temu, chociaż szukał w jej twarzy śladów niezadowolenia. Wyobrażanie sobie problemów między nimi było żalosne. Wyraźnie pamiętał pijackie niedzielne popołudnie w ogródku piwnym, lata temu, zanim zmarła Sara. Jeszcze zanim się pobrali. Były wszystkie razem, dziewczyny z Tenko. Alkohol, słońce i jego senne milczenie sprawiły, iż wszystkie zapomniały, że też tam był, i rozmawiały o babskich sprawach, o chłopakach. Mogłoby to go nawet delikatnie podniecić, gdyby nie był lekko pijany i bardzo zakochany w Sarze. Ale nigdy nie zapomniał, co powiedziała Freddie. Leżała na plecach z jedną nogą założoną na drugą i śmiała się, kiedy się zwierzała.

- To najlepszy kochanek, jakiego miałam. Potrafi spowodować, że jestem mokra, stojąc w drugim końcu pokoju, i sprawia, że osiągam szczyt dokładnie w dwie minuty, ale wie, co zrobić, żeby to trwało dwie godziny. I co więcej, zawsze wie, na co mam ochotę. - Sara pisnęła, czując jej zażenowanie, a Freddie rozśmieszyła własna odwaga.

Rozmowa zeszła na inne tematy. Reagan zdała sobie sprawę, że grupa chłopaków przy stoliku obok podsłuchuje, zaczęła więc opowiadać skomplikowaną historię o facecie, którego spotkała na jakiejś konferencji, i popołudnie się popsuło. W pewnym momencie Tamsin nawet się pochorowała. Ale nigdy nie zapomniał, co powiedziała Freddie. Przypominał sobie o tym za każdym razem, kiedy widział, jak Adrian ją dotyka. Nie był pewien, czy kiedykolwiek doświadczył podobnej zazdrości - złej, brzydkiej, przyprawiającej o bóle brzucha.

I teraz prawdopodobnie to schrzanił. Co za cipa. Cały ten pośpiech! Wpakował jej język do gardła zaledwie kilka dni po tym, jak dowiedziała się o Adrianie i tej kobiecie! I swoich rodzicach. Nie do wiary, jaki był głupi, rozpaczliwy i niezdarny. Te wszystkie noce, kiedy leżał w łóżku, myśląc o cudownym momencie wyzwolenia, kiedy jej powie, pokaże jej, co czuje, a oto, co wykombinował: tanie macanki i czułości na rogu ulicy, kiedy prawdopodobnie znajdowała się w najbardziej niepewnym punkcie swojego życia. Świetna robota, Matt. Nic dziwnego, że do niego nie zadzwoniła.

Harry był cudowny. Jej cudowny chłopiec. Poczucie winy, czułość i tęsknota spowodowały, że wydawał się jej wyższy i potężniejszy. Ale w jej ramionach znów stał się taki jak zawsze, w czasie krótkiego uścisku, na który pozwolił jej na ruchliwym parkingu z pewną dozą udawanej nonszalancji.

Harry też za nią tęsknił. Tata był wspaniały na swój tatusiowy sposób. Fajnie się z nim rozmawiało o sporcie i podobnych rzeczach, ale nie miał pojęcia o uczuciach. Czasami Harry czuł się starszy od taty.

Mama obiecała, że wróci na przerwę jesienną, i cieszył się, że wróciła. To była norma: ich dwoje.

Rzucił plecak na tylne siedzenie i usiadł obok niej, nie mogąc się doczekać tygodnia wolności.

Przez pierwsze kilka kilometrów rozmawiali o szkole. Freddie wiedziała, jak zadawać pytania, żeby dotarły do jego psychiki, i to ich zajęło na jakiś czas. Jak do tej pory szło chyba nieźle. Zdobył kilka bramek, poprawił oceny z matematyki i przyrody (z angielskiego zawsze były dość wysokie), a w jego klasie pojawił się nowy chłopak, Michael, którego polubił.

- Gdzie mieszka? - spytała.

- Z mamą. Jego rodzice rozstali się. Ona chyba mieszka w Bath. Jego tata jest jakimś nauczycielem w Oksfordzie. Jak się na nich mówi?

- Profesor? - Harry potrząsnął głową. - Don? - Uśmiechnął się.

- Tak jest. Don. Tak jak w *Ojcu chrzestnym*? Freddie odpowiedziała uśmiechem.

- Ta sama nazwa. Trochę inny rodzaj pracy. Harry wzruszył ramionami.

- Tak! I dlatego tu jest. Chodził do jakiejś dziennej szkoły w Oksfordzie, ale skoro jego mama jest w Bath, posłali go tutaj. Mama mówi, że ciągłość jest teraz dla niego ważna.

Dorośle słowa wypowiedziane przez Harry'ego brzmiały dziwnie i Freddie spojrzała na niego z boku. Mówił beznamiętnie.

Włączył radio. Pod jej nieobecność Adrian wrócił do Five Live i Harry'emu zabrakło kilka, minut znalezienie szumu, który najbardziej lubił. Trochę ściszył radio.

Kilka minut później spytał:

- Czy tata jest w domu?

- Nie, wyjechał na kilka dni. Przesyła uściski i powiedział, że spotka się z tobą pod koniec tygodnia. - Starła się mówić lekko i Harry nie wyglądał na zmartwionego. Zdała sobie sprawę, że jemu to nie robi różnicy. Adrian nigdy nie żył w rytmie roku szkolnego, tak jak ona. Freddie już miała mu o wszystkim powiedzieć, ale pierwsze zdanie źle się jej ułożyło i chwila minęła. Dodała szybko.

- Masz ochotę iść do Tamsin i Neila na kolację dziś wieczorem? Nie musimy tam iść, jeśli wolisz zostać w domu. Możemy wypożyczyć film i zjeść pizzę, trochę się powłóczyć.

- Nie, będzie fajnie. Nie widziałem Homera od lata. Cieszyła się, że chciał pójść. Nie uśmiechało się jej siedzenie w domu, nawet z Harrym.

Zaparkowała w pobliżu Kensington High Street. McDonald był rytuałem pierwszego dnia każdych ferii. Freddie popijała kawę z mlekiem, kiedy Harry jadł hamburgera z frytkami, a później spałszował olbrzymi koktajl truskawkowy. O ile brak zainteresowania ze strony Adriana tym, co się działo w Cape Cod, był bardzo wymowny, to w przypadku Harry'ego okazało się to niemal pocieszające. Nie było jej. Wróciła do domu. Po prostu.

Wyrósł z tenisówek - już? - i spędzili godzinę w sklepie sportowym, wybierając absurdalnie drogą parę nowych, później kupili nową grę X Box i bluzę z kapturem. Freddie uwielbiała z nim przebywać. Na koniec kupili dla Tamsin duży bukiet żółtych tulipanów na straganie na rogu przy kościele i pojechali do domu. Harry zrzucił buty i zostawił je na podłodze, tam gdzie upadły, nie mogąc się doczekać, kiedy się dostanie do komputera, ale nie zawołała go, żeby je porządnie ustawił. Uwielbiała jego bałagan w domu.

Zadzwoiła do Tamsin, kiedy nalewała gorącą wodę do wanny.

- Ciągłe chcesz nas nakarmić?

- Oczywiście! Pod warunkiem że nas oznacza ciebie i Harry'ego. Jak poszło z Adrianem?

- Później ci powiem. Zmusiłam go, żeby się wyniósł na prawie cały tydzień.

- Dobrze. Będziecie mieli z Harrym trochę spokoju i przestrzeni. Czy on wie?

- Nie. Powiedziałam mu, że Adrian ma sprawy do załatwienia, i myślę, że to kupił.

- Na razie to wystarczy.

- O której?

- Siódma trzydzieści? - Usłyszała, że Tamsin się waha, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć.

- Co?

- Nic. Siódma trzydzieści.

Była prawie ósma, kiedy Freddie zaparkowała audi przed domem Bernardów, blokując samochód Tamsin. Usnęła na łóżku owinięta w ręcznik kąpielowy po długiej, aromatycznej kąpeli. Obudziła się w ciemnościach i zauważyła, że Harry przykrył ją kapą. Słyszała telewizor w jego pokoju. Cicho poszła sprawdzić, co u niego.

- Przepraszam, kochanie. Przywitanie z domem.

- Nie przejmuj się, mamó. - Uśmiechnął się do niej szelmowsko. - Długi lot... i naprawdę trochę się starzejesz!

- Oj. - Lekko trzepnęła go w głowę szczotką do włosów. - Uważaj!

- Miałem zamiar obudzić cię za kilka minut.

- Sama się obudziłam, pomimo mojego podeszłego wieku. Rusz się. Powinniśmy tam być za dziesięć minut. I weź prysznic, żeby zmyć z siebie szkolne perfumy, zanim wyjdziemy.

Była gotowa o dziesięć minut wcześniej od niego. Boże, czy to już zachowanie prawie nastolatka? Jeszcze nie tak dawno trzeba go było siłą prowadzić do łazienki. Woda leciała przez całe wieki.

A kiedy się pojawił, włosy miał sklezione żelem. Nie odważyła się nic powiedzieć, ale wyglądał jak Tintin.

- Gotowy?

- Ładnie wyglądasz, mamó.

Niech go Bóg błogosławi. Naprawdę? Dziwnie jej wyschły włosy i zebrała je do tyłu, podtrzymując opaską. Miała na sobie dzinsy i koszulkę, którą kupiła w Bostonie. Ale i tak niech go Bóg błogosławi.

- Ty też nieźle wyglądasz. Chodźmy, bo inaczej nasz makaron wylądaje w psim pysku.

Zmęczenie po podróży samolotem było gorsze, niż myślała. Nie pamiętała, że Matthew też tam będzie. Otworzył im drzwi z kieliszkami czerwonego wina wielkości akwarium w każdej ręce. Uśmiechnął się nieśmiało i zaoferował Freddie jeden, który przyjęła z wdzięcznością.

- Witajcie - odezwał się.

- Cześć. - Freddie nienawidziła się za to, że czuła się niezręcznie. To był jedyny dom, gdzie to się nie miało prawa zdarzyć. A on był jedyną osobą, z którą nie powinno się to zdarzyć...

- Hej, Matt. - Harry wepchnął ją do przedpokoju i krótko go przytulił, później wskoczył na schody. - Homer jest u siebie?

- Świetnie wyglądasz. - Kolejny komplement. Freddie przyglądała włosy.

- Naprawdę? Usnęłam po kąpieli i kiedy się obudziłam, wyglądałam jak Worzel Gummidge\*.

- Wyglądasz świetnie - powtórzył Matthew. Dlaczego kobiety zawsze to robią? Czy nie wiedzą, że mężczyźni mówią to tylko wtedy, kiedy tak myślą?

\* Worzel Gummidge - strach na wróble, popularna postać ze słuchowiska radiowego, sfilmowanego pod koniec lat siedemdziesiątych.

Tamsin wpadła do przedpokoju, gotowa do pomocy.

- Cześć, cudowna. Piękne kwiaty. Dzięki. - Pocałowała ją. - Spałaś trochę?

- Kilka godzin. A ty?

- Całe rano. Sielanka. Neil przyłączył się do mnie na kilka godzin po południu, a Meghan zabrała dzieciaki do Burger Kinga. - Uśmiechnęła się sugestywnie.

Freddie podniosła rękę.

- Za dużo informacji.

- Zazdrośnica - obwieściła Tamsin. Zaciągnęła ją do pokoju stołowego i wycofała się do kuchni.

Neil zszedł z góry ze świeżo wykąpaną i upudrowaną Flannery, która ochoczo pocałowała wszystkich na dobranoc mokrymi, otwartymi usteczkami, zanim została zawleczona do łóżka. Willa

też już była w pizamie i leżała na sofie z kciukiem w buzi, oglądając *Stars in Their Eyes*. Freddie pocałowała ją.

- Cześć, maleństwo.

Willa pomachała krótko w odpowiedzi.

Freddie poszła do kuchni, gdzie Tamsin mieszała na olbrzymiej patelni cebulę, paprykę, bekon i czosnek. Na stole stała wielka miska sałaty razem z kilkoma bochenkami ciabatty i sosjerka z oliwą z oliwek. Piła sok pomarańczowy z kieliszka do wina.

Matthew został z Willą i patrzył, jak policjant kierujący ruchem w Walthamstow zmienił się w Neila Diamonda.

- Wszystko dobrze między tobą i Mattem? - dopytywała się Tamsin.

- Dlaczego miałyby nie być?

- Tylko się zastanawiałam. Więc uporządkowałeś sprawy?

- Nie było co porządkować. Przestań mnie wypytywać. Wszystko gra.

- Mówisz jak Adrian, jeśli mogę się tak wyrazić.

- Nie możesz.

- Dobra. Wystarczy. - Tamsin uśmiechnęła się. - Po prostu nie mam zamiaru męczyć się z absolutnie przepyszna zapiekanką makaronową, jeśli mają być niesnaski w szeregach przy stole.

- Nie będzie żadnych niesnasek! - zawołała Freddie doprowadzona do rozpacz.

- Świetnie!

Nastrój zmienił się w czasie kolacji. Tamsin była świetną kucharką z chaotycznej i pijackiej szkoły gotowania rodem z *Galloping Gourmet*\* i przygotowała pyszne jedzenie. Homer i Harry głośno dokazywali. Przyjaźń między chłopcami bardzo cieszyła Freddie i Tamsin. Neil i Matthew droczyli się z nimi, dopóki Tamsin nie zrobiła miny wyrażającej skrajną dezaprobatę, i mężczyźni przeszli do jednej ze swoich fascynujących, nigdy niekończących się rozmów o nasileniu zatorów na drogach i ich wpływie na ruch w godzinach szczytu. Freddie pozwoliła, żeby otuliła ją bawełniana przedza zmiany czasu, i z ochotą słuchała innych. Nie brakowało w tym układzie Adriana, ponieważ tak naprawdę nigdy do niego nie pasował.

\* *Galloping Gourmet* - brytyjski telewizyjny show kulinarny.

W końcu Matthew zaproponował:

- Posprzątam to. A wy troje odpocznijcie.

- Pomogę ci. - Freddie wstała i zaczęła zbierać talerze. Tamsin i Neil spojrzeli na siebie. Freddie zauważyła to i zmarszczyła nos.

- Świetny pomysł! Chodź, Mamuśko - zawołał Neil - ty, ja i pilot na sofie.

- Za chwilę przyniosę kawę - poinformowała Freddie.

Matthew czuł się jak nastolatek na tańcach. Zakładał, że Freddie pójdzie z innymi do pokoju stołowego, a kiedy tego nie zrobiła, bał się, co mu powie, jak zostaną sami w kuchni.

- Pojechałaś się spotkać z Rebeccą?

- Nie.

- Zrobisz to, jak wrócisz?

- Chyba powinnam, jak myślisz?

- Tu nie ma żadnego „powinnam”, Fred. Musisz to zrobić.

- Mówisz jak Tamsin.

- Tamsin to stary, mądry ptak. Freddie uśmiechnęła się.

- A ty też?

- Nie zawsze. - Cisza. - Przepraszam za Boston, Freddie. Zachowałem się bardzo nie na miejscu.

Miał na myśli, że zachował się nie na miejscu, w ogóle ją całując, czy nie na miejscu było całowanie jej wtedy? Freddie nie wiedziała.

- W porządku.

O Boże, teraz naprawdę mówiła jak Adrian. Chciałaby móc wymazać to cholerne słowo ze swojego słownika. Skupiła się na składaniu serwetek, które i tak trzeba było włożyć do pralki, i nie patrzyła na niego. Matthew położył rękę na jej dłoni.

- Nie, Freddie. Naprawdę tak myślę. Nie chcę, żeby to cokolwiek popsuło.

Spojrzała w jego poważne, brązowe oczy.

- Nie popsuje. Nie popsuło. Jesteśmy przyjaciółmi, Matt. Wielkimi przyjaciółmi.

Uśmiechnął się nieznacznie, ale jego oczy były smutne.

- Może zrobimy coś w tym tygodniu, żeby to potwierdzić? - Chciała, żeby jego oczy się uśmiechnęły. - Harry będzie tutaj z Homerem i tą potworną deskorolką w poniedziałek i we wtorek, więc zostanę sama jak palec. Co powiesz na potajemne kino po południu? Albo lunch? Jakaś galeria?

Matthew stał odwrócony do niej plecami i napełniał zlew wodą z płynem.

- Raczej nie. Muszę jechać do Leicester do pracy. Wyjeżdżam w poniedziałek rano.

Poczuła ukłucie rozczarowania i, tylko przez sekundę, zastanawiała się, czy nie kłamie.

- Na jak długo?

Jego głos brzmiał dziwnie.

- Co najmniej na kilka dni. Może cały tydzień. To dość skomplikowane.

Tak, tak właśnie było, do cholery. Wszystko teraz było dość skomplikowane.

- Ale wrócisz na weekend?

- Może.

- Wylatuję dopiero w niedzielę. Może w sobotę? Trzepnęła go w tył uda jedną z serwetek.

- Tak łatwo się z tego nie wywiniesz! Odwrócił się i tym razem uśmiechał się szerzej.

- Dobrze, sobota. Ty zdecyduj, co będziemy robić.

- Harry musi wrócić na zajęcia sportowe w porze lunchu, więc przyjadę po ciebie około drugiej i to będzie nasz punkt wyjścia.

- Jesteśmy umówieni. Nie, tylko nie randka! Spojrzeli na siebie i roześmiali się, napięcie pękło.

- Ty idioto! - zachnęła się Freddie.

Matthew leżał na sofie u siebie w domu. Światło było zgaszone, ale włączył stereo. Słuchał po ciemku U2. Drobna ręka, wybryk losu, muszę na nią czekać na łóżku pełnym gwoździ, i czekam bez ciebie...

Był zbyt podekscytowany, żeby spać. Czuł się jak doładowany przez jej obecność i to trwało jeszcze wiele godzin po jej odejściu. Myślał tylko: sobota, następna sobota.

Tamsin wcierała krem do twarzy, idąc z półpiętra do sypialni. Zrzuciła kapcie i usiadła na brzegu łóżka, cały czas perorując. Neil uwielbiał tę chwilę: świat według Tamsin. Jeśli telewizor w kącie był włączony, przekrzykiwała Paxmana, dodawała wyzwolenicze teksty do Parkinsona, krzyczała na spikerów i polityków. Jeśli oglądali dreszczowiec albo kryminał, wznosiła teatralny okrzyk po pięciu minutach i zapisywała imię zbrojcy na kartce, którą trzymała schowaną pod poduszką do końca filmu. Później pokazywała ją triumfalnie, udowadniając, że przez cały czas wiedziała, kto zabił. Przetwarzała wszystkie rozmowy tego wieczoru w nagłówki i cenne informacje, które musiał przetrwać, doprowadzone przewidywaniami, sądami i opiniami. Kochał ją. Była koszmarna, ale ją kochał. Teraz, co było łatwe do przewidzenia, mówiła o Freddie i Matthew.

- Wygląda na to, że między nimi wszystko w porządku, prawda? - Neil wiedział, że nie powinien odpowiadać. - On chyba podejmuje się herkulesowej pracy, żeby nie pokazać, jak bardzo zaboląło go to, co się zdarzyło w Bostonie. I nie wydaje mi się, żeby ona też o tym zapomniała, naprawdę myślałam, że mnie zabije, kiedy tu przyszła i go zobaczyła. Ale nie wie tego, co ja, prawda? Nie tyle, co ja. Kiedy się nad tym zastanawiam, to ona nie wie, co w ogóle mogłaby wiedzieć, zupełnie nie. Wie, że ją pocałował, oczywiście, ale nie wie, co się za tym kryło, co? Niezupełnie. Wiesz o tym?

Neil nie wiedział. Nic a nic. Wiedział tylko, że trochę boli go głowa od czerwonego wina i wczesnej pobudki oraz poranka spędzonego na placu zabaw. I wiedział, że chce spać. Naprawdę, kiedy już było po wszystkim, nie obchodziło go, czy Matthew i Freddie są szczęśliwi razem, czy osobno, pod warunkiem że oboje są szczęśliwi, chociaż skłaniał się ku temu, że razem byłiby szczęśliwsi. Ale zdawał sobie sprawę, że żadna z tych rzeczy nie zrobiłaby wrażenia na jego żonie. Przekręcił się na jej stronę łóżka i oparł głowę o jej małe plecy, wdychając z uznaniem zapach kremu i pasty do zębów. Za długo jej nie było i teraz chciał tylko przytulić ją i zasnąć.



- Myślę, że między nimi będzie dobrze, wiesz? - Zrobiła przerwę na jego odpowiedź. - Neil? - Spał z opartą o nią głową. Wstała, a on uśmiechnął się i przekręcił na swoją stronę. Przesunął się, żeby być blisko niej, kiedy się położyła, i oparł jedną rękę na jej brzuchu, ponad swoim nienarodzonym dzieckiem.

Przewróciła z czułością oczami. Beznadziejna sprawa. Gdyby się modliła, zmówiłaby krótką modlitwę za Freddie i Matthew.

Freddie stała w drzwiach do sypialni syna i patrzyła, jak leżał pod kołdrą z *Harrym Potterem* i spokojnie oddychał. Wieczorna drzemka i coś jeszcze przegoniło senność i wracała do łóżka z płytą DVD. Przeszukała półki, wystrzegając się *Przeminęło z wiatrem*, starego faworyta, i *Kiedy Harry spotkał Sally*. Zdecydowała się na *Przyjaciół*, czwartą serię, odcinki 1-4. Świat DVD był jak tłuczone ziemniaki i gorąca czekolada. Czysta przyjemność oglądania. Cieszyła się, że jest w domu. Ameryka była ogromnym szokiem. Grace. Rak ojca. Sprawa z Rebeccą. Reagan. Właściwie ogromny szok to mało powiedziane. Z dystansu wyraźniej widziała, jak niezwykły był ostatni miesiąc. Dom to znajoma przestrzeń. Był tu Harry. Spędzą wspólny tydzień. I Matthew też tu był. Czy to częściowy powód? Miała nadzieję, że dobrze zrobiła, umawiając się z nim na spotkanie w sobotę.

Harry przewrócił się na drugi bok i sennie zmrużył oczy w świetle, które padało zza drzwi.

- Mama?

- Przepraszam, kochanie. Śpij.

- Kocham cię, mamo.

Miała nadzieję, że nigdy nie będzie za duży albo zbyt wyluzowany, żeby to powiedzieć.

- Też cię kocham. Dobranoc.

I spędzili wspólny tydzień. Byli w kinie. I na łyżwach. Zrobili jeszcze trochę zakupów. Któregoś wieczoru, kiedy jedli kolację, trzymając talerze na kolanach i oglądając jakiś niezrozumiały reality show, od którego Harry chyba był uzależniony, powiedziała mu o Rebecce. Powinien zrozumieć, dlaczego wraca do Ameryki, żeby nie czuł się porzucony. I, do pewnego stopnia, chciała zobaczyć, jakie ta rewelacja wywrze na nim wrażenie.

- Jej! Niezła sprawa!

- Tak.

- Więc dlaczego twój tata nie powiedział ci wcześniej?

- Myślę, że próbował mnie chronić.

- Dlaczego?

- Bo odeszła, kiedy byłam bardzo mała, zbyt mała, żeby ją pamiętać. I nie była częścią mojego życia. Chyba myślał, że gdybym się o niej dowiedziała, to by mogło wszystko przewrócić do góry nogami, wiesz?

- Chyba tak. Ale jesteś dorosła, mamo. Od bardzo dawna. Powinien ci powiedzieć wcześniej.

Nie mogła się temu sprzeciwić.

- Masz zamiar się z nią spotkać? Dlatego wracasz do Ameryki?

- Chyba muszę, nie?

- Chyba tak.

Przez chwilę nic nie mówił i zastanawiała się, czy znów skupił uwagę na telewizji. Później odezwał się:

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest nie mieć mamy. - I uśmiechnął się do niej.

W środę rano zadzwoniła do Adriana i powiedziała mu, że może zabrać Harry'ego na czwartek i piątek.

- Nic mu nie powiedziałam, więc zabierz go do swoich rodziców albo gdzieś indziej; udawaj, że wszystko jest w porządku.

Najwyraźniej Adrian odebrał to jako pozytywny sygnał. Przynajmniej raz nie fukał na nią, że go zawiadomiła w ostatniej chwili. W rzeczywistości sprawiał wrażenie wdzięcznego.

- W porządku. Zagramy z tatą w golfa w jego klubie. Będzie zachwycony. Wszystko będzie dobrze, Freddie, zobaczysz.

Proszę! Nic nie powiedziała. Wiedziała, że grał na zwłokę, ale nie chciała, żeby to był tydzień konfrontacji, decyzji i doniosłych wydarzeń. Wolała, żeby był odpoczynkiem od tego wszystkiego.

Zostawiła Harry'ego w domu z Barbarą, sprzątaczką, żeby nie spotkać Adriana, kiedy przyjdzie po syna. Powiedziała Harry'emu, że musi porozmawiać z prawnikiem w związku z testamentem ojca. Jak do tej pory, wyglądało na to, że Harry nic nie podejrzewał, był zbyt podniecony perspektywą rozegrania rundy w klubie dziadka. Wcześniej nie wolno mu było tam przychodzić.

Freddie poszła do centrum odnowy biologicznej i przepłynęła sto długości basenu, wolno i z wdziękiem. Później siedziała w jacuzzi z głową odchylną w tył i zamkniętymi oczami i pozwalała, żeby ciepła woda bulgotała wokół niej. Od bardzo dawna nie czuła się tak zrelaksowana. Nie pozwoliła sobie na myślenie o Adrianie, Matthew, Reagan ani swoich rodzicach. Opróżniła umysł i dobrze się z tym czuła.

Po masażu pleców, karku i ramion, pedikiurze i maseczce na twarz suszyła włosy, stojąc przed lustrem w przebieralni. Nieźle, jak na trzydziestosześcioletkę. Zupełnie nieźle. Zwykle nie pozwalała sobie na rozpieszczanie się i próżność. Może powinna robić to nieco częściej.

A później przyszła sobota i jechała tą znienawidzoną drogą w niewłaściwą stronę. Harry był spokojny ostatniego wieczoru. Poszli wszyscy do Pizza Express - Neil, Tamsin, Freddie, Harry, Homer i Willa - na wczesną kolację, później Tamsin zabrała Willę do domu, a pozostali poszli na film akcji, w którym czarny charakter mówił z mało prawdopodobnym, obcym akcentem, a bohater miał czas na dowcipne uwagi, kiedy jego życie wisiało na włosku. Harry niewiele się odzywał w drodze do domu i teraz też był cichy. Nawet nie włączył muzyki.

- Mamo? - Nagle uświadomiła sobie, co się zbliża, i zrobiło się jej niedobrze.

- Tak, kochanie?

- Czy ty i tata weźmiecie rozwód?

Spojrzała na jego twarz, a później na zegar na desce rozdzielczej. Powinien być na miejscu w ciągu godziny i chciała się zatrzymać. Cholerne samochody. Dlaczego musi przeprowadzać te wszystkie cholernie trudne rozmowy w cholernych samochodach? Poczła przyływ zdenerwowania - co, do diabła, powiedział mu Adrian? Chociaż to była jej wina, powinna porozmawiać z Harrym, zanim poszedł do ojca. Czy chciała, żeby najpierw poznał jej wersję?

- Dlaczego mnie o to pytasz? - Gówniana odpowiedź, wiedziała to już w momencie wypowiedzenia tych słów.

Jego mina to potwierdziła.

- Nie odpowiadaj pytaniem. Ja cię pierwszy spytałem. Musiała się zatrzymać i spojrzeć mu w twarz.

- Zaczekaj chwilę. - Włączyła lewy kierunkowskaz i skręciła z A3 w kierunku Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego Wisley. Zaparkowała na jednym z miejsc po przekątnej. Wokół przepływali starzy ludzie w płaszczach przeciwdeszczowych i wygodnych butach.

- Czy mogę cię spytać, co ci powiedział tata?

- Nic nie powiedział.

- Więc dlaczego? Był zdenerwowany.

- Bo przez cały tydzień byłem w domu, a ty i tata prawie w ogóle ze sobą nie rozmawialiście. Wyszłaś specjalnie tego dnia, kiedy po mnie przyjechał. Przez ten tydzień dziwnie się zachowywałaś. Byłaś w Ameryce całe wieki i jutro tam wracasz. Nie jestem głupi, mamo. Nie jestem małym dzieckiem.

Zdecydowanie nie. To Freddie czuła się głupio. Oczywiście, że były sygnały, które wrażliwe dziecko mogło odebrać. Jak niesamowicie naiwnie i podle postąpiła, nie zauważając tego. Jak egoistycznie.

Ale nie był aż tak zły, żeby nie mogła położyć dłoni na jego ręce. Pierwszy raz od bardzo dawna poczuła, jak wzbierają w niej łzy.

- Przepraszam, mamo. Proszę, nie płacz. Proszę! - błagał ją. Ale już zaczęła płakać i jakkolwiek wydawało się to nie na miejscu, nie mogła powstrzymać łez. Z całych sił starała się odzyskać panowanie nad sobą, zagryzła wargę, a Harry mówił:

- Nic mi nie będzie, jak się rozwiedziecie. Rodzice wielu chłopaków są po rozwodzie. Michael już się pogodził ze sprawą swoich rodziców...

Mówił rozpaczliwym tonem. Wszystko było nie tak. Freddie chciała, żeby to on się rozplakał albo zasepił, a nie próbował się nią opiekować. Był na to za mały.

Jak mogła tak to pogmatwać! Miała cały tydzień, żeby z nim porozmawiać, a teraz muszą to zrobić w ciągu dziesięciu minut w drodze do szkoły, zanim znów go zostawi.

Z olbrzymim wysiłkiem powstrzymała łzy.

- Harry, skarbie, już dobrze. Przepraszam. Tak bardzo przepraszam. To naprawdę wstętnie z mojej strony rozklejać się w drodze do szkoły. Wiesz, jak mi jest smutno, kiedy cię zostawiam.

Harry przytaknął.

- Słuchaj, kochanie. Masz rację, przepraszam, powinnam ci powiedzieć. Tata i ja mamy problemy, dorosłe problemy. One nie mają nic, nic a nic, wspólnego z tobą i musisz to zrozumieć. To są sprawy pomiędzy tatą i mną. Nie wiem, co się stanie, naprawdę, nie wiem. Ale to wszystko na mnie spadło w złym momencie, mój ojciec zmarł i te wszystkie sprawy, które muszę rozwiązać w Ameryce. Nie dam rady załatwić wszystkiego naraz, więc poprosiłam twojego tatę, żeby dał mi trochę oddechu, żebym mogła sobie wszystko przemyśleć, i on się zgodził. - To brzmiało dla niej prawdopodobnie. Czy dla Harry'ego też? - Nie chcę, żebyś się tym martwił, kiedy będziesz w szkole. Musisz pamiętać, że oboje, twój ojciec i ja, bardzo cię kochamy i nic tego nie zmieni. - Boże, jak kwestia z kiepskiego filmu. Ale Harry przytakiwał, słuchał. - I obiecuję, że będę ci o wszystkim mówić. Powiem ci, co się dzieje, obiecuję. Dobrze?

- Dobrze. Przepraszam, że przeze mnie płakałaś, mamó. Wyciągnęła ręce i oparł się o jej ramię.

- Nie płakałam przez ciebie, ty mój mężczyzno. Jesteś najlepszą częścią mojego życia. Słyszysz? Przy tobie jestem najszczęśliwsza.

Uścisnął ją i ona też go uścisnęła, i przez chwilę tak trwali. Para dociekliwych staruszków zajrzała przez okno i uśmiechnęła się zyczliwie.

W końcu odsunęła się i szukała reakcji na jego twarzy.

- W porządku?

Przytaknął i uśmiechnął się szczerze. Wiedziała, że go pocieszyła. Nie udawał.

Matthew widział, że płakała: miała czerwone obwódki wokół oczu i różowy nos. Wyglądała tak nieporadnie, że chciał jej dotknąć. Zbagatelizowała jego minę.

- Nawet się nie waż być dla mnie miły - ostrzegła. - Znam tę minę. Znów zacznę i nie przestanę i będziemy mieli gówniane popołudnie.

Nie, nie będziemy. Obronię cię.

- Zgoda. Żadnej dobroci ani nic w tym stylu. Dlaczego się spóźniłaś, ty niewychowana krowo?

Freddie wybuchnęła śmiechem.

- Od subtelności do niedorzeczności!

- Nie, naprawdę się spóźniłaś. Zarezerwowałam bilety w Electric Cinema. Jak nie ruszysz swojego cudownego tyłka, spóźnimy się na zwiastuny.

- A zwiastuny są najlepsze.

- Właśnie! Chodźmy.

W kinie włożył okulary. Okrągłe, w drucianych oprawkach, i wyglądał w nich jak uczeń.

Siedzenie obok niego dodawało jej otuchy, ale tak naprawdę nie oglądała filmu. Wszystko poplątała. To było egoistyczne, pozwolić, żeby sprawy toczyły się własnym biegiem przez cały tydzień. Była mięczakiem. A teraz zostawiła Harry'ego w szkole zamartwiającego się, co się dzieje z jego rodziną. To, że nie wyjaśniła mu tego na samym początku, nie było w jej stylu.

Później poszli do baru.

- Co o tym powiesz?

- Tak naprawdę to nie patrzyłam na film.

- Wiem. Chłopak zakochuje się w dziewczynie. Dziewczyna zakochuje się w najlepszym przyjacielu chłopaka. Trochę przypadkowej przemocy. Trochę zagładania w duszę. Trochę muzyki Motown. Chłopak dostaje dziewczynę. To wszystko! A teraz o co chodzi?

- O Harry'ego. Spytał mnie rano, czy Adrian i ja weźmiemy rozwód. I rozplakałam się.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jeszcze nic nie postanowiliśmy i że oboje go kochamy. Bla, bla, bla.

- I to jest prawda? Nic nie postanowiliście?

- Nie wiem. - Ukryła twarz w dłoniach. - Jestem tak skołowana, że nie mogę jasno myśleć. Przeżywam taki stres, że czuję się, jakbym przez cały czas stała na krawędzi jakiejś przerażającej otchłani. Jeśli wypuszczę powietrze, to się przewrócę.

- Z powodu Adriana?

- Nie tylko Adriana. Wszystkiego. Jestem zła na mojego ojca, że zmarł, zanim cokolwiek wyjaśniliśmy. Dowiadywanie się różnych rzeczy, kiedy go już nie ma, jest tak frustrujące, że nawet nie potrafię tego opisać. Nigdy niczemu nie stawiał czoła. Mieliśmy straszny, chory związek, w którym nie okazywał mi żadnego uczucia, ale znalazłam pokój w jego domu, który wygląda jak mój ołtarz. Miał to swoje małżeństwo, bo w rzeczywistości to właśnie było to, z Grace, o czym w ogóle nie wiedziałam. Grace wychowała mnie - była najbardziej normalnym rodzicem, jakiego miałam, a ja zrobiłam jej to samo, co on zrobił mnie. Jak tylko mogłam, zwałam, gdzie pieprz rośnie, od nich obojga. I spójr, dokąd uciekłam. Prosto w ramiona kogoś takiego jak on. Kolejnego opóźnionego emocjonalnie, dominującego mężczyzny. Gdzieś zgubiłam siebie, albo przynajmniej tak to czuję, i przez ostatnie piętnaście lat nie byłam sobą. Odejdźcie od Adriana to nie tylko odejdźcie od niego, to odejdźcie ode mnie takiej, jaką byłam przy nim. I tak bardzo się boję, że ta inna ja zniknęła na zawsze.

Spojrzała na niego, błagając, żeby zrozumiał.

I w pewien sposób rozumiał. Kiedy stracił Sarę, stracił siebie. Zapamiętał mowę, którą ktoś wygłosił na weselu. Mówca przedstawił analogię do małżeństwa, która utkwiała Matthew w pamięci. Mężczyzna mówił o Koblencji, mieście w Niemczech, i o miejscu, w którym dwie rzeki - Ren i jakaś

inna, nie pamiętał która - się łączyły. Najwyraźniej w miejscu, w którym się spotykały, można było rozróżnić ich dwa kolory i kiedy się zlały, pozostawały oddzielnie aż do punktu, gdzieś dalej, gdzie powstawał nowy kolor. Mówca stwierdził na zakończenie, że zawsze myślał o swoim małżeństwie jak o dwóch kolorach, które dobrze się mieszały i w efekcie dały jedną, piękniejszą barwę. Odcień Adriana zabrudził Freddie. Właśnie to miała na myśli. I bała się, co z niej zostanie, kiedy się go zabierze.

Ale, jak Tamsin, Neil i Reagan, znał ją, zanim poznała Adriana, i nadal będzie ją znał. Da sobie radę. Musi tylko w to uwierzyć.

- Tkwisz w zamęcie, to wszystko. Daj sobie czas, żeby to wszystko ułożyć. Tylko przestań tak się tym dręczyć. Nie masz powodu, żeby czuć się winna. - Objął ją ramieniem i oparła się o niego. - To wymaga czasu. I musisz znaleźć właściwe miejsce, od którego powinnaś zacząć.

- Nie wiem, gdzie to jest. A ty wiesz? - spytała. Zastanowił się przez chwilę.

- Twoja matka. Dowiedz się, co tam się dzieje, co ci to powie o twoim ojcu. Adrian nie jest w stanie cię do niczego zmusić, więc może poczekać. A Harry'emu nic się nie stanie.

- Boję się.

- Swojej matki?

- Tego, co do niej czuję.

- To nie znaczy, że dobrze zrobisz, nie próbując jej odnaleźć.

Jego umysł wściekle pracował. Bardzo chciał z nią pojechać. Tamsin jest tutaj, a Reagan, cóż, Reagan nie wydawała się najbezpieczniejszą opiekunką. Pomyślał o pracy. Czy uda mu się wziąć jeszcze trochę wolnego? Czy ją przestraszy, jak to zaproponuje? Przypomniawszy sobie Boston i zastanawiał się, co by powiedziała Tamsin.

W końcu i tak to powiedział.

- Pojadę z tobą.

- Nie bądź idiotą. Nie możesz, masz pracę.

- Daj mi dzień lub dwa, żebym ułożył swoje sprawy. Nigdy nie cierpiałem na syndrom niezastąpionego człowieka. Poradzą sobie beze mnie jakiś czas. Jeśli uda mi się dostać bilet, mogę tam przylecieć we wtorek albo w środę, jeśli chcesz. - Był niewiarygodnie zdenerwowany.

- Nie mogę cię o to prosić - słabo zaprotestowała Freddie.

- Nie prosiłaś. Przestań się zamartwiać i po prostu powiedz mi, czy chcesz, żebym z tobą pojechał.

Wyprostowała się, oddalona od niego. Tak, chciała. Bardzo chciała.

- Tak, proszę. Dziękuję.

Powiedziała to jeszcze raz, później, kiedy ją odwiózł.

- Nie wiem, co bym bez was zrobiła. Jestem taka szczęśliwa, że was mam.

- Kochamy cię. Poza tym, dla mnie zrobiliście to samo.

Uścisnęli się krótko. Odsunęła się i pocałowała go w policzek, odrobinę za blisko ust. Przez moment chciała go porządnie pocałować i to ją zaskoczyło. Ale on nie miał zamiaru drugi raz popełnić tego błędu. Otworzył drzwi po stronie pasażera i chwila minęła.

W domu napisała e-maile do Harry'ego i Adriana.

Do: [AdrianSinclair@hotmail.com](mailto:AdrianSinclair@hotmail.com) Adrian,

w domu pusto. Lecę niedzielnym lotem do Bostonu. Porozmawiamy, jak wrócę. Przepraszam, że jestem zdawkowa, ale teraz na więcej mnie nie stać. Nie próbuję cię karać.

Proszę, opiekuj się Harrym. Spytał mnie dzisiaj, czy chcemy się rozwieść. Powiedziałam mu, że mamy problemy, ale oboje go kochamy. Wiem, że to prawda. Wolałabym, żebyś nie wdawał się w szczegóły, ale nie chcę, żebyś był zaskoczony, jeśli cię spyta o to samo.

Freddie

Do: [HarrySinclair@hotmail.com](mailto:HarrySinclair@hotmail.com)

Kochany Harry - mam nadzieję, że mecze dziś po południu dobrze wypadły. Tatuś obiecał, że przyjedzie i będzie wam kibicował, jak ja będę w Stanach. Niedługo wrócę do domu, kochanie, a teraz możemy mnóstwo rozmawiać przez telefon. Wyślij mi e-mail, jak tylko będziesz miał ochotę. Jak znów będziemy razem, obiecuję, że opowiem ci o wszystkim, co się tutaj dzieje. *EastEndersi* zaczynają przypominać *Waltonów*, tyle mogę ci powiedzieć - czy ty w ogóle wiesz, co to są *Waltonowie*?

Proszę, nie martw się, Harry. Bardzo, bardzo cię Kocham (i mam nadzieję, że nikt ci nie czyta tych ckliwych wstawek przez ramię!).

Napisz mi, czy chcesz, żebym przysłała ci jakieś płyty.

Mama XX

przerwa jesienna,

Cape Cod

Kolejne piękne popołudnie. Reagan godzinami wylegiwała się na wydmach. Wzięła ze sobą książkę, opasłe tomisko, które miała zamiar przeczytać od paru lat, znalazła jej egzemplarz na półce z książkami ojca Freddie. Ale nie udało się jej przeczytać ani jednej strony. Trzy razy zaczynała dwa pierwsze akapity, później poddała się i położyła na kocu, który wzięła ze sobą.

To nie była wina książki, tylko jej głowy. Przez całe lata, tak długo, że nie mogła sobie przypomnieć, kiedy było inaczej, coś wypełniało jej myśli: praca, Matthew, wszystko, a teraz czuła, jakby już nic więcej do niej nie docierało. Nie słuchała radia od wyjazdu Freddie i Tamsin ani nie włączyła telewizora.

Każdego ranka szła do miasta, robiła zakupy na cały dzień i zatrzymywała się na kawę i naleśniki grubo posmarowane niesolonym białym masłem i prawdziwym syropem klonowym, nie rozmawiając z nikim, o ile nie musiała. Nie spotkała więcej Erica i miała nadzieję, że nie spotka. To, co między nimi zaszło, jakby ją obudziło. Nie chciała już tego robić. Wierzyła, że jest więcej warta.

Wyłączyła komórkę i schowała w szufladzie. Telefon stacjonarny nie dzwonił. Grace była w Vermont u swojej siostry i nikt, ani w domu, ani w pracy, oprócz Freddie i Tamsin, nie wiedział, gdzie jest.

Spała dobrze, budziła się wypoczęta i pełna energii i jadła jak koń. Wielkie talerze makaronu z sosem pomidorowym, który przyrządzała z dodatkiem oliwy z oliwek, świeżej bazylii, orzeszków pińowych i kremowej mozzarelli. Czuła, że nabiera sił.

Głód kazał jej wrócić z plaży. Kupiła rano w miasteczku krewetki, główkę czosnku i maleńkie, ostre papryczki chilli. Miała zamiar usmażyć je na maśle i zjeść z kawałem chleba, sałatką z rukoli i może kieliszkiem chardonnay o drzewnym posmaku, a później trochę się zdrzemnąć. Na końcu drogi stał zaparkowany samochód. Jego błękitna karoseria sprawiała niezwykle wrażenie. Ktoś siedział w środku, ale nie wysiadł, kiedy zbliżyła się do domu, i więcej o tym nie myślała.

Tego ranka rozwiesiła pranie, pierwszy raz od wieków - uśmiechnęła się w duchu, kiedy wkładała kwiecisty fartuch Grace z głęboką kieszenią na spinacze. Pewnie już wyschło i trzepotało niemożliwą bielą na sznurku za domem. Postawiła torbę i koc i wzięła wiklinowy kosz, który zostawiła na schodach.

Wracając, zauważyła, że ładny samochód nadal tam stoi. Otworzyły się drzwi od strony kierowcy, ale pasażer się wahał. Pierwszą reakcją Reagan było zdenerwowanie. Nie planowała gości ani dziś, ani żadnego innego dnia.

Po niekończącym się wahaniu kobieta wysiadła. Była postawna i wysoka. Nie bezkształtna i grudowata, tylko potężna. Miała obfite piersi i biodra, ale zachowała talię. Efektowna, w stylu cyganki: powłóczyście tkaniny i kolczyki z muszli. Miała udrapowany jaskrawy szal na ramionach i srebrne włosy. Urodzona przywódczyni obozu, dało się to wyczuć na kilometr.

Coś głęboko poruszyło Reagan, kiedy zbliżała się w jej kierunku. To musi być ona. Ta kobieta wygląda jak Freddie, pomyślała i postąpiła naprzód z koszykiem opartym na biodrze. Zauważyła, że nie jestem tą, której szuka, że to niemożliwe.

Były o metr od siebie i wyraz twarzy Rebeki zmienił się. Rozczarowanie czy ulga? Reagan wyciągnęła rękę.

- Jestem Reagan.

- A ja Rebecca. - Niezręcznie uściśniły sobie dłonie. - Jestem...

- Matką Freddie. To musi być pani. - Reagan usilnie zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć. - Jest pani do niej bardzo podobna.



Rebecca nie odpowiedziała.

- Jestem przyjaciółką Freddie. Przyjechałam z nią, kiedy zmarł jej ojciec. Żeby pomóc, widzi pani, jestem prawnikiem... i... - urwała.

- Czy Freddie tu jest?

- Nie. - Teraz była pewna, że na twarzy Rebeki malowało się rozczarowanie. - Wróciła do Anglii na jakiś tydzień, żeby zobaczyć się z Harrym. W domu mamy przerwę jesienną.

- Nie pomyślałam o tym.

- Nie. - Przynajmniej to Reagan rozumiała. Matki miały ten dziwny kalendarz: nie mówiły o porach roku ani o miesiącach, tylko o semestrach i wakacjach. Jakbyś o tym wiedziała. „Drugi tydzień lutego?”, „Oczywiście, to ferie zimowe”. Reagan przez lata знаła te istotne daty, więc wiedziała, kiedy omijać lotniska i kurorty narciarskie; ceny były dwukrotnie wyższe i wszędzie pełno wrzeszczących dzieciaków i ich rodziców, matek w nietwarzowych, wygodnych ubraniach i ojców objuczonych plecakami pełnymi zabawek.

- A Grace?

Reagan potrząsnęła głową.

- Jest w Vermont. Pojechała tam po pogrzebie, żeby odpocząć. Tylko ja tu jestem.

Rebecca uśmiechnęła się niezręcznie.

- Przepraszam, powinnam zadzwonić.

- To by chyba nie była najłatwiejsza na świecie rozmowa telefoniczna.

- Nie... Pewnie w ogóle nie powinnam przyjeżdżać, a raczej poczekać, aż ona przyjedzie do mnie. Jeśli chce to zrobić... - Teraz patrzyła na dom. - Po prostu byłam... ciekawa. Chciałam ją zobaczyć. Wsiadłam rano do samochodu i wylądowałam tutaj.

Reagan nie wiedziała, co powiedzieć.

- Czy jest... bardzo zdenerwowana? - spytała Rebecca.

- Jest dość zagubiona. Spadło na nią sporo spraw. Po pierwsze zmarł jej ojciec. Wiedziała pani, że był chory. Ona nie. Dowiedziała się po fakcie, co nie było dla niej miłe. Jeszcze się z tego nie otrząsnęła, kiedy okazało się, że matka, której nie widziała Bóg wie jak długo, żyje, ma się dobrze i mieszka pięćdziesiąt kilometrów stąd. Jak pani myśli, co ona czuje? Powiedziałabym, że „zdenerwowana” to łagodne określenie. - Starła się nie najeżdżać na Rebecę, ale ją samą dziwiło, jaka jest rozżalona w imieniu Freddie. - Cieszę się, że jej tu nie ma. I zgadzam się, że powinna pani poczekać, aż się z panią skontaktuje. Przez tyle czasu pani tego nie robiła, więc dlaczego teraz?

Mówiła ostrym głosem i spodziewała się, że to zdenerwuje Rebecę, ale kobieta zachowała spokój. W tej sytuacji twarz Reagan poczerwieniała i serce waliło jej jak młot, ale Rebecca wyglądała na tak wyluzowaną i spokojną, jak wtedy, kiedy szła przez trawnik.

- Musicie być bardzo dobrymi przyjaciółkami - stwierdziła Rebecca.

- O tak, jesteśmy.

- I nie chce pani, żeby coś ją zraniło.

- Żeby ją bardziej zraniło.

Rebecca pochyliła głowę na potwierdzenie tej prawdy. A później uśmiechnęła się.

- Ma pani rację. Nie mam tu żadnego interesu. Bardzo dobrze, że jej nie ma. Pójdę już.

Reagan oficjalnie przytaknęła.

- Niech pani zdecyduje, czy powiedzieć jej, że przyjechałam, czy nie. Na pewno pani zna ją najlepiej. - W jej głosie nie dało się wyczuć próby obrony ani sarkazmu. - Ale jeśli pani o tym wspomni, proszę powiedzieć, że chcę się z nią spotkać... bardzo. Przypuszczam, że wie, gdzie mnie znaleźć.

Reagan znów przytaknęła.

- Dziękuję pani, Reagan. Jeszcze raz przepraszam, że zakłóciłam pani spokój. - Odwróciła się i poszła z powrotem przez trawnik. Reagan nie chciała patrzeć, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Była zażenowana tą konfrontacją, zdziwiona własnym zaangażowaniem i zaniepokojona wyraźnym dystansem Rebeki. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

Musi powiedzieć Freddie, oczywiście. Spojrzała na telefon i szybko obliczyła czas. Nie, nie zadzwoni. Powie jej, kiedy wróci.

Nie spała tego popołudnia. Leżała na huśtawce na werandzie i myślała o matkach. Prawdopodobnie pod tym względem była najbardziej podobna do Freddie. Tamsin zawsze była blisko ze swoją matką i miała pewność, że macierzyństwo to jej prawdziwe powołanie. Została uformowana, żeby znaleźć partnera i powtórzyć cykl, w którym tak dobrze ją potraktowano. Sara pochodziła ze zwyczajnej rodziny, córeczka tatusia, ale dzieci zawsze były częścią jej planu i miały miejsce w marzeniach, które dziewczyny z klubu Tenko snuły późno w nocy.

Reagan prawie zazdrościła Freddie, że nie miała matki. Ona miała, ale związek, o którym tyle się mówiło, umykał jej i zadziwiał. Nie opowiadała matce o różnych sprawach. Nie interesowało ją, co myśli. Matka nie stanowiła punktu odniesienia, nie była powiernicą ani schronieniem. Była kobietą od zawsze w średnim wieku, która nosiła nietwarzowe sukienki z rozpinaną górą i brzydkie buty i w 1959 roku wyszła za ojca Reagan. Przedtem też nie prowadziła życia wartego wzmianki. Co nie znaczy, że ojciec Reagan był jej wielką namiętnością, albo dzieci z tego związku. Reagan sądziła, że matka nie miała w sobie za grosz namiętności. Na jej twarzy pojawiała się mniej więcej pięć min, z których co najmniej trzech nie dało się od siebie odróżnić, a żadna z nich nie angażowała zbyt wielu mięśni. Zwykła mówić: „Jak uważasz, moja droga” i „Nie będę się w to mieszać”. I, do cholery, nie robiła tego. Ani razu nie wmieszała się w życie Reagan, nie okazała żadnej troski nijakiej, nieśmiałej uczennicy w typie mola książkowego, pozwoliła jej pojechać na uniwersytet źle przygotowanej na spotkanie ze światem. Nawet nie mruknęła, kiedy Reagan pojawiła się trzy lata później, odmieniona. W wieku dwudziestu trzech lat przyprowadziła do domu swojego pierwszego chłopaka i obwieściła, że będą

mieszkać w jednym pokoju, a matka zgodziła się z miejsca i zabrała ręczniki, które rozwiesiła w pokoju gościnnym. Kiedy Reagan kochała się z nim głośno późno w nocy, matka wstała następnego rana z nieśmiałym: Dobrze spałaś, kochanie?

Reagan pokazała jej swoje pierwsze, małe mieszkanie w obiecującej dzielnicy, za które sama zapłaciła i udekorowała na biało z pomocą Sary, Freddie i Tamsin, a matka skonstatowała, że jest „ładne”.

Została wspólniczką jako druga kobieta świeżo po trzydziestce w swojej firmie, ojciec rozplakał się, a matka stwierdziła tylko, że to „cudownie”. Trzymała jej zdjęcie z ukończenia studiów w albumie w jadalni, której używano dwa razy w roku.

Nie „rozumiała” Reagan, a Reagan przestała próbować ją „zrozumieć”. Nie było tam nic do zrozumienia. W obozie doprowadziłyby się wyciem i jęczeniem do katatonii. Kiedy była młodsza, Reagan zastanawiała się, dlaczego matka tak mało czuła w tak wielu sprawach. Ale do niczego nie doszła.

Matka żyła nijakim, wstrzemięźliwym życiem i nie wiedziała, że powinna być z tego powodu nieszczęśliwa albo niezadowolona. Z upływem lat irytacja Reagan przeszła w gniew, później w żal i osiadła na nonszalancji, czasami nawet zazdrości: matka nie torturowała się.

Freddie nigdy nie tęskniła za matką, albo Reagan tak się wydawało. Zawsze była taka zblazowana, kiedy o tym mówiła.

- Nie możesz tęsknić za tym, czego nigdy nie miałaś - powiedziała. - Grace była wspaniała. - Taka niezależna. Olśniła tym Reagan, kiedy pierwszy raz się spotkały. Niezwykle bystra w wieku osiemnastu lat i taka silna. To było atrakcyjne i pociągające.

Zazdrościła Freddie olśniewającej historii. O ile fajniej jest mówić, że twoja matka porzuciła cię, kiedy byłaś małym dzieckiem, niż że nosiła drukowany poliester i nic dla ciebie nie znaczyła.

Reagan przypomniała sobie swego rodzaju zdradę, kiedy urodził się Harry. Freddie odkryła macierzyństwo i przez jakiś czas była taka jak inni. Reagan nigdy nie chciała mieć dzieci. Ani razu nie poczuła tego pępkowego zewu macicy. Była przygnębiona pojawieniem się Harry'ego. Freddie, Sara i Tamsin pewnie myślały, że po prostu też chciała mieć dziecko, ale się myliły.

Teraz znów poczuła zazdrość podgryzającą jej nową siłę. Rebecca była interesująca, ciepła. I Freddie wreszcie mogła zyskać matkę.

Cape Cod

Reagan nic nie powiedziała Freddie. Miała taki zamiar: powtarzała sobie, że musi to zrobić. Ale kiedy Freddie wróciła i obwieściła, że przyjedzie Matt, zrezygnowała.

- Znowu? - Freddie była zaskoczona jej tonem i Reagan spróbowała łagodniej:

- Czy on nie ma pracy? I te wszystkie loty. Nie są tanie.

- Freddie nie pomyślała o tym. Po raz enty czuła, że jest egoistką. Później się zdenerwowała: dlaczego Reagan zmusza ją do obrony?

- I kto to mówi! - zaatakowała więc.

- Ja nie pracuję i zapłaciłam tylko za jeden powrotny bilet. A on pojawia się i znika jak bumerang. W biurze pewnie są na niego wściekli.

- Ale pomyśl o dodatkowych kilometrach, które zyska! Reagan odpuściła sobie i uśmiechnęła się z żartu przyjaciółki.

- Czym się zajmowałaś, kiedy nas nie było?

- Błogim lenistwem. - Skłamała i już było za późno.

- Prawie z nikim nie rozmawiałam, oprócz zakupów i zamawiania kawy.

Freddie ponowiła próbę.

- Tak naprawdę to Matt przylatuje tu, żeby pojechać ze mną do Provincetown.

Reagan uniosła brwi.

- To znaczy z nami, jeśli też chcesz pojechać. Mam zamiar odszukać matkę.

- Dlaczego?

Była pierwszą osobą, która zadała to pytanie.

Wszyscy inni: Matthew, Tamsin, Neil uważali, że to konieczne. Nie pytali „dlaczego”, tylko „kiedy”. Freddie spróbowała odpowiedzieć.

- Muszę to zrobić. Przez tyle lat nie wiedziałam, gdzie jest...

- Tak, ale zawsze powtarzałaś, że za nią nie tęsknisz.

- Nie wiedziałam, że mam za kim tęsknić. I było mi z tym dobrze. Ale kiedy już wiem, gdzie mieszka, muszę tam pojechać i czegoś się dowiedzieć. Na pewno to rozumiesz.

Reagan wzruszyła ramionami.

- Jak ze swędzącą ranką, której się nie podrapie. Później jest coraz gorzej. Nie wiem, co to może dla mnie znaczyć i co może zmienić. Ale muszę to zrobić.

Reagan nie odezwała się.

Freddie nie mogła znieść milczenia przyjaciółki.

- Zgadzasz się ze mną?

Głos Reagan nie był już tak oschły.

- Nie wiem, Freddie. Chyba rozumiem, co masz na myśli z tym swędzeniem, ale spróbuj zadać sobie pytanie, co z tego dla ciebie wyniknie. Czy ona jest w stanie wytłumaczyć ci, dlaczego cię porzuciła, tak żebyś to zaakceptowała, żeby to miało dla ciebie sens? Nie sądzisz, że to może wszystko pogorszyć? Przemyśl to, zanim się z nią spotkasz, nie rób tego tylko dlatego, że inni uważają to za dobry pomysł.

„Inni” to oczywiście Matthew, Tamsin i Neil. Freddie zastanowiła się przez chwilę, czy Reagan aby nie próbuje przeforsować swojej opinii. Ale przecież też była jej przyjaciółką.

Sądziła, że samotny pobyt tutaj dobrze zrobi Reagan. Kiedy wyszła przywitać się z nią, wyglądała świetnie: świeża, wypoczęta, łagodna. Dlaczego rozmowa o Matthew, Tamsin i matce Freddie spowodowała, że jej zadry i urazy znów wydostały się na powierzchnię?

Reagan nie pojechała z nimi. Zarzekała się, że ma straszny ból głowy i nawet bieg wzdłuż plaży jej nie pomógł. Freddie się tego spodziewała. Przyjaciółka dziwnie się zachowywała wobec Matthew. Kiedy przyjechał, próbował pocałować ją w policzek, ale odwróciła się do niego w nieodpowiedniej chwili i skończyło się na tym, że trzymał ją za łokieć i całował w ucho. Starła pocałunek rozdrażnionym dziecięcym gestem.

- O co jej chodzi? - spytał Matthew, kiedy pokonywali samochodem drogę z Chatham do Provincetown. Był piękny dzień. Kolorowe liście na tle kobaltowego nieba robiły wrażenie. A słońce ogrzewało ich twarze.

- Jeden Bóg wie! Zaczynam się zastanawiać, po co w ogóle tu przyjechała.

Matthew uniósł brew.

- To było złośliwe, przepraszam. Wiem, dlaczego przyjechała: bo jest dobrą przyjaciółką i dobrym człowiekiem i chciała być tu ze mną. - Mówiła, jakby czytała z kartki. - Ale, Chryste, potrafi być naprawdę trudna. Z Tamsin było o wiele łatwiej. Wspaniale umie rozbawić Reagan, żartując z siebie samej, i nie przejmuje się pierdołami. Reagan ma fatalny humor, odkąd przyjechałam.

Matt próbował zachować rozsądek.

- Chyba ma mnóstwo problemów.

- Ja tu jestem od kłopotów. I mam patent na nieszczęście.

Parkowanie w Provincetown było koszmarem. Jeździli w kółko przez dziesięć minut i w końcu znaleźli miejsce naprzeciwko galerii z dwoma niezwykłymi pejzażami morskimi na wystawie. Oba przedstawiały ten sam widok: plażę wychodzącą na morze i latarnię morską po prawej stronie. Jeden z widoków namalowano w czasie burzy, był tak szary i ponury, że to musiała być zima. Promień z latarni morskiej przebijał się przez mrok opalizującym światłem. Na drugim było lato: całkiem spokojne morze, plaża na pierwszym planie upstrzona opalającymi się postaciami we fluorescencyjnych kostiumach kąpielowych. Oba obrazy były piękne: ich prosty styl chwycił za serce. Freddie przyglądała się im przez kilka minut, podczas gdy Matthew próbował rozszyfrować mapę. Teraz, kiedy już tu przyjechała, nie była taka pewna, czy tego chce.

- Zdaje się, że jesteśmy na właściwej ulicy. Jak pójdziemy prosto i skęcimy w lewo za tym zakrętem, dojdziemy na miejsce. To ponad kilometr. Chcesz tam podjechać?

- Nie znajdziemy miejsca do parkowania, a spacer dobrze mi robi.

- Iść z tobą?

- Po co? Naprawdę nie trzeba. Nie czuję się jak Oates zdobywający Antarktydę, ale muszę to zrobić sama. W porządku?

- Oczywiście. Jak chcesz. Uścisnęła mu rękę z wdzięcznością.

- Co będziesz robił?

- Nie martw się o mnie. Rozejrzę się po okolicy. Może dowiem się czegoś o obserwowaniu wielorybów. Nie wiem, czy to właściwa pora roku, ale sprawdzę.

- Tylko nie daj się nikomu poderwać, dobrze?

- Musisz zaryzykować. - Przytulił ją. - W porządku?

- Czuję się jak zupełny mięczak. Mam ochotę uciec.

- Nie zrobisz tego. Poradzisz sobie. - Wypuścił ją z objęć, wcisnął do ręki kartkę z adresem i skierował we właściwą stronę.

- Masz numer mojej komórki, jakbyś mnie potrzebowała.

Przytaknęła.

- Masz komórkę?

Wyjęła ją z kieszeni i pomachała.

- Tak jest. I czystą chusteczkę. Klepnął ją w tyłek.

- Zmykaj stąd.

- Do zobaczenia.

Matthew obserwował ją przez chwilę i wszedł do galerii. Na obu ścianach wisiały obrazy, a między nimi stały rzeźby. Wśród nich były niezwykle fragmenty drewna wyłowionego z oceanu, ciemne i kanciaste, przymocowane metalowymi prętami do czegoś, co przypominało kawały wapnia. Zapadały w pamięć i były piękne. Przyglądał się im przez dłuższy czas.

Właściciel galerii, mężczyzna po pięćdziesiątce, łysy i otyły, ruszył do niego, kiwając się w rytm meksykańskiej muzyki płynącej z głośników.

- Chciałby się pan dowiedzieć czegoś więcej o tych pracach, czy tylko im się pan przygląda?

- Patrzę na te rzeźby, są niesamowite.

- Prawda? - Był zachwycony. - Zrobiono je tutaj w Provincetown z miejscowych materiałów. -

Matthew skinął głową. Mężczyzna zachęcony omiół galerię szerokim gestem. - Wszystko, co pan tu widzi, to dzieła miejscowych artystów.

- Na pewno środowisko artystyczne tu kwitnie.

- Oczywiście. - Taksował Matthew z góry do dołu. - Przyleciał pan z Anglii?

Matthew poczuł nieznane wcześniej zdenerwowanie, po raz pierwszy jako heteroseksualny mężczyzna znalazł się w mniejszości.

- Tak, przyjechałem z przyjaciółką. Odwiedza tu krewnych. Czekam na nią. - Silnie zaakcentował „przyjaciółką”.

- Te obrazy na wystawie... - Mężczyzna kiwnął głową.
- Są po prostu piękne. Uwielbiam ten styl.
- O tak. Bardzo podobają się turystom. Czyżby w głosie mężczyzny pobrzmiewała uraza?
- Mam ich trochę więcej na tyłach galerii. - Uśmiechał się, wskazując w ich kierunku.

Były w podobnym stylu. Duże płótno przedstawiające statek wielorybników pełen turystów w kolorowych płaszczach nieprzemakalnych i kilka mniejszych obrazów namalowanych na plaży, z widokiem na domy stojące wzdłuż brzegu. Na wszystkich uchwycono skrajny kontrast między przyrodą i pogodą na przylądku a odwiedzającymi. Namalowano je z niezwykłym wyczuciem koloru.

Do galerii weszli dwaj nowi klienci i właściciel przeprosił go.

Obraz ze statkiem tak bardzo spodobał się Matthew, że zastanawiał się, ile kosztuje. Podszedł bliżej i przyjrzał się karteczce przypiętej obok: *Obserwujący wieloryby*, 2002, \$2000.

To nie cena spowodowała, że zaczął szybciej oddychać. To nazwisko autorki wydrukowane poniżej: Rebecca Valentine.

Wszystko uspokoiło się, jak tylko Freddie oddaliła się od ruchliwego centrum. Minęła ostatnią kawiarnię, tłum wyparował i była sama na ulicy. Zafascynowała ją architektura. Okazało się, że większość dużych domów z tarasami oplatającymi je dookoła to pensjonaty, ręcznie malowane szyldy falowały na wietrze, reklamując „jacuzzi” i „prywatne tarasy do opalania”. Niektóre były bardzo okazałe, ze szklanymi wieżyczkami zakończonymi wiatrowskazami i wymyślnymi żelaznymi okuciami. Inne, maleńkie, stały wtulone przepraszająco pomiędzy rezydencje. Większość domów była bardzo zadbana, w idealnym stanie, chociaż niektórym dały się we znaki czas i pogoda na przylądku.

Dotarła na miejsce szybciej, niż się spodziewała: miasteczko bardzo jej się spodobało. Zapaliła papierosa i oparła się o ścianę. Dom Rebeki był jednym z większych: smukły z szarym belkowaniem. Z ulicy wyglądał jak trzy różne domy: dwa z fasadami wychodzącymi na ulicę, a trzeci, między nimi, cofnięty tak, że spotykał się z ich tylnymi ścianami, tworząc podwórko, na którym znajdowały się donice ze starannie posadzonymi roślinami i świeżo pomalowane białe ławki. Środkowa część domu łączyła się z plażą szarym pomostem. Od strony ulicy przez całą długość trzech domów ciągnął się płot z białych sztachet. Przez okna w bocznych ścianach Freddie widziała olbrzymie okna panoramiczne wychodzące na morze. Wejście znajdowało się z boku. Nad gankiem paliło się zapraszające światło. Nie mogła przestać się gapić na dom ani nie była w stanie podejść bliżej.

Prawie uśmiechnęła się do siebie, bo głos Loyda Grossmana szeptał jej do ucha: Kto mieszka w tym domu?

Stała tam przez dziesięć minut, po prostu się wpatrując. Przechodząca para sprawiła, że cofnęła się w kierunku niskiej, ceglanej ściany. Odwrócili się kilkanaście metrów dalej i spojrzeli na nią, najwyraźniej zastanawiali się, co tu robi. Freddie zdała sobie sprawę, że nie może tak stać przez cały

dzień, ale nadal nie potrafiła zmusić się do wejścia, otworzyć białej bramy, wejść na ganek i zadzwonić.

Może Reagan miała rację.

Nagle drzwi otworzyły się. Mężczyzna i kobieta wyszli, trzymając w rękach duże kubki.

Matka wyglądała dokładnie tak jak ona. Ten sam wzrost, postawa i karnacja. Freddie miałaby również jej wagę, gdyby tak bardzo nie uważała, co je.

Ta kobieta jest jej matką. Freddie nie zwróciła uwagi na mężczyznę. Drżały jej kolana i czuła, że się czerwieni.

To moja matka.

Nie mogła się ukryć, nawet gdyby próbowała. Jej stanowisko na chodniku zbytnio rzucało się w oczy.

Oboje na nią patrzyli, ale widziała tylko twarz matki.

Wydawało się jej, że patrzyły na siebie całą wieczność, chociaż pewnie trwało to parę sekund. Freddie starała się odczytać wyraz twarzy Rebeki. Nie była zaszokowana ani zdziwiona. Wyrażała emocje? Z pewnością. Nie był to gniew. Rebecca podała swój kubek mężczyźnie i ruszyła w jej kierunku, tylko kilka stopni.

- Freddie?

Nie mogła tego zrobić. Ruch matki zdopingował ją do działania. Potrząsnęła głową w beużytecznym zaprzeczeniu i wycofała się, najpierw szła, później skręciła i biegła. Wiedziała tylko, że chce biec. Nie pamiętała, żeby biegła tak szybko, odkąd była dzieckiem. Pędziła z powrotem w dół wzgórza.

Nie zatrzymała się, dopóki nie dobiegła do kawiarni, którą minęła kilka minut wcześniej, znów czerpała pocieszenie płynące od anonimowego tłumu.

Siedziała na ławce przed kawiarnią z filiżanką gorącej czekolady w ręku i czuła się głupio. Co za przedstawienie. Matthew przyjechał aż z Ealing, żeby być świadkiem tej porażki, na litość boską. Dlaczego ta kobieta tak bardzo fascynowała ją i przerażała? Zupełnie nie czuła się sobą i to ją najbardziej denerwowało. Freddie nie spodziewała się, że tak zareaguje. Była silna i radziła sobie w różnych sytuacjach: umiała kontrolować emocje i nic nie powinno wprawić jej w ten stan, a już na pewno nie matka, której nie widziała ani za którą nie tęskniła ponad trzydzieści lat. Fatalnie się z tym wszystkim czuła.

Rebecca patrzyła, jak odchodzi.

- Co mam zrobić?

Mężczyzna, który był jej najlepszym przyjacielem od piętnastu z górą lat, miał beznadziejnie zatroskaną minę.



Rebecca wzięła od niego swój kubek kawy i poszła w kierunku ławki, na której mieli zamiar usiąść.

- Chodź tu i usiądź przy mnie.

Zostali przyjaciółmi, ponieważ oboje ponieśli porażkę. Rebecca Valentine, nieudana żona i matka, przybyła do Provincetown pod koniec długotrwałej próby ucieczki od siebie samej. Pięć lat później Cosmo Richardson Trzeci, nieudany mąż i ojciec, znalazł ją. Serwowała drinki w barze. On je kupował.

Nie było jeszcze popytu na jej obrazy ani nawet nie znała żadnego pełnego współczucia właściciela galerii. Wynajmowała parę pokoi, w jednym urządziła kuchnio-sypialnio-salon, a w drugim małe studio. Pracowała przez pięć nocy w tygodniu, żeby opłacić rachunki.

Cosmo uciekł tak daleko, jak tylko mógł sobie na to pozwolić niezbyt żądny przygód Amerykanin bez paszportu: przyjechał z Sacramento w Kalifornii. Zostawił za sobą pogardliwą żonę i dwóch synów. Przysięgła, że więcej nie zostawi ich z nim sam na sam. Wychowanie w Oregonie utwierdziło ją w przekonaniu, że homoseksualizm równa się zbrodni. Sam też czuł się jak zbrodnia: działo się to niedługo po odkryciu AIDS. Był prawnikiem, również mężem i ojcem.

Rebecca roześmiała się, kiedy powiedział jej, że jest prawnikiem.

- To jakieś przekleństwo - zawołała. - Proszę, tylko nie prawnik - dodała. - Prawnicy przynoszą tylko pieniądze, kłopoty i nieszczęście.

Już nie był prawnikiem, wiedział też, że nie jest zbrodnią.

Kelnerka i zbrodnia rozmawiali tej pierwszej nocy parę godzin. Zabrała go do swojego pokoju i pozwoliła, żeby spał na sofie, wcześniej tuliła, kiedy płakał. Z czasem ona została malarką, on pisarzem, co wydawało się o wiele łatwiejsze, niż było w rzeczywistości. Przeżyli kilka chudych lat i długo imali się różnych prac, dopóki nie mogli zarabiać na życie, robiąc to, co kochają. Nie byli bogaci, ale ludzie powiedzieliby, że żyją wygodnie. Oni nazywali to bezpieczeństwem. Na spółkę kupili dom, w którym mieszkali. Nabyli go po dobrej cenie, ponieważ był strasznie zniszczony, i doprowadzenie go do obecnego stanu zajęło im kilka lat. Byli z tego powodu ogromnie dumni.

On zajmował lewą część frontu. Znajdował się tam salon, duża kuchnia i dwie sypialnie, każda z oddzielną łazienką. Urządził je w swoim stylu z mnóstwem złota i szkła od Tiffany'ego, które kupował, gdzie się dało. Tylne części z wspaniałym widokiem oczywiście należała do niej. Padające tam światło było podarunkiem od losu. Miała bajeczne studio oraz inne pomieszczenia, chociaż Cosmo podejrzewał, że sypiała na ogromnym łóżku w studiu częściej, niż się do tego przyznawała. Nazywał te okresy „artystycznymi świrami”, a popadała w nie dość regularnie. Wynajmowali część domu po prawej stronie, czasem na lato, czasem na rok, nawet na tydzień. Jeśli lokator był spokojny i tolerancyjny, nie przeszkadzało im to. I zwykle tacy byli: osoby nietolerancyjne nie tolerowałyby zbyt długo Provincetown.

Oboje mieli szczęście, poradzili sobie. Obrazy Rebeki nieźle się sprzedawały na całym Cape i w kilku modnych miejscach w Bostonie. Czasami przyjmowała zamówienia, ale zwykle malowała to, co chciała, i ludzie to kupowali.

Cosmo pisał książki dla dzieci. Był twórcą - nadal lubił, kiedy tak o nim mówiono - Chunky Perkinsa, kieszonkowej gwiazdy muzyki pop, trochę ściągniętego z *Inch High, Private Eye*. Chunky miał dziewięć centymetrów wzrostu, mieszkał w kieszeniach kurtek różnych nieszczęsnych postaci i miał uroczy albo irytujący zwyczaj wyskakiwania z kieszeni i śpiewania w najmniej odpowiednich chwilach. Przypominał trochę Toma Jonesa albo Elvisa, zanim lata spożywania hamburgerów i batonów wycisnęły swoje piętno. Z fatalną fryzurą i dobrym sercem znał piosenki na każdą okazję. Cosmo posiadał encyklopedyczną znajomość muzyki pop. Znał pierwsze linijki prawie każdej piosenki, jaka pojawiła się w notowaniach „Billboardu”, i miał olbrzymią kolekcję płyt analogowych. Ilustracje do Chunky'ego robił były kochanek, Alexander Webster, którego poczucie urażonej dumy, kiedy Cosmo z nim zerwał, nie było aż tak silne, żeby odrzucić coraz bardziej lukratywne propozycje wydawcy. Związał się z dobrze prosperującą oficyną wydawniczą z Beacon Hill, ale ostatnio rzadko się tam pojawiał, zapisywał wszystko na dyskietce. Jego agent negocjował umowę z Nickleodeonem i wielka kariera Chunky'ego wydawała się nieunikniona. Cosmo przelewał prawie połowę swoich dochodów na konta synów, o których nic nie wiedzieli. Miały im pomóc w wyborze college'u. Nie widział ich od ośmiu lat, odkąd żona ponownie wyszła za mąż za prostaka, ale nadal przysyłał im kartki świąteczne i prezenty. Prowadził też dziennik w oprawionym w skórę albumie, gdyby jego żona nie przekazywała przesyłek. Wierzył, albo chciał wierzyć, że kiedy skończą dwadzieścia jeden lat, odszukają go, i sądził, że album przyda mu się, żeby udowodnić, że zawsze ich kochał. To była jedyna rzecz, którą zabrałby ze sobą, gdyby wybuchł pożar. I zdjęcie Diany Ross z autografem.

Jeśli Rebecca miała jakieś zdjęcia Freddie, nie wystawiała ich na pokaz.

Nie widział ani jednego. I nie mówiła bez przerwy - tak jak on o chłopcach - o nadziejach związanych ze spotkaniem z córką. Twierdziła, że nie ma do tego prawa. Podjęła decyzję, odchodząc od Freddie, i musi się jej trzymać. Nie kupił tego.

Nie było dnia, żeby nie myślał o synach i nie żałował, że są tak daleko. Nawet jeśli podjął słuszną decyzję i cieszył się swoim obecnym życiem, żal, poczucie winy i tęsknota nigdy go nie opuściły. Z Rebeccą było tak samo. Siedząc przy niej i popijając kawę, wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, jakie uczucia nią targały.

Żadne z nich nie powinno mieć dzieci, ale obwinianie się było bez sensu. Miał dzieci, ponieważ dorastał w czasie i miejscu, gdzie tego od niego oczekiwano. Poświęcił całą energię, żeby zdusić głosy szepczące w głowie. Córka Rebeki była częścią ucieczki, tak się jej przynajmniej wydawało.

Obecnie wszystkim pokierowałiby inaczej.

Will miał prawie osiemnaście lat, Tom był tylko szesnaście miesięcy młodszy. Freddie dwukrotnie starsza. Był przy Rebecce, kiedy dowiedziała się, że córka skończyła studia, wyszła za mąż, urodziła dziecko. Akceptował to, bo ją kochał, ale zupełnie nie rozumiał. Ani razu nie spróbowała zmniejszyć dzielącego je dystansu: żadnego listu, telefonu ani odwiedzin. Dlatego osłupiał, kiedy obwieściła mu, że wybiera się na pogrzeb byłego męża. Może kiedy Freddie mieszkała w Anglii, łatwiej było trzymać się z daleka. Ale kiedy znajdowała się pięćdziesiąt kilometrów stąd - tylko godzinę jazdy? To było zbyt wiele.

Chciał z nią pojechać, ale nie zgodziła się. Czasami bywała cholernie niezależna. Wróciła tej samej nocy i poszła prosto do swoich apartamentów. Mieli niepisaną umowę, że zamknięte drzwi oznaczają chęć izolacji, i uszanował jej życzenie. Chociaż przez cały wieczór miał nadzieję, że usłyszy pukanie.

Nie chciała o tym rozmawiać. Mniej więcej tydzień temu wystroiła się i wyjechała na kilka godzin. Zastanawiał się, czy pojechała spotkać się z Freddie, i znów czekał.

Teraz Freddie przyjechała do nich. Poczuł dziwną mieszaninę satysfakcji i zazdrości. Ach, zobaczyć, jak chłopcy idą ulicą, szukają go... co to byłoby za widok. Cosmo nigdy nie zastanawiał się, co mogliby mu powiedzieć. W jego marzeniach zawsze go rozumieli.

Wyglądała zupełnie jak Rebecca, kiedy ją poznał. Zmieniła się moda, nosiły inne fryzury... ale w gruncie rzeczy była to ta sama kobieta. Przeważyla opiekuńcza część jego natury i miał zamiar nakłonić Rebeccę do rozmowy.

Westchnęła.

- Chyba była ciekawa, jak ja.

- Dlaczego z tobą nie porozmawiała? Przyjechała aż tutaj.

- Wróci. Nie miałam tyle odwagi, żeby zacząć rozmowę, kiedy pojechałam na pogrzeb. Dopiero co się o mnie dowiedziała. Potrzebuje czasu.

- A co jej powiesz, jeśli wróci?

- Chyba powiem wszystko, o co spyta.

- I?

Długo nie odpowiadała.

- Reszta zależy od niej.

Była gotowa odpowiedzieć na wszystko, co Freddie mogła jej zarzucić. Na pewno będzie zła, ale na ile też ciekawa? Rebecca przez lata zadrezczała się pytaniem, czy to, co zrobiła, było wybacalne, biorąc pod uwagę okoliczności.

Nie uważała się za matkę, ale były wszędzie wokół niej. W społeczeństwie dominował taki wizerunek kobiety. Sztuki teatralne, telewizja, filmy, gdziekolwiek spojrzę, dawano ci lekcję, jak do-

brze spełnić tę rolę lub wszystko zepsuć. Jeśli ci się nie udało, świat osądził cię na zawsze. Kobieta nie mogła chyba popełnić większej zbrodni, niż być złą matką, a ona z pewnością była najgorszą.

Zastanawiała się też nad innymi scenariuszami. Mogła zostać. Albo zabrać Freddie ze sobą; próbowała wyobrazić sobie swoje życie, gdyby zaopiekowała się Freddie. Wyobrażała sobie, że została. Ale ani w jednym, ani w drugim przypadku nie dotarłaby z pewnością do miejsca, w którym teraz była.

Zapłaciła wysoką cenę za swoje szczęście, ale nie była przekonana, że mogłaby je poświęcić. Rana miała już trzydzieści lat i zdążyła się zabić. Mijały tygodnie i miesiące bez pograżania się w rozpacz.

Umarł i cała jej nienawiść i odraza ulotniły się. Wszystko złe, co sobie zrobili, przypominało warstwy cebuli. Ona skrzywdziła Freddie, on skrzywdził ją, jego też ktoś skrzywdził. Byli zarówno ofiarami, jak oprawcami. Oprócz Freddie. Nie prosiła o to.

Minęły lata i Rebecca była gotowa.

Patrzyła na drogę, którą uciekła córka, i miała nadzieję, że wkrótce wróci.

Matthew czekał na nią w kawiarni u stóp wzgórza.

- Cieszę się, że już wróciłaś. Jestem przekonany, że ten facet mnie podrywał...

Freddie odwróciła głowę i Matthew szarpnął ją za ramię.

- Nie odwracaj się!

- Dlaczego wszyscy zwykli faceci sądzą, że się podobają gejom? Nie wydaje ci się, że heteroseksualność wychodzi z ciebie wszystkimi porami?

- Tak myślisz?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Nie było to całkowicie zgodne z prawdą, ale nie miała zamiaru mu o tym mówić. Wystarczy, że był przekonany, iż każdy gej w promieniu stu metrów miał na niego ochotę, nie musiał wiedzieć, że ona też.

Napił się piwa.

- Wygląda nieźle, zamówisz mi jedno?

- Pewnie. - Skinął na kelnerkę i złożył zamówienie, później spojrzał na Freddie i przechylił się przez stół.

- Dobrze. Mów.

- Nie ma o czym mówić.

- Widziałaś ją?

- Tak.

- I...

- Jest do mnie podobna.

- Nigdy nie byłaś podobna do ojca, więc mogłaś się tego domyślać.

- Pewnie tak.

- Poznała cię?

- Tak mi się wydaje.

- W porządku. - Matthew wyglądał jak dziecko, które chce usłyszeć opowieść, zaciekawiony, pełen entuzjazmu. Widziała, że mu zależy, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie można siedzieć w kawiarni i rozmawiać o tak skomplikowanych sprawach przy piwie. Jak ma opisać, co czuje do tej kobiety?

Położyła rękę na dłoni Matthew.

- Słuchaj, Matt... potrzebuję trochę czasu, żeby sobie to wszystko ułożyć, zanim będę mogła o tym mówić pełnymi zdaniami. To mnie przerasta, wiesz? - Uśmiechnął się. Żeby tylko go nie odprawiła. Nie zrobiła tego.

Wypili jeszcze kilka piw i obserwowali dziwny świat, który ich otaczał. Zakochane pary, objęte wpeł, w większości homoseksualne. I autokary wycieczkowe pełne emerytów z New Jersey z torebkami miejscowych krówek, do których podobno dodawano morskiej wody.

Siedzieli na patio w pobliżu grzejnika, dopóki nie zmarzły im ręce i stopy. Później poszli pod rękę główną ulicą do miejsca, w którym zaparkowali samochód.

Nikt inny by jej na to nie pozwolił. Reagan i Tamsin kazałyby jej mówić. Adrian nie uszanowałby jej potrzeby ciszy i spokoju.

Matthew zrobiłby wszystko, żeby ją zadowolić. Nagle ogarnęło ją niesłychane poczucie wdzięczności: tak ją wzruszył, i był jej taki bliski.

Minęli ostatni sklep, kiedy zrobiło się ciemno. Ścieżka po prawej stronie prowadziła pomiędzy trawiastymi wydrami na plażę.

- Chodźmy tam. - Światło latarni morskiej przedzierało się przez zmrok.

- Nie jest ci zimno?

- Nie. - Było bezwietrznie. Z dala od zgiełku panowała niemal zupełna cisza. Tylko ocean szemrał na brzegu kilka metrów dalej.

Pocałowała go i czuła jego strach i niepewność.

- Matt? - Trzymała jego twarz w dłoniach. - Matt, w porządku. - Nawet w szarym zmierzchu widziała jego oczy wpatrujące się w nią pytająco.

- Chcesz tego?

Tak. Jeszcze raz przyciągnęła ku sobie jego twarz i wyszeptała:

- Tak, proszę.

Też ją pocałował. Dziwnie się czuła, całowana przez kogoś innego niż Adrian, pierwszy raz od ponad dwunastu lat. Było inaczej niż w Bostonie, kiedy powstrzymała się, zanim zaczęła. Wszystko było nowe. Jego reakcje, smak, zapach, jego usta na jej wargach. Chciała więcej. Odpięła mu płaszcz i

wsunęła ręce pod sweter. Włożyła koszulkę do spodni i szarpała ją tak długo, aż poczuła brzuch pokryty miękkim owłosieniem, głaskała go wyżej, dotykając twardych sutków, i przesunęła ręce na plecy, muskając palcami gładkie ramiona. Był ciepły i sprężysty. Odepchnął ją lekko, żeby też jej dotknąć. Zamarli w chwili, kiedy objął jej pierś pod biustonoszem. Intymność wytyczyła przekroczenie granicy. Żadne z nich nie potrafiło się zatrzymać. Mogli to jeszcze przemyśleć, kiedy rozłożył płaszcz na piasku i kiedy ściągali buty i spodnie. I kiedy śmiali się z siebie w samych skarpetkach. Nadal nie chcieli przestać, położyli się razem, odwiązała szal i przykryła ich. Mieli otwarte oczy i obserwowała go oszołomionego i zachwyconego. Wszedł w nią i delikatnie poruszał się w środku. To też było inne.

Od tygodni się nie kochała, długo, jak na nią, i było jej tak dobrze. Adrian dokładnie wiedział, czego chciała, jakby śledził instrukcję. Często zdarzało się, że doznawała fizycznej przyjemności, zanim zdążyła się mentalnie zaangażować w kochanie z nim. To było inne: każde doznanie spotęgowane, nowe. Zdała sobie sprawę, że Matthew nie robił tego przez lata. Drżał cały.

Wyszeptał jej imię, tylko raz, trzymając usta przy jej karku, czuła ciepło jego oddechu na chłodnej skórze. Przytuliła go mocniej.

Skończył o wiele za wcześnie, ale nie przeszkadzało jej to. Nie była z nim aż tak blisko, żeby ją to martwiło, i nie o to chodziło. Seks z Adrianem to był najlepszy aspekt ich małżeństwa, niezmienny, pozwalający im uporządkować inne sprawy i byli świetni, oboje. Freddie znała kobiety, które prawie w ogóle przestały uprawiać seks: przyjaciółka, której mąż zmienił się, odkąd widział poród ich dziecka; inna nigdy nie mówiła nie, ale układała w myślach listy zakupów, kiedy jej mąż dyszał nad nią, kobieta, która nie zainicjowała zbliżenia od dwóch lat. Freddie przyznała się kiedyś na pijackim wieczorze z koleżankami, że robią to z Adrianem trzy albo cztery razy w tygodniu; spojrzały na nią z niedowierzaniem, czując zazdrość i nie do końca jej ufając. Ich reakcja utwierdziła ją, że wszystko inne też było w porządku.

Teraz, z Matthew na mokrej plaży w półmroku, czuła się zupełnie inaczej. Zabrało jej trochę czasu, zanim uświadomiła sobie, że czuje się kochana.

Odzyskał oddech, odsunął się od niej i spojrzał w oczy.

- Przepraszam. Uśmiechnęła się.

- Nie musisz.

- Chcesz...? - Nie mógł skończyć zdania. Słowa były trudniejsze niż czyny.

Uratowała go.

- Ubrać się, zanim odmrozę sobie tyłek, tak!

Naprawdę było cholernie zimno. Matthew wstał i poczuła chłód. Ubrali się szybko, nic nie mówiąc, i kiedy skończyli, zapiął kurtkę Freddie, wyprostował jej kapelusz i pocałował w czoło. Objęła go i stali bez ruchu przez jakiś czas. Wypuścił ją z objęć i pociągnął w kierunku ulicy.

W samochodzie milczeli przez chwilę. Ciepłe powietrze wiało im w twarz. Matthew odezwał się:

- Nie wyobrażałem sobie, że nasz pierwszy raz będzie tak wyglądał.

- Ja w ogóle nie wyobrażałam sobie naszego pierwszego razu. A ty?

Spowaźniał, odpowiedział, patrząc na rękę.

- Setki razy, Freddie.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Słuchaj, musiałaś sobie zdawać z tego sprawę po Bostonie...?

Oczywiście, że tak, ale nie pozwoliła sobie na zastanawianie się nad tym, nie miała do tego głowy.

- Byliśmy pijani...

- Nie mów tak. - Jego głos nagle stał się ochrypliwy. - Nie byłem pijany. Wypiłem tyle wina, żeby nabrać odwagi, to wszystko. Wystarczająco, żeby zapomnieć o jednym: od miesiąca udawałem, że nic do ciebie nie czuję. Próbowałem cię chronić, chciałem być w porządku wobec Adriana, Sary i wszystkich innych. Próbowałem wepchnąć cię do szufladki z napisem „najlepsza przyjaciółka”, bo wszystko inne było takie dziwne. Bałem się, że cię stracę, jak będę nalegał. Powtarzałem sobie, że powinienem poczekać, aż sama do mnie przyjdiesz. Nie przysłałaś. Wiesz, co przeważało szalę? - Nie czekał na odpowiedź. Akcentował każde słowo. - Zdałem sobie sprawę, że muszę zaryzykować. Nie mogłem znieść, że byłem tak blisko ciebie i nie spróbowałem. Już nie. Więc nie mów mi, że to, co zdarzyło się w Bostonie, było wynikiem pijaństwa. Próbowałem i przegrałem. Nie spojrziałaś na mnie inaczej.

Freddie wyprostowała się, żeby spojrzeć mu w oczy. Nie patrzył na nią, więc dotknęła ręką jego twarzy i obróciła w swoją stronę.

- Chyba właśnie to zrobiłam.

Na jego twarzy malowała się duma.

- Tak myślisz?

Freddie zamknęła oczy z rozpacz.

- Teraz mogę tylko myśleć, Matt. Nawet już nie wiem, kim jestem. Wszystko, czego byłem w życiu pewna, zmieniło się. Ojciec, matka, Adrian, a teraz ty.

- Nigdy nie chciałem skomplikować ci życia.

- Wiem, że nie chciałeś. Nie zrobiłeś tego. - Przyciągnęła go do siebie. - Nie. Musisz tylko dać mi trochę czasu. Możesz to zrobić?

- Mam mnóstwo czasu.

- I nie rezygnuj ze mnie. Proszę. Uśmiechnął się smutno.

- Nigdy.

- Dziękuję. Przytulili się mocno.

- Kocham cię, Freddie.

- Wiem. - Zawsze wiedziała. Tylko jego miłość się zmieniła, a ona tego nie zauważyła. I nie wiedziała, czy z nią było tak samo. To wszystko stało się tak szybko.

To co zdarzyło się na plaży, było dobre. Miłe i podniecające, ciepłe i w porządku. W samochodzie też nie czuła się niezręcznie, mimo wszystkich rewelacji i intymności unoszącej się w powietrzu. Jednego była pewna, nie chciała, żeby ją opuścił.

- Jedźmy już. Reagan wysłała po nas zwiadowców - przynaglała Freddie.

- Tak.

Matthew chciał porozmawiać z nią o Sarze. Powiedzieć jej, że Sara nie miałaby nic przeciwko temu. Nie pomyślał o niej ani razu, tam na piasku, kiedy się kochali. Ale skoro Sara nie było z nimi tam, nie powinno jej też być w samochodzie. Bał się, w tej chwili czuł, że ją ma, Freddie pozwalała mu się kochać, i nie chciał w żaden sposób naruszyć tej delikatnej równowagi. Jego serce rosło, prowadził samochód, a ona trzymała rękę na jego dłoni, kiedy zmieniał biegi. Pocałował ją, ona też go pocałowała. Dotykał jej, kochał się z nią. Prawie nie mógł w to uwierzyć. Wolałby ją widzieć, kiedy się dotykali, mieć więcej czasu, zrobić to wolniej, lepiej. Ale mają na to całą wieczność. Chciał w to wierzyć. Pod warunkiem że teraz tego nie schrzani. Musi trzymać swoje potrzeby i żądze na wodzy, żeby jej nie przydusić. Wiedział, że potrafi to zrobić. Musi.

- Głodna? - spytał Matthew, kiedy mijali tablicę z napisem Chatham czterdzieści minut później.

Nie czuła głodu, dopóki o tym nie wspomniał. Ale teraz miała wilczy apetyt.

- Boże, tak.

- Może pójde do sklepu i kupię kurczaka z rusztu? Nagle zatęskniłem do indyjskich knajpek! Chyba że Reagan harowała całe popołudnie przy gorącym piecu?

- Nie wydaje mi się. Kurczak to świetny pomysł. Dzięki, Matt.

Zastanawiała się przez chwilę, czy chciał dać jej trochę przestrzeni, ale przecież sam też nic nie jadł od rana.

A doświadczenie nauczyło ich, żeby nie spodziewać się wiele po Reagan w sprawach kuchni.

Wypuścił ją z samochodu i zawrócił.

Stojąc na ganku, Freddie zastanawiała się, jak wygląda. Czy miała czerwone usta i rozpalone policzki? Czy zaszła w niej bardziej subtelna zmiana? Czuła wilgoć Matta między nogami. Nie było czasu na myślenie o antykoncepcji, ale ciągle brała tabletki, było to dla niej tak naturalne jak mycie zębów. Czy powinien ją spytać? Pewnie tak... ale to nie był odpowiedni moment. Zdawała sobie sprawę, że mówi jak jedna z tych głupiotkich dziewczyn w telewizji, ale nie obchodziło ją to. Uśmiechnęła się na myśl o ich beztroście.



Wchodząc do domu, ciągle się uśmiechała. Reagan siedziała skulona na sofie przed kominkiem, otwarta książka leżała obok niej. Wpatrywała się w ogień, obejmując rękoma kolana. Podskoczyła, kiedy Freddie weszła do środka.

- Jak się masz? - spytała.

- Świetnie. A ty?

- W porządku. Czułam się trochę osamotniona, cieszę się, że już wróciłaś. - Patrzyła wyczekująco na drzwi ponad ramieniem Freddie. - Gdzie jest Matt?

Freddie zarumieniła się. Na litość boską!

- Poszedł kupić coś na kolację.

Reagan wpatrywała się w nią intensywnie i Freddie miała ochotę ukryć twarz. Nie chciała jeszcze o tym rozmawiać. Zająła się zdejmowaniem płaszcza i kapelusza. Powiesiła je na kołkach za drzwiami.

- Napiłabym się czegoś. Jest tu jakieś otwarte wino? Ale Reagan nie dała się odwieść od tematu.

- Co się stało?

- Co masz na myśli? - Freddie było stać tylko na tyle. - Moją matkę? - spytała, chociaż doskonale wiedziała, o czym mówiła Reagan. To był problem ze starymi przyjaciółmi: nie dało się ich oszukać.

- Matta.

Reagan tak szybko się zorientowała.

- Nic. - Zbyt szybko, zbyt wymijająco, żeby ją wykiwać.

- Nie wierzę ci.

- Słuchaj, Reagan, daj temu spokój, dobrze? Pocałowaliśmy się, to wszystko. - Nie wiedziała, dlaczego kłamie. Wstydziła się? - Chwila słabości. Nic wielkiego. Nic nie mów, dobrze? Jestem pewna, że on nie chce o tym rozmawiać, i ja też nie za bardzo.

Twarz Reagan zachmurzyła się, zmrużyła z wściekłości oczy. Freddie była zdenerwowana i trochę przestraszona.

- A co z Sarą?

To było uderzenie poniżej pasa. Po raz pierwszy wspomniano imię Sary od...

- Co z nią? To nie w porządku, Reagan. Pocałowaliśmy się tylko, to wszystko - powtórzyła, ale Reagan chyba jej nie uwierzyła.

Wieczór był bardzo napięty. Reagan skubała jedzenie, które przyniósł Matthew, wypaliła tyle papierosów, że w pokoju powstał zaduch, i wypila kilka sporych kieliszków wina.

Matthew był urażony jej obecnością, chciał mieć Freddie tylko dla siebie. Miał ochotę porozmawiać o tym, co się stało. Albo nie rozmawiać. W drodze powrotnej z Provincetown był zadowolony, ulżyło mu. W Chatham, kiedy szedł do sklepu, ogarnęła go fala zachwytu i machnął pięścią w powie-

trzu w poczuciu cichego triumfu. Teraz coraz bardziej się denerwował. Czuł się taki niepewny w nowej relacji z Freddie, a Reagan była nieproszonym gościem.

Ale chociaż nie miała ochoty rozmawiać, nie spieszyła się z położeniem do łóżka. Było już po pierwszej, kiedy wszyscy poszli na górę.

Matthew podchwycił nagłące spojrzenie Freddie na półpiętrze i poszedł do gościnnej sypialni.

Dziesięć minut później Freddie zapukała i weszła. Nadal siedział na brzegu łóżka, kompletnie ubrany. Walczył z chęcią, żeby przejść na palcach przez korytarz i zapukać do jej drzwi. Poczł ucisk w żołądku z ulgi i podniecenia. Zamknęła drzwi i oparła się o nie z jedną ręką na klamce. Wyszeptała:

- Czy dziś wieczorem burza wisiała w powietrzu, czy tylko mi się tak wydawało?

- Nie tylko tobie. Tam na dole wiało chłodem jak na Syberii.

- Co się z nią dzieje?

- Czy pytała cię, co dziś zaszło, zanim wróciłem ze sklepu?

- Powiedziała jej, że się pocałowaliśmy. Przytaknął.

- Jest zazdrosna.

- To Glenn Close w *Fatalnym zauroczeniu*. - Roześmiał się, ale nawet on wyczuł zdenerwowanie.

- Może powinnam z nią porozmawiać? - zastanawiała się Freddie.

Może wskoczysz do mojego łóżka i zostaniesz tu całą noc, właśnie to chciał powiedzieć. Mocno ugryzł się w język.

- Nie zawracałbym sobie dziś nią głowy. Niech się z tym prześpi. Do rana jej przejdzie. Wiesz, jaka jest humorzasta.

Usłyszeli, że ktoś otworzył drzwi na górze. Później kroki ze schodów minęły drzwi Matthew i zeszły do kuchni.

Zaczęli chichotać. Freddie zatkała sobie usta rękawem swetra.

Uwielbiał czuć się z nią jak spiskowiec i w ogóle nie interesowała go Reagan. Chciał tylko, żeby Freddie została z nim.

- Zejdę na dół i porozmawiam z nią.

- Przyjdiesz później?

- Nie będziesz spał?

- Jeśli przyjdiesz.

Chciała tego. Chciała, żeby ją przytulił. Nagle zapragnęła, żeby ich nagie ciała dotykały się pod białą kołdrą, tulić go w czasie snu.

- Wrócę tu.

Posłał jej całusa i wyszła z pokoju z uśmiechem.

Reagan siedziała na kuchennym stole i paliła papierosa. Nie włączyła światła, sączyło się z przedpokoju. Lśniły elektryczne cyfry na piecyku i kuchence mikrofalowej.

Freddie weszła i Reagan podała jej paczkę papierosów.

- Nie, dzięki.

- Nie lubi, kiedy palisz?

Freddie starała się zachować lekki ton.

- Nie lubię amerykańskich papierosów. Są zbyt mentolowe.

- Wiem o was. Nie musicie się skradać na półpiętrze jak para nastolatków.

Freddie wyczuła wymówkę w jej głosie, co ją doprowadziło do szału.

- Nie skradałam się.

Reagan odrzuciła jej sprzeciw machnięciem ręki.

- Nieważne. Chodzi mi o to, że o was wiem.

Pociągnęła whisky ze szklanki, którą Freddie dopiero teraz zauważyła.

- Ale czy ty wiesz o mnie i o Matcie?

- Jest coś między tobą i Mattem?

- Domyślałam się, że nie wiesz.

- O czym mówisz, ty i Matt?

- Byliśmy razem. Oczywiście, jakiś czas temu. Ty jesteś atrakcją miesiąca.

Freddie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Zastanawiałam się, czy to jakiś zwariowany zakład, że będzie miał nas wszystkie. Klub Tenko. Ciebie, mnie, Sarę i Tamsin. Nie dziwię mu się, że zostawił Tamsin na koniec.

To było podłe - tyle Freddie rozumiała. Tylko tyle.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Zastanów się. Na początku była Sara. Długo się z nią zabawiał, a później rzucił. W zasadzie to ja byłam pierwsza, a później była Sara, potem znów ja. Teraz ty.

Freddie coraz bardziej się denerwowała. Była zbyt zmęczona na zagadki.

- Słuchaj, Reagan, nie wiem, do czego zmierzasz, ale jestem wykończona. Coś cię gryzie od tygodni. Może przestaniesz gadać bzdury i powiesz, o co ci chodzi? Oczyszczymy atmosferę i będę mogła pójść do łóżka.

Reagan roześmiała się pustym, napiętym śmiechem.

- Przepraszam, że nie pozwalałam ci pójść do twojego łóżka, a raczej do jego łóżka. Powinnaś wiedzieć, że mężczyzna, z którym masz zamiar się przespać, pewnie już się przespałaś, robił to z twoimi dwiema najlepszymi przyjaciółkami.

- Kiedy?

- Z Sarą...

- Nie z Sarą. Pytam o ciebie.

- W nocy przed jego ślubem. A później tuż po śmierci Sary.

- Co? - Freddie było niedobrze.

- Słyszałaś. Pewnie zaprzeczy albo będzie próbował się tłumaczyć. Wiesz, romans w ostatniej chwili przed ślubem, potrzeba pocieszenia po pogrzebie. Może ceremonie religijne tak go nastrajają. Nigdy z nim nie spałam po chrzcinach, a Bóg wie, że było kilka okazji, ale nigdy nie mów nigdy.

Freddie nie poznawała takiej Reagan. Humorzysta, owszem. Czasami wojownicza. Ale to była czysta wrogość, którą sączyła jak truciznę do tego pokoju, domu, dnia. Freddie była zszokowana, nie mogła w to uwierzyć, niemal się bała. Jak do tego doszło?

Nie wiedziała, czy jej wierzyć. Instynkt podpowiadał jej, żeby nie wierzyła, ale dlaczego Reagan miałaby kłamać? Może nie tyle dlaczego, ale czy była do tego zdolna? A jej rewelacje brzmiały prawdopodobnie. Reagan różniła się od Sary pod każdym względem. Była kanciasta, a Sara miękka, zgryźliwa, a Sara uprzejma, wampowata i seksowna, a Sara skromna.

Przypomniała sobie, jak na niej leżał dziś po południu. Jak dobrze się z tym czuła. Nie chciała tego słuchać. Ale Reagan ciągle mówiła:

- Bóg wie, że nie był zainteresowany czymś trwałym między nami. Zawsze tylko Sara. Z tobą też nie będzie chciał tego ciągnąć. Ale pewnie wrócisz do Adriana, co? - parsknęła. - Możesz to nazwać wakacyjnym romanssem.

Freddie tylko wpatrywała się w nią w ciemności.

- Nie gniewaj się na mnie, Freddie. - Reagan opróżniła szklanekę. - Chciałam tylko, żebyś знаła prawdę. Prawda wyzwala, chyba tak się to mówi. - Wstała. Prawie się zataczała. Musiała szybko wypić mnóstwo whisky. - Wracaj do swojego wakacyjnego pieprzenia na Cape Cod. Nie będę cię niepokoić.

Freddie również wstała.

- Ale mnie niepokoisz, Reagan. Nie wiem, czemu to robisz.

Reagan nie odpowiedziała, a Freddie ogarnęła nieodparta chęć, żeby się jej pozbyć.

- Nie chcę cię dłużej widzieć w moim domu. - Nie wierzyła, że to powiedziała. Brak odpowiedzi sprowokował ją tylko. Wykrzyknęła sfrustrowana: - Najlepiej jak jutro wyjedziesz.

Ale Reagan szła na górę. Freddie podążyła za nią.

- Słyszysz mnie? Reagan machnęła ręką.

- Słyszałam. - I zatrzęsnęła drzwiami.

Freddie zerknęła na drzwi do pokoju Matthew. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Poszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi i położyła się na kocu. Paskudne słowa Reagan gnały w jej umyśle. Cała się trzęsła. Taka rozmowa z kimkolwiek byłaby stresująca, ale z Reagan, jedną z najstarszych przyjaciółek...

Matthew słyszał w swoim pokoju, jak Reagan i Freddie chodziły po domu, później odgłosy ucichły. W kuchni były poza jego zasięgiem i nie słyszał ich rozmowy, aż do momentu, kiedy Freddie krzyknęła: Słyszysz mnie? I Reagan trzasnęła drzwiami.

Przez godzinę leżał spięty i rozbudzony, chciał, żeby zmieniła zdanie i przyszła do niego. Nie odważył się pójść do niej: bał się tego, co mógł usłyszeć. Spał niespokojnie, ganiąc się za to, że jest takim tchórzem. Była prawie czwarta, kiedy zdecydował się wyjść. Delikatnie zapukał do jej drzwi.

- Proszę, Matt. Odejdź. - Nie była zła. - Nie mogę teraz z tobą rozmawiać. Spotkamy się rano, proszę.

Tamsin odebrała telefon po drugim dzwonku. Oparła nogi na sofie i trzymała na brzuchu kawałek ciasta orzechowego. Zasunęła zasłony i włączyła telewizor, myślała o drzemce, oczywiście jak zje ciastko. Ale komu potrzebni *Sąsiedzi*, jak się ma Freddie?

Powiedziała jej o wszystkim, niemal szeptem.

- Myślisz, że to może być prawda?

- Oczywiście, że nie. Nie bądź śmieszna. Ale chyba pytasz niewłaściwą osobę. Dlaczego dzwo-  
nisz do mnie, kiedy on jest w pokoju obok?

- Bo się zdenerwowałam. Jestem skołowana.

- Rozumiem, dlaczego się zdenerwowałaś. Zdaję się, że Reagan przeholowała. Ale skołowana?

Opowiedziała Tamsin całą historię: spotkanie z Rebeccą, co się zdarzyło z Matthew na plaży, wybuch Reagan. Tamsin odczuła wszystkie możliwe emocje: współczucie, zachwyt, gniew.

- Nie rozumiem cię, Fred. Powiedziałas, że to było dobre, ty i Matt. Nie wiem, jaki Reagan ma problem, ale naprawdę nie sędzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z wami.

Rozłączyła się i już nie czuła się senna. I tak dziecko kopało ją w środku. W pewnej chwili cała stópka wystawała z prawej strony brzucha. Witaj, maleństwo. Ona też cię wkurza, co? Może Neil miał rację: Freddie sama ustawiała przeszkody na drodze do szczęścia. Poczowała rozdrażnienie, że jej tam nie ma. Była przekonana, że pomogłaby im wszystko wyjaśnić.

Freddie męczył ból głowy. W ogóle nie spała, aż na dworze zaczęło się rozjaśniać. Słyszała, jak Reagan cicho krzątała się na górze, ale nie była w stanie do niej pójść. Około pół do siódmej podje-  
chała taksówka. Freddie stała za zasłoną i obserwowała, jak Reagan wyjeżdża. Fatalnie się czuła. Przez całą tę sytuację. Reagan była jedną z jej najlepszych przyjaciółek prawie dwadzieścia lat. Nie zawsze było łatwo, ale przyjaźń trwała. Tego chyba nie uda się przetrwać.

Włożyła obszerny sweter na koszulę nocną i zeszła do kuchni zrobić kawę. Na stole kuchennym leżała kartka z jej imieniem.

Kochana Freddie,

bardzo przepraszam. Nienawidzę siebie za ostatnią noc. Właściwie, to w ogóle siebie nienawidzę. Przepróż też ode mnie Matta.

Reagan

Matthew zszedł na dół, kiedy ją czytała. Wyglądał okropnie. Nie wróciła do niego, chociaż obiecała. Podała mu kartkę i zaparzyła herbatę.

- Za co przeprasza, oprócz tego, co zwykle? - Starał się mówić lekko.

- Powiedziała mi parę rzeczy.

- Jakich?

- O tobie.

Zamieszał herbatę i czekał.

- Powiedziała, że spaliście ze sobą.

- Kiedy?

Nie patrzyła na niego, więc nie wiedziała, jaką miał minę, ale jego głos był donośny w ciszy poranka. Zamknęła oczy i słowa same z niej wypłynęły.

- W nocy przed twoim ślubem. Po pogrzebie. - Sama się zdziwiła, że to powiedziała.

Matthew wstał, szurając krzesłem po podłodze.

- I uwierzyłaś jej?

Nadal na niego nie patrzyła.

- Freddie? - prawie krzyczał. - Uwierzyłaś jej?

- Nie, oczywiście, że nie. Ani Tamsin.

- Rozmawiałaś o tym z Tamsin? Freddie przytaknęła.

- Kiedy to się stało?

- Zeszłam na dół wczoraj w nocy i ona tam była. Wtedy mi to wszystko powiedziała.

- A Tamsin?

- Zadzwoiłam do niej z sypialni. Był zrozpaczony.

- Dlaczego, do diabła, nie przyszłaś porozmawiać o tym ze mną?

- Tamsin też tak mówi.

- I ma rację, do cholery!

- Przykro mi.

- Przykro ci! Wspaniale. Zajeście, Freddie. Świetnie wiesz, jak spieprzyć sprawę z facetem, prawda? Wczoraj był najlepszy dzień, o którym marzyłem od dawna. Od lat. Ty też to czułaś. Wiem o tym. Później czekałem na ciebie przez wieki, a ty nie przyszłaś, przez coś takiego... - Potrząsnął głową. Freddie zawstydziała się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Matt znów się odezwał, tym razem łagodniej:

- Nie mogę tego udowodnić, ale tylko do twojej wiadomości... nigdy nie spałem z Reagan. Co nie oznacza, że ona nie próbowała. Właściwie to powiedziała ci o tych przypadkach, kiedy próbowała. Nic nie było między nami w Chester, zanim poznałem Sarę, może tylko w jej głowie. Przyszła do mnie w nocy przed ślubem i paskudnie, w żenujący sposób próbowała mnie poderwać. Zrobiła to samo po śmierci Sary, w możliwie najgorszym stylu. Oba przypadki były okropne. W żadnym z nich nie odwzajemniłem jej starań, nie brałem w nich udziału ani nie powiedziałem nic, co mogłoby ją zachęcić lub dać nadzieję. Starłem się, żeby zachowała resztki godności. I starałem się być miły, bo była twoją przyjaciółką. I z tego samego powodu nie powiedziałem o tym żadnej z was. Sara umarła, nie mając o niczym pojęcia.

- Przepraszam, Matt. Gdybyś ją słyszał. Mówiła takie wstrętne rzeczy.

- Mogłaś przyjść i być ze mną.

- Wiem. Wiem. Przepraszam. Sięgnął po jej rękę ponad stołem.

- Co za różnica? Między nami nic się nie zmieniło. Jeśli mi wierzysz. A jeśli nie, to wszystko i tak nie ma sensu.

- Tak, wierzę ci.

- Więc nic się nie zmieniło, prawda? Freddie cofnęła rękę.

- O co chodzi, Freddie?

Usiłowała wytłumaczyć uczucia, których nie rozumiała.

- Nie uwierzyłam jej. Nie wiem, co się z nią dzieje, i w tej chwili nie bardzo mnie to interesuje. Ale sprawy, o których mówiła, tamte czasy, spowodowały, że wszystko nabrało nowego znaczenia. Matthew obserwował jej twarz.

- Jesteś moim przyjacielem, Matt. Jednym z najstarszych. Jesteś dla mnie taki ważny. Byłeś mężem jednej z moich najlepszych przyjaciółek. Miałaś wspaniały ślub... - Przerwała.

- Mieliśmy wspaniały ślub, a później ona umarła. Umarła, Freddie. Wszyscy ją kochaliśmy, ale umarła.

- Ale gdyby tak się nie stało, nadal byś z nią był.

Nie mógł uporać się z tą logiką. Wstał, przeszedł wokół stołu i potrząsnął ją za ramiona.

- Gdyby, gdyby, gdyby. Ale umarła, Freddie. A teraz kocham ciebie. Może niedokładnie to określiłem: to nie było takie proste ani tak szybkie. Bardzo długo rozpaczalem. I przez wieki nie mogłem się pozbierać do kupy. Ale teraz cię kocham. I nie ma w tym nic złego. Jest to tak samo czyste, uczciwe, prawdziwe uczucie, jakie miałem dla niej. Czemu tego nie widzisz?

Nie umiała odpowiedzieć.

Świdrował ją wzrokiem. Wypuścił ją z objęć i znów usiadł.

- To są straszne bzdury, Freddie. To wszystko. Ciągłe szukasz wymówek. Sara. Adrian, Harry, twój ojciec, twoja matka. To zupełnie gówno. Też to czujesz, wiem o tym. Myślisz, że ciągle bym cię adorował jak jakiś frajer, gdybym nie wiedział? Ale nie mogę czekać w nieskończoność. Dobry ze mnie facet, ale nie jestem zupełną ciotą. I jeśli spodziewasz się, że ucieknę jak ostatnim razem, to zapomnij o tym. Musimy to wyjaśnić tu i teraz, Freddie. Jedno z nas musi przestać i stawić temu czoło. Przykro mi, że to nie najlepszy moment, ale nie możesz się tym wiecznie zasłaniać. Nadeszła ta chwila. Mamy tylko jedno życie, Freddie, a oboje bardzo dobrze wiemy, że czas jest cenny.

Reagan wezwała taksówkę, ale nie podała żadnego adresu. Kierowca spytał ją:

- Dokąd? - Nie wiedziała.

- Czy na Cape jest lotnisko?

- Tak, prze pani. Jest jedno w Provincetown, godzina jazdy stąd.

- Proszę mnie tam zawieźć.

- Jest pani pewna?

- Dokąd stamtąd latają?

- Głównie do Bostonu.

- W takim razie jestem pewna.

Lotnisko okazało się pojedynczym budynkiem. Stało tam biurko bez przenośników taśmowych ani widocznych komputerów, tylko kilkoro beżowo ubranych urzędników i filia Hertza, przed którą sennie siedział ogromny bernardyn.

Aż do późnego popołudnia nie było żadnych lotów, a pierwszy planowany lot zostanie potwierdzony dopiero w porze lunchu - dostali ostrzeżenie co do pogody. Wczorajsze słońce ustąpiło miejsca szarej, deszczowej mgle.

Nie było przechowalni bagażu.

Taksówka już odjechała, kiedy Reagan wyszła z budynku. Pewnie nie zajechała daleko. Kierowca próbował zagaić kilka razy, ale była opryskliwa. Nie miała głowy do pogaduszek.

Zdała sobie sprawę, że jest głodna. Wczoraj prawie nie tknęła kolacji i rano też nic nie zjadła. Jeden z beżowych kostiumów pojawił się koło niej.

- Wezwać pani taksówkę?

- Dokąd?

- Jeśli czeka pani na lot do Logan dziś po południu, to najlepiej pani zrobi, jadąc do Provincetown. To tylko sześć kilometrów stąd i z powodzeniem można tam spędzić dzień.

Uśmiechnęła się blado i przytaknęła. Kierowca taksówki, kobieta, która przyjechała dwadzieścia minut później, była równie szeroka jak wysoka, jej ciało składało się z wałków: piersi, brzucha, bioder wciśniętych w męską koszulkę i dżinsy. Miała krótką, wojskową fryzurę, obrączki na obu kciukach.



kach i tatuaże na nadgarstkach, ale jej głos był zaskakująco łagodny. Nie miała miejscowego akcentu, mówiła twardo, zjadając końcówki. Brzmiało to bardziej jak akcent z głębokiego Południa.

- W porządku, skarbie? - spytała po kilku kilometrach. Coś spowodowało, że Reagan odpowiedziała.

- Nie.

- Wielu ludzi mówi, że kierowca taksówki jest prawie tak dobry jak psychoterapeuta. Chcesz o tym pogadać?

Reagan spojrzała na licznik. Beżowy urzędnik powiedział jej, że przejazd do Provincetown kosztuje dziesięć dolarów, a na liczniku już było sześć. Cztery dolary raczej nie starczą.

- Niezupełnie. - Uśmiechnęła się. - Ale dzięki. Potrzebne mi miejsce, żeby spędzić dzień. Pogoda nie sprzyja obserwowaniu wielorybów i mogę wypić ograniczoną ilość kawy, zanim wrócę na lotnisko. Mam pieniądze. Możesz mnie zabrać gdzieś, gdzie mają pokoje?

- Tyle mogę zrobić. Zawiozę cię w świetne miejsce, prowadzą je moje znajome. Jest tam dość spokojnie, poza sezonem, w środku tygodnia. Jestem pewna, że cię przyjmą.

- Dziękuję.

Było pięknie, w takie miejsce powinno się pojechać z ukochanym. Do przycupniętego wysoko na wzgórzu zajazdu prowadziły szerokie schody zrobione z podkładów kolejowych.

Reagan siedziała na werandzie, kiedy Tanya poszła porozmawiać ze swoimi przyjaciółkami. Pewnie powiedziała im, że wzięła z lotniska jakąś dziwaczkę, która nie wie, dokąd chce lecieć. Wyglądała, jakby miała się rozplakać, ale nie chciała o tym rozmawiać.

Na zewnątrz wyszły trzy kobiety przypominające pielęgniarki, które usłyszały śmiertelną diagnozę. Reagan zwykle nie cierpiała współczucia, ale teraz czerpała z niego odrobinę pocieszenia. Oczywiście, że może zostać. Bez problemu. Pojawiły się kawa i babeczki. Nikt nie wspomniał o pieniądzach.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i zabrała kawę na werandę. Widoczność była fatalna, ale to jej właśnie odpowiadało.

Co, do cholery, zrobiła? Najpierw skłamała przez zaniechanie, nie wspominając Freddie, że szukała jej matka. Później wstrętne, pełne nienawiści kłamstwa o Matthew. Pojawiły się, zanim zdała sobie sprawę, że to mówi. Widziała cierpienie na twarzy Freddie, ale to jej nie powstrzymało. Zazdrość paliła jej gardło jak kwas. Reagan znów poza nawiasem. Przypominało to zabawę w krzesła: wszyscy zmieniali miejsca, kiedy cichła muzyka, ale dla niej zawsze brakowało krzesła. Czuła tylko własny ból, kiedy o tym mówiła. Teraz straciła ich wszystkich. To było oczywiste. Każdemu z nich dostało się sporo gówna z jej strony w ciągu minionych lat, ale to z pewnością był koniec. Dlaczego mieliby sobie zwracać nią głowę?

A byli najlepszym fragmentem jej życia. Jediną naprawdę dobrą sprawą.

Reagan rzadko płakała, ale teraz łzy swobodnie toczyły się jej po policzkach. Rebecca znalazła ją w takim stanie.

Rebecca знаła właścicielki zajazdu. To było małe miasteczko, nie licząc turystów, a zajazd znajdował się nieopodal jej domu. Najbardziej lubiła w nim atmosferę wspólnoty i akceptacji. Dziewczyny były lesbijkami, ale nie przeszkadzało im, że ona nie jest. Chociaż Rebecca czasami tego żałowała. Nie przepadała za większością facetów, z reguły trafiała na kiepskie egzemplarze. Przyszła tu na kawę, zawsze była świeżo zaparzona, a ona nie miała dziś nastroju do malowania. Dziewczyny nic nie wiedziały o jej córce, więc przyszła tu posłuchać plotek i napić się kawy, zamiast wpatrywać się w ulicę przed domem z nadzieją, że Freddie wróci.

Serce zabiło jej szybciej, kiedy rozpoznała przyjaciółkę Freddie. Może ona też tu jest. Może nie wyjechała wczoraj.

Ale dziewczyna była sama.

Reagan spojrzała na nią i zawstydziła się swoich łez. Energicznie wytarła twarz rękawem.

- Witaj.

- Co tutaj robisz?

- Nie mam pojęcia.

- Mogę usiąść?

Reagan wzruszyła ramionami i Rebecca usiadła.

- Freddie przyjechała wczoraj zobaczyć się ze mną - oznajmiła.

- Wiem.

- Powiedziałaś jej, że byłam u niej w zeszłym tygodniu?

- Nie. Przepraszam.

- W porządku.

Reagan znów się rozplakała.

- Nie, to nie jest w porządku. - Szlochała twardym bolesnym szlochem, wstrząsając ramionami i krzywiąc twarz.

Rebecca przyklękła przy krześle Reagan. Położyła jej rękę na przedramieniu.

- Co się, do diabła, stało?

Początkowo Reagan machnęła ręką na jej pytanie, ale kiedy Rebecca się nie poruszyła, potwierdzając, że jej zainteresowanie nie wynika tylko z grzeczności, odezwała się:

- Jestem wstrętną suką. Zrobiłam coś niewybaczalnego. Rebecca kiwnęła głową i pogłaskała Reagan po ramieniu.

- Czasami tak się dzieje, jestem światowej klasy ekspertem od niewybaczalnych postępów...

W końcu Reagan usnęła na kanapie z czerwonego aksamitu w holu. Rebecca przykryła ją kapą i obserwowała przez chwilę.

Wyjęła z torebki małą czarną książeczkę i komórkę.

- Freddie?

- Tak. Kto mówi?

- Rebecca Valentine. Cisza.

- Wiem, że byłaś tu wczoraj. - Freddie nadal nie odpowiadała i Rebecca ciągnęła: - Nie dzwonię z tego powodu. To znaczy, byłoby cudownie, gdybyś zechciała wejść do środka i porozmawiać, ale nie dzwonię z tego powodu.

- Więc z jakiego?

- Jest tu twoja przyjaciółka.

- Reagan.

- Zgadza się.

- Co robi w twoim domu? Nawet nie wie, gdzie mieszkasz, nie zna dokładnego adresu.

- Nie u mnie. Jest w zajeździe przy tej samej ulicy. Poszłam tam i znalazłam ją.

- Przecież jej nie znasz.

- Spotkałam ją w zeszłym tygodniu.

- Nie rozumiem.

- Przyjechałam w zeszłym tygodniu, żeby cię odszukać. Byłaś w Anglii. Prosiłam Reagan, żeby ci przekazała, że byłam.

- Nie zrobiła tego.

- Wiem. Rozmawiałyśmy ze sobą. Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, że tu jest. Planowałam wylecieć po południu, ale w taką pogodę szybko się stąd nie wydostanie.

- Przyjechałaś mnie szukać?

- Tak. Nie powinnam tego robić. Prawie mi ulżyło, kiedy cię nie zastałam. Źle postąpiłam. W zasadzie Reagan szybko mi to wytknęła. Powiedziała, że to zależy od ciebie, kiedy, jeśli w ogóle, przyjedziesz mnie odszukać. I miała rację. Ale, jak wspomniałam, powinnaś wiedzieć, że przyjechała tutaj. Jest w opłakanym stanie.

- Dlaczego sama do mnie nie zadzwoniła?

- Boi się, że jest już za późno. Uważa, że to, co powiedziała, jest niewybaczalne.

Obie miały świadomość dziwnego podtekstu tej rozmowy. Freddie nie mogła uwierzyć, że sły-  
szy głos matki.

Była zbyt zaszokowana, żeby się złościć, ale czuła się dziwnie.

- Słuchaj, mam nadzieję, że postąpiłam właściwie - ciągnęła Rebecca. - Jest w Point Inn. To trochę dalej, idąc w górę ode mnie, po prawej stronie. Jeśli cię to interesuje.

- Czy ona wie, że do mnie dzwoniysz?

- Nie. Śpi. Zmęczył ją płacz. Reagan nigdy nie płakała.

- Dobrze. Dzięki.

Rebecca nie wiedziała, czego oczekiwała po tej rozmowie, ale nie chciała się pożegnać.

- Zapraszam cię. Freddie rozłączyła się.

- To była moja matka. Znalazła Reagan zapłakującą się na śmierć w jakimś zajeździe w Provincetown. Martwi się o nią i uważa, że powinnam wiedzieć, gdzie jest.

- Co?

- Wiem. - Podniosła rękę i nie pozwoliła mu skończyć. - Nie pytaj mnie. - Dodała szybko: - Jadę.

- Nie jedź.

- Muszę, Matt. Nie mogę tak tego zostawić. Co by ze mnie była za przyjaciółka?

- A jaką przyjaciółką ona była dla ciebie?

- Kłopotliwą. Koszmarną.

- Po prostu znów uciekasz.

- Nie. Wróć. - Poglaskała go po policzku. - Wróć.

- A co z nami? Pocałowała go głęboko.

- Już nie uciekam, Matt. Po prostu muszę to zrobić.

Z łatwością odnalazła zajazd. Reagan nie było w pobliżu. Wynajęła pokój i rzuciła torbę na łóżko.

Właścicielki były wyraźnie zafascynowane operą mydlaną rozgrywającą się na ich podwórku.

- Też jesteś Angielką. Musisz być przyjaciółką Reagan. Chryste, jak na małomówną i spiętą kobietę, szybko nawiązała tu znajomości.

- Tak.

- Jest na plaży.

- W taką pogodę?

- Najlepsza pogoda, żeby oczyścić umysł. Pójdź tymi stromymi schodami po drugiej stronie ulicy, jak chcesz ją dogonić.

Reagan nie zawsze była w stu procentach nieprzystosowana. Wpadła któregoś wieczoru, niedługo po urodzeniu się Harry'ego, prosto po pracy. Wyglądała niesamowicie stylowo w granatowym kostiumie bez skazy i butach na obcasach przyprawiających o zawrót głowy, jakie Freddie nosiła tylko w te wieczory, kiedy wiedziała, że nie będzie dużo chodzić.

Adrian wyjechał i Reagan wyczuła panikę i wyczerpanie w głosie Freddie, kiedy żartowała przez telefon, że może powinna pozwolić Clarissie zatrudnić nianię.

- Bzdury! Nie byłaby nianią, tylko szpiegiem. Daj tej kobiecie palec... wpadnę do ciebie. Około szóstej.

Reagan nigdy nie wychodziła z biura przed dziewiątą.

Ale tego wieczoru pojawiła się obładowana reklamówkami ze sklepu Harvey Nichols. Domowy makaron ze świeżym pesto i sałatką, sok brzoskwiniowy i wino musujące (nie umiem gotować i się nie nauczę), przepastna torba od Anyi Hindmarch (nigdzie się z tobą nie pokażę, jak weźmiesz tę idiotyczną torbę z pieluszkami) i kilka kremów Clarinsa (żebyś zrobiła coś z tymi cieniami). Freddie omal nie rzuciła się jej w ramiona z wdzięczności.

- Tylko nie próbuj kazać mi gaworzyć z juniorem.

Po jedzeniu, wypiciu kilku bellinich, wyładowaniu zawartości idiotycznej torby z pieluszkami (prezent od Clarissy) i wtarceniu kremu Freddie usnęła na sofie. Harry zaczął płakać.

Reagan posadziła go w foteliku na skórzanym siedzeniu alpha spidera i wozila po zachodnim Londynie przez półtorej godziny. Przywiozła go z powrotem, kiedy już mocno spał. Przespał wtedy całą noc i wszystkie następne.

Było zimno. Czy naprawdę leżała tu wczoraj bez majtek? Pogoda szybko się zmieniła. Naciągnęła kapelusz na uszy i wsunęła ręce do kieszeni kurtki. Wiał ostry wiatr, który szczypał ją w twarz.

Zobaczyła Reagan niecałe sto metrów dalej, stała na samym brzegu i wpatrywała się w morze. Freddie podeszła na tyle blisko, żeby przyjaciółka mogła ją usłyszeć, i krzyknęła:

- Reagan! - Odwróciła się. Podeszła parę kroków bliżej. - Nie mogę uwierzyć, że tu jestem, ale to prawda. Matt był temu przeciwny, a Tamsin na pewno powiedziała, żebym pozwoliła ci skisnąć, ale przyjechałam. Lepiej się postaraj, moja panno, bo przyrzekam, że to twoja cholerna ostatnia szansa.

- Jak mnie znalazłaś?

Freddie znała Reagan wystarczająco dobrze, żeby zauważyć, jak walczy z impulsem, który każe jej biec bez zatrzymywania się.

- A co to ma do rzeczy? Matka do mnie zadzwoniła. Zdaje się, że się już spotkałyście.

- Przepraszam.

- Za co?

- Za wszystko.

- Słuchaj, Reagan, jestem tu. Wytłumacz mi, o co chodzi.

- Nie mogę.

- Albo nie chcesz. Czy to ma jakiś związek z Mattem i Sarą? Reagan nie odpowiedziała.

- Kochałaś któreś z nich?

Wyraz jej twarzy mówił sam za siebie.

- Byłaś zakochana w Matcie? Nadal go kochasz?

- Nie wiem. Wydawało mi się, że tak. Przez lata byłam o tym przekonana.

- A teraz?

- Nie. Już nie.

- Więc co?

Reagan spojrzała na nią.

- Jestem zazdrosna. W porządku? Jestem tak zazdrosna, że chyba mnie to zabije.

- Zazdrosna o co?

- O kogo. O ciebie i o Sarę, przynajmniej byłam, nawet o Tamsin. To dlatego, że chciałam Matta, tak mi się wydawało. Pierwsza go poznałam, pamiętasz, a później on się zakochał w Sarze i wtedy wszystko się zaczęło. Zrozumiałam, że pomimo przemiany, jaką przeszedłam na uniwersytecie, nadal nie byłam tak dobra jak ona.

- To niedorzeczne. Zakochanie Matta w Sarze nie miało nic wspólnego z tym, że była od ciebie lepsza. Miłość rządzi się innymi prawami.

- A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć, jakimi prawami rządzi się miłość, Freddie? Co? Kto mnie kiedykolwiek kochał? - Biła się w piersi przy każdym słowie ostatniego zdania. - Boże, Freddie. Wiesz, że nawet zazdrościłam Sarze śmierci? Nie naruszył jej zęb czasu ani lata nie wycisnęły swojego piętna. Hę? Czy to nie jest chore? Umarła i stała się nieśmiertelna. Idealna Sara. Tragiczna Sara. Nie zrozum mnie źle, kochałam ją tak samo jak wy, może nawet tak samo jak Matt. Uratowała mnie, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Ty i Tamsin nigdy nie zwracałybyście sobie mną głowy, gdyby nie ona. Na początku wszędzie ciągnęła mnie ze sobą, i wiem, że wy to ledwo tolerowałyście. Ale chciałam być jedną z was.

- Byłaś.

- Dzięki niej.

- Dobrze. - Freddie walczyła z siłą uczuć Reagan. To się ciągnęło przez dziesięciolecia.

- Wiesz, co zrobiłam w noc przed ślubem mojej najlepszej przyjaciółki? Próbowałam się przespać z jej narzeczonym. To, co ci powiedziałam w domu, że Matt przespał się ze mną, to nieprawda. To zawsze byłam ja. Ani razu mnie nie zachęcił. Nawet nie powiedział Sarze, nie chciał, żeby była na mnie zła. A co zrobiłam później? Poszłam do niego po jej śmierci i jeszcze raz próbowałam go podebrać. Rozmawialiśmy o Sarze i oboje płakaliśmy. Wypłakał się, poszedł do łóżka i usnął. Położyłam się obok niego i zaczęłam go całować.

Freddie była przerażona.

- Też mnie pocałował. To był jedyny raz. Jeszcze się nie obudził. Myślał, że to ona. A kiedy sobie uświadomił, że to ja, nigdy nie widziałam kogoś równie wściekłego. Miesiącami się do mnie nie odzywał. Nie widywaliśmy się. Nie pozwolił mi na przeprosiny. Powiedział tylko, że nie chce do tego wracać. Oczywiście między nami nie było już tak jak dawniej. O czymś takim nie można zapomnieć. Przystawiałam się do pogrążonego w rozpacz męża zmarłej przyjaciółki. Taka właśnie jestem. Czy masz pojęcie, jak bardzo siebie nienawidzę? Chciałam być tobą. Albo Sarą. Albo kimkolwiek innym, tylko nie sobą.

- To niedorzeczne, Reagan - przestraszyła się Freddie. - To szaleństwo. Jak mogłaś do tego stopnia stracić nad wszystkim kontrolę?

- Nie wiem. - Upadła na kolana i opuściła głowę, włosy opadały jej na twarz. Drżała.

Freddie zbliżyła się do niej. Reagan odezwała się łagodniejszym tonem.

- Wydawało mi się, że skoro odniosłam tak niewiarygodny sukces - ciągnęła - z własnymi pieniędzmi, świetną pracą, przestanie mnie to obchodzić. Myślałam, że nawet możecie mi zazdrościć. Ale tak nie było, bo nigdy nie miałam nic godnego pozazdroszczenia. Wspaniała praca, modne mieszkanie, to się nie liczy, prawda?

- Oczywiście, że nie. Ale myślałyśmy, że dzięki temu jesteś szczęśliwa.

- Nie miałyście pojęcia, rozumiesz. Wiesz, co jest w tym najbardziej tragiczne? Wy dwie nie jesteście tylko moimi najlepszymi przyjaciółkami, jesteście moimi jedynymi przyjaciółkami. Powinnyście to zauważyć. Naprawdę.

- Powinnaś nam to okazać. - Freddie uklękła i próbowała jej dotknąć.

Reagan wzdygnęła się.

- Teraz już wszystko skończone.

- Dlaczego tak mówisz?

- Daj spokój, Freddie. Nie bądź taką cholerną Pollyanną, mówisz jak Sara. Oczywiście, że to skończone. Stąd nie ma powrotu.

- Kto tak powiedział?

- Ja.

- Potrzebujesz pomocy, Reagan, profesjonalnej pomocy. Za głęboko w tym tkwisz, żebyśmy mogły cię wyciągnąć.

Reagan przytaknęła.

- Ale nic nie jest skończone. Naprawdę sądzisz, że nadal byśmy się przyjaźniły, gdybyś została tą porąbaną dziewczyną z korytarza, z którą Sara kazała nam się prowadzać?

Reagan podniosła głowę i spojrzała na nią.

- Nie ma mowy. Przyjaźnimy się przez tyle lat dlatego, że chcemy. Kiedy jesteś zła, zgoda, bywasz naprawdę wstrętna. Potrafisz się dąsać, być uszczypliwa i złośliwa. A ostatnio dałaś niezły popis. Ale kiedy indziej... jesteś zabawna, hojna, błyskotliwa i lojalna. Jesteś tu, prawda?

- Nie przyjechałam tu dla ciebie, tylko dla siebie.

- Pewnie częściowo tak, ale wiesz, że to nie do końca prawda. - Jeszcze raz dotknęła Reagan, tym razem się nie odsunęła. - To się dzieje w twojej głowie, Reagan. To wszystko twój wymysł.

Nagle opryskliwość Reagan ustąpiła. Oparła się o Freddie tak ciężko, że przyjaciółka z trudem utrzymywała równowagę, i zaniósła się płaczem. Wśród rozpaczliwego szlochania Freddie usłyszała:

- Jestem... taka... nieszczęśliwa. - Poczuła, że Reagan w końcu całkowicie się obnażyła.

Reagan nie chciała od razu wracać.

- Nie mogę spojrzeć Mattowi w oczy. Freddie za nic by jej tak nie zostawiła.

- Porozmawiam z nim.

Reagan uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- I tak nie mogę.

Matt okazał się niewiarygodnie lojalny, nie mówiąc o tym żadnej z nich. Freddie świetnie pamiętała jego ślub: zapamiętała ich wszystkich razem. Było takie zdjęcie: Matthew i Sara w środku, a dookoła nich trzy dziewczyny, takie promienne. Freddie nadal miała to zdjęcie. Stało na półce w salonie.

Pamiętała też wstrząsające dni tuż po śmierci Sary. Odwiedzali go na zmianę: Tamsin, Freddie, Reagan i Neil. Zaglądali do Matthew, spędzali z nim trochę czasu i kiedy któreś z nich wychodziło, powiadamiało pozostałych. Któregoś wieczoru nacisnęła dzwonek. Zdziwiło ją, kiedy się uśmiechnął.

- Niech zgadnę. Przechodziłeś po drodze?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała. - Mam dziś wartę przy wdowcu.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Świetna robota. Przyznanie się do problemu to pierwszy krok do wyzdrowienia. - Roześmiali się oboje.

Dziwne były tamte noce. Oglądało się z nim telewizję albo coś gotowało i rozmawiało, albo siedziało się w milczeniu, a on nagle zaczynał cicho płakać. Odwracałaś się do niego i miał łzy w oczach. Wszyscy przez to przechodzili. To właśnie jednej z tych nocy Reagan zrobiła to, co zrobiła. Przerażające. I tyle mówiło o Matthew: nigdy im nie powiedział.

Sama decydujesz, jak bardzo angażujesz się w przyjaźń. Po śmierci Sary wszyscy wpadli niemal w obsesję na punkcie dbania o Matta i siebie nawzajem. Szok i rozpacz sprawiały, że lgnęli do siebie, bo mogli sobie pomóc. Jego cierpienie i ich reakcja były silne. Cierpienie Reagan było chroniczne: długotrwałe, łatwe do zlekceważenia. Freddie musiała szczerze przyznać: nie tylko Reagan ponosiła winę za to, że nic nie zauważyli, chociaż roztoczyła wokół siebie zasłonę dymną. Tak naprawdę to był ich wybór. Nie stali przy niej. Gdyby byli bliżej, zdołaliby odczytać wskazówki, zauważyliby znaki. I może nie zaszliby tak daleko.

W końcu okazało się, że jedyną osobą, która chroniła Reagan, był Matthew, chociaż jemu wyrządziła największą krzywdę.

- Matt zrozumie.

- Ale i tak chcę tu zostać przez kilka dni.

- Po co? Jeśli po prostu chcesz się schować...

- Nie chcę się schować.

- Nie mogę cię zmusić do powrotu.



- Nie.

- Ale obiecaj, że wrócisz.

- Obiecuję.

Zostawiła Reagan w Point Inn. Zaparkowała w końcu ulicy i musiała minąć dom Rebeki, żeby dojść do samochodu. Jednak zdecydowała się. Podeszła do drzwi i zapukała. Nikt nie odpowiedział. Już miała odejść, kiedy inne drzwi, w budynku stojącym najbliżej plaży, otworzyły się.

Jej obecność nie zaskoczyła Rebeki. Szeroko otworzyła drzwi i odsunęła się, żeby ją wpuścić. Freddie była wdzięczna, że nie zawracała sobie głowy kurtuazyjną rozmową, wypełniając nabrzmiałą ciszę grzecznościami bez znaczenia. Weszła do środka, zadowolona, że uciekła przed zimnym wiatrem.

Na górze było ciepło. Rebecca pracowała: na policzku widniała smuga czerwonej farby i identyczna plamka spadła na rękaw kitla. Pasowały do dużego szala zarzuconego na ramię.

Freddie nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy już się tu znalazła. Rebecca przez chwilę nie przerywała ciszy, a później odezwała się. Miała łagodny głos. Brytyjski akcent, z którym dorastała, prawie zanikł, ale Freddie i tak go wyczuła.

- Jak się miewa twoja przyjaciółka?

- Nie jestem pewna. Cisza.

- Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś. Ma zamiar zostać w zajeździe przez parę dni.

- To dobre miejsce dla duszy.

Freddie spojrzała na płótna.

- Podobają mi się.

- Dziękuję. - Przyjęła komplement ze skinieniem głowy.

- Zawsze malowałaś? - Pierwsze z miliona pytań, które chciała zadać.

- Nie. Zaczęłam, dopiero kiedy przyjechałam tutaj. - Kiedy to było? I dlaczego? Freddie nie wiedziała, od czego zacząć.

Rebecca to zrobiła.

- Czy powiedział ci, dlaczego odeszłam?

- Nigdy mi nic nie powiedział. Po prostu cię nie było.

- Nie pytałaś?

- Zanim dorosłam na tyle, żeby się nad tym zastanawiać, nie byłam z nim wystarczająco blisko, żeby spytać.

- Przykro mi.

Freddie wzruszyła ramionami. Rebecca uśmiechnęła się.

- Musisz być do mnie bardzo podobna. Freddie stłumiła pełną oburzenia odpowiedź.

- W czym?

- Niewiedza cię nie zadręczyła. Wielu osobom to by zupełnie spieszyło życie. Naznaczyło ich na zawsze.

Freddie nie wiedziała, dlaczego jej to mówi, ale odpowiedziała:

- Poczułam to, kiedy urodził się Harry. Rebecca przytaknęła z rozmysłem.

- Nie rozumiałaś, jak mogłam cię zostawić.

- Nie.

- Ale dzięki temu jesteś lepszą matką.

- Może.

- Masz zdjęcie Harry'ego? - spytała ochoczo. - Oczywiście, wiem, że się urodził. Chciałabym zobaczyć jego zdjęcie.

Freddie wolałaby być na tyle zła i zgorzkniała, żeby powiedzieć nie, ukarać Rebeccę. Dlaczego sięga do torby? Bez słowa podała Rebecce miękką skórzaną oprawkę, którą zawsze nosiła ze sobą. Były w niej trzy zdjęcia: Harry jako pomarszczony noworodek, prawie niewidoczny spoza białego kocika, drugie przedstawiające brzdąca siedzącego między jej nogami, uśmiechającego się do aparatu, same jasne loki i długie rzęsy. Na ostatnim można się było dopatrzeć mężczyzny, na jakiego wyrosnie: świadomy, że pozuje do zdjęcia, nieco afektowana postawa. Ale nadal jej Harry.

Rebecca długo się im przyglądała. Przyłożyła kciuk do twarzy Harry'ego i pogłaskała go, prawie niezauważalnie, później oddała zdjęcia Freddie.

- Jest śliczny.

Czyżby załamał się jej głos? Czy Freddie tylko chciała to usłyszeć?

- Nigdy nie próbowałaś się z nim spotkać? - Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

- Nie, nigdy nie próbowałam się z nim spotkać. Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że Freddie spytała:

- A próbowałaś spotkać się ze mną?

- Tylko raz, mniej więcej rok po tym, jak cię zostawiłam.

Jak większość zdań Rebeki, to również zawierało niedopowiedzenia. To było nie do wytrzymania. Freddie nie wiedziała, o co pytać i czy w ogóle pytać. Może nie powinna tu przyjść. Może byłoby lepiej, gdyby się nigdy nie dowiedziała. Dobrze się czuła z tą niewiedzą. Zawsze tak było.

Ale Rebecca siedziała naprzeciw niej. Oczywiście nie mogła stąd odejść. Zastanawiała się tylko, które plastry zerwać z ran dzieciństwa i dorosłego życia, które strupy rozdrapać, żeby znów krwawiły. Rana była tak wielka, że nie wiedziała, gdzie zacząć.

W denerwujący, cudowny sposób Rebecca wyczuła jej myśli. Wstała i podeszła do panoramicznego okna. Obejmując się rękoma, zaczęła mówić w kierunku morza.

- Chcę ci powiedzieć, dlaczego odeszłam. - W ułożeniu pełnych wdzięku ramion kryła się duma i bunt. - Nie dlatego, że chcę przebaczenia, nie sądzę też, że to wszystko będzie dla ciebie zrozumiałe, ale ponieważ to jest początek.

Jest taka jak ja, pomyślała Freddie. Początek to logiczne miejsce, żeby zacząć.

Rebecca odwróciła się w stronę pokoju i usiadła z podkurczonymi nogami na wiklinowym szezlongu naprzeciw Freddie.

- Miałam dziewiętnaście lat, kiedy spotkałam twojego ojca. Byłam wtedy dość dziecinna. Mieszkałam w Bostonie od mniej więcej pięciu miesięcy. Przyjechałam tu do pracy u rodziny znajomego ojca. Poznali się na uniwersytecie przed wojną i przyjaźnili przez lata. Córka przyjaciela ojca potrzebowała niani, pomocnej ręki i towarzyszk. Niedawno urodziła dziecko. Miała ciężki poród. Była słaba i zmęczona. Moi rodzice chyba uważali, że to mi dobrze zrobi, poszerzy moje horyzonty, a ja rozpaczliwie chciałam wyjechać. Zawsze za czymś rozpaczliwie tęskniłam. Moje życie było takie... nudne. Bezpieczne. Prywatna szkoła, znajomości z właściwymi ludźmi, uczyłam się tylko tego, co przystało młodej damie. Dusiałam się. - Spojrzała pytająco na Freddie, córka przytaknęła. Przynajmniej ten impuls rozumiała.

- Przyszedł na kolację któregoś wieczoru. Był współnikiem w firmie prawniczej męża Kitty. Zawsze jadłam z nimi, nie byłam służącą. Do tego czasu zaprzyjaźniłam się z Kitty i uwielbiałam dziecko. Twój ojciec świetnie wyglądał, zwłaszcza tego pierwszego wieczoru. Oczywiście był szefem i wszyscy chcieli mu zaimponować. Wspaniale ubrany, nienagannie. Pamiętam jego dłonie, miał wyjątkowo wypielegnowane paznokcie. Był dużo wyższy ode mnie, musiałam odchyłać głowę w tył, żeby na niego spojrzeć. Nie byłam do tego przyzwyczajona i podobało mi się to. Coś się zdarzyło tej pierwszej nocy. To nie było pożądanie, całe dotychczasowe życie spędziłam w szkole dla dziewcząt i nie jestem pewna, czy w ogóle umiałabym rozpoznać pożądanie. - Zaśmiała się gardłowo. - Ale coś między nami zaiskrzyło. Nikt wcześniej nie patrzył na mnie tak jak on. Jak... jakby musiał mnie mieć. Od pierwszej chwili, kiedy mnie zobaczył. - Patrzyła w przestrzeń, wspominając. Mówiła prawie do siebie. - Wydawało mi się, że tego wieczoru nie spojrzał na nikogo innego. Wszyscy starali się skupić na sobie jego uwagę, ale on kierował każdą wypowiedź do mnie. Chciał wiedzieć o mnie wszystko. Miał piękne oczy. Tajemnicze. Wyglądał, jakby widział więcej niż inni, wiesz?

Później ruszył do ataku. Tylko tak mogę to opisać. Nie miało to nic wspólnego z zalotami ani zabieganiem o moje względy. Przypominało misję. Kwiaty, liściki, zainteresowanie. Następnego ranka po naszej pierwszej kolacji przysłał mi pięć tuzinów czerwonych róż. Nigdy mi się to nie przydarzyło! Zdobył mnie tym bez reszty. Patrzył na moje usta, kiedy mówiłam, i sprawiał, że czułam, jakby każde wypowiedziane przeze mnie słowo było najważniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek usłyszał. Zabierał mnie na balet, do teatru, do wystawnych restauracji, dzięki niemu stałam się częścią luksusowego świata. Moi rodzice tak nie żyli, a przynajmniej ja nigdy nie brałam w tym udziału. Zajmowaliśmy najlepsze

miejsca w teatrze i przez cały czas wiedziałam, że patrzy na mnie, a nie na przedstawienie. Tylko na mnie. Kupował mi prezenty. Robił rzeczy, które zapierały dech w piersiach i odbierały głos. Jeśli to brzmi mało prawdopodobnie, pamiętaj, że byłam prawie dzieckiem, dziewczyną z ograniczonym światopoglądem, której wyobrażenie idealnej miłości pochodziło z książek. Marzyłam o bohaterach jak Heathcliff, Jay Gatsby i Maxim de Winter. Mężczyznach z pasją i przeszłością, zamyślonych... - urwała. Wstała i naląła sobie szklanekę whisky z butelki stojącej na stole. - Mówię jak jakaś idiotka, wiem. - Freddie tak nie uważała. - Ale tak właśnie było.

Skierowała butelkę do Freddie, która przytaknęła, i naląła sporo whisky do drugiej szklanki.

- Dzisiaj dziewczyna taka jak ja, która marzy o wolności, ucieczce i przygodzie, spakowałaby plecak i zniknęła. Chciałabym być wtedy na tyle odważna, ale nie byłam. Wydawało mi się, że jest moją szansą.

- Pierwszy raz pocałował mnie w Common. Wiosną. Mężczyzna w szytym na miarę garniturze i dziewczyna w płóciennej spódnicy, razem w parku. Co to był za pocałunek, jakby cały mi się w nim oddawał. Nigdy się nie całowałam, nie naprawdę, nie tak, i gdyby poprosił mnie, żebym tego ranka skoczyła z nim ze skały, zrobiłabym to. Ale poprosił mnie tylko, żebyśmy potajemnie wzięli ślub. Chryste, jakie to było romantyczne. Później nigdy nie byłam pewna, czy powiedziałam tak, żeby zrobić na złość rodzicom, czy dlatego, że miało to posmak przygody, czy tylko z powodu tego pocałunku. Tydzień później wzięliśmy ślub. Nikomu nie powiedziałam ani słowa.

Zamilkła na chwilę. W głowie Freddie roilo się od pytań. Gdzie to się stało? Jak się odbyło? W co była ubrana? Pragnęła wypełnić wszystkie luki, ale nie chciała, żeby Rebecca się o tym dowiedziała, i jeszcze bardziej chciała usłyszeć całą historię.

- Od samego początku wszystko szło na opak. Jak mogło być inaczej? Miłość jest wspaniała, ale nie wystarcza. Dzieliło nas ponad dwadzieścia lat różnicy. Były lata sześćdziesiąte, a ja jeszcze nie poznałam życia, nie zrobiłam nic tylko dla siebie. Nie upiłam się, nie przespałam się z kimś, z kim nie powinnam tego robić, ani nawet z kimś, z kim powinnam, zupełnie nie poznałam siebie. Po prostu zamieniłam jedno uległe życie na drugie. Byłam głupia.

Przerwała i Freddie nie wiedziała, jak zareagować. Mężczyzna z opowieści tak mało przypominał jej ojca, że miała wrażenie, jakby Rebecca czytała jej książkę; nie usłyszała jeszcze nic, co by obudziło znajome uczucia.

- Chciałabym móc ci powiedzieć, że był złym mężem, że mnie bił, oszukiwał albo wykorzystywał. Coś oczywistego.

Przypuszczam, że dzięki temu pokazałabym się w lepszym świetle. Nie był złym mężem, nie w zwykłym sensie tych słów. Ale kiedy za niego wyszłam, zaklęcie przestało działać. Kiedy już to zrobiliśmy, wszystko się zmieniło. Subtelnie, ale nieodwracalnie. Czas, to był największy problem. Przed ślubem miał dla mnie nieskończenie dużo czasu, ale wrócił do pracy, siedział tam przez cały dzień, a

czasem do późna wieczorem. Nie wiedziałam, co się stało z jego pragnieniem bycia ze mną. Wyparowało. Jakbyś wygrzewała się w słońcu, a później nadpłynęłyby chmury, jego zainteresowanie, jego czas odeszły jak ciepło słońca. Nie rozumiałam tego. Jego brak czasu powodował, że ja miałam go mnóstwo. W Stanach nie znalazłam wielu przyjaciół. Kitty spodziewała się kolejnego dziecka i wiedziałam, że nie pochwała tego, co zrobiłam. Rodzice mi nie wybaczyli. Odcięłam się od nich i nigdy go nie poznali. Byłam samotna i zagubiona. Chyba też nieznośna. Wiedziałam, że przestał się mną interesować, i nie rozumiałam dlaczego. Pierwszy romans przydarzył mi się, kiedy miałam niespełna pół roku. Kiedy to odkrył, powiedział, że nigdy nie miał pewności, czy jesteś jego córką. Ale jesteś. Czekalam, mając nadzieję, że twoje urodziny znów zblizą go do mnie. Tak się nie stało. Ten romans, w zasadzie trudno to nazwać romansem. Przespałam się z ogrodnikiem. - Roześmiała się. - Trochę przypominał Mellorsa, ale Boże, jakie miał ciało!

Freddie zastanawiała się, czy przypadkiem nie zapomniała, komu to mówi, ale Rebecca ciągnęła, patrząc prosto na nią.

- Przepraszam, jeśli to jest dla ciebie szokujące. - Raczej nie było jej przykro, a Freddie nie była zaszokowana, nie miała macierzyńskiego wyobrażenia o Rebecce, które matka mogłaby zniszczyć. - Ale zawsze lubiłam seks. Po twoim urodzeniu prawie w ogóle mnie nie zauważał... a ogrodnik tak.

Freddie uśmiechnęła się. Zdaje się, że miała więcej wspólnego ze swoją matką, niż myślała. Gdyby Adrian kiedykolwiek stracił ochotę na seks, na pewno szukałaby go gdzie indziej.

Nawet jeśli Rebecca zauważyła jej uśmiech, nie okazała tego. Przez chwilę Freddie pomyślała o Adrianie i Antonii Melhuish.

- Źle zrobiłam, ale to całe małżeństwo było złe, prawda? Myślałam, że może też kogoś ma, chociaż nigdy nie dał mi powodu, żebym wątpiła w jego wierność. Miał mnóstwo okazji. Możesz uznać, że jestem amoralna, ale wydawało mi się, że skoro o tym nie wiedział...

- Ale dowiedział się?

- Dopiero w tym roku, kiedy od niego odeszłam.

- To trwało tak długo?

- Z ogrodnikiem? Boże, nie! - wykrzyknęła Rebecca. - Byli inni. Nauczyciel jazdy konnej. Mąż sąsiadki, czułam się trochę nie w porządku z jego powodu, ale zdaje się, że żona nigdy się nie dowiedziała. Facet, którego spotkałam na jakiejś upiornej imprezie prawniczej. Zawsze chodziło mi o seks. - Poprawiła się. - To nieprawda. Seks, owszem. Potrzebowałam go. Ale chyba chciałam też być tulona i kochana, choćby przez kilka minut. Ten facet cholernie mnie zdołował. Próbowałam się z tego otrząsnąć.

- I co się stało?

- Przyłapał mnie. Musiał wtedy już coś podejrzewać. Wiedział, gdzie i kiedy może mnie znaleźć.

Freddie zastanawiała się, do czego zmierza.

- Wyrzucił cię? - Czy tak się stało? Nowy scenariusz pojawił się w jej głowie: nie chciała mnie zostawić, zmusił ją do tego. To by wszystko zmieniło.

Rebecca potrząsnęła głową.

- Nie mógł trzymać mnie z dala od ciebie, prawda? Jest prawo i są sądy.

- Więc co?

- Pozwolił uciec temu mężczyźnie, był nikim. Czekał, aż założę sukienkę. Obserwował mnie przez cały czas. Pamiętam, z jaką odrazą na mnie patrzył, jakbym była brudna.

I nagle zaczął krzyczeć. Rzucił gromy. Nigdy nie słyszałam, żeby to robił. Zwykle jego gniew był cichy, taki zamknięty w sobie. Kiedyś oddałabym wszystko, żeby się o coś wściekł, ale to był jedyny raz. Nazwał mnie niewdzięczną kurwą. Oszustką, jak moja matka... - Zdanie zawisło w powietrzu.

Freddie nie rozumiała.

Rebecca mówiła powoli.

- Przecież nie poznał mojej matki.

Dla Freddie ciągle było to zagmatwane.

- Więc jak...

- Tylko że jednak ją znał. Wtedy się o tym dowiedziałam.

Freddie wstała i podeszła do okna. Morze było jeszcze bardziej wzburzone. Fale rozbijały się z hukiem na plaży. Było jej niedobrze.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie rozumiałam, ale z ochotą mi wszystko wyjaśnił. Chyba sprawiało mu to przyjemność, bo widział, jak bardzo cierpiałam. - Rebecca wzięła głęboki wdech. Freddie spostrzegła, że mówienie o tym nadal sprawia jej ból.

- Kochał ją. Poznali się w czasie wojny. Jej ojciec, mój dziadek, był wysokiej rangi namiestnikiem królewskim, a oddział twojego ojca stacjonował w miasteczku. Brzmi jak scenariusz kiczowatego filmu, co? Ich oczy spotkały się nad dziennikiem dostaw. To niemal zabawne: jedwabne pończochy, czekoladki i podobne sprawy. - Roześmiała się gorzko.

Nigdy nie mówił o wojnie, nagle uświadomiła sobie Freddie.

- Najwyraźniej zakochali się w sobie. Byli dla siebie wszystkim, pierwszy raz. Chciał się z nią ożenić. Uwierz mi, niczego nie pominął, kiedy mi o tym opowiadał. Z wyjątkiem tego, że wtedy nie był tym, kim się stał, kiedy go poznałam. Nie wydaje mi się, żeby mówił ci, skąd pochodzi. Mnie tego nie powiedział, nie wtedy, kiedy się poznaliśmy. Zakładałam, że wiem. Był biedny, nie miał wykształcenia, pochodził z wiejskiego środowiska, Amerykanin. Ojciec zabronił mojej matce się z nim spotykać. Brzmi niedorzecznie, prawda? Na pewno dzisiaj by nie poskutkowało. Wtedy chyba też nie zaw-

sze, ale moja matka posłuchała go. Wyprawił ją do krewnych i nie pozwolił wrócić do domu. Zabronił im się w ogóle kontaktować. Twój ojciec nigdy nie przestał jej kochać i nigdy nie przestał nienawidzić jej za to, że tak łatwo pozwoliła mu odejść. Myślę, że ponieważ dotknęło go to, kiedy był młody, wywarło ogromny wpływ na wszystko, co później zrobił.

- Mój Boże. - To nie była właściwa reakcja. Rebecca uśmiechnęła się lekko z wyższością.

- Niezły numer, co? Mój własny mąż był zakochany w mojej matce dwadzieścia lat wcześniej. Ożenił się ze mną... Dlaczego się ze mną ożenił? Zastanawiałam się nad tym przez lata. Bo byłam do niej bardzo podobna? Bo chciał odpędzić demony przeszłości? Mścił się? Kto to, do diabła, wie?

Freddie potarła oczy. To zbyt wiele.

- Skąd o tym wiedział?

- Chyba domyślał się czegoś, kiedy pierwszy raz mnie spotkał. Byłam do niej bardzo podobna. I wypytywał mnie o różne szczegóły z mojego życia: o rodziców, dziadków, gdzie dorastałam... tak mi pochlebiali jego zainteresowanie - parsknęła Rebecca.

- I dlatego uciekłaś?

- Tak.

- Dlaczego mnie nie zabrałaś?

- Spanikowałam. Bałam się, byłam przerażona. Więc gnałam przed siebie. Byłam pewna, że po ciebie wrócę. Wiedziałam tylko, że muszę uciec od niego tak szybko, jak się da.

- Dokąd poszłaś?

- Nie uwierzysz. Z powrotem do rodziców.

- Ona wiedziała?

- Nie. Zmienił nazwisko po wojnie. Może nawet go nie pamiętała. Przyjechałam do domu i długo i uporczywie się jej przypatrywałam w poszukiwaniu ducha straconej miłości, cieni na jej twarzy. Nie było ich. Może ukryła je tak głęboko, że nikt nie mógł ich dostrzec. A może wcale ich nie było. Może zbudował całe życie na kłamstwie, które kobieta potrafi powiedzieć mężczyźnie. Poślubiła mojego ojca przed końcem wojny. Dorastali razem, ich rodzice się przyjaźnili. Był prawdziwym angielskim dżentelmenem: Eton, Cambridge, odznaczony w czasie wojny. Szacowny, nudny, ale odpowiedni.

- Nigdy jej nie powiedziałaś?

- Chorowała wtedy. Kolejna rzecz, o której nie mówili. W zasadzie była umierająca i nie powiedzieli mi o tym. Niech Bóg broni przed powściągliwymi angielskimi rodzinami. Tyle zła wynika z takiego stylu życia. Tyle tajemnic. Mam tylko nadzieję, że nie wychowujesz tak swojego syna. Chciałam się jej zwierzyć, chciałam odrobinę podzielić się moim bólem. Dowiedzieć się, co się zdarzyło. Prawie nie mogłam w to uwierzyć. Wydawało się to wręcz niemożliwe, kiedy na nią patrzyłam: nie-naganna fryzura, naszyjnik z pereł, nosiła je codziennie przez całe życie, nawet w dniu śmierci, kasz-

mirowy bliźniak. Nie wyglądała na kobietę, która mogła zrujnować mężczyźni życie. Nie miała tego w sobie.

Rebecca wzruszyła ramionami.

- Umierała. Widziałam to. Schudła, miała żółte białka oczu i szarawą skórę. Nie mogłam jej powiedzieć. Nie powiedziałam jej. Kochałam ją.

- A co ze mną? Kochałaś mnie?

Pierwszy raz, odkąd się spotkały, Rebecca zgarbiła się i wyglądała na swoje lata. Wyciągnęła rękę, ale opuściła ją z powrotem.

- Kochałam cię. Bardzo.

- Więc dlaczego po mnie nie wróciłaś? Mogę zrozumieć, dlaczego uciekłaś w pierwszym momencie, ale dlaczego po mnie nie wróciłaś?

- Wróciłam. Raz.

Freddie czekała.

- Tuż po śmierci matki. Wsiadłam w najbliższy samolot.

- I?

Rebecca mówiła bardzo cicho.

- Zobaczyłam cię w Boston Common. Tuż obok łódek w kształcie łabędzi. Byłaś tam z młodą kobietą. Miałaś na sobie białą sukienkę z angielskiej koronki, granatowe buciki i maleńkie białe skarpetki. Wyglądałaś jak anioł. Śmiałaś się z czegoś do rozpuku i ta kobieta śmiała się z tobą. Szłam do ciebie przez trawę. Waliło mi serce.

Freddie zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

- Zarzuciłaś jej rękę na szyję i pocałowałaś. Powiedziałyście coś sobie, wyglądało, jakbyście mówiły: Kocham cię. Poszłyście w drugą stronę, trzymając się za ręce i rozmawiając.

- I?

- Straciłam cię. Nawet nie tyle straciłam, co pozwoliłam ci odejść. Już nie byłaś moja. Należałaś do ojca. Do tej kobiety. Zrozumiałam, że bardziej egoistyczne byłoby ponowne wejście do twojego życia, niż to, że cię w ogóle zostawiłam. Widziałam, że było ci dobrze. Nawet jeszcze lepiej.

- To niewystarczający powód.

- Do czego?

- Niewystarczający, żebym ci wybaczyła. - Freddie była zrozpaczona. Co chciała usłyszeć? Że Rebecca była w śpiączce przez trzydzieści dwa lata albo w więzieniu? Coś. Cokolwiek.

Rebecca położyła jej rękę na ramieniu. Freddie nie odtrąciła jej.

- Nie proszę, żebyś mi wybaczyła. Nigdy bym się nie odważyła. Zrobiłam to, co robiłam. Nie mogę prosić o wybaczenie, nawet o zrozumienie, byłam młodziutką dziewczyną, prawie dzieckiem.

- Byłaś moją matką.



- Zdawałam sobie sprawę, że nie jestem w stanie zapewnić ci stabilizacji, którą miałaś. Wszystko zrobiłam na opak.

Doskonale wiedziałam, co robię, kiedy cię zostawiłam. I byłam do pewnego stopnia świadoma, że możesz mi tego nie wybaczyć. Żyłam z tym przez całe lata. Zrozumiałam, co zrobiłam. Bardzo długo myślałam, że to mnie zabije. Ale nie zabiło. Żyję i ty też żyjesz. I mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa. Wybaczyłam sobie, Freddie, dawno temu. Rozpalony do białości gniew eksplodował w głowie Freddie.

- Co takiego? - Nerwowym ruchem cofnęła ramię. Jak Rebecca mogła to powiedzieć.

- Może źle się wyraziłam...

Ale Freddie nie miała zamiaru pozwolić jej na inne sformułowanie. Słyszała swój krzyk, ostry, sarkastyczny.

- Świetnie, mam. Wybaczyłaś sobie! Jakie to w stylu New Age! Dzięki! Zobaczyłaś, jak się śmiałam w parku, i to pozwoliło ci zostawić mnie na całe życie bez oglądania się wstecz i wybaczyć sobie.

- To nie tak. Prawie wrzeszczała.

- Dokładnie tak! - Freddie zabrała płaszcz i torbę z poręczy.

- Nie odchodź. - Cicha prośba Rebeki wśród narastającej hysterii Freddie.

Freddie spojrzała z bliska w twarz matki i wypluła z siebie:

- Wielkie gówno, mam, Teraz ja odchodzę. Mimo wszystko jesteś szczęśliwa. Nie potrzebujesz mnie. Lepiej ci będzie beze mnie.

Trzasnęła drzwiami, silniej niż kiedykolwiek.

Rebecca wypła whisky i ciasno owinęła się szalem. Usiadła w wiklinowym fotelu i patrzyła na nadciągającą burzę.

Freddie oparła głowę o kierownicę i nieskończenie długo szlochała. Później pojechała z powrotem do Matthew. Tym razem powiedziała mu o wszystkim. O Reagan, o Rebecce i ojcu. Prawie cały czas płakała.

Po wszystkim usnęli w jej łóżku całkowicie ubrani.

Obudzili się w środku nocy zmarznięci i obolali. Zrzucili ubranie i wśliznęli się pod kapę. Matt przytulił ją. Zanim usnęła, pogłaskała go po policzku.

- Dziękuję.

- Wróc ze mną.

Nastał ranek i chociaż chciał, nie mógł przedłużyć podróży. Musiał wrócić na piątkowe spotkanie. Wyczuł, że mogą być kłopoty, kiedy próbował się z niego wymigać. Postanowił więc wrócić w czwartek i pójść do pracy prosto z lotniska z zaczerwienionymi z niewyspania oczami, ale nie było

wolnych miejsc, więc musiał lecieć jutro. Tak bardzo nie chciał jej zostawiać. Tego ranka wyglądała jak chora: zapuchnięte od płaczu oczy zapadły się w bladej twarzy.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, kiedy przyniósł jej filiżankę kawy, ale potrząsnęła głową.

- Nie mogę. To jeszcze nieskończone. Poza tym Reagan ciągle tu jest.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją po policzku, złapała ją i pocałowała wewnątrz dłoni.

- W takim razie ja wrócę - zapewnił ją.

- Nie. Starczy. Wkrótce będę w domu.

- Dla mnie za późno.

- Wyleją cię.

- Nie ośmiela się.

- Dostaniesz zylaków.

- Włożę te śmieszne skarpetki. Wrócę.

- Grace przyjedzie w tym tygodniu. I ośmielam się twierdzić, że zawstydzona Reagan też się pojawi.

- W czym to ci pomoże?

- Nie wiem. Może zachęci mnie, żebym przestała zajmować się własnym tyłkiem.

- Przestań Fred. To poważna sprawa. Tak ją traktuj.

- Nie chcę.

- Obawiam się, że nie masz wyboru.

- Przynajmniej pozwól się odwiedzić na lotnisko. Potrzebuję miasta. Obiecałam Harry'emu trampki z Niketown, możesz mu je wysłać, jak wrócisz.

- Wiesz, jak zabawić faceta.

- Nawet jeszcze nie zaczęłam!

Boston

W Bostonie inne sprawy zeszły na dalszy plan. Po prostu cieszyli się sobą. Szli popołudniową ulicą, trzymając się za ręce. Jakie to było proste! W końcu się z tym pogodziła.

W pewnym momencie znaleźli się przed domem z liliowymi szybami. Wewnątrz trwało przyjęcie, okna przystrojono białymi lampkami. Ludzie w wieczorowych strojach popijali szampana, a kelner w wykrochmalonej białej liberii roznosił kanapki na srebrnej tacy. Matthew objął Freddie ramieniem.

- Pamiętasz? Mieli już swój język.

- Ten dom trochę przypomina nas, prawda? - zadumała się Freddie.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko.

- Jak na to wpadłaś? - Mówił jak wychowawca z przedszkola.

Dała mu lekkiego kuksańca w zębra.

- Coś się popsuło, kiedy robili te szyby. Tak jak u mnie wszystko szło nie tak we wrześniu. - Wrzesień wydawał się nieskończenie odległy. - Ale to się okazało takie właściwe. Takie piękne.

Cudownie. Prawie wierzył, że może doczekać się szczęśliwego zakończenia. Z nią. Jeszcze raz pocałował ją przed domem z liliowymi szybami, ale było zupełnie inaczej niż poprzednio. Całował jej wargi, szepcząc, że jest szalona i właśnie to w niej uwielbia, po prostu ją uwielbia, kropka. Ona też go pocałowała, wkładając całą duszę w ten pocałunek.

Natychmiast stwardniał, ocierając się o jej udo, wyciągnęła rękę, żeby go tam dotknąć. Matthew jęknął:

- O nie, nie rób tego. Nie chcę kolejnego numerku na powietrzu, poza tym nie wiem, czy stałbym na wysokości zadania w tym zimnie, mimo że jesteś najbardziej podniecającą kobietą na całej planecie. Musimy znaleźć łóżko. - Odwrócił się od domu z liliowymi szybami i poszli dalej, najszybciej, jak potrafili, tuląc się do siebie na oblodzonym chodniku.

Zajął im trochę czasu, zanim znaleźli się w łóżku, ale jak tylko zamknęły się drzwi do pokoju hotelowego, ściągnęli z siebie ubranie. Freddie była już zupełnie naga i Matthew trzymał ją na wyciągnięcie ręki, obracając w świetle lampy w tę i tamtą, jak w dworskim tańcu. Wreszcie odwrócił ją do tyłu i pocałował w kark, przesuwając wargi dalej w dół kręgosłupa i z powrotem, aż zadrżała z pożądania. Popchnął ją na wyściełane krzesło przy oknie i całował i pieścił każdy centymetr jej ciała. Za każdym razem kiedy próbowała go dotknąć, lekkim ruchem oddalał jej ręce. Wygięła plecy i poddała się jego pieczytom. Czowała się jak zrobiona z porcelany, piękna i cenna.

Nie mogła już dłużej wytrzymać, natarła na niego, stracił równowagę i upadł na dywan. Usiadła na nim i obsypała namiętymi pocałunkami. Już nie chciała, żeby był delikatny.

Ale był.

Zapomniał, jak bardzo chciał, żeby było jej dobrze, po tym, co zaszło na plaży. Jak się ganił za to, że był zbyt szybki, zbyt niezdarny, a ona też zapomniała, jak było na plaży, i nie pamiętała, że ktośkolwiek inny tak dokładnie wiedział, czego pragnie. Niedorzecznie, acz cudownie, oboje czuli, jakby to był ich pierwszy raz.

Trzymał ją w objęciach na dużym miękkim łóżku. Trwało to nieskończenie długo i było wspaniałe. W końcu usiedli, ona na jego kolanach, z wyciągniętymi nogami, i obejmowali się mocno, prawie się nie poruszali. Lekko wyginając biodra, bardzo cicho przekraczali granicę czegoś tak idealnego, bliskiego i kochanego, że Freddie miała łzy w oczach. Spojrzała na Matthew, też płakał.

W końcu Freddie złapał skurcz w lewym biodrze. Ujęła twarz Matthew w dłonie i pocałowała w usta, wycierając palcami mokre policzki. Później położyli się i trzymali za ręce pod kołdrą.

- Nieźle.

- Naprawdę.
- Masz ochotę na jeszcze?
- Daj mi minutkę - prosił Matthew zmartwionym głosem.
- Żartuję. - Chichotała, uwielbiał ten dźwięk.

Freddie przeciągnęła się i odwróciła na drugi bok, wtulając się w niego. Dotykała pupą do jego podbrzusza i żartobliwie wsunął się w nią kilka razy. Wymierzyła mu delikatnego klapsa.

- I kto teraz żartuje?

Zamilkli na chwilę, wsłuchując się w brzmienie swoich oddechów, dostrajali się do siebie, swojego dotyku, zapachu. Tak bardzo do siebie pasowali.

Matthew już usypiał i wtedy powiedziała cicho, na pół senna, na pół obudzona:

- Kocham cię.

## Anglia

Jak brzmiał ten dowcip Bernarda Manninga\*? Jakoś tak: Panie doktorze, moja żona chyba nie żyje. Czemu tak myślisz? Cóż, seks się nie zmienił, ale rośnie sterta niewyprasowanych rzeczy!

Seks z pewnością się zmienił, ale dobry Boże, dom był w opłakanym stanie. Pani Harper, tylko Freddie i Harry mogli się zwracać do niej Barbara, miała operację biodra tuż po przerwie jesiennej i przechodziła niekończącą się rekonwalescencję. Była bardzo zła na Adriana, a on i tak się jej bał. Miała olbrzymi biust i zawsze krzyżowała pod nim ręce jak Les Dawson\*\*, kiedy do niego mówiła. Dzięki niepisanej umowie zdarzało się to niezbyt często w ciągu tych dziesięciu lat, odkąd u nich sprzątała. Jeśli Freddie nie wróci, pani Harper też zniknie na zawsze. Mieszkanie przypominało scenografię filmu *Withnail i ja*. Sterta złowrogo wyglądającej korespondencji zaśmiecała cały stolik w przedpokoju, rośliny pokrywał kurz. Tego ranka nie znalazł żadnych czystych skarpetek. Wyprawę z naręczem brudnych rzeczy do pralni udaremniła pusta butelka po płynie do prania oraz niezrozumiałe symbole na pralce.

\* Bernard Manning - brytyjski komik znany z niewybrednych, obraźliwych dowcipów.

\*\* Les Dawson - popularny komik brytyjski.

Wrócił na górę i pożyczył czyste, sportowe skarpetki z szuflady Harry'ego, ale były za małe.

Miał już dość tego nedorzecznego stanu zawieszenia, w którym Freddie kazała im żyć. Powinna wrócić do domu. Nie istniał żaden powód, żeby siedziała w Ameryce. Albo była z dala od niego. Przyznał się do romansu z Antonią Melhuish i zakończył go. Czego jeszcze chciała? Człowiek miał

prawo do jednego wyskoku, czyż nie? Jego przyjaciele bezustannie romansowali i nadal mieli czyste skarpetki.

Nie, to było nie do zniesienia.

Ukrywał się przez kilka dni. Potwierdzała to pusta butelka po dwunastoletniej whisky. Nadszedł czas działania. Błysnął w nim płomień starej wojskowej dyscypliny. Zacznie od znalezienia pomocy. Później sprowadzi Freddie i wyjaśni z nią wszystko raz na zawsze. Zabierze ją tu, gdzie jest jej miejsce. Może pójdzie do pracy.

Poczuł się lepiej, wziął książkę telefoniczną z półki. Pomoc domowa, sprzątanie...

Telefon zadzwonił w momencie, kiedy sięgał po słuchawkę. Odebrał zdenerwowany.

- Tak?

- Czy to Adrian Sinclair?

- Tak.

- Mówi Clive Dunmore, wychowawca Harry'ego.

- Tak? - Adrian zapamiętał go jako myszowatego mężczyznę, który nie był w stanie przerwać porządnej bójki między pierwszoklasistami. Prowadził klub szachowy i miał śmieszny symbol ryby na samochodzie.

- Mam złe wieści. Zdaje się, że Harry uciekł.

- Uciekł? Co to znaczy „zdaje się”?

- Nie pokazał się od wczoraj w nocy po zgaszeniu świateł. Żaden z chłopców najwyraźniej nie ma pojęcia, gdzie jest. Przeszukujemy teren, ale nie znaleźliśmy żadnych śladów, brakuje jeszcze jednego chłopca.

- Kogo?

- Nowego ucznia. Michaela Wilsona. Zbliżyli się z Harrym w tym semestrze.

- Tak. Mówił mi o nim. - Adrian jeszcze nie czuł paniki, Harry to twardy chłopak, ale był wyraźnie zaniepokojony.

- Właśnie rozmawialiśmy z matką Michaela i o niczym nie słyszała. Zastanawialiśmy się...

- Oczywiście, że nie. Powiadomiłbym was. Czy coś się stało w szkole? Bójka albo fatalne stopnie, cokolwiek?

- Nic szczególnego. Rozmawialiśmy z jego wszystkimi nauczycielami, opiekunowie nadal pytają chłopców, ale na razie nic nie odkryliśmy. A może w domu dzieje się coś, co mogło...

- Co pan ma na myśli? - Oczywiście Adrian bardzo dobrze wiedział, ale rozmowa przybrała taki obrót, że czuł się niewyraźnie.

- Wiemy, że rodzice Michaela niedawno się rozstali. Tak naprawdę to trafił do nas z tego powodu.

Adrian uprzedził jego niewypowiedziane pytanie, wybawiając ich obu z kłopotu.

- Moja żona spędziła dużo czasu za granicą w tym semestrze. Jej ojciec, który mieszkał w Stanach, zmarł we wrześniu i sprawy spadkowe zabrały jej mnóstwo czasu. Wróciła do nas na przerwę semestralną. Harry świetnie się wtedy czuł. - Adrian dręczył się, czy powinien rozmawiać o swoich prywatnych sprawach z tym człowieczkiem. Sinclairowie nie prali brudów publicznie. Poza tym nic takiego się nie działo.

- Czy pani Sinclair obecnie przebywa za granicą?

- Tak. - Adrian nie krył zniecierpliwienia. - Co mam zrobić? Jak ich znaleźć? Zawiadomiliście policję?

- Tak. Funkcjonariusz już do nas jedzie. Dopytywał się, czy wiemy, ile chłopcy mają pieniędzy.

- Nie mam pojęcia. Nie kontrolujecie tego?

- Pieniądze na wydatki w sklepiku szkolnym, owszem. Nie wolno im mieć gotówki w szkole, ale...

- W takim razie jestem pewien, że nie ma dużo. Nie mogli dotrzeć daleko.

- Mam nadzieję.

- Lepiej, jak zostanę tutaj. Zadzwoń do paru osób.

- Z pewnością tak będzie najlepiej.

- Zadzwoń pan znów, jak tylko będzie pan coś wiedział?

- Oczywiście.

Adrian rozłączył się bez pożegnania. Chryste! Tylko tego mu brakowało. Spojrzał na zegarek. Dzięki Bogu. Nie miał odwagi dzwonić teraz do Freddie, w środku nocy. Przy odrobinie szczęścia Harry odnajdzie się, zanim żona się obudzi.

Wyszedł na ulicę. Rozglądał się na wszystkie strony, mając nadzieję wbrew logice, że zobaczy małą postać w biegu. Było przenikliwie zimno, pewnie pięć stopni zimniej niż wczoraj. Zadrżał mimowolnie. Harry był gdzieś na dworze w tę pogodę.

Wrócił do środka, jeszcze raz przez chwilę zastanowił się, czy zadzwonić do Freddie, ale strach przed jej reakcją przeważał. To ona była silna. Dzięki niej wszystko funkcjonowało jak należy. Pralka i Harry.

Poczucie winy było Adrianowi obce. Nie miał go przez cały czas, kiedy spotykał się z Antonią, ale teraz ukłuło go w samo serce. Harry uciekł przez niego. Wycieli sobie nawzajem niezły numer z tym Michaeliem. Cokolwiek to znaczyło, wołanie o pomoc albo protest, Adrian był temu winien.

Wrócił do telefonu i wybrał numer Tamsin. Odebrała. W tle słyszał odgłosy śniadania, Meghan próbowała obłaskawić Flannery, Willa i Homer rozmawiali.

- Tamsin? Mówi Adrian. - Nie czekał na potwierdzenie. - Harry uciekł ze szkoły. Wiesz coś o tym?

- Cholera. - Odgłosy w pokoju ucichły. - Nie. Oczywiście, że nie.

- Domyślasz się, gdzie jest?

Tamsin milczała przez chwilę.

- Nie, ale spytam Homera. Zaczekaj. Zapadła cisza: musiała zakryć słuchawkę ręką.

Adrian był świadomy każdego uderzenia serca. Wstrzymał oddech. Głos Tamsin w słuchawce.

- Nie wspomniał o tym Homerowi ani słowem, kiedy tutaj był.

- W porządku.

- Powiedziałaś Freddie?

- Nie. Jeszcze śpi.

- Na pewno chciałaby wiedzieć.

- Nie...

Tamsin przerwała mu, była wściekła.

- Nie bądź takim tchórzem. Musisz jej powiedzieć. Zawsze, cholera, czuł się przy niej przyparty do muru.

Zachowywała się tak, odkąd się poznali. We wszystkim, co mu kiedykolwiek powiedziała, słyszał krzyk: Znam ją lepiej niż ty. Wiem lepiej od ciebie, czego potrzebuje. Kocham ją bardziej niż ty. Przez co nigdy się nie zaprzyjaźnili. Przeszła do frontalnego ataku.

- Wcześniej zarezerwuj jej samolot. Chciałaby tu być.

- To chyba nie jest konieczne. Tamsin poczerwieniała z wściekłości.

- Skoro natychmiast nie przyszło ci do głowy, że Freddie właśnie tego potrzebuje, to znaczy, że wasze małżeństwo jest w oplakany stanie.

Był zaszokowany i oburzony, ale kiedy już szykował się do ciętej riposty, znów mu przerwała:

- Daję ci pół godziny. Później sama do niej zadzwonię. Na litość boską, Adrian, zrób co trzeba.

- Rozłączyła się.

Dziesięć minut później Freddie zadzwoniła do Tamsin. Powiedziała tylko:

- O mój Boże.

Nie musiała nic dodawać. Tamsin przemierzała kuchnię w tę i z powrotem od rozmowy z Adrianem. Czuła paniczny strach i nachodziły ją niewybaczone myśli: „Dzięki Bogu, że to nie moje dziecko”, które miewają wszystkie matki, kiedy coś złego spotyka inne dzieci. Wypiła herbatę zrobioną przez Meghan i już mogła rozmawiać. Mówiła tak łagodnie i spokojnie, jak tylko potrafiła.

- Już dobrze, Freddie. Nic mu nie będzie, zobaczysz. Jest z kolegą. Razem są bezpieczni. Będą o siebie dbać. Na pewno nie zrobią nic głupiego. Znam Harry'ego.

Na zewnątrz było szaro, zimno i padało, i wcale nie czuła się tak pewnie, jak mówiła.

- Tak myślisz? - Głos małej dziewczynki. Dziecinne pytanie.

- Oczywiście. - Tamsin przeszła do praktycznej strony problemu. - Czy Adrian załatwił ci samolot?

- Tak. Zdaje się, że tobie to zawdzięczam.

- Pewnie nie był w stanie jasno myśleć. Ale zrobił to?

- Tak. Lecę pierwszym porannym lotem. Czeka mnie kilkugodzinna jazda i niedorzecznie długa odprawa celna, więc niedługo wyruszam. Bogu dzięki, że zadzwonił, gdyby czekał do rana, zmarnowałamby tyle czasu.

Tamsin zgodziła się milcząco.

- Co on teraz robi?

- Rozmawiał z policjantem, jest już w szkole. Powiedzieli mu, żeby nie ruszał się z domu, gdyby Harry chciał się skontaktować. Szkoła przekazała policji wszystkie informacje... w co był ubrany...

- Freddie urwała. - Och, Tamsin.

- Znajdą go, Freddie! - powtórzyła zdecydowanie. - Znajdą go.

Było zimno. Miał na sobie koszulkę, kamizelkę, bluzę z kapturem, lekkie spodnie i płaszcz, ale i tak przemarł. Naciągnął czapkę na uszy, ale zapomniał rękawiczek i palce zeszywniały mu z zimna. Spojrzał na Michaela siedzącego obok pod wiatą na przystanku autobusowym. Miał czerwony nos, mimo to nadal spał. Jak mógł spać w takim zimnie? Szturchnął go ramieniem. Może kiedy go obudzi, Michael powie mu, dokąd iść.

Ostatnia noc była ekscytująca: czekanie, aż zgasną światła, ubieranie się pod kołdrą. Czuł się trochę jak w *Mission Impossible*. Wymknęli się z terenu szkoły i było fantastycznie, kiedy pojawili się w zewnętrznym świecie niezauważeni. Biegli przez pole tak szybko, jak się dało, od czasu do czasu odważając się na podskok. Wolni.

Ale później Michael kazał mu iść. Muszą uciec jak najdalej, aż ktoś zauważy ich zniknięcie. Mówił o patrolach policyjnych i psach, co sprawiało, że Harry dotrzymywał mu kroku.

Michael cały czas powtarzał:

- To ich nauczy, że nie wolno im spieprzyć mi życia i nic sobie z tego nie robić. - Spojrzał na Harry'ego i dodał z emfazą: - Ani tobie. - Michael nie mógł się doczekać poranka, kiedy jego rodzice, każde w swoim domu, zaczną się martwić i mieć wyrzuty sumienia.

Harry cieszył się, że mama jest daleko. Na pewno jej o tym nie powiedzą. Nie chciał, żeby się martwiła. Ale Michael miał rację: rodzice powinni zrozumieć, że nie mogą myśleć tylko o sobie. Słyszał, jak jego mama i babcia się o to kłóciły. Babcia twierdziła, że rodzice są „ochotnikami”, a Michael jest jedyną prawdziwą „ofiara”. Harry'emu wydawało się, że Michael lubi to słowo. Nie był pewien, co znaczy, ale zakładał, że przyjaciel ma rację. Jeśli jego rodzice chcą „spieprzyć” sobie życie, niech robią to na własną odpowiedzialność, on był „ofiara” i ucieczka miała tego dowieść. Nie spodziewał się tylko, że będzie tak zimno.

Matthew wychodził, kiedy usłyszał telefon. Już był spóźniony. Mówił niecierpliwym głosem.

- To ja, Matt.



- Freddie! - Była załamana. - Co się stało?

Nie miał czasu, żeby przeciwżyć słowa pocieszenia. Żołądek skurczył mu się ze strachu.

- Moja biedna Freddie. Biedny Harry. Wiesz, dlaczego to zrobił?

- Domyślam się. To na pewno moja wina.

- Na litość boską! Nie bierz wszystkiego na siebie. Zakładając, że ma to coś wspólnego z tobą i Adrianem, to nie jest, do cholery, twoja wina, prawda?

Słyszał jej płacz, co było nie do zniesienia, płakała, a on nie mógł jej przytulić.

- W tej chwili ta sprawa nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby go znaleźli. I znajdą. Muszą.

- Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

- Przestań marudzić!

- Nie. - Harry miał dość. Był głodny, nie wspominając o tym, że przemarzył i zaczynał się bać. Naprawdę. Nie wiedział, gdzie są ani dokąd idą. Od kilku kilometrów nie rozpoznawał okolicy. To go przerastało.

- Zamknij się, Harry. - Nie poznawał też Michaela. Wcześniej, w szkole, czuł, że są równi jak przyjaciele. Ale teraz Michael przejął dowodzenie. Dziwnie się zachowywał, mówił takie dziwne rzeczy. Wlokąc się drogą przez ostatnią godzinę, Harry nabrał podejrzeń, że Michael nie ma żadnego planu. Teraz nie chciał odpowiedzieć.

Spojrzał na zegarek. Minęła pora lunchu. Nie jedli nic od kolacji, oprócz schowanych w kieszeniach batonów. I butelki coli na spółkę. W tylnej kieszeni miał dziesięciofuntowy banknot. Po drugiej stronie ulicy była stacja benzynowa i sklep.

Powiedział, że pójdzie tam i kupi chipsy. Miał nadzieję zostać chwilę w środku, żeby się ogrzać. Ale Michael spojrzał na niego dziko i zabronił mu, ponieważ ktoś mógł go zauważyć. Harry uważał, że trochę przesadza. Pomyślał o panu Dunmore i innych nauczycielach. Spostrzegli ich zniknięcie o siódmej trzydzieści, najpóźniej o ósmej. Jeśli chodzi o szkołę, szukają ich od czterech godzin. Zastanawiał się, co się tam dzieje. Strach, że są tu sami na zimnie, stał się ze strachem, co się stanie, kiedy ich znajdą. Wygrał ten drugi.

Michael usiadł ciężko na ławce. Nagle okropnie się rozplakał, pociągał nosem i rozcierał oczy, poniżony przez własne łzy.

- Nie wiem, dokąd idziemy - przyznał się. - Nie mam dokąd pójść.

Harry nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł się zdradzony. Współczując Michaelowi, równocześnie uświadomił sobie, że cokolwiek się działo z jego rodzicami, nie było takie samo. Nie czuł się tak osamotniony. Miał swoje miejsce.

Zachwiała się równowaga sił. Pewność siebie, która opuściła Harry'ego w długą, zimną noc na przystanku autobusowym, powróciła.

Ostentacyjnie lekceważąc łzy kolegi, powiedział tonem nauczyciela:

- Zostań tu przez chwilę. - Przeszedł na drugą stronę ulicy do sklepu na stacji benzynowej. W środku stała kolejka spieszących się ludzi, samych mężczyzn, i żaden na niego nie spojrzał. Podeszedł do maszyny z gorącymi napojami i ostrożnie wybrał dwa kubki gorącej czekolady. Wziął jeszcze tabliczkę mlecznej czekolady i kilka kanapek, cały czas sumując ceny. Dostał resztę w monetach, które pasowały do telefonu. Zanim wyszedł, ciepło w sklepie przywróciło mu czucie w palcach rąk i stóp.

Michael przestał płakać i siedział zgarbiony na ławce z brodą ukrytą w płaszczu. Bez słowa wziął gorący napój i zjadł kanapkę w rekordowym czasie.

- Lepiej zadzwońmy do kogoś - odezwał się Harry. Michael przytaknął, nie patrząc na niego.

Asystentka Matthew siedziała naprzeciw niego w biurze, wypełniając kartkę A4 pismem stenograficznym.

- To ty, Harry?

- Tak.

- Dzięki Bogu. - Matthew westchnął z ulgą. Spojrzał na zegar nad głową asystentki. Freddie jeszcze była w samolocie. Biedactwo, przeżyje prawdziwe piekło. - Gdzie jesteś?

Harry podał mu nazwę wioski i numer automatu, z którego dzwonił. Matthew kazał mu się nie ruszać z miejsca i czekać, aż zadzwoni do szkoły i do Adriana.

Oddzwonił w ciągu pięciu minut.

- Wszystko w porządku, stary?

- Zmarzłem i jestem zmęczony i głodny, poza tym wszystko w porządku.

- Co się stało?

- Uciekliśmy razem z Michaelem.

- Czy Michael jest z tobą?

- Siedzi na ławce na zewnątrz. Bardzo się martwi.

- Jesteście prawie dziesięć kilometrów od szkoły. Jadą do was, twój tata też.

Harry nie bał się tego, co zrobią albo powiedzą. Cieszył się, że już po wszystkim.

- Co z mamą?

- Jest w samolocie. Napisałem jej SMS-a. Przyjedzie do ciebie, jak tylko wyląduje. Fatalnie się czuje, Harry. Potwornie ją przestraszyłeś. - Matthew nie mógł się powstrzymać.

- Wiem. Przepraszam.

Matthew słyszał drżenie w głosie Harry'ego.

- Uspokoi się, Harry, jak tylko wyląduje i dostanie wiadomość.

Harry nie odpowiedział.

- Niedługo przyjedzie twój tata.

- Wścieknie się.

- Nieprawda.

- Na pewno. Zacznie mówić, że go zawiodłem i nie zachowałem się, jak na Sinclaira przystało.

Matthew wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać. Jeszcze słyszał afektowany głos Adriana. Matthew zadzwonił do niego i Adrian zdobył się na trzydzieści sekund zwykłej, rodzicielskiej ulgi, po czym powiedział dokładnie to, czego spodziewał się Harry. Matthew cieszył się, że rozmawiał z nim przez telefon, a nie prosto w oczy, obawiał się, że musiałby go walnąć w arystokratyczny, rzymski nos. Harry potrzebował Freddie.

Nie chciał się rozłączać z Harrym przed nadejściem pomocy, czuł, że chłopakowi przyda się rozmowa.

- Chcesz ze mną o tym porozmawiać, Harry?

- Nie bardzo. Nie chciałem być niegrzeczny... - dodał szybko.

- Nie przejmuj się. - Matthew nic nie mógł zrobić, ale rozmawiał z nim o zimnie, o tym, jak miło będzie wziąć gorący prysznic i włożyć czyste ubranie. Harry był w stanie wymamrotać tylko tak i nie, nie dodając nic od siebie.

Po kilku minutach przerwał.

- Przyjechał pan Dunmore.

- Dobrze, rozłącz się. Harry?

- Tak.

- Nie martw się. Mama zaraz przyjedzie. I już go nie było.

Abby dociekliwie przypatrywała się Matthew.

- To syn przyjaciółki, Harry. Uciekł ze szkoły - wyjaśnił. - Już wszystko w porządku. Właśnie przyjechał jego wychowawca.

- Dlaczego zadzwonił do ciebie?

- Nie wiem.

Jednak wiedział. Adrian nie podołałby temu emocjonalnie.

Harry szybko się usamodzielniał, jak Freddie.

Ona wierzyła, że od nikogo nie potrzebuje wsparcia i bliskości. Matthew miał nadzieję, że Harry nie nabawił się tych samych urazów.

Abby nadal mu się przyglądała.

- W porządku? - spytała. Chciała dobrze. Nie odpowiedział od razu i wstała. - Może przerwiemy to na chwilę? Zajmę się fragmentami, które już mi podyktowałeś.

Tak naprawdę to marzy o szklance herbaty, ale w tych czasach nie mógł o to prosić. W kancelarii znajdowała się kuchnia, w której wszyscy pracownicy byli sobie równi, cała w lśniącej, nierdzewnej stali, z lodówką wypchaną śniadaniem tych, którzy niewolniczo przestrzegali diet i nie zamawiali dań na wynos.

- Dzięki, Abby. Zrobię sobie herbatę. Przynieść ci coś?

- Nie, dzięki.

Dwadzieścia minut wcześniej piła kawę z asystentką starszego wspólnika, Jessicą. Koleżanka próbowała wycisnąć z niej informacje o Matthew.

- Daj spokój, od tygodni zachowuje się, jakby spadł z innej planety. Dlaczego?

Abby była lojalna, ale nawet ona nie mogła udawać, że Jessica się myli.

- Nie wiem.

Jessica nie była zachwycona. Zawsze wiedziała, co jej szef kupił żonie na urodziny i ile to kosztowało, знаła numer jego kołnierzyka, wiedziała, że lubi lekko wykrochmalone koszule i że nie zawsze był sam, kiedy zostawał na noc w klubie, rozpracowując „ważne sprawy”.

- Pieniądze, kobieta albo jedno i drugie - zawyrokowała.

- Nie ma innego wytłumaczenia.

Jessica oglądała za dużo telewizji i czytała za dużo gazet ze zdjęciami hollywoodzkich gwiazd, które zwierzały się z problemów z cellulitisem. Abby wydawało się, że przychodziła do pracy, codziennie zdecydowana udawać, że pracuje w tej samej firmie prawniczej co Ally McBeal.

- Naprawdę nie wiem. - Abby schowała mleko do lodówki i zamknęła ją, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru dłużej o tym rozmawiać.

W tym momencie Jessica wyciągnęła asa z rękawa.

- Lepiej, żeby się pilnował. Blake ma na niego oko. Słyszałam, jak ostatnio tak mówił. Matthew zwał mnóstwo roboty na kogoś innego i wyniósł się kilka tygodni temu, powiadamiając go o tym w ostatniej chwili. Blake twierdzi, że od tego czasu nie trzyma ręki na pulsie. Inni pracują za niego.

Abby patrzyła, jak szedł do kuchni. Wiedziała, że Jessica ma rację: nie pracował „pełną parą” ani „nie szedł na całość”, ani nie robił nic, co można by określić kolejnym głupawym powiedzonkiem. Martwiło ją to. Nie tylko jego położenie - romantyczne marzenia związane z przystojnym, owdowiałym szefem rozwiewały się pod jego surowym, nieprzejednanym spojrzeniem. Martwiła się też o siebie: jeśli miał kłopoty w pracy, ona też je miała. A obiecała swoim współlokatorom, że pojedzie z nimi na dwutygodniowe wakacje na Kretę...

W kuchni Matthew nie mógł ustać w jednym miejscu, gotując wodę. Chodził w tę i z powrotem, patrzył na ogłoszenia na tablicy, nie czytając ich, otwierał lodówkę, bawił się drobnymi w kieszeni.

Freddie wylądował za niecałą godzinę. Chciał pójść na lotnisko. Tak bardzo, że stawało się to niemal nie do zniesienia.

Ale nie mógł. Był przywalony stertą roboty. Szef zauważył, że się zmienił. I nie był pewien, czy chciała, żeby po nią wyszedł. Harry nie był jego synem, tylko Freddie i Adriana.

Po prostu nie mógł.

Woda zagotowała się i zalał herbatę.

To go męczyło jak kolka, ale nie mógł pojechać na lotnisko.

Samolot wylądował przed czasem. Lot trwał w nieskończoność. Freddie zrezygnowała z jedzenia, słuchawek i bezpłatnej gazety. Ani razu nie wstała z siedzenia. Bała się, że jeśli się odezwie albo poruszy, eksploduje. Przesiedziała sześć godzin, wpatrując się w swoje dłonie albo patrząc przez okno w szarą nicość lub na szew na siedzeniu przed nią. Businesswoman w średnim wieku siedząca obok kilka razy próbowała wciągnąć ją w rozmowę, ale było ją stać tylko na zdawkowe odpowiedzi. Nie mogła mówić. Nie w takiej chwili. Kobieta poddała się i zaczęła oglądać film.

Koncentrowała się na oddalaniu obrazów kłębiących się w jej głowie, które mogły ją zabić: zaginiony Harry, przestraszony Harry, martwy Harry. Ćwiczyła w myślach to, co chciała powiedzieć, i rozpaczliwie starała się przypomnieć sobie jego zapach.

Samolot lądował i łagodna muzyka rockowa, którą Virgin puszczał we wszystkich samolotach, przywołała ją do rzeczywistości. Nawet nie zauważyła, jak obniżał lot i kołował. Na ekranie wyświetlono lokalny czas i temperaturę. Siedem stopni. Freddie ciasno owinęła się rozpinanym swetrem. Włączyła komórkę, jak tylko koła dotknęły asfaltu, schowała ją i ściszyła. Dostała jedną wiadomość: JEST BEZPIECZNY. MATT X.

Zgasł znak nakazujący zapiąć pasy, ale Freddie nie mogła od razu wstać. Straciła czucie w nogach.

Dwie osoby nagrały się na pocztę głosową. Adrian mówił, że czekają na nią z Harrym w domu, i Tamsin zaśpiewała jak Stevie Wonder, że ją kocha. Matt musiał jej powiedzieć, że Harry'emu nic się nie stało.

Nie miała żadnego bagażu: wrzuciła kilka rzeczy do torebki i przyleciała. W hali przylotów tłoczyli się ludzie. Przypatrywała się im, szukając Matthew. Nie było go. Poczła dotkliwy zawód, ale rozbłysły jej oczy na widok tabliczki z jej nazwiskiem. Ruszyła w kierunku trzymającego ją kierowcy. Adrian musiał go przysłać. Przynajmniej o tym pomyślał.

Teraz chciała tylko jak najszybciej dostać się do Harry'ego.

Wydawał się większy, kiedy przyjechała zabrać go na ferie, ale teraz znów był mały, delikatny i wystraszony. Podbiegł do niej, jak tylko weszła do pokoju. Tuliła go nieskończenie długo, głaszcząc po włosach i szepcząc do ucha. Dopiero kiedy wyczuła, że już się nie boi i serce bije mu wolniej, odsunęła się i powiedziała mu prosto w twarz:

- Obiecuj, że już nigdy nie zrobisz czegoś takiego. - Potrząsnęła nim lekko i znów wzięła w ramiona, mówiąc ponad jego głową. - Tak się bałam, Harry, tak się bałam. Co by się stało, gdyby...? - Nie dokończyła zdania, po prostu przylgnęła do niego.

Wysłała Harry'ego pod prysznic i zrobiła mu kanapkę z bekonem. Adrian nie miał nic innego, kawalerska lodówka.

Był zbyt zmęczony, żeby gryźć. Siedział z zapadniętymi oczami. Zjadł wolno pierwszą porcję, ale drugiej nie dał rady. Nie spał przez całą noc i potrzebował snu. Zamknął oczy, zanim opadł na poduszkę. Wymruczał, kiedy podeszła do drzwi.

- Przepraszam, mammo.

Wróciła do niego i pogłaskała po policzku.

- Śpij. Porozmawiamy później.

Adrian otworzył butelkę wina i podał jej kieliszek. Też była zmęczona. Miała piekielny dzień. Zrzuciła buty i opadła na wielką sofę. Adrian usiadł naprzeciw niej.

- Co za bałagan - mruknęła.

- Wiem. Przepraszam.

Mówił stłumionym głosem i poczuła przypływ współczucia. Wiedziała, że kocha syna. Każde z nich inaczej to przeżyło, ale dla obojga był to cios.

- Pewnie okropnie się czułaś, siedząc w samolocie.

- Tak. Tobie też nie było łatwo mi o tym powiedzieć.

- Nie zrobiłbym tego, nie jestem zbyt odważny, ale Tamsin mnie zmusiła. - Uśmiechnął się smutno.

- Miała rację. Nie zniosłabym niewiedzy. To moje dziecko. Adrian niemal się zawstydził.

Wzięła głęboki wdech i upiła łyk wina.

- Musimy to rozwiązać.

- Freddie... Podniosła rękę.

- Pozwól mi mówić, Adrian, proszę. Ułożyłam sobie wszystko w głowie i muszę to powiedzieć.

Wstał, podszedł do okna i spojrzał na ogród. Wzięła kolejny głęboki wdech.

- Przepraszam, jeśli to zabrzmiało dość szorstko, ale uważam, że najlepiej zrobię, mówiąc wprost. Nie chcę już być twoją żoną. - Nie widziała jego twarzy i nie mogła ocenić reakcji.

- Między nami od dawna się nie układa. Nie chodzi o Antonię Melhuish. Myślę, że z tym daliśmy sobie radę. To o wiele poważniejsza sprawa niż romans. Nie jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Nie zależy nam obojgu na tym samym. Mamy odmienne poglądy na życie. Nie jesteśmy parą. A para, która ma wytrwać w małżeństwie, powinna być najlepszymi przyjaciółmi. Powinna mieć podobne odczucia. My nie mamy.

- Mieliśmy żyć jak papużki nierozłączki?

- Nie o to chodzi. Oczywiście, że nie. Ale pod koniec dnia oboje powinniśmy chcieć tego samego.

- Nie rozumiem.

Zmieszanie i frustracja malowały się na jego twarzy, kiedy się do niej odwrócił.

- Nie chcę tak dalej żyć. - Musiała mu to wytłumaczyć.

- Potrzebuję czegoś więcej. Zasluguje na to.

- Masz kogoś?

- To nie ma znaczenia, tak jak Antonia Melhuish, ale owszem, mam kogoś.

Rozpacz zamieniła się w szok i gniew. Nie chciała kłamać, ale wolałaby, żeby o to nie pytał.

- Kto to jest, do diabła? - Nie odpowiedziała. Rozglądał się po pokoju i zastanawiał. Nagle zrozumiał.

- Matthew, ten drań!

- Adrian...

- Teraz rozumiem. Jak to długo trwa? To znaczy, że przez cały czas przepraszałem za Antonie, zadręczałem się z powodu własnej głupoty, a ty...

- Ciszej. Harry miał dość wrażeń jak na jeden dzień.

- Harry! Wszystko jasne! Matthew zabiegał o względy mojego syna, na litość boską, Freddie, był pierwszą osobą, do której mały zadzwonił, kiedy uciekł.

Adrian naprawdę się zdenerwował. W jego świecie wszystko było proste: spałaś ze swoim małżonkiem albo z kimś innym.

- Przykro mi, że facetowi zmarła żona, ale to nie znaczy, że może się zabrać za cudzą.

Znów podniósł głos. Freddie naprawdę bała się, że obudzi Harry'ego. Wolała mu o tym powiedzieć osobiście, niż żeby usłyszał to wykrzywane w paskudnej kłótni.

Podeszła bardzo blisko do Adriana i syknęła:

- Zamknij się! Zabiję cię, jak obudzisz Harry'ego!

Jad w jej głosie uciszył go i osłabił gniew. Adrian opadł na krzesło.

- Matthew nie ma z nami nic wspólnego. Nie ściagał mnie ani się za mnie nie zabrał. Nie jestem rzeczą, którą można dać lub zabrać. To się stało dopiero wtedy, kiedy mi powiedziałaś, jeśli pamiętasz, że nasze małżeństwo jest skończone.

- Mówiłem ci, że popełniłem błąd. Nie musisz wyrównywać rachunków!

Nie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Co za oszałamiający brak zrozumienia.

- Nie próbowałam wyrównać z tobą rachunków, Adrian. - Uklękła naprzeciw jego krzesła, mówiła wolno i spokojnie. - Czy nie możesz mnie po prostu wysłuchać i zastanowić się?

Przytaknął.

- To nie jest kwestia Matthew ani Antonii, tylko nas. Nie rozumiesz, że gdybyśmy się kochali, nie byłoby żadnego Matthew ani Antonii? Nie byłoby dla nich miejsca. Nie zauważylibyśmy ich.

- Nie kocham Antonii.

- Mnie też nie kochasz.

- Skąd, do diabła, wiesz?

- Po prostu od bardzo dawna tego nie czuję.

- Tłumaczysz się tylko. Nie masz odwagi powiedzieć, że mnie nie kochasz, i usiłujesz mi wmówić, że to ja cię nie kocham.

- W porządku, Adrian. Nie kocham cię.

- Kochasz.

- Nie.

Nie odpowiedział. Zgarbił się.

- Kochałam cię, ale nie powinnam za ciebie wyjść - dodała Freddie.

- Dlaczego tak mówisz? Byliśmy szczęśliwi. Mamy Harry'ego.

- I zawsze będziemy go mieli.

- Masz zamiar mi go zabrać?

- Nie mogłabym tego zrobić. Teraz naprawdę jej słuchał.

- Ale chcę go zabrać ze szkoły.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale mu przerwała.

- Naprawdę, Adrian. Nie sprzeczasz się ze mną.

Zawahał się. Próbował to rozgryźć. Czy ona chce wywieźć Harry'ego do Ameryki?

- Słuchaj - odezwał się - też czuję się podle z powodu jego ucieczki, ale to nasza wina, a nie szkoły.

- Myślisz, że uciekłyby z domu?

- Raczej nie - dał za wygraną.

Mogła powiedzieć, że to szkoła skrzywiła Adriana. Sprawy, które wyszły na jaw po śmierci ojca, tylko utwierdziły ją w przekonaniu, że nie może dopuścić, by Harry stał się osobą niepotrafiącą wyrazić emocji. Ale nie musiała, już wygrała. Przynajmniej uwierzył jej w kwestii Harry'ego i ich małżeństwa, może nawet w kwestii Matthew.

Pewnie jakoś to sobie wytłumaczy. Clarissa i Charles na pewno mu pomogą.

- Nie powinieneś żenić się z cudzoziemką - powie jedno z nich.

- Bezwzględnie się zgadzam - doda drugie. Przytakną oboje i skreślą ją jako pomyłkę życiową.

Ale ma Harry'ego i Matthew i odzyska siebie.

Harry latał tylko do Europy, więc telewizory na oparciach siedzeń w klasie ekonomicznej Virgin były dla niego źródłem wielkiego podniecenia. Na dodatek, ku jego wielkiemu szczęściu, okazało się, że można na nich grać w nintendo.

- Fajnie. - Spojrzał na zegarek. - Powiniennem być teraz na fizyce. - Udał, że wymiotuje, przewracał oczami i włożył palec do ust.

- Muszę pomyśleć o prywatnych lekcjach w czasie podróży.

- Pewnie, mamó. Świetnie znasz fizykę, co? - zachwycił się.

- Nie bądź bezczelny!



Dzieci w wieku Harry'ego były fascynującymi towarzyszami podróży. Freddie pamiętała jednak jego pierwszy lot, kiedy miał osiemnaście miesięcy. Zarezerwowali dwa tygodnie w słońcu. Po trzech godzinach z Harrym przypiętym do niej dodatkowym pasem, kapiącym siedzenie naprzeciwko, zanoszącym się krzykiem i plującym dookoła okruszkami chleba miała ochotę na miesiąc w himalajskim ustroniu. Adrian przeczytał cały „The Telegraph”, siedząc w bezpiecznej odległości po drugiej stronie przejścia, i starał się sprawiać wrażenie, że podróżuje samotnie. Tuzin par oczu siedzących z tyłu wypalało jej dziurę w głowie. Przez kilka następnych lat trzymali się Devonu i Norfolk. A kiedy Harry podrośł, wyruszyli na coroczną pielgrzymkę do miejsc oferujących dobre pola golfowe.

Teraz szczęście Harry'ego nie miało granic. Bawił się siedzeniem przez całe dziesięć minut, wciskając guzik opuszczający i podnoszący je z powrotem, później eksperymentował ze światłem. Zawołał stewardesę bez wyraźnego powodu, żeby sprawdzić, czy może to zrobić. Włączał wszystkie programy radiowe i telewizyjne łącznie z filmem dla dzieci i trudną muzyką klasyczną. Wypił dwie cole i zjadł swoją maluteńką przekąskę oraz porcję Freddie.

Przeanalizował instrukcję bezpieczeństwa w najdrobniejszych szczegółach, podłączył się do konsoli, opuścił siedzenie i zatopił się w grze komputerowej.

Po trzech godzinach zdjął słuchawki.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie wcześniej nie zabrałaś.

- Powinnam to zrobić. Przepraszam.

- Nie o to chodzi. Pewnie jeszcze byłem za mały, ale chyba mi się tam spodoba, zobaczę miejsca, w których dorastałaś i tak dalej. To będzie zakręcona sprawa.

- Pozytywnie zakręcona?

- Pozytywnie zakręcona.

„Pozytywnie zakręcona” to właściwe podsumowanie.

Stewardesa przyniosła lunch i Freddie wypła małą butelkę czerwonego wina. Poczula się senna i zdrzemnęła się na chwilę, pokrzepiona obecnością Harry'ego. Jakbyś miała koszmary ból głowy, wzięła tabletkę, poszła spać i obudziła się całkiem zdrowa. To cudowne uczucie, kiedy już nic ci nie dolega. Teraz było podobnie.

- Harry? Możemy porozmawiać?

- Pewnie. - Przysunął się bliżej i spojrzał na nią. - Tamsin powiedziała, że ze mną porozmawiasz, kiedy będziesz gotowa.

- Naprawdę? - Potargła mu włosy. - Kiedy tak wydorostałeś?

Odepchnął jej rękę.

- Przestań. - I dodał po chwili. - Ja pierwszy. Przepraszam za ucieczkę. Nie było w tym nic dorosłego. Tak naprawdę, to nie chciałem tego zrobić, Michael mnie namówił. Nie zmusił mnie, ale nie

uciełbym, gdyby nie on. Jakie to żałosne. Chcę tylko powiedzieć, że to było złe. Więcej tego nie zrobię.

- Chciałbyś nie wrócić już do tej szkoły?

- Nigdy więcej? - Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie.

- Nigdy więcej.

Powinna się przeciwstawić lata temu. Kobieta, która pozwoliła Adrianowi i jego cholernym rodzicom odesłać swoje dziecko, zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Dobrze się z tym czuła.

- A do jakiej szkoły pójdę?

- To w zasadzie zależy od ciebie. Możemy się rozejrzeć wśród dziennych szkół w okolicy. Możesz nawet pójść do szkoły Homera.

- Do państwowej?

- Czy to ci przeszkadza?

- Nie. Super. Ale co z tatą?

- Trzeba go będzie trochę przekonać... ale...

- Co z wami?

- Ach. - Chciał się wszystkiego dowiedzieć. - Te problemy, o których ci mówiłam? - Przytaknął.

- Nie umiemy ich rozwiązać, skarbie. Postanowiliśmy się rozstać.

- Weźmiecie rozwód?

- Tak. Przepraszam.

- Martwisz się tym?

Boże! Niech dziennikarze głowią się nad trudnymi pytaniami.

- Oczywiście, oboje się martwimy. Nikt nie chce się rozwodzić, Harry. Kiedy ludzie się pobierają, składają przysięgę i wierzą, że ich małżeństwo przetrwa. Jeśli to się nie udaje, a małżeństwo rozpada się z tysiąca różnych powodów, czujesz, że przegrałeś. Porażka jest jeszcze bardziej dotkliwa, jeśli w małżeństwie są dzieci, zawiodłeś swojego partnera i dzieci. Kompletna kłapa.

- Dlaczego wasze małżeństwo się popsuło?

- To skomplikowana sprawa, kochanie. Naprawdę jesteś jeszcze za mały, żeby zrozumieć, jak bardzo. - Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała żadnego z nich.

- Już nie kocham taty - tłumaczyła Freddie. - Nie tak jak powinnam. - To takie proste.

- Czy on cię kocha?

- Też nie tak jak powinien.

- Kochacie kogoś innego?

Teraz musi być ostrożna. Nie przypuszczała, że tak szybko o to spyta.

- Nie wiem, czy tata kogoś kocha, sam musisz z nim o tym porozmawiać. Ja kocham kogoś innego. Ale te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Nie przestałam kochać taty z powodu tej osoby.

Harry milczał przez chwilę.

- Czy to Matthew?

Czyżby była jedyną osobą na całej cholernej planecie, która tego nie widziała? Nawet własny syn domyślił się wcześniej od niej.

- Czemu o to pytasz?

- Chciałbym, żeby to był Matthew.

- Dlaczego?

- Żadne z was nie powinno być samo. Matthew potrzebuje kogoś nowego. Jest smutny od śmierci Sary. Gdybyś zakochała się w Matthew, nie musiałbym się przyzwyczajać do kogoś nowego. Już go znam. Lubię go. Matthew jest w porządku.

Proszę, proszę. Harry, jej mały synek, streścił wszystkie obawy ostatnich trzech miesięcy w kilku prostych zdaniach. Najchętniej by go uściskała.

- To Matthew.

Harry kiwnął głową ze zrozumieniem, przeżuwał tę informację przez kilka chwil.

- Fajnie.

Adrian przestraszył się, kiedy mu powiedziała, że zabiera Harry'ego do Stanów.

- Na jak długo?

Nie miała powodu, żeby go ranić, już nie.

- Wrócimy na Boże Narodzenie.

- A co potem?

- Nie wiem, Adrian. Potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- Ale mogłabyś tam wrócić? Zamieszkać w Ameryce?

- Pewnie tak. Jest dom ojca. Muszę przeanalizować swoje całe życie. W tej chwili czuję, że nigdzie nie mam domu. Nie jestem Angielką i od dawna nie mieszkam w Ameryce. Czuję, że nie mam własnego miejsca. Ale mój dom to Harry i...

- Matthew. Freddie przytaknęła.

- Chyba tak.

Adrian zacisnął szczęki.

- Nigdy nie będzie ojcem Harry'ego.

- Oczywiście, że nie. Nawet by się nie starał. Cokolwiek się z nami stanie, Harry zawsze będzie twoim synem. Nigdy nie spróbuję was rozdzielić. Nie chcę zranić żadnego z was. On cię kocha.

- Ja też go kocham.

- Wiem.

Nie dodała w stylu Tamsin, że włożył niewiele wysiłku, by odwiedzać Harry'ego, od którego dzieliła go godzina jazdy. Nie chciała zdobywać punktów. Kochała go kiedyś.

- A co z nami? To ją zaskoczyło.

- To znaczy - dodał - widziałaś się z prawnikiem? Musimy to zrobić?

- Tak, musimy. Wzdrygnął się.

- Adrian! To nie ma sensu. Między nami wszystko skończone. Musimy iść dalej. Oboje. A to się nam nie uda, jeżeli nadal będziemy małżeństwem.

Potrząsnął głową.

- Jesteś taka niepewna co do innych spraw. Ale jak tylko o tym wspomniałem, nie masz wątpliwości. Tak. Rozwód. Zdecydowanie. - Spojrzał na nią. - Czy byłem aż takim potworem?

Ta rozmowa zmierzała donikąd. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie byłeś potworem, Adrian. Nie. - Odetchnęła głęboko. - Po prostu nie wystarczałeś mi. Nie byłeś odpowiedni. Przepraszam.

Położył rękę na jej dłoni i przytaknął.

- W takim razie, zgoda.

Grace była w domu razem z Reagan. Obie wyszły na ganek, kiedy podjechała taksówka. Reagan przyłgnęła na chwilę do Freddie i odezwała się:

- Cieszę się, że cię widzę, Harry. - Patrzyła na Freddie ponad jego głowę. Wiedziała, co się zdarzyło, Freddie zadzwoniła do Point Inn z lotniska w zeszłym tygodniu.

- Pamiętasz Grace, Harry?

- Oczywiście, że nie. Nie widział mnie od lat. - Grace uśmiechnęła się do niego.

Harry wzruszył ramionami.

- Przepraszam!

- Bzdury! Nie ma za co przepraszać. Chodź ze mną do środka, przygotuję ci coś do jedzenia, posiłki w samolocie nie są zbyt obfite, co? - Oboje ruszyli powoli w kierunku domu.

Reagan przeszył dreszcz i Freddie objęła ją ramieniem.

- Jak się miewasz?

- W porządku.

- Naprawdę?

- W każdym razie lepiej.

- Co masz zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiem. Chyba wrócę do Anglii na Boże Narodzenie, muszę załatwić parę spraw.

- Wszyscy się ucieszą. Rozmawiałam z Matthew i Tamsin. Nie są na ciebie źli.

Matthew był zbyt szczęśliwy, żeby się na kogokolwiek gniewać. Z Tamsin nie poszło tak łatwo.

- Nie mogę uwierzyć, że ci to zrobiła. - Freddie musiała ją przekonać.

Reagan uśmiechnęła się.

- Dzięki. Jak ci się to udało?

- Uważają, że powinnaś skorzystać z pomocy. Nikt nie chce, żebyś była nieszczęśliwa.

- Mam taki zamiar.

- Szczerze mówiąc, Tamsin i ja mamy wyrzuty sumienia, że nie nakłoniłyśmy cię do tego wcześniej.

- Niepotrzebnie. Co u Matta?

- Jest cudowny. - Freddie wzięła głęboki wdech. - Słuchaj, Reagan, muszę ci powiedzieć... -

Reagan przerwała jej gestem.

- Powinniście być razem. Cieszę się, naprawdę.

- To dobrze, bo tu przyjedzie.

- Znów? - Tym razem żartowała.

- Co mam powiedzieć? Nie może beze mnie wytrzymać!

- Nawet jeśli wywalą go z pracy?

- To problem. Chociaż chyba nie są aż tak głupi, żeby go wywalić. Nie wiem, czy w ogóle mogą to zrobić. Całkiem serio zastanawiamy się, czy się tu nie przeprowadzić na jakiś czas. Zabrałam Harry'ego ze szkoły, oboje mamy amerykańskie paszporty. Jest też dom w Bostonie. To chyba dobre miejsce, dopóki nie przywykniemy do nowej sytuacji.

- Zabawne, że to mówisz. Też o tym myślałam. Bardzo mi się podobało w Provincetown. Chyba znalazłam tam przyjaciół, pierwszych od czasu... kiedy was poznałam.

- Świetnie. Kto to jest?

- Dziewczyny, które prowadzą zajazd, były dla mnie bardzo miłe. Znają mnóstwo ludzi w miasteczku. I...

Freddie domyślała się, co nastąpi dalej.

- ...spędziłam trochę czasu z Rebeccą.

- Naprawdę?

- Tak. Nie wściekaj się. Nie rozmawialiśmy o tobie. Skoczyłam jej do gardła, kiedy przyjechała szukać cię w Chatham.

- Nie jestem wściekła. Możesz rozmawiać, z kim chcesz.

- Jest miła, Fred. Przypomina cię pod wieloma względami.

Freddie wiedziała.

- Nasze ostatnie spotkanie było okropne. Powiedziałam coś paskudnego.

- Martwiła się, kiedy usłyszałyśmy, co się przytrafiło Harry'emu.

- Nic mu nie jest.

- Bogu dzięki.

- Zostaniesz w Provincetown?

- Nie wiem. Jeszcze tego nie przemyślałam. Po prostu potrzebuję zmienić miejsce na jakiś czas. Cosmo i Rebecca mają pokoje do wynajęcia. - Freddie zastanowiła się przez chwilę. To dobry pomysł.

Grace też zastanawiała się nad swoją przyszłością.

- Chciałam spytać cię o radę. - Zamierzała zamienić dom w Cape Cod w pensjonat. Całe życie opiekowała się ludźmi i nie chciała się stąd ruszać, ale nie wyobrażała sobie krzątania w pustym domu, a to wydawało się idealnym rozwiązaniem. Sama decydowałaby, kiedy przyjmować gości.

- Świetny pomysł.

Grace pierwszy raz szczerze się uśmiechnęła od przyjazdu Freddie.

Wpadła na ten plan przypadkiem, tuż przed zaśnięciem. Obudziła się i nadal go pamiętała. Omówiła go z Matthew przez telefon, też uważał, że to niegłupie.

- Myślisz, że się zgodzą, kochanie?

- Nie wiem, ale nie dowiem się, jeśli ich nie spytam. Obie mnie kochały. Sprawdźmy to.

- Może poczekaś kilka dni, aż przylecę. Pojechałbym z wami.

Nie chciała.

- Pojedziesz ze mną w jedno miejsce? - spytała Freddie. Grace zgodziła się bez wahania, chyba wiedziała dokąd.

Zaproponowała Rebecce, żeby się spotkały w neutralnym miejscu; pomyślała o kawiarni przy ulicy, gdzie kończyły się sklepy, na prawo od zejścia na plażę. Znajdował się tam taras wychodzący na piasek. Wzięły z Grace kawę i wyszły na zewnątrz, gdzie stało kilka zniszczonych ławek. Było zupełnie pusto i Freddie wybrała środkową. Usiadła i zobaczyła znak wiszący na ogrodzeniu oddzielającym taras od plaży. Rysunek przypominający komiks przedstawiał Ziemię, jaskrawozieloną i błękitną, slogan wzywał do rozsądnego postępowania ze śmieciami: KOCHAJ SWOJĄ MATKĘ.

Było zimno, ale bezwietrznie. Siedząc bez ruchu, czuło się ciepło słońca.

- Nic ci nie dolega, Grace? Grace uśmiechnęła się.

- Dawno tak do mnie nie mówiłaś.

Freddie miała nadzieję, że przyprowadzenie Grace tutaj nie było ostatnim na długiej liście egoistycznych uczynków, dzięki którym miała się lepiej poczuć. Chciała, żeby to było z pożytkiem dla nich wszystkich, nawet dla Rebeki.

- Naprawdę?

- Tak. Nazywałaś mnie Grace, kiedy byłaś małą dziewczynką.

Niewielka grupa ludzi przeszła plażą. Wyglądali jak trzy pokolenia tej samej rodziny: babcia, matka i małe dziecko, prawie niewidoczne spod czapki i szalika. Dorosłe kobiety trzymały dziecko za rękę i huśtały co kilka kroków. Freddie słyszała zachwycony śmiech brzdąca.

- Witajcie.

To Rebecca. Przyszła sama. Miała na sobie niesamowity płaszcz: przypominał gobelin w ja-skrawych, lśniących kolorach wykończony wielkim purpurowym kołnierzem ze sztucznego futra. Stroju dopełniał purpurowy beret przekrzywiony na prawą stronę. Wyglądała pięknie. Freddie zauwa-żyła, że Grace spojrzała na swój szary płaszcz, kosztowny i wspaniale uszyty, ale nie dorównywał purpurowemu gobelinowi. Zastanawiała się, czy Grace też o tym pomyślała: jak ten sam mężczyzna mógł kochać dwie tak różne kobiety. Później przypomniała sobie Antonię Melhuish i Sarę.

- Dzięki, że przyszłaś. - Wstała, niespotykane oficjalna.

- Jakbym miała wyjście. - Rebecca zwróciła się do Grace i podała jej rękę. - Pewnie jesteś Gra-ce. Tak się cieszę, że cię w końcu poznałam. - Uścisnęły sobie dłonie.

- Przyniosę ci coś do picia. Co chcesz?

- Herbatę. Bez mleczka i cukru. Earl grey, jeśli mają.

Freddie weszła do środka. Obserwowała obie kobiety przez kawiarniane okno, czekając na her-batę, ale nie widziała, czy ze sobą rozmawiały. Wróciła, postawiła filiżankę i usiadła naprzeciwko. Odezwała się po chwili.

- Wszystkie trzy stanowimy części układanki. Każda z nas żyła do pewnego stopnia ze świa-domością brakujących elementów i żadnej nie wyszło to na dobre. Te brakujące elementy wywarły ogromny wpływ na nasze życie, na pewno na moje. Mój ojciec nie żyje, więc nie uda nam się skoń-czyć układanki, ale każda z nas może dołączyć te elementy, które zna. Ja mogę uzupełnić wasze ukła-danki, a wy moją. Powinniśmy opowiedzieć sobie historię mojego ojca. Nie wiem jak wy, ale ja mu-szę ją poznać. Długo się nad tym zastanawiałam. Nie zmienimy tego, co było, ale jeśli tego nie zrobi-my, jeśli ja tego nie zrobię, odcisnie się to na moim dalszym życiu, a tego nie chcę. Dlatego was o to proszę. Jeśli nie macie takiej potrzeby, proszę, zróbcie to dla mnie.

Patrzyła na obie kobiety. Grace kiwnęła głową. Rebecca odezwała się pierwsza:

- Chyba masz rację.

- W porządku. - Freddie spojrzała na swoje ręce splecione na stoliku i ślad szminki na białym brzegu kubka. - Mój ojciec, Thomas Valentine, urodził się w listopadzie tysiąc dziewięćset dwudzie-stego pierwszego roku. Nie znam żadnych szczegółów z jego dzieciństwa oprócz tego, co mi po-wiedziała Rebecca. Sama też wie niewiele więcej.

- To nie było jego prawdziwe nazwisko - wtrąciła Grace. - Zmienił je po wojnie.

Freddie poczuła olbrzymią ulgę, każda z nich coś wiedziała i zamierzały podzielić się tą wiedzą. Jej plan się powiódł.

- Dlaczego?

- Nie zmienił imienia, Valentine to nazwisko oficera, którego spotkał w wojsku. Wydawało mu się lepsze niż jego własne. Nazywał się Thomas Jacob.

Freddie przytaknęła, nie chciała przerywać. Pragnęła usłyszeć, co wie Grace.

- Sądzę, że początkowo miał całkiem szczęśliwe dzieciństwo. Dorastał z dwoma młodszymi braćmi. Ojciec był właścicielem sklepu wielobranżowego w małym miasteczku w stanie Maine. Nie pamiętam nazwy, ale przypomniałabym sobie, gdybym zobaczyła je na mapie. Nigdy tam nie pojechaliśmy. - Potrząsnęła głową. - Chodził do szkoły, był zwykłym chłopcem. Nie miał żadnych zdjęć z dzieciństwa, ale mówił, że był dość potężny i nie miał problemów z innymi chłopakami. Świetnie radził sobie w sporcie. Wszystko zaczęło się sypać, kiedy był nastolatkiem. Jego rodzinę doświadczył potworny pech. Pewnej nocy wybuchł pożar, który doszczętnie zrujnował sklep i zabił jego braci. Zostali na górze i rodzice ani starszy brat nie mogli się do nich dostać. Pamiętał, że próbował. Ale było za gorąco, ogień rozszalał się na dobre. Nie zdołał ich uratować. Widział jednego z braci przez okno, zanim zakrył go dym, pewnie próbował stłuc szybę. Thomas widział, że porusza ustami, ale nie wiedział, co mówi. Przez całe życie dręczyły go koszmary związane z tym wspomnieniem.

Nigdy o tym nie opowiadał, ale to musiało go złamać. Wypadek go znieczulił. W tym czasie nastął wielki kryzys i chociaż na Wschodnim Wybrzeżu było lepiej niż w innych miejscach, tu też się nie przelewało. Ojcu Thomasa nie udało się ponownie otworzyć sklepu i Tom musiał rzucić szkołę. Nie znam dokładnej kolejności wydarzeń, ale ojciec zaczął pić i bardzo popsuky się jego relacje z matką. Nigdy nie pogodziła się z utratą synów.

Thomas wspomniał kiedyś, że strata dwójki dzieci powinna zbliżyć ją do tego, które ocalało, ale odtrąciła go. Jakby miała mu za złe, że przeżył. To dziwnie brzmi, ale słyszy się o podobnych przypadkach, prawda? Rozpacz to nieodgadnione uczucie.

Miał pokręcone wspomnienia z tamtych czasów, jakby wyparł niektóre wydarzenia z pamięci. Wspominał pijackie awantury i przemoc, ale twierdził, że były sporadyczne. Cała trójka po prostu wiodła smutne, nijakie życie.

Wojna stała się niemal wybawieniem. Oglądał kronikę filmową w kinie, widział żołnierzy na froncie w Europie i w Afryce i modlił się, żeby Ameryka przyłączyła się do działań wojennych. Usłyszał wiadomość o Pearl Harbor i pomyślał, że jest chyba jedynym dwudziestojednoletnim mężczyzną w Ameryce, który się z tego cieszy. To była szansa ucieczki. Nie mógł się doczekać wyjazdu i nigdy nie wrócił do domu. Matka zmarła w czasie wojny, a ojciec po prostu przestał do niego pisać.

Jak na ironię, nie doświadczył trudów wojennych. To było niesprawiedliwe. Tylu młodych mężczyzn, którzy nie chcieli iść na wojnę, straciło życie, a jego, który marzył o pierwszej linii frontu, przydzielono do jakiejś nudnej pracy biurowej. Po zakończeniu szkolenia wojskowego przez całą wojnę nie oddał ani jednego strzału. Nie przeżył bombardowania ani nawet się nie bał. Taką miał wojnę.

- To mnie nurtowało przez całe lata - wtrąciła Rebecca. - Wyobrażałam go sobie stacjonującego w miasteczku, gdzie dorastała moja matka. To było takie senne miejsce. Nadal nie mogę sobie wyobrazić, że roіło się od żołnierzy.



Grace rzuciła Freddie pytające spojrzenie.

- Teraz moja kolej - ciągnęła Rebecca. - Niewiele wiem o jego wojennych doświadczeniach, ale bardzo dobrze znam miejsce, gdzie spędził wojnę. Wychowałam się tam.

Grace wyglądała na skonsternowaną, ale się nie odezwała.

- Salisbury Plain, to była ich placówka. Jeździliśmy tam rowerami, kiedy byłam dziewczynką. W okolicy Stonehenge. Kiedyś można było się tam dostać, teraz jest ogrodzone. Pamiętam, jak opierałam rower o kamienie i wspinałam się na nie. Latem często jeździliśmy tam z przyjaciółką.

Wioska jak z bajki. Do domów stojących przy głównej ulicy dało się dotrzeć, tylko przechodząc przez mostek, dołem płynął strumień. Był tam też kościół, poczta, trzy puby i szkoła. Oczywiście nie chodziłam do niej. Uczyłam się w prywatnej szkole w Salisbury. Dojeżdżałam autobusem niekończącą się, wyboistą drogą. Wydawałam całe kieszonkowe na twarde karmelki, dzięki którym nie chciało mi się wymiotować. Mieszkaliśmy w domu, w którym moja matka spędziła całe życie. Największy dom w wiosce, tylko probostwo mu dorównywało. Architektura z czasów króla Jerzego, doskonała symetria i nieskalany biały tynk wokół dużych okien. Wewnątrz znajdowały się antyki i wielkie, brzydkie obrazy. Matka wspominała, że nie zmienił się od czasów jej dzieciństwa, ale nigdy nie dowiedziałam się, czy to pochwałała, czy nie.

Miała tak samo pełne zakazów i uporządkowane dzieciństwo jak ja i musiała go tak samo nie-  
nawidzić. Nie powstrzymało jej to jednak przed wychowaniem mnie w ten sam sposób. Co mówią o grzechach przodków? Nigdy nie wspomniała słowem o tym, co się zdarzyło w trakcie wojny.

- Co się zdarzyło? - przerwała Grace.

- Matka i Tom zakochali się w sobie.

Grace była zupełnie zszokowana: nerwowo mrugała oczyma, próbując oswoić się z rewelacją Rebeki.

- Nie wiedziałas? - spytała Rebecca.

- Nie.

- Dlaczego odeszłam, jak sądzisz?

- Zaczekaj - wtrąciła się Freddie. - Co jeszcze o nich wiesz?

- Tylko to, co ci powiedziałam, kiedy przyszedł do pracowni. - Rebecca jeszcze raz spojrzała na Grace. - Opowiedziałam Freddie, co usłyszałam od niego. Zastał mnie w łóżku z kochankiem i dostał szału, wyzwiał mnie od najgorszych, po czym stwierdził, że jestem taka sama jak moja matka.

- Nie miałaś pojęcia, że się znali?

- Oczywiście, że nie. Prawdopodobnie wiedział, kim jestem, kiedy tylko mnie zobaczył, ale nie powiedział ani słowa. Nie mógł, prawda? Za to później nadrobił to z nawiązką!

- Co się stało?

- Rodzice matki wysłali ją do krewnych, rozdzielili ich. Nie był odpowiednią partią. Amerykanin, zwykły żołnierz, bez pieniędzy.

- To wszystko?

- Najwyraźniej tak. Musiał jej nienawidzić za to, że do tego dopuściła.

- Chyba nie miała wyboru?

- Oczywiście, że miała - zaproponował Freddie. - To się zdarzyło w dwudziestym wieku, na li-  
tość boską, nie dawnymi czasy. Mogła o niego walczyć, gdyby chciała.

- Więc nigdy go naprawdę nie kochała?

- Tej części układanki już nie znajdziemy - odezwała się Rebecca. - Żałuję, że nie miałam od-  
wagi jej spytać. Ale wtedy nie mogłam znieść myśli, że byli razem.

- Twoja matka nie żyje?

- Zmarła wkrótce po tym, jak opuściłam Thomasa. Nigdy nie rozmawiałam o tym z ojcem.  
Pewnie nic nie wiedział.

- Ale dobrze znałaś matkę. Jak ci się wydaje?

- Wydaje mi się, że go nie kochała. Gdyby było inaczej, musiałyby zostać w niej jakiś ślad. Takie  
sprawy naznaczają na całe życie, prawda? Wyciskają piętno i kształtują osobowość.

Grace przytaknęła.

- Ona go naznaczyła.

- Właśnie. - Rebecca skierowała pełne zaskoczenia spojrzenie na Grace. - I zobacz, jakie to  
miało konsekwencje.

- Chcesz powiedzieć... - Grace z trudem dobierała słowa. - ... chcesz powiedzieć, że ożenił się z  
tobą... z zemsty?

- Tak. Albo chciał, żebym ją zastąpiła. Może próbował uformować mnie na jej podobieństwo.  
Prawdę mówiąc, nie wiem, która wersja jest gorsza.

- Gdyby to była zemsta, z pewnością chciałby, żeby twoja matka się o wszystkim dowiedziała.

- A nie dowiedziała się? - spytała Freddie.

- Raczej nie. Nigdy jej nie powiedziałam. Zmienił nazwisko, prawda? Rodzice nie przyjechali  
na nasz ślub, więc nigdy się nie spotkali. Byli na mnie tacy źli, że w ogóle nie chcieli go znać.

- A kiedy ty się dowiedziałas? - dopytywała się Grace.

- Mówiłam o tym Freddie. Moja matka była umierająca.

- I o nic nie pytałaś?

- Nie miałam odwagi spytać wprost. Próbowałam nakłonić ją, żeby sama mi powiedziała. Go-  
dzinami przesiadywałam przy jej łóżku. Pytałam ją o dzieciństwo, o mojego ojca, miała mnóstwo oka-  
zji, żeby to z siebie wyrzucić, ale tego nie zrobiła.

- Nie kochała go - zgodziła się Grace. - Nic ci nie powiedziała, bo to nie było częścią jej duszy.

- Nie wiadomo. - Freddie chciała wierzyć, że go jednak kochała. Tak jak Tamsin, część jej osoby wierzyła w łamiącą serce, nieodwzajemnioną miłość. Czuła ból na myśl, że całe życie ojca zostało podporządkowane czemuś, co nie znaczyło aż tyle dla matki Rebeki.

- Nigdy mi o tym nie wspomniał. Mógł to zrobić. Powinien.

- Powinien powiedzieć nam wszystkim.

- Co się z nim działo pod koniec wojny?

- Wrócił do Stanów. Jak wspomniałam, nigdy więcej nie pojechał do Maine. Trafił do Waszyngtonu, gdzie wymyślił swoje życie od nowa, przybrał nazwisko tego faceta. Miał obsesję na punkcie sukcesu, to kierowało wszystkimi jego poczynaniami. Nie zrobił nic, dzięki czemu nie stałby się lepszy w oczach świata. Pracował, chodził do szkoły wieczorowej, skończył studia. Oczywiście to nie wystarczyło. Ameryka nie różni się pod tym względem od Anglii, a na pewno nie różniła się w latach pięćdziesiątych. W tamtych czasach praca i osiągnięcia nie wystarczyły, żeby zrobić karierę prawniczą, trzeba było mieć właściwe pochodzenie. W latach pięćdziesiątych przyjechał do Bostonu.

- I wszystko wymyślił.

- Właśnie. Jedno wielkie kłamstwo.

- Jakie to dziwne - wtrąciła Rebecca. - Strata mojej matki pomogła mu odnieść sukces. Jakby obsesyjnie chciał zostać człowiekiem, którego mogłaby poślubić, mimo że nie było na to szans.

- A ty byłaś prawie jak ona - zasugerowała Freddie.

- Przez jakiś czas tak myślałam. Pod koniec stał się okrutny. Ale początkowo byliśmy szczęśliwi. Po prostu popieprzony facet. Chyba nie zdawał sobie sprawy, co robi, kiedy mnie poznał. Poświęcił cały czas i energię, żeby zostać uznanym prawnikiem, z masą pieniędzy w banku i wielkim domem na Beacon Hill. Zdobyć szacunek. Poznać właściwych ludzi. Ale zdaje się, że nigdy nie uporał się z własnymi problemami.

- Rebecca ma rację. Był załamany, kiedy go poznałam. I nigdy nie udało mi się go całkowicie naprawić. - Grace uśmiechnęła się blado. - Naprawiłam tę część, która domagała się miłości. To mi się chyba udało. Mimo że nie mówił mi wszystkiego, wierzę, że łączyło nas prawdziwe uczucie.

- Tak było, Grace - przyznała Freddie.

- Ale nie udało mi się zrobić z niego dobrego ojca. Obie kobiety spojrzały na Freddie, którą piekły policzki.

- Kochał cię, ale nie był dobrym ojcem - dodała Grace.

- Dlaczego? - spytała Rebecca. - Kochał ją, kiedy się urodziła. Widziałam to.

Rebecca przypomniała sobie postawnego mężczyznę trzymającego maleńkie niemowlę. Pocałował żonę przelotnie w czoło, jeszcze miała mokre włosy po trudach porodu, i podszedł do kosza. Freddie niemal cała mieściła się w jego dłoni.

Rebecca zapamiętała delikatne włoski i piąstki młójące powietrze. I wyraz olśnienia na jego twarzy.

- Dopiero kiedy wiedział już, że umiera, opowiedział mi o swoim dzieciństwie, braciach i innych sprawach. Gdyby nie trzymał tego w tajemnicy, mogłabym go lepiej zrozumieć - przyznała Grace.

- Uciekłaś dlatego, że dowiedziałaś się o matce?

- Tak. Od dawna nie byliśmy szczęśliwi. Chciałam odejść. Kiedy się o wszystkim dowiedziałam, nie miałam wyjścia.

- Dokąd poszłaś? - spytała Freddie.

- Jak mówiłam, najpierw do Anglii, ale to niczego nie rozwiązało i nie mogłam tam zostać. Wróciłam do Bostonu. Wtedy cię pierwszy raz zobaczyłam, Grace. Zatrudnił cię zaraz po moim odejściu, wiedział, że nigdy do niego nie wrócę.

- Myślał, że możesz wrócić po Freddie - wtrąciła Grace.

- Zrobiłam to. Już jej powiedziałam. Tylko raz. Widziałam was w Common.

Freddie krótko uściśniła rękę Grace.

- Wyglądaliście na bardzo szczęśliwe - ciągnęła Rebecca.

- Nie byłam zazdrosna. Tylko nieprawdopodobnie smutna. Wiedziałam, że się do niczego nie nadaję. I nie miałam pojęcia, czy to się kiedykolwiek zmieni.

- Dokąd wtedy pojechałaś?

- Wszędzie. Gdziekolwiek. To była podróż do zatracenia. Załamalam się, zanim zdążyłam cokolwiek odbudować. Dostałam wolność, o której zawsze marzyłam, i korzystałam z niej, ile się dało. Brałam całe mnóstwo narkotyków, piłam, wplątywałam się w niebezpieczne sytuacje w niebezpiecznych miejscach. To się wydaje romantyczne, jak w filmach, ale tak nie jest. Przeżyłam koszmar. Sięgnęłam dna. Chyba ścigałam zapomnienie.

- A ja wychowywałam twoją córkę. - W głosie Grace nie było gniewu, nie osądzała Rebeki. Po prostu trzymała się faktów.

- Dziękuję ci. - Rebecca ujęła dłoń Grace. - Dziękuję. Wiedziałam, zanim odeszłam, że nic jej nie będzie.

- Było mi bardzo dobrze. Grace jest wspaniała. - Freddie poczuła przyływ lojalności. Ale już nie towarzyszył mu gniew. Tylko smutek i żal.

Jakaś para wyszła na taras, trzymając kubki, zobaczyła, co się dzieje, i wróciła do środka. Rebecca roześmiała się donośnie i wytarła oczy.

- Pewnie wyglądamy jak wariatki.

- A nie jesteśmy? - Grace też się uśmiechała. - Co cię uratowało? - spytała.

- Kto mnie uratował. W pewnym momencie wróciłam na Wschodnie Wybrzeże. Nie pamiętam dlaczego. Wiedziałam, że nie mogę się do ciebie zbliżyć, Freddie, poszłam do doków i zamiast rzucić się do wody, wzięłam łódź i wylądowałam tutaj. Byłam na odwyku, dostałam pracę i w końcu poznałam Cosmo.

- Tego faceta, z którym mieszkasz?

- Tak.

- Jesteście rodziną? - bardzo grzecznie spytała Grace. Jak w trakcie pogawędki przy obiedzie. Rebecca znów się roześmiała.

- Cosmo i ja? Nie. Jest gejem. Nie jesteśmy parą, tylko najlepszymi przyjaciółmi.

- Nie miałaś nikogo innego?

- Nie. Żadnego męża ani dzieci. - Rebecca znów spoważniała. - Możesz to nazwać pokutą. Albo szczególną znajomością siebie samej.

- Albo kolejną tragedią - dodała Grace. Zamilkły wszystkie.

- Masz zdjęcia, które ci wysłałam? - spytała Rebeccę.

- Wszystkie. Bardzo ci za nie dziękuję.

- Muszę się przejść - oznajmiła Grace.

Trzy kobiety wstały i ruszyły w kierunku plaży.

- Udało ci się uzupełnić układankę, Freddie?

- Na tyle, na ile było to możliwe.

- I?

- Jak się czujesz?

- Już nie jestem zła, może tylko na niego. Szły wzdłuż plaży.

- Nigdy nie zaznam spokoju w związku z nim.

- Umarł, kochając cię. To powinno dać ci spokój.

- Też będę musiała się z tym pogodzić.

- Tyle zmarnowanych lat.

- Dla mnie nie były zmarnowane - wtrąciła Grace. - Miałam ciebie, miałam jego, szkoda tylko, że nie mogłam tego lepiej zrozumieć.

- Żałuję, że wszystkie nie mogłyśmy tego zrozumieć.

Rebecca odprowadziła Freddie i Grace do samochodu. Freddie obserwowała pożegnanie obu kobiet. Uścisnęły sobie ręce.

- Współczuję ci z powodu straty - odezwała się Rebecca.

- Dziękuję.

Freddie starała się wyczytać coś z ich spojrzeń, ale nie udało się jej. Rebecca podeszła do niej.

- Jakie masz plany? - spytała.

- Jeszcze się zastanawiam. Rebecca kiwnęła głową.
- Zadzwoń. - Freddie była tego prawie pewna.
- Nie ruszam się stąd.

Freddie chciała ją pocałować, ale na to było zbyt wcześnie. Rebecca obserwowała samochód, dopóki nie zniknął jej z oczu, odwróciła się i ruszyła w kierunku domu. Cosmo czekał na nią. Otworzył drzwi i objął ją ramieniem.

- Lepiej?
- Lepiej, Cos.

Kilka dni później przyjechał Matthew. W nocy zastała go w swoim łóżku z książką. Obserwował ją, kiedy weszła i podbiegła do niego. Uwielbiała tego prostolinijnego mężczyznę, który umiał okazywać emocje i niczego nie ukrywał. Nie miał żadnych tajemnic. Szukała go przez całe życie, ale długo nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Przepraszam, że tak długo się przed tobą ukrywałam - wyszeptała łagodnie.
- Ukrywałaś się, bo wiedziałaś, że cię znajdę. - Pocałował ją w szyję.
- Dzięki Bogu.
- Pamiętasz obraz w gabinecie ojca w Beacon Hill? Freddie myślała o tym samym.
- To na pewno matka Rebeki. Grace przytaknęła.
- Wyobraź sobie, jak się czuła, kiedy się dowiedziała. Biedactwo.
- Grace! - Freddie zdziwiła się, że Grace broni jej matki.
- Sama jeszcze była prawie dzieckiem. To taki szok, Freddie. Co byś zrobiła na jej miejscu?
- Nie zostawiłabym dziecka.
- Tego nie wiesz.
- Czyżby?

- Nie, nie rozumiesz. Była zupełnie sama. Powiedziała przecież, że nie miała żadnych przyjaciół. Mężczyzna, którego kochała, paskudnie ją oszukał. A rodzina? Wcale nie byli lepsi. Dokładnie rozumiem, dlaczego uciekła.

- Ale nigdy nie miałaś dzieci, Grace. - Pożałowała tych słów, jak tylko je wypowiedziała.

Grace spojrzała na swoje ręce.

- Masz rację, Freddie.
- Przepraszam, Grace.
- Za co? Masz rację. Nigdy nie miałam dzieci, więc skąd mogę wiedzieć.
- Rozmawiałaś o tym z ojcem?
- Wiedział, że chciałam mieć dzieci. Po prostu nie złożyło się.
- Próbowalaś się leczyć?

- Wtedy były inne czasy. Poza tym ojciec by się na to nie zgodził, był bardzo skrytym człowiekiem.

- I spójrz, do czego nas to doprowadziło.

- Taki już był, Freddie.

- Ale chciałaś mieć z nim dzieci?

- Oczywiście. Ale nie powinnaś odnieść wrażenia, że to nam zrujnowało życie. Mieliśmy ciebie.

- Ty mnie miałaś.

- On też. Był z ciebie taki dumny. Nie rozmawiały więcej aż do Chatham. Freddie spytała:

- Chcesz, żebym jej wybaczyła, prawda?

- To może pomóc.

- Komu?

- Nam wszystkim, zwłaszcza tobie.

Wróciły do domu, Reagan wyszła, a Harry bawił się w ogrodzie.

- Położę się na chwilę - oznajmiła Grace.

- Dziękuję, że ze mną pojechałaś.

- Nie ma za co.

- Czy spotkanie z nią cię zdenerwowało?

- Nie. To co zaszło między nimi, to dawne dzieje. Czuję się tak, jak powiedziałaś: znalazłam odpowiedzi na kilka pytań, których nawet sobie nie uświadamiałam. I polubiłam ją. Nie spodziewałam się tego. - Nie kryła zaskoczenia.

Też ją lubię, pomyślała Freddie.

Nalała sobie szklankę mleka i zastanawiała się, czy zadzwonić do Matta albo do Tamsin. Zrezygnowała z tego pomysłu. Chwilę kręciła się po domu i trafiła do gabinetu ojca. Nie mogła pozbyć się uczucia, że robi coś złego, wchodząc do środka. W drzwiach nie było zamka, więc mogła wchodzić kiedy chciała. Może relacja z ojcem właśnie na tym polegała, mogłaby do niego dotrzeć, gdyby tylko chciała. Ogarnął ją niewypowiedziany smutek.

Patrzyła na swoje zdjęcia. Nikt nie trzymałby tylu zdjęć, gdyby nie kochał portretowanej osoby. To było całkowicie prywatne pomieszczenie. Siadywał tu zupełnie sam, zastanawiał się nad swoim życiem i wpatrywał w zdjęcia córki.

Zaczynała wierzyć w to, co powiedziała Grace: był z niej dumny. Kochał ją. Dlaczego nigdy jej tego nie okazał? Nawet nie spróbował. Spojrzała na zdjęcie, na którym trzymała maleńkiego Harry'ego. Zawsze kiedy rozmawiali, powtarzała Harry'emu, że go kocha. Była pewna, że to czuł, jak zbroję chroniącą przed przeciwnościami losu. Czy nie zapewniała go wciąż, że nikt go nie będzie kochał tak jak ona? Czy to była prawda?

Ojciec nie nauczył jej, jak istotne jest okazywanie uczuć własnemu dziecku, Rebecca też tego nie zrobiła, zawdzięczała to Grace. Grace i Tamsin. Nagle poczuła ogromną wdzięczność, że je spotkała na swojej drodze życiowej.

Przez okno w gabinecie widziała Harry'ego. Grace zdobyła skądś rower i Harry zbudował tor przeszkód w ogrodzie, używając desek i cegieł. Przeskakiwał na rowerze przez rząd cynowych puszek.

Nie poznawała tego samowystarczalnego dziecka. W szkole zawsze otaczała go banda chłopaków. W domu miał ją. Starła się, jak mogła, spędzać z nim każdą ceną, wolną chwilę. Adrian też. Tutaj był inny. Ani razu nie powiedział, że się nudzi, nie wspominał nieobecnych. Rozmawiał z Grace, Reagan, z nią i Matthew czasami zupełnie jak dorośli. Spał po dwanaście godzin, jadł jak koń, i spędzał mnóstwo czasu na powietrzu. Kiedy nie udało mu się nikogo namówić - najczęściej była to Reagan - do wspólnej zabawy, świetnie sam sobie radził. Ćwiczył jazdę na rowerze, palił ogniska. Grace nauczyła go opiekać pianki nadziane na szpikulce. Trzeba było zaczekać, aż będą odpowiednio lepkie, i włożyć je pomiędzy krakersy z kawałkiem gorzkiej czekolady. Obserwując ich oboje pochylonych nad ogniem, patrząc na niego teraz, poczuła spokój i pewność co do syna, pierwszy raz od lat. Pierwszy raz od czasów jego niemowlęctwa wiedziała, że postępuje właściwie. Jakby go uratowała. Uderzyło ją, że robiąc to, co uważała za słuszne dla siebie, pomogła również synowi. Gdyby wszyscy rodzice to zrozumieli. Po kolacji przytuliła Grace.

- Masz rację z Rebeccą. Nie chcę być taka jak ojciec. Pełna żalu i niedostępna. Nie chcę stracić osób, które kocham. Grace poklepała ją po ramieniu i uśmiechnęła się.

## Święto Dziękczynienia

Telefon zadzwonił tak wcześnie, że niemal przestraszył Freddie. Podniosła słuchawkę i sięgnęła po koszulę nocną, którą wciągnęła na siebie szybkim ruchem.

- Freddie?

- Tamsin? Co się stało?

- On już tu jest, Freddie.

- Och... więc to chłopak!

- Willoughby.

- Willoughby. - Freddie usiłowała przypomnieć sobie, z jakiej książki pochodzi to imię, ale Tamsin przerwała jej proces myślowy.

- No wiesz, Jane Austen - wtrąciła zniecierpliwiona.

- Oczywiście! - Freddie nie miała pojęcia, ale co z tego. Willoughby. Podobało jej się. Mogło być o wiele gorzej. Będą na niego mówić Will; o Boże, Willa i Will. Jak bohaterowie z przedszkolnej czytanki. Mimo wszystko było lepsze niż Homer i Flannery. - Kiedy się urodził?



- O dwudziestej trzeciej czterdzieści siedem. Dzwoniłam, ale cię nie było i nie chciałam zostawić wiadomości, cały ranek nie mogłam się doczekać, kiedy porozmawiamy, i w końcu odważyłam się na małą pobudkę.

- Świąteczne dziecko!

- Chyba tak, nie pomyślałam o tym.

- Cudownie. Zaczekaj, skąd dzwonisz?

- Z domu. Wczoraj w nocy pojechałam do szpitala, wydusiłam go z siebie i wróciłam do domu na śniadanie. Flannery w ogóle nie wiedziała, że wyszłam, i była dość skonsternowana widokiem dziecka, kiedy się obudziła.

- Czy to na pewno dobry pomysł? W szpitalu mogłabyś odpocząć.

- Bzdury! Tu jest o wiele lepiej. Ostatnio oddziały szpitalne są paskudne. Wielki powrót surowej pielęgniarce. Poza tym mam Meghan i Neil wziął kilka dni urlopu. Szczerze mówiąc, nie miałam wyboru. Żadnych szwów, żadnych łez ani środków znieczulających, nie licząc dużego kieliszka czerwonego wina, który wypięłam wczoraj do kolacji, i kilku haustów gazu znieczulającego. Położna obejrzała go szybko i spakowała nas do domu.

- Wygląda na dość pobieżne oględziny.

- Nie żyjemy już w latach pięćdziesiątych. My, nowoczesne matki, nie możemy sobie pozwolić na miesiąc w sanatorium.

- Jak było?

- Strasznie. Bolało jak diabli, zero godności, wiesz, jak to jest. Czulałam się trochę jak Amazonka, Xena Wojownicza Księżniczka. Najbardziej lubię ten moment pięć minut po wszystkim, kiedy sobie myślę: nie było tak źle, mogę to powtórzyć!

- Nie zrobisz tego!

- Pewnie nie, ale kto wie. Na razie nie wspomnę o tym Neilowi.

- Biedny Neil. Jak on się czuje?

- Jak zawsze. Zupełnie zwariował. Traktuje mnie jak Joannę D'Arc.

- Chciałabym być z wami.

- Ja też. Ale to tylko kilka tygodni, prawda? Poproszę Meghan, żeby ci przemailowała zdjęcie, jest w tym dobra.

- Jak on wygląda?

- W śpioszkach jest aniołem. Skóra zdarta z Homera. Wygląda identycznie jak on tuż po urodzeniu, a raczej jak mógłby wyglądać, gdyby nie popękane naczynia krwionośne!

Freddie roześmiała się.

- O Boże, tak, pamiętam jego małą, biedną główkę.

- Jaką miałaś minę! Myślałaś, że to mu zostanie na zawsze. Jakbyśmy mieli kosmitę w genach.

- Tak się cieszę, Tams. Gratulacje, ogromne gratulacje! Pójdę do sklepu z zabawkami Schwartz'a i kupię największego pluszowego misia.

- Ani się waż! Neil grozi, że jeżeli w domu pojawi się jeszcze jedno wypchane zwierzę, to nas zostawi.

- Akurat.

- Poza tym nie uda ci się z nim przejść przez odprawę celną.

- No dobrze, kupię małego misia. Przemycimy go za plecami oberführera Bernarda. To biedne dziecko musi mieć coś własnego. Gdzie teraz jest?

- Tutaj. Muszę dźwigać ten krzyż, jakby powiedziała mama. Wierci się przy obfitym biuście swojej matki. Właśnie się obudził.

Słyszając to, maleńki Willoughby wydał z siebie dziarski krzyk noworodka.

- Och, słyszę go. Witaj, Willoughby.

- Zaczekaj chwilę, muszę wiedzieć co u ciebie. Tylko go nakarmię.

Przez chwilę Freddie słuchała, jak Tamsin cicho mruczy do dziecka ssącego jej pierś, miała melodyjny i kojący głos. Była w tym świetna, nie tylko dzięki praktyce. Freddie potrzebowała obu rąk, zwiniętej w wałek poduszki i pełnej koncentracji, żeby nakarmić Harry'ego. W pierwszym tygodniu z reguły kończyło się na łzach i telefonie do pielęgniarki. Wyobraziła sobie Tamsin ze słuchawką przyciśniętą do ucha, jedną ręką podtrzymującą maleńką główkę Willoughby'ego, a drugą odpinającą guziki. U niej zawsze wydawało się to takie łatwe. Po chwili odezwała się:

- Dobrze. Opowiadaj.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Od Matthew! Co się z nim dzieje?

- Jest tyle innych spraw! Ojciec, matka, wszystkie problemy, które musimy rozwiązać...

- To przeszłość. Przyszłość to Matthew, dlatego jest o wiele ważniejszy.

Freddie uwielbiała sposób, w jaki Tamsin przechodziła do sedna sprawy. Miała rację, jeśli nie chce odłożyć innych spraw na bok, to przynajmniej powinna ustalić priorytety.

- Jesteś tego pewna, prawda?

- Absolutnie. Wiedziałam wcześniej niż każde z was.

- Naprawdę?

- Naprawdę! Przestań się ze mną droczyć i mów. Gdzie on jest?

Przez chwilę Freddie czuła się, jakby miała szesnaście lat. Zachichotała.

- Jest na górze, śpi w moim łóżku.

- Nieprawda! - Matthew stanął za nią i nachylił się, żeby pocałować ją w kark. - Nie da się spać przy takim pisku. To ty, Tams? - Zbliżył się, żeby usłyszeć głos przyjaciółki.

- Ma dziecko, chłopca, urodziła go wczoraj w nocy, to świąteczne dziecko. Wszyscy czują się świetnie! - poinformowała go Freddie w telegraficznym skrócie.

- Genialnie! - rozpromienił się Matthew.

- Daj mu słuchawkę - zakomenderowała Tamsin. Freddie przyciągnęła do siebie twarz Matthew, tak że oboje mogli słuchać.

- Naprawdę genialnie. Jest cudowny. Zobaczysz go, kiedy wrócisz do domu, ale teraz spadaj. Chcę pogadać o tobie z Freddie!

Matthew roześmiał się.

- Zrobię herbatę. Kocham was obie, wszystkich kocham.

Freddie patrzyła, jak schodzi na dół, rozcierając zaspaną głowę.

- Co za subtelność!

- Za dobrze się znamy, żeby się bawić w subtelności, Fred. Dobrze, mów.

Freddie zabrała słuchawkę do łóżka i naciągnęła kołdrę pod brodę. Po drugiej stronie w Tamsin gotowały się emocje, Freddie oparła się o poduszki, żeby porozmawiać z najlepszą przyjaciółką.

- Czuję się jak dzieciak.

- Świetnie. Jaki on jest?

- Jesteś szczerze zainteresowana czy perwersyjna?

- Zależy o czym chcesz opowiedzieć...

- Jest fantastyczny. Naprawdę. Coś między nami zaskoczyło.

- Cudownie.

- Nie jesteś zdziwiona?

- Dziwi mnie tylko, że to tak długo trwało.

- Mówi, że od dawna coś do mnie czuł, a ja tego nie widziałam. Wszyscy to zauważyliście?

- Nie wiem, czy wszyscy. Ja oczywiście tak, ale jestem bardzo intuicyjną jednostką. - Roześmiała się. - Znam was oboje lepiej niż ktokolwiek inny. Ale Neil też to zauważył, a on ma tyle intuicji co ziemniak.

- Nieprawda! Nie wierzę w to.

- Daj spokój! Wydaje mi się, że nie chciałaś tego widzieć ani czuć. To wszystko. Zaangażowałaś się w związek z Adrianem i nie chciałaś zrezygnować z małżeństwa, prawda? Wyświadczył ci ogromną przysługę, zmuszając cię do podjęcia decyzji, kiedy przyznał się do romansu. Przy okazji, na jakim jesteście etapie?

Freddie nie chciała myśleć o Adrianie. Pośród tego całego szczęścia nie było dla niego miejsca.

- Nie wiem.

- Rozwiedziesz się z nim?

- Przypuszczam, że się rozwiedziemy. Jeszcze tego nie przemyślałam. Formalności są nieistotne, kiedy udało się uporządkować ważne sprawy.

- Wkrótce będziesz musiała się nad tym zastanowić.

- Wiem.

- Co u Harry'ego?

- W porządku. Świetnie. Genialnie dał sobie ze wszystkim radę. Dzieci są niezwykle, co?

Przysięgłaby, że w tym momencie Tamsin spojrzała na czubek małej główki Willoughby'ego Bernarda i odpowiedziała łagodnie:

- To prawda.

- Bardzo spokojnie przyjął to, że jestem z Mattem. Nic się między nimi nie zmieniło, ale chyba zawsze byli sobie bliscy. Jeśli chodzi o Adriana, na razie się z tym pogodził, nie ma problemu.

- I nie będzie.

- Wiem. To dla nas ogromna ulga.

- Więc jesteście z Matthew parą.

- O, tak. Jesteśmy. Z nim bardziej niż z kimkolwiek innym. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem.

Obie zamilkły. Po chwili Tamsin zapiszczała do telefonu jak dziewczynka:

- Tak ci zazdroszczę romansu. Kocham Neila nad życie, ale na całym świecie nie ma uczucia podobnego do nowej miłości. Ty szczęściaro!

Freddie objęła się rękoma.

- Wiem! Och, Tams, jest tak, jakby ktoś włączył wszystkie światła. Zupełnie nie czuję, że się spotykam z przyjacielem. Chociaż oczywiście nadal nim jest. Mój przyjaciel, mój wielki przyjaciel. Ale nie ma w tym nic dziwnego, wiesz? Nagle okazało się, że mój najlepszy przyjaciel to ten nieprawdopodobnie seksowny, cudowny, zabawny, fantastyczny...

- Zawsze taki był.

- Wtedy było inaczej. Kocham go.

- On cię też kocha.

- Kiedy się dowiedziałas?

- Po waszej kolacji w Bostonie tamtej nocy. Powiedział mi o tym. Podejrzywałam to od dawna, od lat. Ale wtedy się do tego przyznał. To go tak zabolalo.

- Byłam zagubiona.

- Wiem o tym. Był wściekły na siebie, że wybrał taki fatalny moment. Bał się, że schrzanił to raz na zawsze.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Freddie!

- Wiem, wiem. Pewnie nadal nie chciałabym o tym słyszeć. Musiała nadejść odpowiednia chwila.

- A teraz jest dobrze?

- Nie umiem sobie wyobrazić nic lepszego. Matthew otworzył drzwi do sypialni, niósł dwa kubki.

- To mi się podoba.

Freddie słyszała, że Willoughby się niecierpliwi. Ten chłopiec już pokazywał, że ma literackie wyczucie czasu.

- Hm. Zdaje się, że muszę się zająć wymagającym mężczyzną - zażartowała Tamsin. Komediodowy duet zachował swój styl.

- Ja też.

- Kocham cię, tęsknię, do zobaczenia.

- Też cię kocham, tęsknię, do zobaczenia. Przesłały sobie głośnego buziaka i rozłączyły się.

- Co? - Matt zdjął szlafrok i miał zamiar wślizgnąć się do łóżka obok niej.

Freddie poczuła przyływ czystej żądz i dotknęła go.

- Powiedziała, że musi się zająć wymagającym mężczyzną. Odpowiedziałam, że ja też.

- Święta prawda. - Mówił do jej rozchylonych warg. Później ją całował i dotykał, i znów zato-piła się w cudzie, jakim byli oboje.

Matthew wyszedł sam. Starał się nie przytłaczać Freddie i Harry'ego. Zwłaszcza Harry'ego. Wokół niego działy się wielkie sprawy i potrzebował mamy. Teraz Matt kładł się obok niej w łóżku, tulił ją, kiedy spała. Ciągle jeszcze nie mógł w to uwierzyć. Serce biło mu szybciej, kiedy wchodziła do pokoju. Pragnął jej przez cały czas, ale teraz zaczął się uspokajać. Już się nie musiał spieszyć, bo wierzył, że ma na to całą wieczność, i tak dobrze się z tym czuł.

Obwieścił dziś, że pojedzie do supermarketu po zakupy. Grace zaprotestowała, a Freddie i Harry przypomnieli mu, że miał pójść z nimi na spacer nad ocean, ale się uparł. Reagan poszła pobiegać i jeszcze nie wróciła. Freddie dochodziła do siebie nad kubkiem z kawą. Wyszedł, całując ją w czubek ślicznej główki. Poszli spać po telefonie Tamsin i byli otumanieni od leżenia w łóżku.

Zauważył Reagan przy głównej ulicy, zahamował obok niej i uchylił okno.

- Cześć!

- Cześć! - Podeszła i nachyliła się.

- Chryste, ale mróz. Podrzucić cię do domu?

- Jedziesz w przeciwnym kierunku.

- Mogę zawrócić. - Uśmiechnął się. - Poważnie. Nie biegasz.

- Skończyłam. Odpoczywam. - Reagan miała czerwony nos i wydmuchiwała kłęby pary. - Dokąd jedziesz? I gdzie jest reszta Waltonów? - Typowe powiedzonko Reagan teraz miało inny odcień. Nie było w nim złości.

Matthew już miał jej odpowiedzieć, ale zobaczyła coś po drugiej stronie ulicy i nie słuchała go. Odwrócił się i dostrzegł barmana ze Squires.

- Ziemia do Reagan.

- Przepraszam. Słuchaj, Matt, muszę lecieć. Dzięki za propozycję. Zobaczymy się później, tak?

- Eric!

Odwrócił się, zauważył ją i stanął.

- Cześć.

- Cześć.

Było naprawdę zimno. Eric trzymał ręce głęboko w kieszeniach i naciągnął czapkę na czoło. Przeszepował z nogi na nogę.

- Co u ciebie?

- Przepraszam. - Wyrzuciła z siebie przeprosiny i nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

- To ja przepraszam. - Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. - Nie powinienem cię cisnąć. To nie był mój zakichany interes. Nie jesteś mi nic winna.

- Nie. Miałaś rację. Kłamałam.

Eric wzruszył ramionami. Reagan chciała, żeby zrozumiał.

- Byłam w fatalnym stanie.

- Byłaś?

Uśmiechnęła się smutno.

- Pewnie nadal jestem. Ale czuję się coraz lepiej.

- Cieszę się. - Czyżby się denerwował?

- Chciałam tylko przeprosić, że tak wtedy uciekłam.

- W porządku.

Milczeli przez chwilę i patrzyli na siebie. Ale było za zimno, żeby tak stać.

- Właśnie otwieram. Wejdiesz na kawę?

Reagan spojrzała na swoje stopy i niedostrzegalnie skinęła głową. Później odezwała się:

- Nie. Ale dzięki, Eric.

Nie był rozwiązaniem. Miły i seksowny, był mężczyzną, z którym z łatwością mogłaby się zagubić. Ale nie był rozwiązaniem.

Jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Zobaczymy się?

- Może. - Zaczęła biec.

Kilka metrów dalej odwróciła się bez zatrzymywania, Eric obserwował ją.

- Może. - Krzyknęła i uśmiechnął się do niej seksownym, swobodnym uśmiechem, później odwrócił się i poszedł.

Freddie jeszcze raz spotkała się z Rebeccą, zanim poleciała do domu. Chciała, żeby poznała Matta. Nie do końca rozumiała dlaczego.

- W jaką stronę zmiierzają relacje z twoją matką? - spytał ją po drodze.

- Nie wiem, czy w ogóle kiedyś zacznę ją traktować jak matkę. Dziwne, ale przez całą jesień raczej myślałam w tych kategoriach o Grace. Z Rebeccą łączą mnie tylko więzy biologiczne. Już nie jestem zła i sędzę, że ją rozumiem. To znaczy, rozumiem, dlaczego to zrobiła, ale jednocześnie wiem, że mimo wszystko nie mogłabym tak postąpić. Nie ma takiej rzeczy, dla której zostawiłabym Harry'ego. Ale matki też są ludźmi, prawda? Ja jestem taką matką, ona inną, a Grace pewnie najlepszą. Z Harrym czuję fizyczną więź. Grace obdarzyła mnie matczyną miłością, bo nosiła ją w sobie i nie miała własnych dzieci. Wszystkie jesteśmy różne. Moja miłość do Harry'ego nie ma nic wspólnego z jego ojcem. Miłość Grace i Rebeki była związana z ich życiem intymnym. Grace dała mi ją jako część swojego uczucia do ojca, a Rebecca zabrała z tego samego powodu.

Matthew uśmiechnął się do niej.

- To naprawdę takie proste?

- Nie użyłabym słowa „proste”. - Roześmiała się. - Ale wydaje mi się, że to rozumiem. I to jest dobre. Czuję, że uwolniłam się od przymusu powtarzania błędów rodziców we własnym życiu.

- Nigdy nie robiłaś tego Harry'emu.

- Harry'emu nie, ale ojcu. Nigdy nie spróbowałam się do niego zbliżyć. Jak w jakiejś głupiej grze. Odsunął się ode mnie i ja też nauczyłam się odsuwać od niego i od Grace. Spójrz, jak łatwo się od tego odciąłam. I od Rebeki. Nie sądzisz, że gdybym go męczyła, zrzędziła, naciskała, to może powiedziałyby mi, gdzie jest, lata temu? Nawet Adrian. To małżeństwo od dawna się psuło. Nie było żadnych dramatów, tylko kwas. Nie naprawiłam tego ani nie odeszłam od niego. Żyłam tylko w połowie. Zablockowałam najważniejsze związki w moim życiu i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Nieprawda. Spójrz na Harry'ego. Spójrz na Tamsin, Sarę i Reagan. To są świetnie funkcjonujące, zdrowe, pełne emocji związki. Spójrz na mnie...

Położyła mu rękę na kolanie.

- Jesteś świetnym przykładem. To też bym schrzaniła, gdybyś nie był taki natarczywy.

- Natarczywy! Co za okropne słowo.

- Wiesz, o czym mówię. Uśmiechnął się.

- Nie miałem zamiaru iść nigdzie indziej.

- Nigdy?

- Dobrze. Kiedyś było inaczej. Ale miałaś sporo czasu, zanim sprawiłaś, że zacząłem cię gonić.

- Właśnie to zrobiłam? - Spojrzała na niego z ukosa, ale jej oczy lśniły.

Ostrzegawczo uniósł brwi, ale też miał błysk w oku.

Cosmo również był w domu.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, ale musiałem cię poznać. - Freddie podała mu rękę, ale zignorował to i przytulił ją.

- Przepraszam, wydaje mi się, że uścisk jest bardziej odpowiedni.

- Cosmo! - Rebecca posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Freddie to nie przeszkadzało.

Mimo wszystko Cosmo był kolejnym elementem układanki.

- Jesteś taka podobna do matki. Rebecca dodała szybko:

- Tylko z wyglądu.

Freddie już nie była tego taka pewna, jak kiedyś.

- Mam nadzieję, że w twoim wieku będę tak dobrze wyglądała.

- Oczywiście - zapewnił Cosmo. - To jest w genach. Spójrz na te kości policzkowe! - Był najbardziej zniewieściałym facetem, jakiego знаła, ale od razu go polubiła. Jednocześnie zastanawiała się, jak udało mu się żyć w zwykłej rodzinie. Jaki ksiądz przy zdrowych zmysłach udzieliłby mu ślubu z kobietą?

- To jest Matthew. - Wzięła go za rękę i stanął obok niej.

- To mój Cosmo - dodała Freddie. Nachyliła się do Rebeki, szepcząc: - Tylko jest hetero.

- Jaka szkoda! Co nie znaczy, że nie może mi pomóc otworzyć wino i przynieść kieliszki, prawda? - Cosmo zaprowadził Matthew do kuchni.

Obie kobiety usiadły.

- To nie jest facet ze zdjęć ślubnych? - Rebecca uśmiechała się.

- Był mężem jednej z moich najlepszych przyjaciółek. Sara zginęła w wypadku samochodowym trzy lata temu. Matt i ja zawsze byliśmy przyjaciółmi, a teraz jesteśmy jeszcze bliżej. - Po raz pierwszy powiedziała to głośno. I właśnie Rebecce.

- Cieszę się.

- Dzięki, też się cieszę.

Wypowiedziała kolejną uwagę, zanim zdążyła ją właściwie sformułować.

- Szkoda, że jesteś samotna.

Rebecca uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nie jestem samotna, Freddie. Cosmo jest takim samym towarzyszem życia jak mąż, a nawet bardziej. Mam mnóstwo przyjaciół. Mam swoją pracę...

- Ale...



- Miewam też kochanków, kiedy tego chcę. Przepraszam, jeśli cię zaszokowałam. Oczywiście źródelko może trochę wyschnąć, kiedy się zestarzeję. - Zachichotała. - Ale spodziewam się, że moje zainteresowanie seksem też zmaleje. Mam nadzieję.

- Nie jesteś sama przeze mnie i ojca?

- Niezupełnie. Przez długi czas tak było, ale teraz sama tego chcę. Naprawdę.

Cosmo i Matt wrócili z winem. Matt wyglądał na lekko rozbawionego.

- Słuchajcie, ludzie - zagaił Cosmo - zostajecie w Cape na Boże Narodzenie? Nie patrz tak na mnie, Rebecca, kochanie. - Nie widział jej, ale oczywiście i tak wiedział, jaką ma minę. - Nie proponuję im, żeby się wprowadzili. Wiem, że ty chcesz działać łagodnie, ale pieprzyć to, żyje się tylko raz, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Freddie wreszcie wiedziała.

- A jeśli zostaną w Cape na Boże Narodzenie, po prostu muszą, muszą, MUSZĄ przyjść na przyjęcie. Wyprawiamy je co roku. To legenda, wierzcie mi. - Rozciągnął głoski, tak że zabrzmiało to jak LEGE-ENDA. Matt nie miał co do tego wątpliwości.

Freddie roześmiała się. Jej śmiech był zaraźliwy.

- Wierzę ci, Cosmo, ale nie zostaniemy. - Spojrzała na Rebeccę. - Muszę wrócić do domu, inaczej wszyscy pomyślą, że wyemigrowałam. Mam tam parę spraw do załatwienia. Poza tym to jest dom.

- Szkoda. Ale wróćcie.

Freddie była prawie pewna, że tak.

- A twoja przyjaciółka Reagan? - Rebecca pochyliła się do okna w samochodzie, które Freddie otworzyła, żeby pomachać na pożegnanie.

- Wydobrzeje.

- Cieszę się. Ma szczęście, że stanęłaś po jej stronie.

- Dziękuję.

Freddie miała ochotę ją pocałować.

Samochód odjechał i Cosmo objął Rebeccę ramieniem.

- Co, mamuśka, nasza dziewczynka wyrosła na piękną kobietę. - Odgrywał rolę bohatera sitkomu z lat pięćdziesiątych.

Lekko uderzyła go w brzuch i pozwoliła się przytulić.

- Może nigdy nie będę w stanie powiedzieć, że jestem z niej dumna, ale na pewno jestem dumna, że ją znam.

To wystarczyło.

- Chciałabyś zostać tu na Boże Narodzenie? - spytał Matthew.

- Nie. Musimy być w domu. Nie widziałam tego cudownego maleństwa, a Harry musi się zobaczyć z Adrianem. Spotkasz się z ojcem i rodzicami Sary.

- Moglibyśmy pojechać razem. Freddie uśmiechnęła się.

- Pewnie tak zrobimy. - Po chwili dodała: - Chcę, żeby Grace spędziła z nami święta.

- Zaprosiłaś ją?

- Nie. Ale mam zamiar. Może dziś wieczorem. Pewnie jest coraz mniej wolnych miejsc w samolotach.

- Myślisz, że się zgodzi?

- Tak. Obie wróciliśmy do punktu wyjścia. I uwielbia Harry'ego.

Londyn,

Boże Narodzenie

Było prawie tak jak na obrazach Normana Rockwella. Ogromny i złocisty indyk. Tamsin piekła go przez całą noc w sponiewieranym piecyku z lat pięćdziesiątych i trzymała w drodze na kolanach, krzycząc do Neila, żeby ostrożnie brał zakręty. Freddie rozejrzała się wokół stołu. Dzieci obrały brukselkę. Obawiała się o jej wygląd i smak, ponieważ Homer swoich kapustek prawie nie tknął, a Willa zredukowała brukselki do jasnozielonych środków. Flannery cały dzień wyjadała czekoladki i demonstrowała rozsmazaną czekoladową brodę, która zostawiła ślad na maleńkiej buźce Willoughby'ego. Maleństwo obserwowało wszystko ze swojego fotelika ustawionego wbrew przepisom na brzożowym stole Freddie. Miało czapeczkę przypominającą świąteczny pudding i ubranko z napisem „maleńki świąteczny fajerwerk mamusi”, szczęśliwie nie było świadome tego poniżenia.

Tamsin usnęła, siedząc na sofie. Złożyła ręce na miękkim brzuchu, obok niej stał nietknięty kieliszek szampana. Neil pomagał Meghan nakryć do stołu; za każdym razem, kiedy przechodził obok Tamsin, zwalniał, żeby na nią spojrzeć albo jej dotknąć. Zawsze się tak zachowywał, kiedy urodziła dziecko. Jakby nie mógł uwierzyć, że jest aż tak sprytna, silna i odważna. Jakby nie wierzył, że jest jego.

Freddie przypomniała sobie wizytę w szpitalu po urodzeniu Homera. Wtedy dla nich obu była to zupełna nowość. Przyniosła niepraktyczny, olbrzymi bukiet gladioli („tak się cieszę”\*) i przemyconą butelkę baileysa. Tamsin miała na sobie olbrzymią białą koszulę nocną, szlochała i chichotała na przemian z dwóch mokrych plam na wysokości sutków. Homer, niemożliwie maleńki, czerwony i wkurzony, ze stożkową główką z paskudnymi siniakami na obu skroniach. Tamsin obserwowała mi-nę Freddie, kiedy zajrzała do plastikowego kojca.

\* Gladiole - *I'm so glad*. Gra słów: *glad* - ang. cieszyć się, być zadowolonym.

- Tak, to mu minie. Biedny chłopina, pod koniec przypominało to trochę film *Wszystkie stworzenia duże i małe*. Te moje niesamowite wężowe biodra wszystko skomplikowały. - Parsknęła, roześmiała się i znów zaczęła płakać.

Freddie uścisnęła ją mocno.

- Ostrożnie! Mam tam gobelin z Bayeux, w dodatku potwornie bolesny.

- Paskudztwo.

- O, tak. Paskudztwo to łagodne określenie.

Freddie była w kilkumiesięcznej ciąży z Harrym - starała się nie myśleć o tych aspektach macierzyństwa.

- Jest cudowny.

- Śmiesznie wygląda.

- Tams!

Tamsin uśmiechnęła się szelmowsko.

- Dobrze. Jest nie tylko cudowny. Jest fantastyczny jak cholera. A ja jestem ogromnym geniuszem.

- To prawda.

- A ty jesteś matką chrzestną.

- Naprawdę?

- A kogo mielibyśmy poprosić?

- Reagan i Sarę?

- Dla nich będą następne dzieci. Ty pierwsza. Będzie potrzebował pomocy i musisz obiecać, że zostaniesz rozpustną, amoralną matką chrzestną. Neil nalega, żeby nasi bracia zostali ojcami chrzestnymi, a to nudziarze.

- Będzie potrzebował pomocy, bo dałaś mu na imię Homer, a nie z powodu poważnych ojców chrzestnych. Czy przy chrzcielnicy można wnieść sprzeciw? No wiesz, wyrzec się diabła i wszystkich jego uczynków oraz imienia Homer?

- Nie, nie można. To epickie imię.

- I będzie z nim miał epickie przejścia. Matka niespełna jeden dzień, a już wykorzystuje dziecko!

Ale Freddie była tak szczęśliwa i dumna sześć tygodni później, kiedy trzęsący się ze starości wikary wylał kieliszek zimnej wody na obramowaną koronką szyjkę Homera, który zaniósł się krzykiem.

Reagan i Sara też miały swoją kolej. Sara została matką chrzestną Willi, a Reagan Flannery w zeszłym roku. Wszystkie trzy: Tamsin, Sara i Reagan, były matkami chrzestnymi Harry'ego. Freddie zlekceważyła tradycję, mimo że Adrian nazwał je trzema wiedźmami i cały dzień marudził o trudzie,

kłopotach i oku traszki. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi ani na pozbawionego podbródka cudaka z Sandhurst, któremu pozwolono być jedynym ojcem chrzestnym. To był jeszcze jeden ich wspólny złoty dzień i kolejna jedwabna nić wiążąca je razem.

Tamsin, zanim usnęła, siedziała z Freddie, obserwując Matthew i Neila, którzy starali się złożyć drewniany sklep, lekkomyślnie wybrany przez Mikołaja dla Flannery. Byli bezradni, śmiali się, a siedząca między nimi Flannery wymachiwała zabawkowym młotkiem i biła ich po głowach, dopóki Matthew jej nie złapał i nie zaczął łaskotać, aż ryknęła śmiechem.

- Umiesz dotrzymać tajemnicy? - spytała szeptem.

- Na pewno nie - przyznała się Freddie.

- Chcemy, żebyście oboje byli rodzicami chrzestnymi Willoughby'ego.

Freddie spojrzała na nią.

- Razem. Jako para. - Była taka zadowolona z siebie, widząc wzruszenie Freddie. - Neil później poprosi Matthew.

- Możemy to zrobić po raz drugi?

- Dlaczego nie? I co na to powiesz? - spytała Tamsin.

- Dziękuję. Jesteśmy zachwyceni.

Odpowiedziała za Matthew. Jesteśmy zachwyceni. Będziemy tacy szczęśliwi. Jesteśmy tacy szczęśliwi. My. Dobrze się z tym czuła.

Tamsin uśmiechała się jak kot z Cheshire.

- Wszyscy, których kocham, są szczęśliwi.

- Rozumiem.

Nagle w oczach Tamsin pojawiły się łzy. Wytarła je.

- Cholerne hormony.

- A czy ty umiesz dotrzymać tajemnicy? - Teraz przyszła kolej na Freddie.

- Zdecydowanie.

- Chcemy mieć dziecko.

Ostatniego ranka w Cape Matthew leżał w łóżku oparty o poduszki i obserwował, jak się ubierała. Uwielbiała, jak na nią patrzył. Jego twarz była władcza, dumna, pełna pożądania. Tej nocy kochali się godzinami, aż zakręciło się jej w głowie. W domu było cicho. Reagan i Grace zabrały niechętnego Harry'ego na świąteczne zakupy. Matthew i Freddie bawili się, przygotowali wspólnie obiad i oglądali telewizję. Zaczęli na sofie na dole, jak para nastolatków, skończyli w łóżku, przechodząc przez prysznic i nawet schody, nowy i niezbyt wygodny pomysł dla obojga. Sen po seksie był wspałały i czuła się niesamowicie rozleniwiona, kiedy obudziło ich szare, zimowe słońce. Ale wstała, a Matthew nadal był ospały. Rzuciła w niego koszulką.

- Wstawaj, leniuchu, i przestań tak na mnie patrzeć. Zrzucił nogi z łóżka i nagi podszedł bliżej, żeby ją objąć.

- Nigdy nie przestanę tak na ciebie patrzeć.

- W porządku.

Poszedł za nią do łazienki, wlokąc za sobą szlafrok. Freddie przyglądała się sobie w lusterku, objął ją w pasie i oboje wpatrywali się w portret Matthew i Freddie. Zauważyła w kosmetyczce okrągłe plastikowe opakowanie z maleńkimi różowymi tabletkami i ogarnęła ją panika.

- Cholera! Zapomniałam wczoraj wziąć tabletkę. Nadal przyglądał się im w lustrze i uśmiechnął się.

- Dobrze - odrzekł.

- Jak to dobrze?

- Po prostu. Wyrzuć je.

- Matt...

- Freddie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

Roześmiała się i wyrzuciła pudełeczko przez ramię. Obiło się o drzwi prysznicza i upadło na podłogę. Ale nie poruszyli się, stali tak kilka chwil, uśmiechając się do siebie szeroko w lustrze, rozumiejąc.

- Jej! - pisnęła Tamsin i chłopcy spojrzeli na nią.

- O czym rozmawiacie?

- Nie wasza sprawa. Lepiej zajmijcie się sklepem, zanim Flannery z niego wyrośnie.

Matthew puścił do niej oko.

Reagan i Harry wyszli. W zeszłym tygodniu wysłano Reagan, żeby kupiła Harry'emu wymarzony prezent, rower górski. Freddie nie miała o tym pojęcia i sądziła, że Reagan lepiej sobie poradzi. Rezultat zachwyił Harry'ego. Prawie zaparło mu dech, jak małemu chłopcu, którym jeszcze do niedawna był, kiedy dziś rano zobaczył w korytarzu rower przewiązany wstążką, przypięty do długiej żyłki kończącej się przy jego łóżku.

- Ale fajny - obwieścił.

Reagan przyjechała rowerem w stroju sportowym.

- Boże Narodzenie rano! Fantastyczny czas na jazdę rowerem, ulice były prawie puste, więc ani razu nie przeklełam.

Wyszli oboje, żeby nabrać apetytu na świąteczny obiad. Harry uważał, że Reagan jest fantastyczna. Freddie zwierzyła się Tamsin:

- Obawiam się, że to początek miłości...

- Nie ma się czego obawiać. To tylko dobrze zrobi Reagan. To jej miłośkami powinnyśmy się martwić, a nie tym, że podoba się innym.

- Jesteś podła.

- Wiesz, że naprawdę ją kocham. Mimo że jest mściwą zazdrośnicą.

- Tamsin!

Adrian zadzwonił w porze śniadania. Odebrała Freddie.

- Wesołych świąt - powiedział.

- Nawzajem. - To pierwsze Boże Narodzenie, którego nie spędzali razem, odkąd się poznali. Freddie prawie go żałowała. Był z rodzicami, co oznaczało świąteczny wyrok. Pójdą do kościoła, wypiją sherry z zasuszonymi sąsiadami i zjedzą sztywny, oficjalny obiad podany w ogromnej, zimnej jadalni. Jego matka przez cały czas będzie wygłaszała przydługą tyradę przeciw Freddie i pewnie też przeciw Adrianowi. Jutro chociaż będzie miał Harry'ego.

- Jesteś pewna, że ci to odpowiada? - spytał nieśmiało.

- Oczywiście. Harry nie wyobraża sobie, żeby było inaczej. Jesteś jego tatą. Oczywiście, że musicie spędzić razem część Bożego Narodzenia. Ja też sobie tego inaczej nie wyobrażam, Adrian - dodała szybko.

Jego wdzięczność sprawiła jej ból. Nie opuścił jej. Oboje postanowili się rozstać. Nie chciała wrócić, chociaż wiedziała, że on chce i pewnie zawsze będzie chciał.

Rozmawiała też z Rebeccą, zanim naszły ich hordy gości. Wiedziała, że zadzwoni.

W Cape była późna noc Wigilii Bożego Narodzenia.

- Słyszysz mnie, Freddie? - Słyszała, ale tylko trochę. W tle dudnił straszny hałas, nieustanny odgłos fajerwerków i donośny śmiech. - Cosmo urządził bożonarodzeniowy tłusty czwartek. Przysięgam na Boga, że jestem tu jedyną normalną osobą. W dodatku nieprzebraną za członka Village People.

Freddie roześmiała się.

- Uciekłam na pięć minut do mojej pracowni. Jestem na to za stara!

- Bzdury. - Nawet Freddie wiedziała, że to nieprawda.

Usłyszała odgłos zamykanych drzwi i hałas ucichł. Rebecca chyba usiadła.

- Chciałam ci życzyć wesołych świąt, Freddie.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś.

- I szczęśliwego nowego roku.

- Dziękuję.

Chciała zaprosić matkę do Anglii, żeby poznała Harry'ego. Żeby się więcej o niej dowiedzieć, być z nią.

Zrobi tak. Ale nie teraz. Na razie wystarczyło, że Rebecca zadzwoniła, że była po drugiej stronie telefonu, po drugiej stronie Atlantyku i życzyła jej wesołych świąt. Przez chwilę nic nie mówiły. Mogły powiedzieć sobie mnóstwo rzeczy, ale już nie musiały.

- Wesołych świąt, Rebecca.

- Reagan niesamowicie jeździ na rowerze, mamó! Nie powiedziałaś mi.

Freddie posłała Tamsin ostrzegawcze spojrzenie, przyjaciółka zdusiła chichot.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteście w tym samym wieku! - ciągnął Harry.

- Wiesz, Harry - wtrącił się Neil - takie uwagi nie najlepiej działają na kobiety.

- Święta prawda. Nie zapominaj, że mówisz też o mnie, Harry. - Tamsin karmiła piersią Willoughby'ego na sofie, co dla Harry'ego było nieznośnie żenujące. Przyznał jej rację nieznacznym skinieniem głowy.

Zarumienił się i uśmiechnął do matki.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Reagan miała zaróżowione policzki i błyszczące od jazdy oczy. Wyglądała ładnie i jakoś łagodnie. Uśmiechnęła się promiennie do Matthew, kiedy podał jej kieliszek szampana. Freddie przypomniała sobie, co powiedziała im w Cape tuż przed wyjazdem. Uściskała Freddie i zwróciła się do Matthew.

- Okazało się, że tak naprawdę nie chodziło o ciebie. Matthew nieśmiało wzruszył ramionami.

- Chodziło o mnie i o to, co reprezentowałeś. Wydaje mi się, że tak było. - Mówiła jak studentka, która rozwikłała skomplikowane zadanie.

Uśmiechnął się.

- Nie mów mi, że zakłęcie przestało działać! Reagan uderzyła go w ramię dość mocno.

- Tak. Narkotyk już jest za słaby. - Spojrzała na niego, oceniając. - Wyglądasz... zupełnie zwyczajnie... jeśli mam być szczerą.

Wszyscy się roześmiali. Później Matt ją objął i pojechała.

Freddie nadal nie wiedziała, czy Reagan naprawdę tak myśli, czy powiedziała to tylko dlatego, żeby uwolnić ich od poczucia winy. Ale kiedy teraz na nią patrzyła, wierzyła, że to prawda.

Podano obiad. Matthew stał w końcu stołu i kroił, a wszyscy podawali sobie naczynia i nakładali potrawy. Dzieci odpaliły fajerwerki i głośno opowiadały dowcipy. Homer i Harry upiększali je szepcąc. Grace zmuszono, żeby przestała kroić jedzenie Flannery i usiadła, ktoś zadzwonił na komórkę Meghan z Sydney w momencie, kiedy Neil miał wygłosić toast, a Tamsin kołysała Willoughby'ego na rękę, żeby go uspić, co było mało prawdopodobne w tej kakofonii. Freddie tylko na nich patrzyła i uśmiechała się. Neil poprosił o uwagę, uderzając nożem w kieliszek. Nawet Flannery uspokoiła się na chwilę.

- Chciałbym wznieść toast. Wesołych świąt dla wszystkich. Kucharzy, niezastąpionej obsługi, a przede wszystkim członkiń klubu Tenko i tych wszystkich, którzy mają szczęście je kochać.

Jak na Neila przystało, był to idealny toast.

TLR